

CATHY MAXWELL

EDEN

Prolog

Kornwalia, 1815

Nie zważając na nadciągającą burzę, wdowa Haskell stała na kamienistym cyplu wrzynającym się w morze, zawinięta od stóp do głów w szarą zgrzebną pelerynę. W wyciągniętych ku ciemnemu niebu rękach trzymała mały amulet. Wiatr rozwiewał jej srebrzyste włosy i szarpał peleryną. Rozwścieczone fale przewalały się przez kamienie, zalewając stopy starej kobiety, ale ona nie ruszała się z miejsca. Moc żywiołów była niezbędna do tego, by czar zadziałał.

Za plecami wdowy stało w milczeniu trzydziestu mieszkańców wsi Hobbles Moor. Posępne twarze wyłaniały się z mroku niczym księżycy. Zebrali się tutaj, ponieważ wdowa stwierdziła, że będzie potrzebować ich energii, ich połączonej mocy. A oni, na przekór temu, co mówił wikary, wierzyli w każde jej słowo, wierzyli w magię ukrytą w małych woreczkach.

Wśród uczestników tego wieczornego spotkania była Betsy, pokojówka lorda Penhollow. Obok niej stały kucharka Lucy i pani Meeks - gospodyni. Był również Seth, miejscowy bednarz, stojący ramię w ramię z potężnym Dane'em, którego kuźnia przez cały dzień rozbrzmiewała hukami uderzeń potężnego młota. W grupie wieśniaków znaleźli się także rybak Marten oraz Kyle, kłusownik, który znał okoliczne wrzosowiska jak własną kieszeń. Przyszedł nawet pan Galesbrook, nadzorca kopalni cyny.

- Tej nocy podejmujemy się niełatwego zadania - powiedziała

wdowa. - Aby czar okazał się skuteczny, wszyscy musimy wierzyć w jego moc. Niech ci, którzy wątpią, opuszczą nas!

Nikt nie drgnął. Spadły pierwsze krople deszczu, zmieszane z drobniejszymi kropelkami morskiej wody, tryskającej na brzeg.

Wdowa Haskell obróciła się trzy razy, trzymając woreczek wysoko nad głową. Choć musiała mieć już co najmniej osiemdziesiąt pięć lat, nie straciła równowagi na śliskim kamieniu. Zaczęła mamrotać zaklęcie, które znali już jej przodkowie.

Betsy wyteżyła słuch, by usłyszeć słowa wdowy. Młoda pokojówka miała więcej zaufania do guseł tej starej kobiety niż do kolekcji lekarstw doktora Hargrave'a. Tak ją wychowano. Zresztą Betsy na własne oczy widziała, jak wdowa wyleczyła wielu ludzi z kurzajek, wskrzesiła martwego cielaka i uzdrowiła dziecko chore na ospę, wieszając kurczaka do góry nogami na krokwi i oskubując go z piór.

No tak, ale tego wieczoru sprawa była o wiele poważniejsza.

Wdowa Haskell ścisnęła woreczek w dłoni i trzy razy uderzyła pięścią w drugą rękę. Następnie podniosła głowę ku niebu i przez chwilę stała w milczeniu.

Zapadła pełna napięcia cisza. Nikt nie śmiał się odezwać.

Wreszcie wdowa przemówiła cienkim, piskliwym, ale mocnym głosem.

- Lucy Wright, wystąp.

Lucy popatrzyła niepewnie na Betsy.

- No wyjdź - wyszeptła Betsy.

- Jestem. - Pulchna kucharka była wyraźnie wystraszona, co jej się nieczęsto zdarzało.

Wdowa wpatrywała się w horyzont, jakby była w transie.

- Nie możemy nieproszeni mieszać się w cudze sprawy. Lucy Wright, powiedz raz jeszcze. Czy słyszałaś, jak lady Penhollow, matka lorda Penhollow, prosi o rzućenie miłosnego czaru?

- A jakże. Powiedziała, że nie wie, co ma robić. Pokłóciła się z synem. Zażądała, by poprosił o rękę córki pana Willisa, ale lord odmówił. Powiedział, że ta dziewczyna jest dla niego za młoda. Wtedy nasza pani wściekła się i kazała mu pojechać do Londynu i poszukać sobie żony. Powiedziała, że jest już na tyle bogaty, że mógłby starać się o księżęcą córkę. A on na to, że nie chce żony

z Londynu. No to nasza pani znowu zaczęła krzyczeć, i to jak! Byłam w kuchni, a słyszałam każde jej słowo!

Betsy i pozostali wieśniacy słuchali w skupieniu. Pierce Kirrier, hrabia Penhollow, był dla mieszkańców Hobbles Moor ważniejszy niż regent i parlament razem wzięci. Ród lorda sięgał czasów króla Artura. Wieśniacy wiedzieli o tym, bo ich kornwalijskie korzenie tkwiły równie głęboko.

I oto teraz temu rodowi groziło wygaśnięcie. Lord Penhollow musiał się ożenić i spłodzić potomka, a nikt nie chciał, by i jemu trafiła się żona z Londynu.

- Ano, lord Pierce ma rację. Po kiego licha miałyby jechać do stolicy? Jego ojciec popełnił ten błąd - powiedział Dane. - Londyńskim niewiastom brakuje hartu ducha; nie nadają się na żony Kornwalijczyków!

Kilku mężczyzn przytaknęło mu skwapliwie. Może i trochę współczuli lady Penhollow, której zależało na tym, aby jej syn wreszcie się ożenił, ale mimo to za grosz jej nie ufali. Choć piękna dziedziczka, którą ojciec Pierce'a przywiózł do Penhollow Hall, mieszkała tu już trzydzieści cztery lata, wciąż była uważana za kogoś obcego. Na domiar złego, nie sprawdziła się w roli matki.

- Miał szczęście, żeśmy się nim opiekowali - powiedziała pani Meeks. - Kiedy się urodził, a jego ojciec wrócił do Londynu...

- Żeby tam chlać i uprawiać hazard - burknął Seth.

- Między Bogiem a prawdą, to przez jego żonę - odparła pani Meeks, jak zawsze lojalna wobec starego hrabiego. - Trudno powiedzieć coś dobrego o kobiecie, która nie umiała wychować syna tak, jak należy. Kiedy pierwszy raz tu przyjechała, była rozpieszczoną panienką z miasta i ciągle stroiła fochy. A przecie wszyscy wiedzą, że jej ojciec był rzeźnikiem, który zbił majątek na sprzedaży mięsa dla armii. Ona robi wszystko, żeby przypodobać się szlachcie. - Pani Meeks wypowiedziała to ostatnie słowo z obrzydzeniem, a Betsy doskonale ją rozumiała, podobnie jak wszyscy zebrani. Miejscowych szlachciców - pana Willisa i jego przyjaciół, lorda Danbury i lorda Dainsesa - uważano za zadzierających nosa nierobów.

- A ja sobie myślę, że to dobrze, że to myśmy go wychowali - stwierdził Dane. - Inaczej wyrósłby na takiego samego niedojdę,

jak jego ojciec. Przynajmniej włada młotem kowalskim niczym prawdziwy kowal.

- I nie ma takiego statku, którego nie potrafiłby prowadzić - dodał Marten. - Pamiętam, był mały jak szprotka, kiedy pierwszy raz wziętem go do swojej łodzi. Nauczyłem go też pływać. Wrzuciłem go do oceanu, a jakże, i od razu wypłynął.

- Kiedy polowałem na zające i wiewiórki, nosiłem go na ramionach - oznajmił Kyle z dumą w głosie. - Nauczyłem go szacunku dla ziemi i dzikiego piękna wrzosowisk.

- A ode mnie nauczył się, jak wydobywać z ziemi ukryte w niej bogactwa - stwierdził z godnością pan Galesbrook.

Betsy skinęła głową. Mieszkańcy wioski wychowali Pierce'a Kirriera i zrobili z niego człowieka, jakim ich zdaniem powinien być pan na Penhollow Hall, a on nie sprawił im zawodu.

Betsy była święcie przekonana, że na całym świecie nie ma drugiego tak wspaniałego mężczyzny jak lord Pierce. Przywodził na myśl jednego z legendarnych rycerzy króla Artura; był wysoki, szeroki w ramionach i obdarzony siłą siedmiu ludzi. No i przystojny jak sam Lancelot. W Hobbles Moor nikt nie był zaskoczony, że gdy tylko lord Pierce dorobił się fortuny, natychmiast zainteresowały się nim młode panienki z dobrych rodzin z całej Kornwalii, a nawet hrabstwa Devon.

Mieszkańcy wioski zgadzali się też z matką lorda, że najwyższy czas, by znalazł sobie żonę.

Ale w odróżnieniu od lady Penhollow nie uważali, że najlepsza dla niego byłaby szlachcianka - przynajmniej jeszcze nie poznali takiej, która by się nadawała.

Wdowa Haskell ucięła przechwałki wieśniaków. Zwróciła się do Lucy.

- Ale czy jego matka wyraźnie prosiła o czar miłosny? Pamiętaj, że aby zadziałał, musi go sobie zażyczyć osoba połączona więzami krwi z tym, na kogo ma on zostać rzucony.

- A jakże, prosiła. Wychodząc z pokoju, krzyknęła do lorda: „Kusi mnie, żeby uciec się do tego czaru miłosnego, który wy, Kornwalijczycy, rzucacie na lewo i prawo”. Dokładnie tak powiedziała. To wystarczy, prawda?

Wdowa Haskell wyprężyła się. Betsy miała wrażenie, że stara

kobieta nagle stała się dwa razy wyższa niż przed chwilą. W jej oczach błysnęły iskry gniewu.

- Ona z nas drwi?

I rozłożyła ręce. Woreczek trzymała w lewej dłoni.

- Betsy, gdzie kosmyk włosów lorda Pierce'a, który obiecałaś przynieść?

Pokojówka przez chwilę grzebała w kieszeni sukienki, aż wreszcie wyciągnęła z niej kilka włosów, które ukradkiem wyjęła ze szczotki leżącej w pokoju młodego pana.

- Nic więcej nie udało mi się zdobyć, wdowo Haskell.

Kościste palce staruszki zacisnęły się na jedwabnych czarnych włosach, zanim zdążył porwać je wiatr.

- To wystarczy - powiedziała. Wsunęła włosy do woreczka, po czym podniosła głowę.

- Usłyszcie mnie, wiatry, usłysz, potężna nocy! Prosimy was o błogosławieństwo, o czar nad czary. Prosimy o żonę, kobietę, która byłaby godna tego, by zostać hrabiną, kobietę pod każdym względem przewyższającą inne. Wysłuchajcie naszego błagania!

Zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami wdowy, teraz zaczęli mówić wieśniacy.

- Musi być piękna jak róża w ogrodzie - powiedziała Betsy.

- Ale praktyczna - dodała pani Meeks.

- I inteligentna - dorzucił Samuel Cobbler, najstarszy po wdowie Haskell mieszkaniec Hobbles Moor. To on został nauczycielem lorda Pierce'a, gdy jego rodzice znaleźli się w tak ciężkiej sytuacji, że nie mogli sobie pozwolić na zatrudnienie guwernera z prawdziwego zdarzenia. - Musi kochać książki, jak nasz pan.

- Musi być delikatna, dobra i troskliwa - powiedział Dane.

Pozostali wieśniacy jeden po drugim dodawali kolejne życzenia.

- Powinna zręcznie władać igłą.

- Nasza nowa pani musi być miła.

- I szczodra.

- I umieć się śmiać.

- Odwaga też jest ważna - dodał Kyle. - Oby miała mężne serce.

- Byłoby miło, gdyby miała talent muzyczny - powiedziała Lucy, pogrążona w zadumie.

Kiedy wszyscy wypowiedzieli swoje życzenia, wdowa Haskell dodała jeszcze jedno.

- Niech nowa pani na Penhollow Hall będzie płodna. Niech da naszemu panu wielu, wielu synów, którzy wyrosną na wysokich, dumnych Kornwalijszyków!

- Żadnych córek? - nieśmiało zapytała Betsy.

Wdowa spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

- Będzie miała także córkę - powiedziała z takim przekonaniem, że Betsy przeszły ciarki po plecach.

Wdowa zwróciła się z powrotem ku morzu i podniosła woreczek.

- Wiatry Miłości, przeszukajcie wszystkie zakątki świata i przynieście nam kobietę godną naszego kornwalijskiego lorda!

Ku zdumieniu Betsy, wirujące czarne chmury rozstały się, odsłaniając księżyc w pełni, biały i połyskujący jak ze srebra. Potem błyskawica przecięła nieboskłon.

Zza pleców Betsy dobiegł krzyk kobiety. Lucy zasłoniła twarz szalem i pochyliła się. Betsy przykucnęła obok niej.

Tylko wdowa Haskell stała niewzruszenie, opierając się siłom natury.

Powoli opuściła ręce.

- Dokonało się - szepnęła.

I wrzuciła woreczek do morza.

1

Londyn

Ach przyjaźń była przyjaźnią zakazaną. Kto to widział, żeby żona wikarego zadawała się z dziwką? Jednak choć ich światy różniły się niczym słońce i księżyc, nie przeszkodziło to w rozkwicie prawdziwej przyjaźni między nimi.

Niestety, wkrótce miała się skończyć.

Schowana w kępie przerośniętych bukszpanów, zasłaniających furtkę w murze oddzielającym plebanię od burdelu, Eden obserwowała swoją przyjaciółkę, Mary Westchester, żonę wikarego, siedzącą na ławce w cieniu. Mary wzięła ze sobą na spotkanie córeczkę, jedenastomiesięczną Dorothy, wiedząc, że Eden ucieszy się na jej widok. Młoda żona wikarego odchyliła się i podniosła dziewczynkę wysoko nad głowę. Dorothy roześmiała się wesoło, a matka, wtórując jej, przytuliła ją mocno do siebie.

Eden nie mogła oderwać od nich oczu, zasłuchana w śmiech dziecka.

Furtka oddzielająca skromną plebanię od domu, w którym mieszkała Eden, zachowała się z czasów, kiedy obydwa budynki znajdowały się na terenie należącym do starego opactwa. Trzy-piętrowy gotycki gmach zbudowany z kamienia, stojący niedaleko finansowego centrum Londynu, był obecnie popularnym, ale zapewniającym swoim klientom absolutną dyskrecję, burdelem, ironicznie nazywanym właśnie Opactwem.

Eden zdała sobie sprawę, że ogarnia ją zazdrość, i czym prędzej zdusiła w sobie to uczucie. Mary nie była winna temu, że ich losy potoczyły się tak, a nie inaczej, nie miała nic wspólnego ze zmianami, jakie lada dzień mogły nastąpić w życiu jej najlepszej przyjaciółki...

- Witaj - powiedziała Eden, wychodząc z kryjówki.

Mary odwróciła się, zaskoczona. Ujrawszy przyjaciółkę, uśmiechnęła się i podniosła dziecko.

- Wzięłam ze sobą Dorothy. Wykorzystując fakt, że teściowa nie czuje się najlepiej, ukradkiem wyniosłam dziecko z domu. Ona nie pozwala mi nigdzie zabierać mojej własnej córki. Upiera się, że świeże powietrze szkodzi małym dzieciom, ale ja wiem, że to nieprawda.

Eden podeszła bliżej.

- Jest piękna. - Ostrożnie, z namaszczeniem, wyciągnęła rękę i musnęła dłonią jasny loczek dziecka. Patrzyła w niemym zachwycie na małe, muszelkowate uszki dziewczynki i zgrabne, krótkie paluszki. Dorothy obserwowała Eden poważnymi, dużymi niebieskimi oczami. - Jest bardzo podobna do ciebie.

Mary parsknęła śmiechem, wyraźnie zadowolona z komplementu.

- Teściowa nie zgodziłaby się z tobą. Jej zdaniem, Dorothy ma w sobie więcej z Westchesterów. Ale ja uważam, że moja córeczka jest nieodłączną częścią mnie samej - powiedziała z dumą, pocierając nosem nosek dziecka. - Chcesz ją potrzymać?

Eden cofnęła się o krok.

- Nie, nie mogłabym.

- Oczywiście, że możesz! Przecież ona cię nie ugryzie. - Mary podniosła dziecko. - Ale bądź ostrożna. Waży więcej, niż przypuszczasz.

Eden potrząsnęła głową i odwróciła wzrok.

- Nie mogę. - Nie miała prawa dotykać tej czystej, idealnej istoty. Widziała i robiła rzeczy, które na zawsze skały jej duszę. Nie wolno jej było przenieść tego brudu na dziecko kochane tak mocno jak Dorothy.

W oczach Mary pojawił się niepokój. Posadziła córeczkę na kolanach.

- Eden, co się stało? Ostatnim razem, kiedy wzięłam ją ze sobą, też nie chciałaś jej potrzymać.

- Nie zrozumiesz tego.

- Oczywiście, że zrozumiem. Jestem twoją przyjaciółką. Możesz mi powiedzieć wszystko, co ci leży na sercu.

Eden spuściła wzrok.

Mary zerwała się na równe nogi, oparła dziecko o biodro i podeszła do przyjaciółki.

- Eden, co się stało? Nagle strasznie zbladłaś. Czy powiedziałaś coś niewłaściwego?

Eden w milczeniu przypatrywała się Dorothy, która zaczęła się bawić zieloną jedwabną wstążką zdobiącą stanik jej sukni.

- Zostałam sprzedana - wykrztusiła wreszcie.

Mary spojrzała na nią z osłupieniem.

- Sprzedana? - powtórzyła, jakby nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Eden pragnęła pocałować główkę dziecka. Czuła w oddechu Dorothy słodki zapach mleka.

- Tak. Madame Indrani otrzymała odpowiedź od sułtana Ibn Sibaha. Zgodził się zapłacić cenę, jakiej za mnie zażądała. - Madame Indrani była właścicielką Opactwa. Eden w zamyśleniu pogładziła palcem loczek Dorothy. Wyobrażała sobie, że w dotyku przypominać będzie jedwab. Tymczasem włosy dziewczynki wydawały się nieskończenie delikatniejsze. Eden podniosła głowę i spojrzała w oczy Mary. - Za dwa tygodnie opuszczam Opactwo.

Mary otworzyła usta w zdumieniu.

- Ona nie może cię sprzedać. W dzisiejszych czasach już nie handluje się ludźmi.

Dorothy próbowała włożyć koniec wstążki do ust.

- Tam, skąd pochodzę, nadal się to robi - stwierdziła Eden. - Madame Indrani zabrała mnie z ulicy, żeby potem sprzedać. To moje przeznaczenie. - To właśnie madame Indrani powiedziała jej przed godziną.

- Jak możesz się z tym godzić? - spytała Mary.

- Zawsze wiedziałam, że prędzej czy później to musi się stać.

Mary wyrwała wstążkę z rąk Dorothy.

- Ale ja nie wiedziałam! - Odwróciła się plecami do Eden,

tuląc do siebie dziecko. Dorothy wyjrzała przez ramię matki, wypatrując zielonej wstążki.

- Bałam się, że nie zrozumiesz - powiedziała spokojnie Eden, zawiązując kokardę.

Wtedy Mary odwróciła się do niej. Z jej oczu płynęły łzy.

- Mary, ty płaczesz? - zdumiała się Eden.

- A czego się spodziewałaś? Jeszcze nigdy nikt nie był mi tak bliski jak ty.

Jej słowa wzruszyły Eden do głębi.

- Tak bardzo się od siebie różnimy. Ty jesteś jak z porcelany i koronki, a ja... - Wzruszyła ramionami.

- A ty jesteś pełna życia, energiczna, dzielna - dopowiedziała Mary. - Wiesz, że budzisz we mnie zazdrość? Zazdrość ci inteligencji i rozsądku w sprawach praktycznych. Zazdrość ci też urody. Wiele razy marzyłam o tym, żeby mieć takie piękne, ciemne włosy i zielone oczy jak ty. - Obrzuciła Eden spojrzeniem od stóp do głów. - No i twoją idealną figurę.

- Mary, masz doskonałą figurę.

- Nieprawda. Ja jestem chuda, ty za to jesteś kragła i pełna tam, gdzie kobieta taka być powinna. Oczywiście teraz wolałabym, żebyś była brzydka, brzydka, brzydka. Wtedy madame Indrani nie mogłaby cię sprzedać i zostałabyś tutaj. Pomógłabym ci wyrwać się z jej szponów i zamieszkałabyś u mnie. Przedstawiłabym cię jednemu ze znajomych Nate'a, pobralibyście się i nadal byłibyśmy przyjaciółkami. Oczywiście, wtedy nie chodziłabyś w jedwabiach, tak jak teraz. Wszyscy znajomi Nate'a są tak samo ubodzy jak my.

Eden potrząsnęła głową i zaśmiała się smutno.

- Za takie życie oddałabym bez żalu wszystkie jedwabie. Ale prawda jest taka, że gdybym nie wyglądała tak, jak wyglądam, madame nie zabrałaby mnie przed laty z ulicy i umarłabym z głodu, albo spotkałby mnie jeszcze gorszy los. O wiele gorszy - dodała, wspominając te straszne czasy.

- Gorszy niż niewola?

Eden wiedziała, że Mary nigdy tego nie zrozumie. Spojrzała na Dorothy, której małe paluszki zacisnęły się na sukni matki niczym korzenie wnikające w ziemię w poszukiwaniu wody. Przez chwilę Eden ogarnęło niezwykle poczucie samotności.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wielkie masz szczęście.

- Nie możemy na to pozwolić - powiedziała zdecydowanym tonem Mary - nie poddamy się bez walki. Nie musisz robić tego, co każe ci madame Indrani. Jesteśmy w Anglii! Powiem Nate'owi, w jak ciężkiej jesteś sytuacji. Wiem, że kiedy usłyszysz o tej haniebnej sprawie, stanie po twojej stronie i udzieli ci wsparcia. Uratujemy cię!

Oczy Mary płonęły żywym ogniem. Eden zdała sobie sprawę, że jej przyjaciółka naprawdę zamierza zrobić to, co mówi. Że dla niej gotowa jest narazić na szwank reputację swoją i męża.

Eden wyzbyła się resztek nieufności, a w jej duszy coś stopniało. Mogła już zrzucić z twarzy maskę spokoju i pokazać, jak mocno poruszyły ją wieści, które nadeszły tego ranka.

- Mary, jesteś jedyną przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Mary wzięła Eden za rękę i pociągnęła ją za sobą w stronę ławki.

- Jesteśmy sobie bliskie jak siostry, prawda? Eden, przyjaźń z tobą zmieniała moje życie. Tamtego dnia, kiedy usłyszałaś, jak płaczę w ogrodzie, byłam w tak głębokiej rozpacz, że chciałam się zabić. I nagle pojawiłaś się ty. Pamiętasz? Mówiłaś do mnie i mówiłaś, i nie poddawałaś się, aż wreszcie twoja siła spłynęła na mnie. - Przytuliła Dorothy. - Gdyby nie ty, nie urodziłoby się moje dziecko.

Eden powstrzymała cisnące się do jej oczu łzy. Już dawno temu nauczyła się, że płacz w niczym nie pomaga.

- Na pewno poradziłaś sobie sama.

- Nie, wcale nie. W małżeństwie mi się nie układało, mój mąż ciągle chodził naburmuszony, nie wiedziałam, co robić, a jakby tego było mało, teściowa plotła wszystkim naokoło, jaka to ze mnie niedojda. Wierz mi, odkąd ciebie poznałam, moje życie całkowicie się zmieniło. Ja naprawdę cenię naszą przyjaźń. Pamiętasz, to od ciebie dowiedziałam się wszystkiego o... - Machnęła ręką, zbyt wstydliva, żeby mówić o pewnych rzeczach. Eden potrafiłaby z najdrobniejszymi szczegółami opisać to, co mężczyzna i kobieta mogą ze sobą robić.

- Sprawach intymnych? - zasugerowała, przytaczając jeden z ulubionych eufemizmów madame.

Mary odetchnęła z ulgą.

- Tak, sprawach intymnych. Biedny Nate! Jego żona, wychowana w sierocińcu, nie wiedziała nic o takich rzeczach. Po naszej pierwszej nocy, za każdym razem, kiedy się do mnie zbliżała, wybuchałam płaczem. Myślałam, że on musi być szalony, skoro chce robić coś takiego. - Jej policzki zaróżowiły się nieco. - Ale teraz jest bardzo szczęśliwy. Zresztą, ja też. Nate jest taki czuły i kochający, a wszystko dzięki temu, że przestałam bać się... no wiesz, czego. Szczerze mówiąc, nawet to polubiłam - dodała w zaufaniu.

Eden uniosła brew.

- Polubiłaś?

Mary nieśmiało skinęła głową.

- I to bardzo.

Eden nie posiadała się ze zdumienia. Seks wydawał jej się pracą, a nie czymś, z czego można było czerpać przyjemność.

Wydawało się, że Mary czyta w jej myślach.

- Nie wiem, czy mogłabym być taka jak ty - powiedziała. - Musiałoby mi naprawdę na kimś zależeć, zanim pozwoliłabym mu... no wiesz. - Machnęła ręką, nie chcąc wdawać się w pikantne szczegóły. - W innym razie byłoby to chyba dość obrzydliwe.

Eden drgnęła i podniosła się z ławki. Nie chciała rozmawiać na ten temat.

Ale Mary nie zamierzała ustąpić.

- Jak możesz to robić, Eden? Jak możesz prowadzić takie życie?

- Madame Indrani powiada, że dla mężczyzn istnieją dwa rodzaje kobiet: te, z którymi się żenia, i dziwki. Dziwka to kobieta, której płaci się za to, co żona robi za darmo.

Mary wpatrywała się w przyjaciółkę.

- To nie tak, Eden - powiedziała zdecydowanym tonem. - Jeśli dwoje ludzi decyduje się na małżeństwo, musi ich łączyć coś więcej niż tylko... sprawy intymne. Teraz to rozumiem.

Wydawało się, że w tej chwili Mary, jaką znała Eden, zmieniła się w dojrzałą kobietę. Co ważniejsze, jej słowa zabrzmiały niezwykle prawdziwie. Eden odwróciła się i ogarnęła spojrzeniem róże, lilie i klomby maków.

- Którejś nocy śniło mi się, że chodziłam po ogrodzie takim jak ten, tylko tam było więcej róż i mniej maków. - Uśmiechnęła

się nieśmiało do Mary. - W moim śnie widziałam też dzieci. Maleńkie istotki zawinięte w listki róż. Te dzieci miały takie śliczne małe paluszki... - Urwała w pół zdania, obawiając się, że powiedziała już za wiele.

Mary wstała i podniosła Dorothy.

- Zostaw madame Indrani. Natychmiast, w tej chwili. Pójdziemy do mnie i opowiemy Nate'owi twoją historię. On cię uratuje.

Przez chwilę Eden bardzo chciała wierzyć, że to mogłoby być takie proste. Nad jej głową, po gałęziach gruszy, skakał wróbel. Mały ptak spozrywał w dół, na stojące pod drzewem kobiety, po czym odleciał wolny.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała Eden.

- Możesz.

- Nie, Mary, nie mogę. Zostałam przygotowana do tego, by zostać nałożnicą bogatego człowieka. Tylko takie życie znam.

- Nie wierzę. Na pewno skądś pochodzisz. Musisz mieć jakąś rodzinę. Wyrażasz się zbyt kwiecicie, jak na zwykłą prostytutkę.

- Nie mam nikogo. - Eden spojrzała na kamienne ściany Opactwa wznoszące się nad murem okalającym ogród. - Wychowywałam się na ulicach Londynu, w miejscach, jakich nie potrafisz sobie nawet wyobrazić. Nie znałam swojej matki, a tym bardziej ojca.

- No to co? Ja też jestem sierotą.

- Tak, ale ja, żeby przetrwać, robiłam rzeczy, do jakich ty nigdy byś się nie zniżyła. Mary, wierz mi, powinnam dziękować opatrności, że madame Indrani mnie znalazła i zabrała do Opactwa.

- A tam zrobiła z ciebie dziwkę!

Eden wyczuła nutę pogardy w głosie przyjaciółki. Podniosła hardo głowę.

- Uratowała mi życie. Tak, to prawda, przygotowała mnie do życia prostytutki. Ale nauczyła mnie też czytać i dobrze się wysławiać, bo jej zdaniem każda kobieta powinna to umieć. Dziewczyny madame Indrani mają więcej klasy niż niejedna księżniczka.

- Zrobiła z ciebie damę, żeby cię korzystniej sprzedać!

- Nie! Żebym mogła mieć nadzieję na lepsze życie!

Mary posadziła Dorothy na kocu rozłożonym na trawie.

- Eden, naprawdę nie musisz tak dalek żyć. Kiedyś mi pomogłaś,

więc pozwól, żebym teraz ci się odwdzieczyła. Madame Indrani nie ma prawa oddać cię w niewolę.

Eden zeszywniała na wzmiankę o niewoli. Gdyby Mary tylko wiedziała...

- Nie mam wyboru. Stało się. Już za mnie zapłacono.

- Jesteś taka uparta! A może ty nie masz nic przeciwko temu, żeby ta kobieta cię sprzedała? Czy dlatego nie chcesz skorzystać z mojej pomocy?

- Nie rozumiesz...

- Próbuję zrozumieć! Ale zaczynam podejrzewać, że ty wcale nie chcesz uciec. Że lubisz obsługiwać mężczyzn.

- Takie już jest moje życie!

- To znajdź sobie inne!

Stały oko w oko, kilka centymetrów od siebie, jakby miały lada chwila rzucić się na siebie z pięściami.

Eden jednak po chwili zdała sobie sprawę, że Mary ma rację. Ona sama nigdy dotąd nie odważyła się zakwestionować mądrości madame Indrani...

Mary wyciągnęła rękę.

- Chodź ze mną. Porozmawiamy z Nate'em.

Eden spojrzała na rękę Mary i uświadomiła sobie, że dzieli je coś jeszcze. Mary święcie wierzyła w to, co mówi. Eden natomiast z własnego doświadczenia wiedziała, że dziewczyna, która przyszła na świat w obskurnej londyńskiej spelunie, nie może liczyć na uśmiech losu. Zwłaszcza gdy była świadkiem morderstwa i lękała się o własne życie. Marzenia Mary mogły spełnić się w snach czy baśniach, ale nie w rzeczywistości.

- Nie mogę. Zostałam sprzedana. Mogłabym odejść tylko wtedy, gdybym siebie wykupiła.

- A jeśli odejdziesz, nie czyniąc tego? - spytała szyderczo Mary.

- Ona każe mnie zabić.

Dłoń Mary zadrżała.

- Żartujesz?

- Nie. Tak to jest w naszym fachu.

Do Mary dopiero po chwili dotarło, w jak ciężkiej sytuacji znalazła się jej przyjaciółka. Ale mimo to nie poddawała się.

- No to zbierzemy pieniądze. Damy ci wolność.

Eden roześmiała się gorzko.

- Macie dwadzieścia pięć tysięcy funtów?

Mary z wrażenia przez chwilę nie mogła złapać tchu. Usiadła na ławce.

- Dwadzieścia pięć tysięcy? Za kobietę?

- Dziwi cię, że jestem tyle warta? - spytała Eden, unosząc brew. - O ile pamiętam, przed chwilą mówiłaś, jaka jestem niezwykła.

- Tak... to znaczy, nie. Och, właściwie nie wiem, co chcę powiedzieć. - Odruchowo pochyliła się i podniosła Dorothy, która doszła już na czworakach do krawędzi koca. - No tak, nie powinnam się dziwić. Niewiele jest kobiet tak pięknych jak ty. - Pogrzyżyła się w myślach. - Czy dwadzieścia pięć tysięcy funtów to normalna cena? Jeśli tak, to zaczynam rozumieć, dlaczego niektóre kobiety zostają prostytutkami. Za takie pieniądze...

- Nie każda tyle kosztuje. Madame doszła do wniosku, że akurat za mnie może zażądać tyle, no i tak zrobiła. Zostałam wystawiona na sprzedaż, kiedy skończyłam czternaście lat.

- A ile masz teraz?

- Dwadzieścia jeden.

- Czy wielu mężczyzn chciało cię kupić?

- Na początku, kiedy madame zaczęła mnie prezentować klientom, dostałam sporo ofert. Ale kiedy dżentelmeni dowiadawali się, że cena nie podlega negocjacji, większość z nich traciła zainteresowanie.

- Skąd o tobie wiedzieli?

- Plotki szybko się rozchodzą. Wydaje mi się, że wysoka cena za mnie była częścią planu madame. Ona doskonale wie, że mężczyźni najbardziej pragną tego, co dla nich niedostępne. Nadała mi pseudonim „Syrena”. Każdej z nas przydziela jakieś takie imię, mówi, że to dodaje nam tajemniczości. Mniej więcej co dwa tygodnie organizuje przyjęcia, na których przedstawia dziewczęta na sprzedaż. Czasem i mnie zabierała na takie imprezy. Grałam na fortepianie, a madame prowadziła licytację.

- Licytację? Jakbyś była koniem na aukcji? - Mary zacisnęła

usta. - To obrzydliwe. Że też mężczyźni potrafią być tacy podli i gruboskórni. Ale nie dziwię się, że madame żąda za ciebie takiej sumy. Nie jesteś taka jak inne dziewczyny z Opactwa.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Nie jestem zupełnie ślepa. Widuję je od czasu do czasu. Wydają się zmęczone życiem, chłodne. Ty za to masz w sobie pewną delikatność, która cię od nich odróżnia. Świeżość. Między innymi to czyni cię tak piękną.

Eden nie wiedziała, czy cieszyć się z tego, czy martwić. Zwłaszcza że Mary trafiła w sedno. Eden rzeczywiście czuła się w Opactwie obco.

- Ale dwadzieścia pięć tysięcy funtów! - powtórzyła Mary, bujając dziecko na kolanach. - To fortuna.

- Tyle jest warte dziewictwo.

Mary o mało nie upuściła dziecka.

- Jesteś dziewicą?

- Oczywiście - powiedziała Eden, zdziwiona pytaniem. - W przeciwnym razie madame Indrani nie mogłaby zażądać takiej ceny.

- Ale ja myślałam... to znaczy, zawsze miałaś tak dużo do powiedzenia, kiedy rozmawialiśmy o... - Zaczerwieniła się jak piwonია.

- To znaczy? - spytała niewinnie Eden.

- No bo... wydawało mi się, że jesteś... doświadczona.

- W wielu sprawach, owszem. - Widząc, że Dorothy uśmiechnęła się do niej, Eden znowu ośmieliła się delikatnie pogładzić włosy dziewczynki. Kiedy musnęła czubkiem palca jej policzek, nagle zawładnęło ją gorące pragnienie, by wziąć małą na ręce. Nie mogła się jednak na to zdobyć.

- Ale jak możesz wiedzieć o tym tak wiele, skoro nigdy tak naprawdę nie... no wiesz? - nie ustępowała Mary.

- Nauczyłam się - odparła Eden beznamiętnym tonem.

- Nauczyłaś?

- Tak. Miałam lekcje. Nauczono mnie, co należy robić.

Krew odpłynęła z twarzy Mary.

- Lekcje? Jak francuski czy matematyka? A może to tak, jakby uczyć się gotować, obserwując kucharza przy pracy?

Eden nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Tak. To coś takiego jak nauka gotowania.

Mary wyglądała tak, jakby lada chwila miała zemdleć.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić. Czy ty... Z wieloma mężczyznami? Czekaj, nie, nie mów mi. Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć!

Eden po raz kolejny zdała sobie sprawę, że ona i Mary żyją w dwóch różnych światach. Nie wiedziała, czy się tym martwić, czy cieszyć. Usiadła na ławce.

- Ten, kto zapłacił za mnie taką cenę, chce dziewicy, ale nie takiej, która nie wie, co robić w łóżku.

- Nie jesteś psem, którego można kupić, wykorzystać, a potem pogłaskać i wyrzucić!

Eden spojrzała w rozgniewane oblicze swojej przyjaciółki i ogarnął ją niewypowiedziany smutek.

- Nie mam wyboru, Mary, i muszę spróbować jak najlepiej wykorzystać sytuację, w której się znalazłam. Nie powiedziałam ci wszystkiego. Człowiek, który mnie kupił, jest księciem Kurdufanu.

- Kurdufan? Nigdy nie słyszałam o takim kraju.

- Leży daleko od Anglii. Madame Indrani była niegdyś jedną z nałożnic Ibn Sibaha, należała do jego haremu. Uratowała mu życie, a on za to dał jej wolność. Przyjechała do Londynu i otworzyła Opactwo. Wiedziała, że książe zapłaci za mnie każdą cenę. Kiedy miałam czternaście lat, podarowała mu miniaturę z moim portretem. Wkrótce potem jednak wybuchła wojna z Napoleonem i książe mógł posłać po mnie dopiero teraz. Jego wysłannicy już tu są. Transakcja została sfinalizowana. Pod koniec następnego tygodnia wyruszam do Kurdufanu.

- Co takiego? - szepnęła Mary z niedowierzaniem. - Wyjeżdżasz z Anglii? I będziesz mieszkać w haremie? Eden, czy wiesz, co to jest harem? Słyszałam opowieści misjonarzy o okrutnych zwyczajach pogan. To przekłete miejsce, którego kobietom nie wolno opuszczać. Czeka cię tam prawdziwa niewola.

Eden poczuła, że opuszczają ją resztki pewności siebie. Lęk ścisnął jej gardło.

- Madame powiedziała, że jeśli zadowolę Ibn Sibaha, może i mnie obdarzy wolnością.

Mary usiadła na ławce i spojrzała Eden głęboko w oczy.

- Przecież ty już jesteś wolna.

- Ja nigdy nie byłam wolna, Mary. Straciłam wolność w chwili, kiedy madame wzięła mnie do swojego powozu.

- Więc nie powinnaś była do niego wsiadać.

Eden zaczęła mówić ciszej.

- Nie rozumiesz. Na moich oczach zamordowano człowieka. Ten, kto to zrobił, chciał się potem mnie pozbyć, żebym nie mogła go wydać.

Mary otworzyła szerzej oczy, po czym zmarszczyła brwi.

- Eden, to było wiele lat temu. Nie masz się czego obawiać. Powiedz madame, żeby zwróciła księciu pieniądze. Powiedz, że nie chcesz żyć w haremie.

- Nie mogę.

- Jedyne, czego nie możesz, to wyjechać z Anglii.

- Muszę to zrobić.

Dorothy, siedząca na kolanach Mary, zapamiętała ssała swoją piąstkę. W ogrodzie unosiła się woń żyznej ziemi, skapaniej w świetle słońca. To było cudowne miejsce, miejsce, w którym człowiek mógł czuć się bezpiecznie.

- Boję się - wyznała Eden.

- Boję się o ciebie. - Mary objęła przyjaciółkę i przytuliła ją. - Każdego dnia, w każdej godzinie, będę się za ciebie modliła. Bóg na pewno uchroni cię od wszelkiego zła.

Eden nie odpowiedziała. Bóg, w którego Mary tak mocno wierzyła, dla niej jak dotąd niewiele zrobił.

- Masz. - Mary ściągnęła przez głowę złoty łańcuszek, który nosiła na szyi. - Chcę, żebyś to wzięła. Ten medalion dostałam w sierocińcu. - Krzyżyk na małym złotym kółku zabłysnął w świetle słońca. Dorothy wyciągnęła do niego rękę, ale Mary w porę odsunęła łańcuszek. - No już, weź to.

Eden nigdy jeszcze nie otrzymała takiego prezentu.

- Nie mogę. To należy do ciebie.

- Jestem szczęśliwa, mam męża. Medalion dobrze mi się przysłużył. A teraz to ty potrzebujesz wsparcia. - Wcisnęła krzyżyk w rękę Eden. - Będę się modliła, by Bóg dał ci dość odwagi, abyś przy nadarzającej się okazji odzyskała wolność.

Eden nie mogła już dłużej ukrywać swoich prawdziwych uczuć. Nawet nie próbowała powstrzymać łez. Mary wzięła ją w ramiona.

Madame Indrani wyrzała przez okno sypialni Eden w Opactwie, wychodzące na ogród plebanii, i zobaczyła swoją podopieczną, szlochającą w ramionach żony wikarego.

Eden nigdy nie płakała, przynajmniej od czasu, kiedy madame wzięła ją pod swoje skrzydła. Aż do tej chwili.

Madame Indrani, wysoka kobieta o manierach godnych królowej, była nieślubnym dzieckiem Egipcjanki z dobrej rodziny i angielskiego utracjusza. Po śmierci matki jej rodzina bez najmniejszych skrupułów sprzedała sierotę w niewolę. Wkrótce madame, wtedy jeszcze młoda dziewczyna, nieledwie dziecko, została faworytą Ibn Sibaha.

Właścicielka Opactwa wiedziała, że Eden jest nieszczęśliwa z powodu losu, jaki przypadł jej w udziale. Sumienie tknęło madame, ale jej nastrój poprawił się, gdy przypomniła sobie, że dzięki sprzedaży tej dziewczyny ona sama stała się bogata. Zresztą Eden też mogła na tym skorzystać. Ibn Sibah był niezwykle szczodry. Podarował już Eden nowe wytworne suknie.

Do tej pory madame z lekkim rozbawieniem obserwowała przyjaźń swojej najlepszej uczennicy z zahukaną żoną wikarego. Teraz jednak ta sama przyjaźń mogła stanąć na przeszkodzie wysoce lukratywnej transakcji.

Podjąwszy decyzję, madame odwróciła się na pięcie i zesłała na dół. Tam czekał na nią Firth, służący i straż przyboczna zarazem.

- Te ukryte drzwi w murze mają zostać zamknięte na kłódkę. I miej oko na Eden. Niech nigdzie nie chodzi sama, do czasu, kiedy wsadzimy ją na pokład statku, który zabierze ją do Kurdufanu.

Dwa tygodnie później, eskortowana przez dwóch wysłanników sułtana, Eden weszła na pokład angielskiego statku „Wind Lark”. Miała ze sobą wspaniałe stroje, ale ani one, ani dwadzieścia pięć tysięcy funtów nie były dla niej warte tyle, co złoty łańcuszek z medalionem, który nosiła na szyi.

Nie miała okazji, by pożegnać się z Mary.

Teraz, idąc po trapie, Eden ścisnęła wiszący na szyi medalion i modliła się słowami, których nauczyła ją Mary.

Na pokładzie statku Eden miała przedsmak życia, jakie czekało ją w haremie. Nasim, wysłannik sułtana, zamknął ją w kajucie. Nie pozwolił jej nawet patrzeć, jak statek wypływa z londyńskiego portu. Ani kapitanowi, ani załodze nie wolno było z nią rozmawiać.

Po kilku godzinach spędzonych w ciasnej, dusznej kajucie, Eden błagalnym tonem powiedziała swojemu strażnikowi, że musi wyjść na powietrze. W trosce o zdrowie przyszłej nałożnicy sułtana, Nasim zezwolił jej na dwa spacery po pokładzie w ciągu dnia. Dodał przy tym, że przed opuszczeniem kajuty Eden zawsze musi włożyć ciemną, ciężką szatę zakrywającą ją od stóp do głów. Poza tym, w czasie każdego spaceru drugi wysłannik sułtana, potężny, ponury Gadi miał nie odstępować jej na krok. Nikomu poza Nasimem nie wolno było się do niej odezwać.

Drugiego dnia po wypłynięciu z Londynu, kiedy Eden wyszła na swój popołudniowy spacer po pokładzie, do jej uszu dobiegły słowa kapitana Sullivana, skierowane do załogi:

- No, chłopaki, pożegnajcie się z Anglią. Następnym razem zobaczycie ją najwcześniej za rok.

Marynarze nie zareagowali. Tylko Eden szybkim krokiem podeszła do relingu i wbiła wzrok w widoczną na horyzoncie szarozieloną linię lądu.

Czy Mary się za nią modli?

- Znosi się na sztorm - powiedział kapitan Sullivan do Nasima. Wiatr niósł ich słowa w stronę Eden. - Chyba czeka nas ciężka noc.

- Co zamierzasz? - spytał Nasim po angielsku z silnym obcym akcentem. W czasie pobytu w Londynie ubierał się jak Europejczyk; teraz nosił długie, luźne szaty mieszkańca pustyni.

Eden nie miała do niego za grosz zaufania. Był wyniosłym, aroganckim mężczyzną o oczach tak ciemnych, że zdawały się pochłaniać światło, oczach, w których czaiła się pogarda.

Poza tym nie nadawał się na marynarza. Eden słyszała, jak skarżył się madame, że w drodze do Londynu i on, i Gadi cierpieli na chorobę morską.

- Spróbuję ominąć sztorm bokiem - odparł kapitan Sullivan. -

Zapowiada się prawdziwy huragan. Wiatry zachodnie są zdradliwe. Jeśli będzie trzeba, zбочę z kursu, żeby uniknąć sztormu.

Nasim zdawał się uważać ten plan za rozsądny.

Niecałe dwie godziny później wody kanału La Manche były o wiele bardziej wzburzone niż zwykle. Eden, zamknięta w ciasnej kajucie, siedziała na koi. Statkiem kołysało tak mocno, że gdyby wstała, nie utrzymałaby się na nogach.

Miała szczęście. Okazała się dobrym marynarzem i bardzo dobrze znosiła szalone ruchy statku. Kiedy Gadi przyniósł jej jedzenie, z satysfakcją zauważyła, że jego twarz przybrała chorobliwie zielonkawy odcień.

Czuł się tak fatalnie, że wychodząc zapomniał zamknąć drzwi kajuty na klucz.

Patrzyła na nie, niezdecydowana... Wiedziała, że ucieczka jest niemożliwa. Dokąd mogła uciec, gdzie się schować na statku?

Będę się modliła, by Bóg dal ci dość odwagi, abys odzyskała wolność.

Słowa Mary wyrwały Eden ze snu w środku nocy. Statkiem rzucało w przód i w tył niczym koniem na biegunach. Przez złowieszcze skrzypienie drewna przedzierał się huk piorunów. Sztorm był tuż, tuż.

W chwilę potem coś uderzyło w pokład, wprawiając „Wind Lark” w drżenie. Statek niebezpiecznie przechylił się na bok.

Eden wyczężyła słuch, by dosłyszeć okrzyki marynarzy. Pokład nad jej głową rozbrzmiewał tupotem nóg, na razie jednak wydawało się, że statek utrzymywał się na powierzchni.

...odwagi, abys odzyskała wolność...

Wtem do głowy przysła jej pewna myśl. To było czyste szaleństwo, ale...

W pierwszej chwili swój pomysł uznała za niedorzeczny, lecz nie dawał on jej spokoju.

W ciemnościach zalegających kajutę nie widziała nawet własnej ręki. Gadi nie zabrał naczyń; filiżanka turlała się po podłodze. Drzwi musiały więc wciąż być otwarte.

Eden wiedziała, że to jej jedyna szansa.

Otworzyła kufer. Po omacku wyjęła zeń piękne suknie z najczystszej jedwabiu, zwinęła je i położyła na aksamitnej pelerynie. Były jej jedyną własnością i mogła za nie dostać sporo pieniędzy. Dorzuciła do nich jeszcze kilka par pantofelków, po czym związała rogi peleryny tak, że powstał solidny tobołek. Wymacała na podłodze nóż.

Potem, narzuciwszy na koszulę nocną szatę, którą kazał jej nosić Nasir, wysliznęła się z kajuty, z tobołkiem na plecach i nożem w dłoni. Skierowała kroki w stronę trapu.

Pod drzwiami kajuty zajmowanej przez Nasima i Gadiego przystanęła i przez chwilę nasłuchiwała. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Ostrożnie, na palcach, podkrađła się do trapu i weszła na górę.

Na pokładzie panował chaos. Grotmaszt złamał się i runął. Marynarze, którzy od dobrych kilku godzin walczyli ze sztormem, próbowali zwinąć grotzagiel. „Wind Lark” był zdany na łaskę rozszalałej natury.

Z trudem utrzymując równowagę na śliskim pokładzie, Eden ruszyła w stronę rufy, gdzie do burty przywiązana była szalupa. Upadający maszt przywalił i poprzerywał liny zabezpieczające. Przytrzymując się nadburcia, Eden powoli brnęła do przodu. Szata zsunęła jej się na ramiona, a mokre włosy przykleiły do głowy. Strugi wody ściekały po plecach.

Dotarwszy do szalupy, Eden wycięła dziurę w przykrywającej łódkę brezentowej powłoce i wcisnęła do środka swoje ubrania. Nareszcie miała wolne ręce. Zaczęła rozplątywać węzły na linach, którymi szalupa przywiązana była do burty i połączona z blokiem umożliwiającym szybkie jej opuszczanie. Szybciej, szybciej, musiała się spieszyć; jednak mijały cenne sekundy, a ona wciąż nie mogła sobie poradzić z mokrym konopnym sznurem. Zza jej pleców dobiegały rozkazy, które wykrzykiwał kapitan Sullivan. Fala zmyła z pokładu jednego z marynarzy.

Rozdygotana, wystraszona Eden dalej zmagła się z linami. Wreszcie węzły puściły. Szalupa uderzyła o burtę statku i odskoczyła, zanim Eden zdążyła ją złapać. Za drugim razem zdołała przytrzymać rozkołysaną łódkę trzymając koniec liny i wśliznąć się do środka przez otwór w powłoce.

Właśnie zaczęła spuszczać szalupę, kiedy usłyszała głos mężczyzny, nakazujący jej, by natychmiast wróciła na pokład. Nie usłuchała.

...by Bóg dał ci dość odwagi, abys odzyskała wolność.

Wypuściła linę z ręki. Szalupa z głośnym pluskiem wylądowała na wodzie i zakołysała się gwałtownie. Uciekiniarka krzyknęła.

Spojrząwszy w górę przez szczelinę w powłoce, ku swojemu zaskoczeniu ujrzała twarz kapitana Sullivana, białą, wręcz upiorną pośród ciemności. Coś krzyczał, ale ryk wiatru zagłuszał jego słowa.

Szalupa wspięła się na grzbiet kolejnej fali i uderzyła w burłę statku, po czym szalejące morze poniosło ją w przeciwnym kierunku.

Eden przytrzymała krawędzie szczeliny w powłoce, próbując nie dopuścić, by deszcz dostawał się do środka. Na próżno. Na dnie szalupy zbierało się coraz więcej wody.

Po upływie wydawało się wielu godzin, Eden musiała dać za wygraną. Od trzymania brezentu zdrętwiały jej ręce.

O świcie deszcz nareszcie przestał padać. Wtedy dziewczyna wyjęła mokre ubrania, by zmniejszyć obciążenie łodzi.

Kiedy pierwszy dzień na morzu chylił się ku końcowi, uciekiniarka nie była już w stanie przejmować się kołysaniem szalupy ani tym, w jakim kierunku płynie. Nie zaciskała już szczeliny w powłoce, tylko leżała na dnie łodzi, z kolanami przyciśniętymi do piersi. Była spragniona, zmęczona i głodna - i wiedziała, że umrze.

Odwaga. Teraz знаła już wagę tego słowa. Nie martwiła się tym, co zrobiła, ani tym, co się stanie, jeśli wpadnie w ręce madame Indrani lub wysłanników sułtana. Na myśl o śmierci nie czuła już strachu.

Próbowała wyobrazić sobie ogród. O tej porze roku był pełen róż. Pięknych róż we wszystkich odcieniach czerwieni. Jeśli skupi się mocniej, zdoła sobie nawet przypomnieć ich intensywny zapach, niosący się wieczorem po okolicy.

Na kilka sekund znalazła się w innym miejscu, w innej rzeczywistości. Zamiast nieprzyjemnego zapachu mokrego brezentu i wody morskiej, powietrze wypełniła woń róż. Cudownych róż, kryjących w aksamitnych płatkach niezbadane tajemnice.

Eden unosiła się na bezbrzeżnym oceanie śniąc o ogrodach -

pełnych orlików i wonnych lilii. Na ustach miała smak soli morskiej. Otarła je rąbkiem mokrej aksamitnej peleryny. Zapomniała nawet o męczącym ją głodzie.

W tej chwili liczył się dla niej tylko ogród z marzeń. Ogród, w którym byłaby bezpieczna... i otoczona opieką.

2

Pierce Kirrier, hrabia na Penhollow, poczuł, że linka naprężyła się. Podekscytowany, poderwał wędkę do góry. Ryba nie zamierzała jednak poddać się bez walki i Pierce wszedł do wody, rozwijając żyłkę.

Kochał ocean, wypełniający powietrze słonym zapachem. Był on częścią duszy Pierce'a, podobnie jak wzgórze, skały i wrzosowiska jego ukochanej Kornwalii.

W dzieciństwie przyszły hrabia każdą chwilę spędzał na wędrówkach po okolicy. Z wielką radością przyjął wiadomość, że nie zostanie posłany do szkoły; potem zawsze z dumą podkreślał fakt, iż wszystko osiągnął wyłącznie swoją ciężką, wytężoną pracą. Za żadne pieniądze nie zamieniłby tego, czego nauczył się żyjąc pełnią życia, na lata nauki w Eton czy Cambridge.

Oczywiście, nie była to lekka nauka. Do dziś pamiętał czasy, kiedy inni ludzie z wyższych sfer okazywali mu głęboką pogardę. Kiedy tytuł ojca przeszedł na niego, nazwano go hrabią-żebrakiem, ze względu na pusty skarbiec rodziny i kupieckie pochodzenie matki.

Teraz nikt się już z niego nie naśmiewał.

Dzięki dobrze prosperującej stadninie koni oraz otwartej powtórnie kopalni cyny, należącej od wielu lat do ich rodu, Pierce dorobił się niezłej fortuny. Ostatnimi czasy okoliczna szlachta wręcz starała się wkupić w jego łaski, mając nadzieję, że i im

udzieli się szczęście, jakie zdawało się nie opuszczać go w interesach.

Sukces jednak wiele Pierce'a kosztował. Przez niemal cały ostatni rok nie miał ani chwili czasu dla siebie. Teraz, kiedy toczył bój z przebiegłą rybą, czuł głęboką wdzięczność do swojego przyjaciela, kapitana Harry'ego Duttona, który dosłownie siłą oderwał go od biurka.

Wybrali się na ryby w miejsce zwane Zatoką Pustelnika. Plaża, położona niedaleko Penhollow Hall, schowana była wśród wysokich skał, wrzynających się w wodę. Miejsce to, całkowicie odcięte od reszty świata, wydawało się wręcz idealne do poufnych rozmów.

Ale Pierce myślał tylko o rybie, szarpiającej się na drugim końcu linki. Był ciepły, słoneczny dzień, niezwykle jak na Konwalię, choć często zdarzało się, że po silnej burzy przychodziła piękna pogoda. Pierce wybuchnął śmiechem, upojony radością życia.

- Harry, z tą rybą nie pójdzie mi tak łatwo. Bądź tak dobry i podaj mi siatkę. - Pośród fal rozbijających się o brzeg błysnęło srebrne stworzenie. - Cwana bestia. Próbuje zerwać linkę. - Pierce powoli cofał się w stronę brzegu. Jego stopy zapadały się w kamieniste dno. Buty, surdut i kamizelka hrabiego leżały na plaży, obok koszyka z lunchem przygotowanym przez Lucy, kucharkę w Penhollow Hall.

Pierce wyciągnął rękę do tyłu, wpatrzony w napiętą linkę znikającą pod powierzchnią wody.

- Siatka, Harry. Potrzebna mi siatka!

Znów żadnej odpowiedzi.

Podenerwowany Pierce odwrócił głowę. Harry siedział na kamieniu z butelką wina w dłoni, pogrążony w głębokiej zadumie. W odróżnieniu od Pierce'a, ubranego tylko w bryczesy i koszulę wdymaną przez wiatr, kapitan Dutton wciąż miał na sobie surdut, buty i halsztuk.

- Harry!

Przyjaciel Pierce'a ocknął się z zamyślenia.

- Chcesz czegoś, Penhollow?

- Dajże mi wreszcie tę przeklętą siatkę!

W tej samej chwili żyłka zerwała się, przecięta ostrą krawędzią skały.

- Do stu piorunów! - Pierce wlepił wzrok w powierzchnię wody. - Miałem ją. Odpłynęła z haczykiem. - Powoli odwrócił się do swojego przyjaciela. - Gdzieś ty był, do licha? Nie słyszałeś, jak krzyczałem, żebyś podał mi siatkę?

Harry zgarbił ramiona; był zmieszany.

- Wołałeś mnie już wcześniej?

Pierce zaklął pod nosem i wyszedł z wody. Wbił wędkę w piach, po czym podszedł do koszyka. Obok stała otwarta butelka wina. Pierce podniósł ją do ust i pociągnął duży łyk.

- Harry, co się z tobą dzieje, do pioruna? Wydawało mi się, że przyszedliśmy tu na ryby, a ty nawet nie zarzuciłeś wędki. Tak paliłeś się do tej wyprawy, i co? Myślałem, że pierwszy wskoczysz do wody.

Harry upuścił pustą butelkę. Wstał.

- Penhollow, nie możesz wiecznie być kawalerem - wyrecytował jak dziecko podające wyuczony wiersz.

Pierce zdumiał się, słysząc to.

- Że co?

- Najwyższy czas, żebyś się ustatkował i zaczął żyć jak my wszyscy! - odparł Harry, dziwnie wzburzony. - Przecież jesteś już w takim wieku, że powinieneś stać się odpowiedzialny. To znaczy... nie chcę przez to powiedzieć, że jesteś nieodpowiedzialny, Pierce. Diabła tam, w życiu nie powiedziałbym czegoś takiego... ale małżeństwo to ten... no... twój obowiązek i... - Zawiesił głos, usiłując znaleźć odpowiednie słowa, po czym jednym tchem wyrzucił z siebie: - I będziesz o wiele szczęśliwszy, kiedy już to zrobisz.

- Kiedy co zrobię?

- Ożenisz się.

Pierce, zaintrygowany, oderwał butelkę od ust.

- Czy mówisz to na podstawie swojego doświadczenia?

Harry odwrócił wzrok.

- No, chyba tak.

Przed ośmioma laty Pierce był świadkiem na ślubie Harry'ego z Helen Dudridge, córką dobrze prosperującego mleczarza. Teraz Harry miał czwórkę dzieci, był o kilkanaście kilo cięższy i posiadał tyle krów, że nie chciało mu się ich liczyć. Poza tym, siedział

pod pantoflem żony. Pierce był zdumiony, że Helen w ogóle puściła go na ryby.

A może coś się za tym kryło?

- Harry, czy rozmawiała z tobą moja matka?

- Nie - odparł szybko przyjaciel, po czym przyznał: - Ale rozmawiała z Helen, a wiesz, że jej nie mogę się sprzeciwić.

Pierce usiadł na kamieniu.

- Chodź, klapnij koło mnie. - Przesunął się, by zrobić miejsce Harry'emu i podał mu butelkę. - I zdejmij ten halsztuk, dobrze? Wyglądasz, jakbyś siedział w kościele, a nie na plaży.

Harry posłusznie zerwał halsztuk z szyi, po czym usiadł ciężko na kamieniu i zdrowo pociągnął z butelki.

Mrużąc oczy przed słońcem, Pierce ogarnął spojrzeniem rozciągający się przed nim ocean. Zza skał wyłoniła się mała łódka. Może temu rybakowi uda się złowić rybę, która mi się wymknęła, pomyślał.

Wziął butelkę od Harry'ego i napił się.

- A teraz powiedz mi, o co chodzi z tymi bredniami o małżeństwie.

Harry miał dość taktu, by przybrać pokorny wyraz twarzy.

- Wszystko przez twoją matkę, Pierce. Nie da się jej przemówić do rozsądku.

Pierce prychnął ze złością.

- Nie musisz mi tego mówić. Od jakiegoś czasu ciągle wprowadza mi różne panienki. Żeby chociaż próbowała ukryć swoje zamiary! Zaczynam czuć się jak Król Kornwalii - powiedział. Król Kornwalii był najpiękniejszym ogierem w stadninie i chlubą Pierce'a. Właściciele koni z całej Anglii, a nawet z Europy, przywozili do Króla swoje klacze, by je pokrył.

- Nie miej jej tego za złe - powiedział Harry, odbierając Pierce'owi butelkę. - Twoim obowiązkiem jest podtrzymanie rodu i tak dalej. Wiesz, latka leca. - Spojrzał z zawiścią na płaski brzuch Pierce'a. - Chociaż po tobie tego nie widać.

Pierce roześmiał się i odgarnął włosy, bezustannie opadające mu na czoło. Podniósł się z kamienia.

- Cóż, ani ty, ani moja matka nie musicie się obawiać. Wiem, jaka odpowiedzialność na mnie spoczywa. Po prostu nie jestem

jeszcze gotów do małżeństwa. - Odwrócił się plecami do przyjaciela i popatrzył na ocean. Łódka wciąż unosiła się na falach. Przez krótką chwilę Pierce myślał o tym, jak dobrze byłoby być prostym rybakiem i nie mieć na karku natarczywych swatów.

- Takie już są kobiety - powiedział Harry. - Na widok nieżonatego, bogatego mężczyzny budzi się w nich instynkt myśliwego. Wiesz, coś takiego, co czujemy, kiedy wypłaszamy kuropatwy z gniazda.

- Mam przez to rozumieć, że one chcą nas powystrzelać? - spytał Pierce z ironią w głosie.

Harry westchnął ciężko.

- Nie całkiem o to chodzi... ale w sumie niewiele się mylisz. Helen i twoja matka uważają, że powinieneś poprosić o rękę tej smarkuli od Willisów. Mam cię do tego nakłonić. Uznały, że jako mężczyzna łatwiej się z tobą dogadam.

Pierce przewrócił oczami.

- Za długo siedziałeś na słońcu, czy co? Victoria Willis dopiero co skończyła szkołę. Zanudziłaby mnie na śmierć.

- Ale tobie potrzeba kogoś młodego, a ta Willis wygląda na płodną.

- Harry, rozmawiamy o kobiecie.

- Przepraszam, źle się wyraziłem, ale wiesz, o co chodzi. W końcu obydwaj zajmujemy się hodowlą, ty masz swoje konie, a ja te cholerne krowy. Ważne jest to - powiedział, ożywiając się - że jej wuj jest księciem, no i że ona wniesie ci w wianie trzy tysiące rocznie. W Kornwalii więcej nie wyciągniesz. Jeśli to dla ciebie za mało, to pojedź do Londynu i tam się rozejrzyj.

Pierce potrząsnął głową.

- Nie zamierzam szukać żony w Londynie. Mój ojciec tak zrobił i matka do tej pory nie pogodziła się z tym, że musi mieszkać na wsi. - Podszedł na skraj wody. Zimne fale omywały mu stopy.

- Twoja matka nie pogodziła się z tym, że musiała zostać w Kornwalii, podczas gdy jej mąż doskonale bawił się w Londynie - odparł Harry, któremu wino rozwiązało język na tyle, by mógł zdobyć się wobec przyjaciela na brutalną szczerość.

- Tak, to prawda. Ale ja nie zamierzam pójść w jego ślady. Poza tym, Harry, w małżeństwie powinno chodzić o coś więcej

niż tylko posag i koneksje rodzinne. Weźmy na przykład ciebie i Helen. Ona nie jest spokrewniona z żadnym księciem.

- Nie, ale kiedy jej się oświadczałem, miała dochód w wysokości tysiąca funtów i mleczarnię.

- Tysiąc funtów to żaden powód, by się zenić.

- Może dla ciebie. Mnie to wystarczyło. Popatrz na mnie, Pierce. - Harry podniósł się. Męczyła go lekka czkawka. - Nie jestem wysoki i przystojny, jak ty. Nie mam twoich niebieskich oczu, które doprowadzają kobiety do szaleństwa, nie dorównują ci inteligencją. Skończyłem Oxford, ale od lat nie zajrzałem do żadnej książki.

- Masz za sobą udaną karierę wojskową.

- Ojciec kupił mi patent oficerski, żeby pozbyć się mnie z domu. W wojsku czułem się okropnie. Ciagle ktoś do ciebie strzela, a ci Hiszpanie to banda dzikusów. Tysiąc funtów rocznie i dowództwo nad pułkiem krów wydało mi się fortuna. Bez namysłu ożeniłem się, by ją zdobyć.

- No i co? Warto było?

Harry zawahał się przez chwilę.

- Czasem bywam szczęśliwy.

Pierce prychnął. Podszedł do koszyka, wyciągnął tłustego pieczonego kapłona zawiniętego w ściereczkę, oderwał udko i rzucił je Harry'emu, a drugie wziął dla siebie.

- Kiedy na was patrzę, odnoszę wrażenie, że jesteście szczęśliwi. Helen to przemiła kobieta, macie dzieci. Małżeństwo dobrze ci służy.

Harry usiadł ciężko na kamieniu i wyciągnął nogi.

- Czasem jest dobrze, a czasem... no cóż... trzeba wykazać sporo cierpliwości. - Zawiesił głos. - Jest tam jeszcze jakaś butelczyna?

Pierce skończył ogryzać kość i wytarł tłuste ręce w spodnie, po czym wyjął z koszyka butelkę wina, chleb i ser. Wszystko to podał Harry'emu, który jednak wziął tylko butelkę.

- Mam wielką ochotę się upić.

- No cóż, dzień jest na to w sam raz - zauważył Pierce. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł na twarzy ciepłe promienie słońca, ani kiedy rozmawiał tak szczerze z Harrym. Lord Penhollow

odłamał kawałek chleba i sera, schował resztę jedzenia do koszyka i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na piachu obok przyjaciela.

Harry kontynuował rozważania.

- Często żałuję, że nie zostałem kawalerem, jak ty. Oczywiście, w odróżnieniu od ciebie, byłbym kawalerem ubogim, żyjącym z emerytury wojskowej.

- Harry, nie dlatego jestem kawalerem, że tego chcę. - Pierce wziął butelkę i popił chleb winem. - Po prostu nie spotkałem jeszcze kobiety, u boku której chciałbym spędzić całe życie - wyznał. Kierując wzrok ku oceanowi, zauważył, że łódka zbliża się do brzegu. Była w połowie przykryta brezentową powłoką, szarpaną przez wiatr. A więc to nie rybak, pomyślał Pierce.

- I nigdy takiej nie spotkasz - powiedział Harry z przekonaniem. - To znaczy, zakochasz się w jakiejś dziewczynie i będziesz myślał, że to właśnie ta, o której zawsze marzyłeś; tak było z Helen. One wszystkie są takie piękne i takie słodkie, ale kiedy już zaciągną cię przed ołtarz, zaczyna się z nimi dziać coś dziwnego.

- Co masz na myśli? - spytał Pierce, autentycznie zaintrygowany. Wpatrywał się w Harry'ego, który właśnie z dużym wysiłkiem usiłował zdjąć surdut. - W jakiż to sposób kobiety się zmieniają?

- Zmieniają się, a jakże! - krzyknął Harry. - Na przykład, przed ślubem mówią, jaki to jesteś mądry i dowcipny, ale ledwie wypowiesz przed księdzem owo sakramentalne „tak”, twoja nowa żonka bierze się do przerabiania ciebie na własne kopyto. Nagle wszystko, co mówisz, staje się powodem do kłótni i okazuje się, że niczego nie potrafisz zrobić jak należy. Kiedyś Helen zalała się łzami, bo w czasie wydanego przez nią przyjęcia siorbałem zupę. A ja zawsze siorbałem! Przecież wiesz o tym, Penhollow. Czy pamiętasz, żebym kiedykolwiek nie siorbał?

- Nie wiem, nie zwracałem na to uwagi.

- No widzisz. Helen od razu mi to wytknęła i po ślubie kazała mi się tego oduczyć. Mówi się, że dom mężczyzny to jego królestwo... co za brednia! Jedyne pomieszczenie, nad którym mężczyzna sprawuje władzę, to wygodka; tylko tam może się schować przed żoną i nie słyszeć jej jazgotu.

- Harry, no coś ty. Nie może być aż tak źle.

Harry pociągnął duży łyk wina.

- Ależ jest, wierz mi. Kiedy ożeniłem się z Helen, myślałem, że nie masz na świecie drugiego tak potulnego dziewczęcia. A teraz wolno mi mówić tylko „tak, kochanie”, „masz rację, kochanie”, „oczywiście, kochanie”. To ja stałem się potulny jak baranek!

Pierce, któremu Helen zawsze wydawała się zbyt apodyktyczna jak na jego gust, nie mógł uwierzyć, że Harry niegdyś naprawdę uważał ją za potulną.

- Ale jesteś szczęśliwy - nie ustępowałam.

- Jestem szczęśliwy, kiedy Helen jest szczęśliwa. - Pochylił się do przodu. - Wierz mi, Pierce, to motto naszej rodziny i mogłoby zostać umieszczone pod herbem rodowym. To, co pastorki i księża opowiadają o małżeństwie, o posłuszeństwie żony wobec męża, jest stekiem bzdur. Nie byłoby tak źle, gdyby człowiek mógł liczyć od czasu do czasu na odrobinę serdeczności, wiesz, o co chodzi. Ale z tym też różnie bywa. Ty, jako kawaler, pewnie masz więcej okazji do zaspokojenia swoich żądań niż ja, który każdą noc spędzam u boku żony. Mówię ci, po ślubie z kobietami dzieje się coś dziwnego. A propos - wymamrotał - nadal widzisz się z tą wdową z Exter?

- Czasami. - Nie miał ochoty na rozmowę o swoim życiu osobistym. Przynajmniej nie teraz, kiedy Harry mówił o sprawach, które dla Pierce'a były czymś zupełnie nowym. - Wydawało mi się, że jedną z korzyści płynących z małżeństwa jest to, że można każdą noc spędzać ze swoją kobietą. Myślałem, że skoro ty i Helen macie dzieci... - Urwał w pół zdania i wrzucił kamyk do wody.

- Kobiety nie lubią tego tak bardzo jak mężczyźni.

- Poważnie? - Z dotychczasowych doświadczeń Pierce'a wynikało coś wręcz przeciwnego.

Harry prychnął i zniżył głos.

- Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy Helen i ja... no wiesz... w ciągu ostatniego roku. Albo jest w ciąży, albo jest zmęczona. Moje życie stało się koszmarem. Często myślę, że dobrze byłoby znaleźć sobie kochankę, ale gdyby Helen się o tym dowiedziała, drogo by mnie to kosztowało. A dowiedziałaby się na pewno.

- To dlaczego namawiasz mnie, żebym się ożenił?

- Bo Helen obiecała mi, że dzisiaj zgodzi się na... no wiesz... jeśli z tobą porozmawiam. Jak widzisz, nie wychodzi mi to

najlepiej. - Wyciągnął rękę po butelkę. - Ale cóż, jestem zde-sperowany. - Wypił do dna.

Pierce oparł się o kamień i spojrzał w górę na błękitne niebo, po którym sunęły wielkie, puszyste białe chmury.

- Przykro mi, że nie jesteś bardziej szczęśliwy.

- Żonaci mężczyźni nie są od tego, by być szczęśliwymi - stwierdził filozoficznie Harry. - Kiedy my, żonkosie, spotykamy się w pubie, rozprawiamy głównie o tym, jak bardzo zazdrościmy ci wolności. - Usiadł na piachu obok Pierce'a. - No, ale wcześniej czy później, staniesz się jednym z nas. W Kornwalii nie ma żadnych książąt, a hrabiów jest niewielu. W oczach tutejszego gminu twój ród to dynastia królewska. Musisz go podtrzymać. To twoja powinność jako głowy rodu. - Prychnął. - Nawet wieśniacy z Hobbles Moor nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie się ożenisz.

- Wiem - odparł Pierce, wpatrzony w niebo. - I zamierzam się ożenić. Zrobię to, kiedy tylko spotkam odpowiednią kobietę.

- Kobieta z dochodem trzech tysięcy rocznie wydaje mi się w sam raz - powiedział Harry z przekonaniem.

Pierce potrząsnął głową.

- Pieniądze to nie wszystko. Mój ojciec ożenił się z matką dla jej posagu i wszyscy wiemy, jak to się skończyło. W małżeństwie musi chodzić o coś więcej.

- O coś więcej niż pieniądze? Dalibóg, o cóż takiego? - spytał Harry i dmuchnął w szyjkę butelki.

- Nie wiem... - zaczął Pierce, ale zawiesił głos. Odwrócił się do Harry'ego. - A miłość?

- Miłość? - Harry spojrzał na przyjaciela jak na człowieka, któremu nagle wyrosło na czole trzecie oko. - Pomieszało ci się w głowie?

- Nie sądzę. Czy to znaczy, że nie kochasz Helen?

Harry odwrócił wzrok.

- Na początku bardzo ją lubiłem.

- Ale czy ją kochasz? - nalegał Pierce.

- Trudno jest kochać kogoś, kto ciągle ci dogaduje. - Harry skrzyżował ramiona, przyciskając do piersi pustą butelkę. - Poza tym, miłość to wymysł zidiociałych romantyków - dodał po chwili. - Chyba nie wierzysz, że coś takiego istnieje naprawdę?

- Nie, nie wierzę, przynajmniej na razie. - Patrzył na fale uderzające o brzeg. - Ale chcę wierzyć. Wiem, że muszę spłodzić potomka i zdaję sobie sprawę, że czas ucieka, ale w duszy coś mi mówi, żebym jeszcze poczekał. - Nawet w tej chwili nie opuszczało go poczucie, że pewnego dnia znajdzie to, czego szuka. Uśmiechnął się smutno do Harry'ego. - Pewnie uważasz, że gadam bzdury.

Przyjaciel milczał przez dłuższą chwilę.

- Wiesz, to nie jest tak, że nic do Helen nie czuję - przyznał wreszcie łagodnym tonem. - Po prostu wydaje mi się, że w którymś momencie nasze drogi się rozeszły. Z drugiej strony, gdyby Helen nie była taka nerwowa... - Nie dokończył myśli.

Pierce zauważył, że w odległej łódce coś się poruszyło. Zerwał się na równe nogi i wyteżył wzrok, niepewny, co takiego właściwie zobaczył.

- Co się stało? - spytał Harry, podnosząc się z piachu.

- Mógłbym przysiąc, że w tej łódce ktoś jest.

- A jeśli nawet, to co? Mamy jeszcze wino?

- Zobacz, ona płynie prosto na skały. Za chwilę się roztrzaska. Harry zmrugał oczy i spojrzał w stronę łodzi.

- Nic nie widzę.

Nagle fala uderzyła w szalupę i przechyliła ją na burtę. Pierce nie wierzył własnym oczom. W środku ktoś leżał! A łódka nieuchronnie zbliżała się do skał.

Zerwał się do biegu. Zwinnie pomknął po śliskich skałach strzegących wejścia do Zatoki Pustelnika. Znał je jak własną kieszeń; przychodził tu od dziecka.

Skały, w stronę których płynęła łódka, wyłaniały się z wody kilka metrów od brzegu. Dotarłszy na najdalej wysunięty punkt wybrzeża, Pierce wskoczył do morza.

Był dobrym pływakiem. Pewnymi ruchami rąk posuwał się naprzód, starając się uniknąć zdradliwych prądów przybrzeżnych. Harry krzyczał coś z brzegu, zbyt mocno już wstawiony, by mógł pomóc.

Pierce dopłynął do łódki. W wodzie unosiła się lina przywiązana do żelaznego pierścienia na dziobie. Pierce pochwyił ją, odbił się od skały i ruszył w stronę brzegu.

Nie było mu łatwo. Nie dość, że szalupa była ciężka, to jeszcze

musiał płynąć pod prąd, ponieważ rozpoczął się odpływ. Po chwili ręce Pierce'a stały się jak z ołowiu, w nogach też czuł zmęczenie. Mimo to parł naprzód, kierując się w stronę spokojniejszych wód zatoki.

Wreszcie poczuł pod stopami piach. Jeszcze kilka ruchów rękami i mógł wstać.

Wyciągnął łódkę na brzeg. Dopiero gdy jej dziób na dobre ugrzązł w piachu, Pierce padł na ziemię i zaczął: rozpaczliwie łąpać powietrze ustami.

- Mogłeś się utopić - powiedział do niego Harry.

Pierce odpędził go machnięciem ręki i zamknął oczy. Po chwili jednak otworzył je szeroko, usłyszawszy pełen zdumienia krzyk Harry'ego:

- Boże jedyny, toż to kobieta. I to naga!

Pierce usiadł.

- Co takiego?

Harry pochylał się nad łódką. Miał wytrzeszczone, roziskrzone oczy.

- Ko-bie-ta. Na-ga - powtórzył powoli.

Pierce podszedł do niego. Harry mówił prawdę. W szalupie leżała kobieta.

Piękna kobieta.

Była nieprzytomna, miała sine wargi i skórę lekko spaloną słońcem. Jedna ręka leżała w poprzek ciała. Okolone długimi rękami oczy były zamknięte, a pełne usta lekko rozchylone. Na szyi dziewczyny wisiał złoty łańcuszek, połyskujący w słońcu.

Dziewczyna nie była naga, ale niewiele jej do tego brakowało. Miała na sobie tylko białą bawełnianą koszulę nocną, przesiąkniętą wodą i przylegającą do ciała jak druga skóra. Długie kosmyki ciemnych włosów opadały na piersi dziewczęcia, ale poza tym żaden szczegół jej pięknej sylwetki nie był ukryty przed oczami dwóch mężczyzn. Nieznajoma miała długie i kształtne nogi, zwieńczone ciemnym trójkąciem włosów *między* udami. Przez chwilę Pierce nie był w stanie zrobić nic innego, jak tylko stać u boku Harry'ego i w czysto męskim zachwycie wpatrywać się w piękność w łódce.

Z zauroczenia wyrwał go krzyk mewy. Pierce zamknął usta

i przyłożył palce do szyi dziewczyny, szukając pulsu. Jej skóra była gładka jak atlas i gorąca niczym żelazo w kuźni Dane'a. Na szczęście puls bił równo. Pierce nachylił się i wyczuł na policzku oddech nieznajomej.

- To syrena - wyszeptał Harry.

- Ależ nie, to kobieta z krwi i kości. - Podniósł ją na rękach. - Rozłóż mój surdut na ziemi- nakazał Harry'emu, który błyskawicznie wykonał polecenie.

- Kim ona jest? - spytał.

- Nie wiem. - Pierce położył dziewczynę na swoim surducie.

- Żyje?

- Tak, ale nie jest z nią najlepiej. Najwyraźniej dryfowała tak przez dłuższy czas. - Wyjął z koszyka butelkę i wlał trochę wody do ust nieznajomej. Żadnej reakcji. - Musimy sprowadzić pomoc, i to szybko.

- Dokąd ją zabierzemy? - spytał Harry, wpatrzony w nieznajomą.

Pierce, zaskakująco troskliwy, zdjął mokrą koszulę z pleców i przykrył nią kobietę, by zasłonić ją przed wścibskim spojrzeniem Harry'ego.

- Daj mi twój surdut. Już za długo wystawiona była na działanie wiatru i słońca.

Harry zmarkotniał, jakby był rozczarowany, że nie może dalej podziwiać nagiego ciała dziewczyny; mimo to posłusznie wykonał polecenie Pierce'a.

- To dość dziwna sprawa - powiedział. - Nieprzytomna panienka w łódce, niespotykany to zaiste widok. Życie jej niemiłe czy co? Przecie tyle tu wszędzie skał.

- To prawda- zgodził się odruchowo Pierce, choć tak naprawdę nie słuchał rozważań Harry'ego. Raz jeszcze spróbował zwilżyć wargi dziewczyny wodą. Nieznajoma poruszyła się i zmarszczyła brwi.

Pierce cofnął się o krok, nie spuszczać z niej oczu.

Jego cierpliwość została wynagrodzona. Dziewczyna otworzyła piękne, ciemnozielone oczy.

Spojrzenia Pierce'a i nieznajomej skrzyżowały się na chwilę. Lord Penhollow poczuł, że przechodzi go dreszcz.

Nie wierzył w przesady, ale w tym momencie miał niezrozumiałe wrażenie, że było mu pisane spotkanie z tą kobietą. Może już gdzieś ją widział?

Nie, to raczej niemożliwe. Na pewno by ją zapamiętał. Nawet przemoczona do suchej nitki i wyczerpana, była niezwykle piękna... ale to nie wszystko. Miała w sobie jeszcze coś, czym z miejsca go urzekła.

Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech, po czym zamknęła oczy i znów pogрузzyła się w błogiej nieświadomości.

Pierce wciągnął buty, narzucił surduta na ramiona i wziął dziewczynę na ręce. Była lekka jak piórko. Natychmiast skierował kroki w stronę ścieżki wiodącej w głąb łądu.

Harry wyjął z łódki mokre zawiniątko.

- Co my tu mamy? - spytał, ale widząc, że Pierce odchodzi, krzyknął: - Poczekaj, dokąd idziesz? Co chcesz z nią zrobić?

- Zabieram ją do Penhollow Hall - odparł Pierce nie odwracając się.

3

Ryk fal wypełniający uszy Eden przycichł i stał się spokojniejszy, nieomal łagodny.

Nie chciała się obudzić. Pragnęła mieć zamknięte oczy i na zawsze pozostać w stanie półświadomości.

Powoli powracając na jawę, Eden wtuliła się w świeżą, nakrochmaloną pościel. W powietrzu unosiła się woń wosku do podłóg, a plusk wody brzmiał tak kojąco...

Nagle do jej głowy zaczęły cisnąć się przerażające obrazy sztormu i przypomniała sobie, co się stało. Uciekła z niewoli i tym samym naraziła się madame Indrani oraz potężnemu sułtanowi. Jej serce zmroził strach.

Wtedy usłyszała kobiecy głos.

- Przez całą noc tak się męczy, biedactwo. Najpierw jest spokojna, potem ni stąd, ni zowąd zaczyna się rzucać po łóżku. Coś tam mamrocze pod nosem, ale tak niewyraźnie, że nic nie mogę zrozumieć.

Eden zeszywniała, nie otwierając oczu. Gdzie ona jest? Kto ją odnalazł? Jakaś kobieta pochyliła się nad nią - Eden wyczuwała bijące od niej ciepło - i poprawiła poduszkę.

- No, do roboty, Betsy - powiedziała nieznajoma. - Musimy tu posprzątać. - Kobieta zniżyła głos. - Wiesz, jaka z naszej pani zrzęda, a odkąd wielmożny pan przyniósł tu tę biedaczkę, jest bardziej naburmuszona niż zwykle.

- A cóż miał zrobić, pani Meeks?- spytała Betsy słodkim, śpiewnym głosem młodej dziewczyny. - Przecie nie mógł jej zostawić na brzegu, prawda?

- Pani chyba nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić. Lord Pierce wpadł do domu półnagi, z tą dziewczyną na rękach, i od razu zaczął wydawać polecenia służbie. Uratował ją z dryfującej łódki, słowo daje, i czuł się za nią odpowiedzialny. Pół nocy siedział na tym krześle w rogu, dopóki doktor Hargrave nie powiedział mu, że biedacze się polepszyło. Wielmożny pan za nic nie chciał zostawić jej samej. Dopiero kiedy jego matka stwierdziła, że nie przystoi tak kręcić się przy nieznamym dziewczynie, powiedział mi: „Proszę mieć na nią oko, pani Meeks”, tak powiedział, a ja posłuchałam. Przez resztę nocy czuwałam przy niej, jakby była moją córką.

W sercu Eden zbudził się niepokój. Kim był ten lord Pierce?

- Musi pani być zmęczona - powiedziała Betsy.

- A jakże.

Eden ostrożnie uchyliła powieki. Pani Meeks była tęgą kobecina o jasnych włosach. Betsy, na pierwszy rzut oka zbliżona wiekiem do Eden, miała na głowie wielki czepek, spod którego wystawały niesforne rude loki. Obydwie wyglądały tak, jakby nigdy w życiu nie zaznały głodu.

- Lord Pierce prosił, żeby go powiadomić, gdy tylko ta dziewczyna się ocknie - powiedziała pani Meeks. - Mam kilka rzeczy do zrobienia. Dopóki nie wrócę, czuwaj przy niej.

Betsy zniżyła głos.

- Myśli pani, że to na nią czekaliśmy? Cała wieś o tym mówi. Wdowa nie chce nic powiedzieć.

- Nie wiem. Śliczności dziewczuszka, nie ma co. W życiu nie widziałam piękniejszej.

Eden czuła na sobie ich spojrzenie. O czym one mówiły? Kto na nią czekał? Z wrażenia nie mogła złapać tchu.

- Wygląda trochę jak nimfa morska - powiedziała Betsy. - No wie pani, długie, kręcone włosy i czarne, długie rzęsy.

- Pewnikiem jej statek rozbił się w czasie tego okropnego sztormu - odparła chłodno pani Meeks. - Lord Pierce rozesłał w nocy ludzi, żeby zasięgnęli języka. Niedługo będzie wiedział, kto zacc. Skan i przerobienie pona.

Betsy potrząsnęła głową.

- Niczego się nie dowiedzą. Pani mi wierzy, ja mam wycucie w tych sprawach, nawet matuś mi tak mówią. To nie był przypadek, że ta dziewczuszka wpadła prosto w ramiona lorda Pierce'a.

- Jeśli to rzeczywiście ta niewiasta, której przybycia oczekiwaliśmy, szkoda, że nie poprosiliśmy, by była bogata. Kiedy wielmożny pan ją tu przyniósł, nie miała na sobie prawie nic poza złotym łańcuszkiem na szyi. Musiałam ubrać ją w moją starą nocną koszulę. Jest na nią o wiele za duża, ale przynajmniej zakrywa więcej niż ta jej skąpa haleczka.

- No, ale przecie ona jest bogata - powiedziała Betsy.

Eden zdumiała się, słysząc to.

- Bogata? - zdziwiła się pani Meeks. - Jak to?

- Nie widziała pani jej ubrań? - spytała Betsy.

- Jakich ubrań?

- Tych, które kapitan Dutton znalazł w jej łódce.

- Nic nie słyszałam o żadnych ubraniach - stwierdziła pani Meeks, lekko oburzona.

- Może to dlatego, że cały czas siedziała pani tutaj - podsunęła Betsy. - Pani Ivy kazała Lucy rozwiesić te ubrania w pralni. Powinna je pani zobaczyć, pani Meeks. Jedna suknia wygląda tak, jakby była ze złota.

Eden tak długo leżała w całkowitym bezruchu, że złapał ją skurcz. Ostrożnie ucisnęła stopą bolące miejsce, modląc się w duchu, by żadna z kobiet tego nie zauważyła. Chciała, żeby zostawiły ją samą, by mogła się stąd wymknąć. Nasim i Gadi prawdopodobnie już jej szukają.

Betsy westchnęła.

- Pani Meeks, takich szykownych strojów to pani w życiu na oczy nie widziała. Jak dla księżniczki! Jedna suknia wyszyta jest prawdziwymi perłami, klejnotami morza. A wszystkie stroje są z najdelikatniejszego jedwabiu. Sama Lucy tak mówiła. Z panią Ivy prawie całą noc próbowały je uratować. Pani Ivy powiedziała, że woda morska nie uszkodziła ich zbyt, bo były zawinięte w ciężką aksamitną pelerynę.

- A co pani Ivy wie o takich rzeczach? - spytała pani Meeks z oburzeniem w głosie. - To ja w tym domu jestem ekspertem od

prania. Tyle razy jej mówiłam, żeby nie wsadzała swojego wścibskiego nosa w moje sprawy, ale czy mnie posłuchała? Nie! Włazi, gdzie jej nie chcą, jakby to, że jest garderobianą lady Penhollow, dawało jej jakieś specjalne prawa!

Odwrociła się i spojrzała na Eden, która w ostatniej chwili zdążyła zamknąć oczy. Eden czuła na sobie jej badawczy wzrok. Zapomnij o mnie, poprosiła, pomyśl o pani Ivy.

- Dlaczego nikt mnie nie powiadomił, że znaleziono jakieś suknie? - spytała ze złością pani Meeks.

- Bo pani Ivy powiedziała Lucy, że czuwa pani przy tej biedaczce i że ona się nimi zajmie.

- No tak, to do niej podobne - burknęła pani Meeks. - Tym razem nie ujdzie jej to na sucho. Osobiście obejrzę te suknie i zdecyduję, co z nimi zrobić. Ty zostaniesz z tą dziewczyną.

- Proszę, niech pani weźmie mnie ze sobą. Widziałam te suknie tylko przez chwilę i Lucy nie pozwoliła mi nawet się do nich zbliżyć. A ja tak bardzo bym chciała dotknąć tych pereł. Nigdy nie dotykałam prawdziwych pereł. Nawet pani Ivy mówiła, że takich wielkich jeszcze nie widziała. Lucy opowiadała, że pani Ivy potarła jedną z nich o zęby i mało co nie zemdleła z wrażenia. Powtarzała tylko: „Są prawdziwe, są prawdziwe”.

- Nie możesz pójść ze mną. Ktoś musi tu zostać.

- Proszę - błagalnym tonem prosiła Betsy. - Niech pani na nią popatrzy. Ona jeszcze długo nie przyjdzie do siebie. A ja tylko dotknę pereł i biegiem tu wrócę.

Weź ją ze sobą, prosiła Eden w duchu.

Gospodyni westchnęła ciężko.

- No dobrze, masz minutę, nie więcej! Pospieszmy się. Gdyby lord Pierce zobaczył, że dziewczyna jest sama, pokazałby nam, gdzie raki zimują.

Eden zaczęła, aż kroki zaczęły oddalać się w głąb korytarza. Wtedy otworzyła oczy. Leżała na łożu z baldachimem, stojącym na środku wielkiego, bogato umeblowanego pokoju. Wszystkie meble były wypolerowane na wysoki połysk. Obok rzeźbionej szafy znajdowały się wielkie drzwi balkonowe. Jedno skrzydło było uchylone i przykrywające je zasłony falowały na wietrze. Lordowi Pierce'owi najwyraźniej dobrze się powodziło.

Eden odrzuciła koc. Kierując się impulsem, chciała uciec. Natychmiast. Niech ci ludzie zatrzymają sobie jej suknie. Najważniejsze, żeby odzyskała wolność.

Jednak gdy tylko podniosła się na równe nogi, świat zawirował wokół niej i musiała usiąść na krawędzi łoża. Za drugim razem udało jej się utrzymać równowagę. Ostrożnie stąpając po grubym dywanie, podeszła do szafy.

Ubranie, potrzebowała ubrania. Miała na sobie za dużą koronkową koszulę nocną, bez przerwy zsuwającą jej się z ramienia. Musiała zdobyć suknię, która nie zwracałaby niczyjej uwagi.

Otworzyła szafę. Była pusta.

Zaniepokojona, ruszyła w stronę szafki po przeciwnej stronie pokoju. Wtedy jednak usłyszała zbliżające się kroki na korytarzu. Potem rozległ się chichot Betsy i gruby męski głos.

Eden wpadła w panikę. Nie chciała zostać w tym pokoju, dopóki nie nabierze pewności, czy nie grozi jej niebezpieczeństwo. Bez namysłu wyszła przez wielkie, oszklone drzwi - i zastęła w bezruchu.

Przed nią rozciągał się najwspanialszy ogród, jaki kiedykolwiek widziała; ogród, o jakim zawsze marzyła. Strach prysnął, a pojawił się zachwyty.

Niebieska ostróżka, żółty pluskiewnik, purpurowoczerwone goździki posadzone na przemian ze stokrotkami, fioletowoniebieski len, przetacznik i srebrzyste, mięsiste liście gajowca. Widok tego morza kwiatów skąpanych w świetle słońca zapierał dech w piersiach.

Gdzie okiem rzucić, wszędzie rosły róże. Pięły się po szarych kamiennych ścianach domu. Krzewy różane okalały też małą, uroczą sadzawkę, z której biła fontanna. Stąd właśnie dobiegał plusk wody, który Eden słyszała, gdy odzyskiwała świadomość.

Sam dom stanowił mieszaninę stylów, jakby każde kolejne pokolenie pragnęło pozostawić po sobie ślad, ale nie znaczy to, że wyglądał źle. Wręcz przeciwnie, widać było, że właściciele wkładają dużo serca w jego utrzymanie. Ten, kto tu znajdzie swoje miejsce, będzie szczęśliwym człowiekiem.

Eden ruszyła wybrukowaną ścieżką w stronę fontanny. Rosa nadal srebrzyła się na liściach smagliczki oraz płatkach goździków

i stokrotek rosnących wzdłuż ścieżki. W oknach domu wychodzących na ogród nie widać było żywej duszy. Eden czuła się prawie tak, jakby została sama na świecie.

Zaintrygowana i oczarowana zarazem, odgarnęła włosy z twarzy i pochyliła się, by powąchać czerwoną różę. Jej płatki były chłodne i w dotyku przypominały aksamit. Och, gdyby wszystko mogło być takie doskonałe...

Nagle poczuła mrowienie karku, jakby ktoś ją obserwował. Czar ogrodu prysnął. Odwróciła się i spojrzała na drzwi, przez które wyszła z pokoju. Nikogo tam nie było. Popatrzyła w drugą stronę - i zamarła.

Przy narożniku domu stał mężczyzna.

Przystojny mężczyzna o włosach czarnych jak węgiel. Zrosnięte brwi nadawały jego twarzy prawdziwie męski wygląd; gdyby nie one, wyglądałby aż zbyt idealnie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie, stojąc jak sparaliżowani. Eden miała wrażenie, że nieznajomy jest tuż obok niej, mimo iż dzieliła ich spora odległość.

Wreszcie ruszył w jej kierunku. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

On nie był zwykłym śmiertelnikiem- nie mógł być! Kiedy szedł ku niej, promienie słońca zdawały się tworzyć aureolę nad jego głową.

Biała koszula, rozpięta pod szyją, podkreślała jego szerokie ramiona. Płowożółte bryczesy ciasno przywierały do umięśnionych ud, a czarne wysokie buty połyskiwały w słońcu. Włosy, zburzone lekkim podmuchem wiatru, opadły mu na czoło; odgarnął je dwoma palcami.

Podszedł do Eden. Dzielił ich od siebie krzew róży. Oczy nieznajomego przypominały kolorem bezchmurne niebo. Eden ogarnęła spojrzeniem ledwo widoczny zarost i bruzdy w kącikach szerokich, pełnych ust.

- Widzę, że pani już nie śpi. - Jego głęboki baryton przeszył Eden od stóp do głów.

Cofnęła się o krok, przypomniawszy sobie, w jakich jest tarapatach. Chciała odwrócić się na pięcie i uciec, ale on był szybszy i złapał ją za rękę.

Miał mocne dłonie, co wskazywało na to, że ciężka praca nie jest mu obca, ale palce były długie i wąskie.

- Niech się pani nie boi - powiedział. - Nie zrobię pani krzywdy. Chcę tylko pomóc. - Zawiesił głos, po czym podniósł dłoń Eden do ust, patrząc jej w oczy.

W duszy Eden obudziło się coś, czego doświadczyć może tylko kobieta. Ogród, niebo, a nawet twarda ziemia pod nogami rozplynęły się. Pozostał jedynie mężczyzna, składający pocałunek na jej dłoni. Eden poczuła mrowienie w miejscu, w którym jego usta musnęły jej skórę.

- Pozwoli pani, że będę na tyle śmiały, aby się przedstawić. Jestem Pierce Kirrier, hrabia Penhollow.

Lord Pierce. I wyglądał tak, jak zawsze wyobrażała sobie lordów.

Eden kiwnęła nieznacznie głową, usiłując zebrać myśli. Za duża koszula nocna znów zsunęła się z jej ramienia. Spojrzenie lorda spoczęło na odsłoniętej szyi. Uścisk dłoni nagle stał się mocniejszy.

Eden zauważyła w oczach hrabiego błysk pożądania. Wielu mężczyzn tak na nią patrzyło... ale tym razem miała wrażenie, że i ona poczuła coś podobnego.

Lord wreszcie puścił jej dłoń, lecz minęła sekunda, zanim Eden zdała sobie z tego sprawę. Spuściwszy skromnie oczy, naciągnęła koszulę na ramię.

- Bardzo mi miło, lordzie. - Niemal nie rozpoznała swojego głosu, tak był chrapliwy.

- Mnie również - odparł szarmancko, po czym dodał - panno...?

- Eden... - zaczęła odruchowo, po czym zamilkła. Co ona robi? Jaki czar rzucił na nią ten człowiek, że zapomniała, w jakim jest niebezpieczeństwie?

- Eden - powiedział, po czym uśmiechnął się, jakby imię mu się spodobało. - Jak rajski ogród.

- Tak.

- A nazwisko?

Potrząsnęła głową. Nie mogła mu powiedzieć nic więcej. Przed oczami stanęli jej Nasim i Gadi. Zaczęła cofać się w stronę wielkich oszklonych drzwi.

Hrabia ruszył za nią.

- Chwileczkę. Widzę, że czymś panią uraziłem, a nie miałem

takiego zamiaru. Żebym mógł pani pomóc, muszę najpierw dowiedzieć się, skąd pani jest i jak doszło do tego, że znalazła się pani w tej łódce.

Eden szybkim krokiem skierowała się do drzwi. Nie mogła wyjawić mu całej prawdy o sobie; gdyby wieści o jej uratowaniu rozeszły się, prześladowcy na pewno szybko wpadliby na jej trop.

Złapał ją za łokieć i delikatnie odwrócił do siebie.

- Panno Eden, wiele pani wycierpiała. Jeśli pani sobie tego nie życzy, nie musi pani nic mi mówić. Nie zamierzam wtrącać się w nie swoje sprawy. Chcę tylko umożliwić pani powrót do domu.

- Do domu? - powtórzyła gorzko. - Nie jestem pewna, czy wiem, co to znaczy „dom”. - Po raz pierwszy w pełni dotarło do niej, jak bardzo jest samotna i w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Kolorowe kwiaty w ogrodzie zaczęły wirować jej przed oczami; z przerażeniem uświadomiła sobie, że lada chwila zemdleje.

- Panno Eden, dobrze się pani czuje? - Miała wrażenie, że jego głos dobiega z drugiego końca bardzo długiego tunelu. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu oparcia - i znalazła Pierce'a.

Silne ramiona pochwyciły ją, zanim upadła na ziemię. Jak przez sen czuła, że hrabia zaniósł ją na ławkę przy fontannie.

Pierce ostrożnie położył młodą kobietę na ławce, starając się nie myśleć o tym, że pod obszerną koszulą nocną nie miała na sobie nic. Uklęknął na ziemi obok niej, obejmując ją ramieniem. Jej włosy były w dotyku gładkie jak jedwab. Przez cienki materiał koszuli nocnej przebijał cień sutków.

Nie znał żadnej kobiety, której imię byłoby tak trafnie dobrane. Eden.

Boskość. Egzotyka. Tajemnica. Eden.

Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Obudziło się w nim silne pożądanie, powściągane jednak przez rozsądek. Przecież zanim zemdlą, próbowała przed nim uciec.

Zatrzepotała rzęsami.

- Jak się pani czuje?

Zaczerwieniła się. Z rumieńcami przebijającymi przez opaleniznę było jej bardzo do twarzy. Na nosie miała kilka piegów.

- Chyba już dobrze. - Usiadła o własnych siłach, odsuwając się od niego. Spuściła skromnie oczy. - Dziękuję. Nigdy dotąd nic takiego mi się nie zdarzyło.

Pierce podniósł się.

- Nie ma się czego wstydzić. To cud, że pani żyje.

- To prawda. - Podniosła na niego piękne zielone oczy. - I panu to zawdzięczam.

Pierwszy raz w życiu Pierce po prostu nie wiedział, co powiedzieć. Nie śmiał otworzyć ust w obawie, że zacznie mówić coś od rzeczy. Nagle zaschło mu w gardle, a powietrze wokół wydało się niezwykle ciepłe... zwłaszcza gdy zauważył, że sutki dziewczyny stwardniały. Poczuł pokusę, by zapomnieć o dobrych obyczajach i kochać się z nią tu, na ławce w ogrodzie, w promieniach słońca.

Poczucie rzeczywistości przywrócił mu głos pani Meeks.

- Lordzie Penhollow, jak to dobrze, że pan ją znalazł! - Pomknęła przez ogród w ich kierunku, podczas gdy Betsy niepewnie stała w drzwiach. - Odwróciłyśmy się tylko na chwilę, a ona zniknęła. Całe szczęście, że ją pan znalazł. - Gospodyni zatrzymała się i dygnęła. - Zaprowadzę ją do domu. Przyjechał doktor Hargrave i chce ją zobaczyć.

Pierce stanął przed Eden, jakby chciał ją ochronić.

- Pani Meeks, wydawało mi się, że prosiłem, by była pani przy niej.

Gospodyni skrzywiła się.

- To prawda, milordzie.

Pierce potrząsnął głową.

- Poszłaś obejrzeć suknie w pralni, prawda?

- Piękne są, milordzie. - Pani Meeks westchnęła.

- Podejrzywałem, że nie oprzesz się pokusie, by rzucić na nie okiem. Na przyszłość postaramy się lepiej opiekować naszym gościem, dobrze?

- Ma się rozumieć, milordzie. Chodź, moja droga, lekarz czeka - powiedziała pani Meeks, gestem ręki przywołując Eden. Ona jednak odwróciła się twarzą do Pierce'a.

- Nie ukarze jej pan, prawda? - spytała z niepokojem w oczach.

Roześmiał się głośno.

- Gdybym uważał, że to coś da, pewnie bym zaryzykował. Nie, panno Eden, nie ośmieliłbym się ukarać pani Meeks ani żadnego z tych nicponi z Hobbles Moor, którzy mieniają się moimi służącymi. Pani Meeks pracowała tutaj, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie i znam ją lepiej niż swoją matkę.

- I jest mi bardziej posłuszny - dodała złośliwie pani Meeks. Nie czekając na ripostę Pierce'a, wzięła Eden za rękę i pociągnęła ją za sobą w stronę drzwi sypialni. - Moja ty biedaczko - rozpaczała - musi być z tobą naprawdę źle, skoro półnaga chodzisz po ogrodzie. I to boso! Nie martw się, jakoś temu zaradzimy. Wyślę Betsy po herbatę i grzanki. Na to właśnie masz ochotę, prawda, panienko?

Eden przytaknęła, ale niepewnie obejrzała się na Pierce'a. Kiwnął głową, jakby chciał dodać jej otuchy, jednak dziewczyna wciąż była wyraźnie spięta. Pani Meeks nieomal siłą zaciągnęła ją do domu.

Ciekawe... Pierce zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie Eden była w ogrodzie, kiedy powinna leżeć w łóżku i nabierać sił. Podkrażone oczy wskazywały na to, że przydałoby jej się jeszcze trochę odpoczynku.

Zaintrygowany dziwnym zachowaniem Eden, ruszył w ślad za nią i panią Meeks do domu. Nie odmówił sobie przyjemności podziwiania szczupłych kostek dziewczyny wyłaniających się spod obszernej koszuli nocnej. Eden.

Rezolutna Betsy natychmiast zauważyła, na czym skupiło się spojrzenie hrabiego, więc gdy mijał ją w drzwiach, mrugnęła do niego porozumiewawczo. Obydwoje jednak spoważnieli, kiedy ich oczom ukazała się matka Pierce'a, wyraźnie zniecierpliwiona. Obok niej stał niski, łysiejący mężczyzna z nosem jak kartofel - doktor Hargrave.

Lady Penhollow była niegdyś nie tylko wielce majątną dziewczką, ale i jedną z najpiękniejszych kobiet w Londynie. Pierce odziedziczył po niej urodę. Obydwoje mieli ciemne brwi, wyraziste rysy i niebieskie oczy, których spojrzenie mogłoby zaszytletować.

Ale los nie był łaskawy dla lady Penhollow. Po ślubie miała nadzieję, że będzie oddaną żoną, kochaną przez męża. Tak się nie

stało. Ojciec Pierce'a, nie dość, że próżny i samolubny, był w dodatku zapamiętałym hazardzistą. Pozostawiając swoją nowo poślubioną żonę w Kornwalii, pojechał do stolicy, gdzie rzucił się w wir życia towarzyskiego.

Kiedy umarł, okazało się, że zostawił swoich bliskich bez grosza przy duszy. Pierce miał wtedy piętnaście lat, ale szybko dorósł.

- Dlaczego nasz gość wałęsał się po ogrodzie? - spytała lady Penhollow wyniosłym tonem.

Eden cofnęła się o krok i omal nie wpadła na Pierce'a. Hrabia wziął ją za ramię, próbując dodać otuchy. Poczowała się nieco pewniej.

- Panno Eden, to moja matka, lady Penhollow, i doktor Hargrave - powiedział, zanim udzielił odpowiedzi na pytanie matki. - Obudziła się w nieznanym miejscu, nic dziwnego, że była nieco zdezorientowana.

- Zdezorientowana? - spytała lady Penhollow. Jej spojrzenie spoczęło na ramieniu Eden, gdzie Pierce trzymał rękę. Uniósł brew. - Dobrze więc, że jest z nami doktor Hargrave - dodała krótko.

Podeszła do Eden i stanęła między nią a Pierce'em. Narzuciła na ramiona dziewczyny wełniany szal i podprowadziła ją do stojącego nieopodal lekarza. Eden odwróciła głowę; w jej oczach widać było niepokój.

Pierce dobrze znał swoją matkę. Wiedział doskonale, że jej gest nie wziął się z troski o zdrowie dziewczyny. Chciała po prostu w niezbyt zawołowany sposób dać mu do zrozumienia, iż uznała pannę Eden za nieodpowiednią dla niego.

Postąpił krok naprzód, postanawiając, że nie pozwoli, by matka nim rządziła.

- Horace, cieszę się, że do nas wpadłeś - powiedział. - To panna Eden. Obawiam się, że nie pamięta swojego nazwiska - dodał.

- Nie pamięta? - W oczach doktora Hargrave'a pojawił się błysk zainteresowania.

- To dziwne - wycedziła lady Penhollow takim tonem, by nie ulegało wątpliwości, że jej zdaniem jest to wysoce podejrzane.

Pierce był oburzony zachowaniem matki, zwłaszcza kiedy zauważył, że panna Eden rozpaczliwie próbuje znaleźć jakieś

wytłumaczenie swojej niemocy. Szybko przejął panowanie nad sytuacją.

- Panno Eden, doktor Hargrave jest najlepszym medykiem w Kornwalii. Może mu pani ufać... i proszę nie myśleć, że jest nam pani winna jakiegokolwiek wyjaśnienie - powiedział.

Eden podniosła na niego oczy, po czym obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. To niemożliwe, pomyślał. Kiedy się uśmiecha, jest jeszcze piękniejsza. W swoim zauroczeniu nieomal zapomniał, gdzie jest - dopóki nie odezwał się doktor Hargrave.

- Lordzie Penhollow, proszę jeszcze raz opowiedzieć mi, co się stało po tym, jak odzyskała przytomność - nakazał. Postawił przy łożu czarną torbę, w której trzymał pijawki i inne takie paskudztwa. Pierce wyrwał się z zadumy i przystąpił do opisywania tego, co zaszło, kiedy znalazł Eden w ogrodzie.

- To niedobrze. Oj, niedobrze- powiedział lekarz.- Będę musiał ją zbadać.

- Zbadać? - spytała Eden, zwracając się do Pierce'a.

- Proszę się nie obawiać - dodał jej otuchy. - Doktor Hargrave nie zrobi pani krzywdy.

- Oczywiście, że nie zrobię jej krzywdy - powiedział medyk. Ujął dziewczynę za brodę i spojrzał jej w oczy. Pierce wyczuł, że doktor, podobnie jak on, nie jest odporny na wdzięki Eden i ukłuła go zazdrość.

Wtedy jednak doktor Hargrave powiedział z dumą:

- Strach przed lekarzem to staroświecki nonsens. W dzisiejszych czasach niewielu jest wśród nas szarlatanów. W naszej pracy opieramy się na nauce. - Zaczął macać głowę Eden opuszkami palców, jakby szukał guzów. - A teraz, milordzie, poproszę pana i pańską matkę o opuszczenie pokoju. To potrwa najwyżej kilka minut. Chciałbym też, żeby została tu jedna ze służących.

Pierce kiwnął pani Meeks głową na znak, że to ona pomoże medykowi, po czym gestem ręki wskazał matce drzwi. Zanim jednak wyszli, doszedł ich głos Eden.

- Czy mogłabym dostać jedną z moich sukien? - spytała nieśmiało.

Pierce popatrzył na panią Meeks.

- Są jeszcze za mokre, panienko, żeby je zakładać, ale Betsy

może znajdzie coś, co by na panienkę pasowało... - Urwała niepewnie, po czym spojrzała na lady Penhollow, nie wiedząc, jak daleko może się posunąć w swojej szczodrości.

- Jestem pewna, że coś się znajdzie - powiedziała matka Pierce'a ostrym tonem i wyszła z sypialni.

- Wyślę Betsy, żeby rozejrzała się za czymś odpowiednim - zapewniła pani Meeks. - Znajdziemy coś ładnego, a potem przyniesiemy panience herbatę i grzanki. Nie zaszkodzi jej to, prawda doktorze?

- Herbata i grzanki? Oczywiście, że nie! - odparł, rozkojarzony. Z czarnej torby wyciągnął małą, zakorkowaną butelkę i dużą łyżkę. - A tymczasem podam jej rycynę. Doskonale działa na organizm - zapewnił medyk.

- Rycynę? - wykrztusiła Eden.

- A jakże. To najlepsze lekarstwo na świecie - odparł doktor Hargrave, nalewając gęstą ciecz na łyżkę. Betsy dygnęła i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Eden zwróciła na Pierce'a błagalne spojrzenie.

- Rycyna nie przejdzie mi przez gardło.

- To tylko parę kropeł - zapewnił doktor Hargrave.

- Nie mam... - zaczęła Eden, ale zanim zdołała dokończyć swoją wypowiedź, medyk włożył jej do ust łyżkę z lekarstwem.

Przez chwilę Eden siedziała z wybałuszonymi oczami i ustami pełnymi rycyny. Spojrzała na Pierce'a z przerażeniem.

- Najlepsze lekarstwo na świecie - przypomniał jej lekkim tonem.

W odpowiedzi gniewnie zmarszczyła brwi.

- Niech panienka to połknie - poradziła jej pani Meeks. - Nic innego z tym się nie da zrobić.

Eden posłusznie uczyniła to, krzywiąc się niemiłosiernie. Wyglądałaby nawet dość komicznie, gdyby nie to, że jej złość nie była udawana. Skosztowanie cudownego leku doktora Hargrave'a nie należało do przyjemności.

- Powiem Betsy, żeby posmarowała grzanki dżemem - powiedział Pierce pojednawczo i wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Matka czekała na niego na korytarzu.

- Ta dziewczyna nie pamięta, co się z nią stało? - spytała, nie kryjąc sceptycyzmu.

- Tak twierdzi. - Pierce skierował wzrok na portret jednego z swoich przodków, wiszący na ścianie.

- Może powinniśmy ją wysłać do wikarego. Niech on się nią zaopiekuje.

Te słowa wyrwały Pierce'a z zadumy. Odwrócił się do matki.

- Wykluczone. Zostanie u nas. - Tu mógł ją chronić.

- To nierozsądne. Nie wiemy, kim jest. Nie powinniśmy jej tu trzymać.

- Mamo, panna Eden potrzebuje naszej pomocy.

Lady Penhollow odsunęła się od syna i przypatrzyła mu się nieufnie.

- Czyżby?

Pierce prychnął, zirytowany.

- Chyba nie sądzisz, że została rozbitkiem z własnej woli? To byłoby niedorzeczne.

- Nie o to chodzi! Po prostu sędzę, że wikary lepiej się nią zaopiekuje. - Uniosła dłoń, nie pozwalając mu dojść do słowa. - Rozumiem, dlaczego ją tu przyniosłeś i cieszę się, że tak właśnie postąpiłeś. Z drugiej strony, popełniłabym poważne zaniedbanie, gdybym nie wyraziła swoich obaw.

- Obaw co do czego?

Matka splotła ręce na brzuchu.

- Pierce, zrozum, my, kobiety, jesteśmy obdarzone intuicją. Wyczuwamy rzeczy, które dla mężczyzn pozostają ukryte. I ta właśnie intuicja mówi mi, że panna Eden nie jest tym, kim się wydaje.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu to czuję. Ot, na przykład: jest zbyt piękna i zbyt dobrze się wysławia jak na kogoś, kto został znaleziony w dryfującej łodzi.

I za bardzo spodobała się twojemu synowi, pomyślał cynicznie Pierce. Jego matka doskonale potrafiła manipulować ludźmi. Czasami zastanawiał się, czy nie dlatego ojciec ją opuścił.

- To niewinna dziewczyna, która potrzebuje naszej pomocy - powiedział cicho.

- Może i tak - zgodziła się matka. - Z drugiej strony, która szanująca się młoda kobieta urządzałyby sobie przechadzki po ogrodzie w samej koszuli nocnej?

Pierce zacisnął pięść.

- Zdezorientowana młoda kobieta. Taka, która przebudziwszy się nie wiedziała, gdzie jest ani dlaczego.

- Tak, tak, masz rację, ale... - Zawiesiła dramatycznie głowę i wzruszyła ramionami. - Nic nie poradzę na to, że się martwię. W końcu jestem twoją matką. Po prostu zastanawiam się, czy postępujemy słusznie.

Pierce patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

- Ona zostanie. - Skrzyżował ręce na piersi na znak, że to jego ostatnie słowo.

Betsy, schowana w korytarzu za rogiem, podsłuchiwała całą rozmowę. Kiedy lord Pierce utarł nosa swojej matce, służąca odtńczyła taniec zwycięstwa i popędziła do kuchni, by opowiedzieć pozostałym, co widziała i słyszała.

4

Eden słyszała podniesione głosy dobiegające zza drzwi, ale nie mogła rozróżnić poszczególnych słów. Była jednak pewna, że to z jej powodu rozpętała się kłótnia między lordem Pierce'em a jego matką.

Eden od razu wyczuła, że lady Penhollow nie darzy jej sympatią... i wiedziała, skąd bierze się ta nieskrywana niechęć. Trudno było bowiem nie zauważyć, że uratowana dziewczyna i lord wyraźnie mają się ku sobie, a to matce Pierce'a wcale się nie podobało.

Eden nigdy jeszcze nie czuła się tak w obecności żadnego mężczyzny, co mogło okazać się przeszkodą w urzeczywistnieniu jej planów co do rychłej ucieczki z tego domu. Musiała działać szybko, by uniknąć kolejnej dawki rycyny, tak cenionej przez doktora Hargrave'a!

Doktor i pani Meeks udawali, że nie słyszą, co dzieje się za drzwiami, choć Eden zauważyła, jak wymieniali znaczące spojrzenia. Doszła więc do wniosku, że ona też powinna zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku.

- Czy to boli? - spytał doktor Hargrave, uciskając palcami jej głowę i wrywając ją tym z zamyślenia. Eden skrzywiła się. - Czuje pani tego guza, prawda?

- Guza? - Eden przyłożyła dłoń do głowy. Rzeczywiście, miała guza wielkości jaja drozda. Przypomniała sobie, że uderzyła się o burtę, kiedy szalupa wpadła do oceanu.

- Boli? - spytał.

Eden potrząsnęła głową.

- Prawie tego nie poczułam.

- To dobrze - powiedział krótko, po czym usiadł przed nią na krześle. - Wygląda na to, że wszystko jest w porządku, panno Eden. Nie zauważyłem u pani żadnych większych obrażeń, poza lekkim oparzeniem słonecznym. Może to i lepiej, że wczoraj w nocy lord Penhollow nie zgodził się, żebym puścił pani krew. Przeczuwał, że sama pani dojdzie do siebie, no i tak się stało. Ale czy pozwoli pani zadać sobie jeszcze kilka pytań?

Eden spróbowała się uśmiechnąć. Wiedziała, że obecność pani Meeks przy tej rozmowie oznaczała, iż jej przebieg wkrótce będzie znany wszystkim domownikom.

- Odpowiem na wszystkie pytania, na które zdołam.

- O nic więcej pani nie proszę - powiedział doktor. Pochylił się do przodu, podsuwając binokle na grzbiet nosa. - Lord Penhollow twierdzi, że nie pamięta pani swojego nazwiska. Czy jest coś jeszcze, czego pani nie pamięta?

- Skąd mogę wiedzieć, co powinnam pamiętać, skoro tego nie pamiętam? - odpowiedziała wymijająco, wierząc się niespokojnie na krawędzi łoża.

Doktor Hargrave zamrugał oczami, po czym roześmiał się.

- Bardzo dobrze, tak, doskonale. No cóż, zobaczymy, jak się sprawy mają. Proszę mi powiedzieć, czy ma pani rodzinę?

- Nie wiem - odparła Eden zgodnie z prawdą.

- Proszę się zastanowić, panno Eden. Niech pani przeszuka wszystkie zakamarki pamięci, może coś się pani przypomni. Na pewno są ludzie, którym na pani zależy. Ktoś, kto za panią tęskni.

Eden udawała, że próbuje sobie cokolwiek przypomnieć, tak naprawdę jednak rozmyślała gorączkowo, co powinna powiedzieć. Po kilku minutach potrząsnęła głową.

- Nie, panie doktorze, nic nie pamiętam. - Był dla niej tak dobry, że paskudnie się czuła kłamiąc mu w żywe oczy. Doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie nic nie mówić, niż zdradzić się jakąś nieprzemyślaną uwagą.

Doktor Hargrave zmarmotniał.

- To niedobrze. Bardzo niedobrze. - Po czym zadał Eden masę pytań na temat jej przeszłości.

Odpowiedź na każde z nich brzmiała identycznie: „Nie wiem”. Eden czuła się głupio; była pewna, że doktor Hargrave lada chwila ją zdemaskuje, ale musiała konsekwentnie trzymać się obranej taktyki. Tylko w ten sposób mogła zachować w tajemnicy swoją prawdziwą tożsamość.

O dziwo, po każdej kolejnej odpowiedzi medyk był coraz bardziej podekscytowany.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Do sypialni weszła Betsy; przyniosła tacę.

- Ach, herbatka i grzanki - powiedział doktor Hargrave, zadowolony. - W samą porę.

Betsy postawiła tacę na stoliku przy łożu, po czym rozłożyła sukienkę, którą niosła na rękę.

- Nic lepszego nie udało mi się znaleźć - powiedziała.

- To z zeszłorocznych uniformów dla służby - wytłumaczyła przepraszająco pani Meeks. - Sukienka jest trochę znoszona, ale czysta.

- Będzie w sam raz - zapewniła ją Eden, biorąc sukienkę od Betsy. Pomyślała, że łatwiej jej będzie ukryć się przed baczynym okiem Nasima w takim skromnym stroju niż w którejś z szykownych sukien, które zabrała ze statku.

Kiedy Eden poczuła zapach świeżego chleba, z jej żołądka dobyło się głośne burczenie. Żałowała, że nie poprosiła jeszcze o jajko.

- Aha, zgłodnieliśmy - powiedziała pani Meeks, uśmiechając się ciepło.

- A, to dobry znak - stwierdził doktor Hargrave, podnosząc się z krzesła. - Ty jedz sobie spokojnie, moja droga, a ja zamienię kilka słów z lordem i lady Penhollow. - Przywołał gestem służące, by poszły razem z nim.

Gdy drzwi się zamknęły, Eden nareszcie została sama.

Odgryzła duży kęs posmarowanej masłem grzanki, ale po chwili odłożyła chleb na tacę, podeszła na palcach do drzwi i uchyliła je lekko. W szczelinie widać było tył głowy doktora i część twarzy lady • Penhollow. Lord Penhollow znajdował się poza polem wi-

dzenia. Eden osunęła się na podłogę i zaczęła nadsłuchiwać, błagając opatrność, by doktor Hargrave nie okazał się zanadto podejrzliwy.

Medyk właśnie dyskutował z lady Penhollow i jej synem.

- ...guza na głowie, co doprowadziło do utraty pamięci.

Lady Penhollow zmrużyła oczy.

- Czy wymacał pan tego guza w czasie badania?

- Tak, proszę pani. Znajduje się on po prawej stronie głowy, dwadzieścia centymetrów nad uchem. Przyczyną utraty pamięci mógł też być przeżyty szok. Nie zdarza się to często, ale istnieją udokumentowane przypadki tego rodzaju.

- Hmm - mruknęła lady Penhollow przez zaciśnięte usta.

Eden w najwyższym zdumieniu oparła głowę o framugę. Kto by pomyślał, że taka przypadłość jak utrata pamięci istnieje naprawdę? Cóż za szczęśliwy traf, że medyk doszedł do wniosku, iż spotkało ją coś takiego.

- Wiem, że to brzmi dziwacznie - zauważył doktor Hargrave - ale takie rzeczy się zdarzają. Istnieją udokumentowane przypadki ludzi, którzy zapomnieli wszystko, nawet to, jak mają na imię.

- Ale nasza pacjentka coś niecoś jednak pamięta. Czy i takie przypadki się zdarzają? - spytała lady Penhollow, unosząc sceptycznie brew.

- Tak - odparł medyk, zdejmując binokle i wycierając szkła chusteczką.

- Czy ona kiedykolwiek odzyska pamięć? - spytał lord Penhollow.

- Nie wiem - odpowiedział doktor. - Może to nastąpić za godzinę, dwie, ale jej stan może też nie ulec poprawie przez całe lata.

- Lata! - wtrąciła lady Penhollow i zwróciła się do syna: - Nie możemy tak długo jej tu trzymać!

Lord Penhollow puścił słowa matki mimo uszu.

- Czy ta przypadłość ma jakąś oficjalną nazwę?

- Mówi się na nią „amnezja”. Po powrocie do domu zamierzam poszukać wiadomości na jej temat w pismach medycznych. Rozumiem, że tymczasem chora będzie pozostawała pod waszą opieką.

- Tak - powiedział lord Penhollow.

- Ale ona przecież pamięta, jak ma na imię - protestowała lady Penhollow.

- Czasami amnezja przejawia się w taki właśnie sposób - odparł doktor Hargrave. - Kiedyś czytałem niezwykle interesujący referat o kobiecie, która dokładnie pamiętała wszystko, co wydarzyło się pięć lat wcześniej, ale nie mogła sobie przypomnieć własnego męża, za którego wyszła w owym zapomnianym przez nią okresie, ani dzieci.

Eden słuchała uważnie, by mogła przekonująco udawać chorą na tę amnezję, czy jak to się tam nazywało.

- Myśli pan, że ona może mieć męża? - spytał lord Penhollow, - I dzieci?

- Nie wiem - odparł doktor Hargrave. - Nie nosi obrączki, ale sam pan mówił, że nie miała przy sobie pieniędzy ani dokumentów, tylko ten medalion na szyi. Przez wzgląd na jej młody wiek, zbadałem ją tylko pobieżnie, ale na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że nie rodziła dzieci. Oczywiście, mogę się mylić.

- Ten medalion i suknie to jedyne wskazówki co do jej tożsamości - powiedział lord Penhollow w zamyśleniu. - Takiej garderoby nie powstydziałaby się nawet księżniczka.

- Księżniczka! Pierce, nie fantazuj - skarciła go matka.

Eden nie miała nic przeciwko takiemu porównaniu.

- Ja? Fantazuję? No cóż, jej historia rzeczywiście jest trochę jak z baśni.

- Albo z wierszyka dla dzieci - odparowała matka.

- Tak czy inaczej, wkrótce poznamy prawdę - powiedział lord Penhollow. - Wrócili już ludzie, których wczorajszej nocy rozstałem po okolicy. W Plymouth, Weymouth i Torquay nikt nie słyszał o rozbitym statku. Nikt też nie zgłosił zaginięcia żony, siostry czy córki.

- Kto by pomyślał? - rzuciła lady Penhollow głosem pełnym sarkazmu i nachyliła się do syna. - Zaprowadź ją na plebanię. Nie możesz już nic dla niej zrobić.

Pierce uciał jej narzekania zdecydowanym gestem ręki.

- Moja decyzja jest nieodwołalna. Dziewczyna zostanie z nami, dopóki nie odnajdziemy jej bliskich.

Lady Penhollow najeżyła się, ale nie wszczęła kłótni z synem.

- Dobrze więc - powiedziała. - Skoro chcesz robić z siebie głupca, proszę bardzo. Panie doktorze, pozwoli pan, że odprowadzę go do drzwi.

Medyk podążył spojrzeniem za oddalającą się lady Penhollow, po czym zwrócił wzrok na Pierce'a. Przesunął się bliżej drzwi, zasłaniając Eden widok.

- Przykro mi, jeśli diagnoza, którą postawiłem, przysporzyła ci kłopotów.

Lord Penhollow potrząsnął głową.

- To nie twoja wina, Horace. Wiesz, jaka ona jest.

- Tak. - Doktor Hargrave zamyślił się na chwilę. - Mimo to, przepraszam.

Lord Penhollow nie odpowiedział.

Nie mając już nic do dodania, doktor szybkim krokiem ruszył w ślad za lady Penhollow.

Eden usiadła na podłodze, rozmyślając o scenie, która rozegrała się na jej oczach. Bezwiednie pchnęła drzwi, by je zamknąć i ku swojemu zaskoczeniu uzmysłowiła sobie, że coś je blokuje.

Podniosła głowę. Jej oczom ukazały się błyszczące czarne buty... Spojrzała wyżej. Lord Penhollow stał niedbałe oparty o framugę i przytrzymał dłońią drzwi.

Eden zerwała się na równe nogi. Została przyłapaną na gorącym uczynku. Myślała, że spali się ze wstydu, ale szybko wzięła się w garść.

- Chciałam prosić o więcej herbaty - zaryzykowała.

W jego oczach migotały wesołe ogniki. Doskonale wiedział, co robiła przed chwilą.

- Przekażę pani życzenie służącym.

- Dziękuję panu. - Zaczęła zamykać drzwi, ale on przytrzymał je dłońią.

- Nie mam pani za złe tego, że interesuje panią nowe otoczenie, panno Eden... ale mam nadzieję, że nie bierze pani do siebie słów mojej matki. Ona ma niemiły zwyczaj wyciągania pochopnych wniosków i mówienia nieprzemyślanych rzeczy. Nie należy się w tym doszukiwać głębszego znaczenia.

- Wątpię...

Hrabia otworzył szerzej drzwi i wśliznął się do środka. Wydawało

się, że wypełnia sobą cały pokój. Kiedy Eden podniosła na niego oczy, jej serce zabiło mocniej. Stali tuż obok siebie, ale ona nie mogła się ruszyć, cofnąć choćby o krok.

Pierce zamknął drzwi; nie puszczał klamki.

- Nie chcę, żeby pani się martwiła. Tutaj jest pani bezpieczna... a jeśli odzyska pani pamięć i przypomni sobie, jakie dramatyczne okoliczności skłoniły ją do ryzykowania życia w tej małej łódce, proszę się do mnie zwrócić. Zapewniam, że nie dopuszczę, by stała się pani jakakolwiek krzywda.

Eden spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich swoje odbicie.

- A jakże miałabym się panu odwdziżyć?

To pytanie zbiło go z tropu. Gdy w pełni dotarło do niego znaczenie jej słów, odetchnął głęboko, a jego oczy straciły blask. Odsunął się i natychmiast przybrał bardziej oficjalny ton.

- Panno Eden, jeżeli wyraziłem się niejasno i odniosła pani wrażenie, że oczekuję od niej czegośkolwiek, proszę o wybaczenie. Moja propozycja jest całkowicie bezinteresowna.

Czar prysnął i Eden szybko cofnęła się o krok. Przez długą chwilę szukała odpowiednich słów.

- Przepraszam. Zachowałam się grubiańsko - wykrztusiła wreszcie.

Nie odpowiedział od razu, tylko wpatrywał się w nią. Eden miała wrażenie, że jego wzrok sięga w głąb jej duszy. W obronnym geście skrzyżowała ramiona na piersi.

- Pragnę też podziękować panu za uratowanie mi życia - powiedziała. - Niewielu ludzi byłoby stać na takie poświęcenie dla kogoś obcego.

- Każdy Kornwalijszycy postąpiłby tak samo na moim miejscu. Tutaj troszczymy się o swoich pobratymców.

- Mimo wszystko, nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków, zwłaszcza że uprzedził mnie pan, iż tak właśnie postępuje pańska matka.

Ich oczy spotkały się na chwilę... i wtedy on zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego - uśmiechnął się. Jego uśmiech był lekko łobuzerski. Eden, zauroczona, stała jak wmurowana w ziemię.

- Idę o zakład, panno Eden, że pani ostrożność bierze się z doświadczenia. Na pewno nieraz miała pani do czynienia

z mężczyznami, którzy tracili głowę w obliczu piękna, jakim los panią obdarzył.

Nie pierwszy raz prawiono jej komplementy, ale nikt jeszcze nie czynił tego tak otwarcie. Gdyby w tej chwili Pierce otworzył ramiona, natychmiast rzuciłaby mu się na szyję.

On jednak zmienił temat.

- Dopilnuję, by przyniesiono pani dzbanek herbaty. Może później, kiedy już pani się ubierze, mógłbym oprowadzić panią po Penhollow Hall? Doktor Hargrave mówił nam, że na razie nie powinna pani się przemęczać, ale dodał, że trochę ruchu na pewno nie zaszkodzi.

- Może wybralibyśmy się na spacer po ogrodzie?

Na jego usta znów wypłynął uśmiech.

- Z prawdziwą przyjemnością pokażę pani mój ogród, ale najpierw proszę sobie trochę odpocząć. Przyjdę po panią, powiedzmy, za godzinę, dobrze? Może być?

Eden tylko skinęła głową; na widok jego uśmiechu odjęło jej mowę.

- Dobrze więc. - Otworzył drzwi. - Do zobaczenia - dorzucił i wyszedł.

Eden osunęła się na krzesło stojące obok łóżka. Nogi miała jak z waty. Jej puls bił tak mocno, jakby przebiegła spory dystans. Co takiego miał w sobie lord Penhollow, że jeden jego uśmiech wystarczył, by zasiać w jej głowie taki zamęt?

Och, doskonale wiedziała, że ten uśmiech to nie wszystko. Lord Pierce odznaczał się wytwornością, jaką dotychczas znała tylko z kart książek. Był jak Lancelot i Gawajn jednocześnie. Bohater walczący za słuszną sprawę... rycerz w błyszczącej zbroi, którego tak bardzo potrzebowała. Eden nie miała jednak sumienia obarczać swoimi problemami ani jego, ani dobrych ludzi z Penhollow Hall.

Nasim i Gadi będą jej szukać. Być może nawet wrócą do Londynu i poproszą madame Indrani o pomoc - a Eden panicznie bała się jej gniewu. Przede wszystkim musiała zachować trzeźwość umysłu i znaleźć bezpieczne schronienie w miejscu, w którym nikomu nie przyjdzie do głowy jej szukać.

Popiła grzankę i ubrała się. Betsy przyniosła przyobiecany dzbanek herbaty i coś, co sprawiło Eden dużą radość - buty.

- Nie wiem, jaki panienka nosi rozmiar, więc wybrałam na oko - powiedziała służąca. - Mogą być ździebko za duże, ale do chodzenia się nadają. Panienki bucików nie dało się naprawić, słona woda doszczętnie je zniszczyła.

Eden przymierzyła czarne skórzane buty na płaskiej podeszwie. Wyglądały dość siermiężnie, ale pasowały.

- Są w sam raz. Dziękuję - powiedziała.

Betsy miała taką minę, jakby chciała zostać jeszcze i poplotkować, ale Eden wolała się jej pozbyć, więc wysłała ją z wiadomością do lorda Penhollowa.

- Proszę mu powiedzieć, że postanowiłam dłużej odpocząć i zrezygnowałam ze spaceru.

- Dobrze, panienko. - Betsy dygnęła i szybkim krokiem ruszyła w głąb korytarza.

Eden zaniknęła drzwi. Nie miała chwili do stracenia.

Żal jej było zostawiać sztywne suknie, ale nie wiedziała, w jaki sposób niepostrzeżenie wykraść je z pralni. Doszła do wniosku, że będą one formą zapłaty dla lorda Penhollow za uratowanie jej życia. Zresztą, suknie mogłyby jej nawet utrudnić ucieczkę; gdyby próbowała je sprzedać, łatwiej byłoby ją wytropić.

Zbliżało się południe. Eden wyszliźnęła się do ogrodu i przystanąła. W pełnym słońcu kwiaty wydawały się jeszcze jaśniejsze i bardziej kolorowe niż poprzednio.

Było tu tak pięknie i tak spokojnie. Eden mimowolnie musnęła palcami medalion, który dostała na pożegnanie od Mary. W jej duszy obudziła się dziwna tęsknota za czymś, czego nie mogła mieć, skłaniająca ją do pozostania - ale nie mogła sobie na to pozwolić. Jeśli chciała odzyskać wolność, musiała uciec jak najdalej od wybrzeża.

Odwróciła się od ogrodu i z wysoko uniesioną głową ruszyła przez trawnik w stronę sosnowego lasu, w nadziei, że nikt jej nie zauważy. Na skraju lasu spojrzała przez ramię na szare mury Penhollow Hall. Nikt nie próbował jej zatrzymać.

Po raz kolejny poczuła pokusę, by zostać tu już, na zawsze.

Ale nie mogła tego zrobić. Odwróciła się i nie zauważona wśliznęła do lasu.

Do tej pory Eden widziała drzewa iglaste tylko w ogrodach.

Tutaj rosły w swoim naturalnym środowisku. Ich pnie były ogromne, a tu i ówdzie długie gałęzie ocierały się o ziemię, przysypaną pomarańczowymi igłami, tłumiącymi wszelkie dźwięki. Nie słychać było nawet śpiewu ptaków.

Eden zawahała się. Pojedyncze promienie słońca z trudem przedzierały się przez korony drzew. Jakże inaczej było tutaj niż w pełnym kolorów ogrodzie! Wydawało się, że trafiła do jakiegoś innego świata.

Ostrożnie ruszyła naprzód po wilgotnym poszyciu. Nie uszła kilkunastu kroków, kiedy do jej uszu dobiegł skrzekliwy głos:

- Ten las został posadzony dwieście lat temu, by osłaniać Penhollow Hall przed wiatrem od morza.

Eden krzyknęła, odwróciła się na pięcie - i w pierwszej chwili pomyślała, że wzrok płata jej figle.

Pod kopułą z gałęzi siedziała stara kobieta o zamglonych niebieskich oczach. Miała na sobie ręcznie utkana burą szatę, a jej twarz przecinały głębokie zmarszczki. Gęste siwe włosy upięte były na karku staruszki. Przed nią na ziemi leżał wielki brązowy wór.

Przez chwilę Eden była święcie przekonana, że stara kobieta jest wytworem jej wyobraźni, postacią z dawno zapomnianych baśni, w których roіło się od trolli i elfów.

Nieznajoma wstała, wspierając się na lasce. Kiwnęła głową w stronę taboretu na trzech nogach, na którym do tej pory siedziała.

- Muszę go wszędzie nosić ze sobą. Nie mogę już tak dużo chodzić jak kiedyś. Od czasu do czasu muszę odpocząć.

Eden zamknęła usta.

- Przepraszam, czy pani mówi do mnie?

Starucha zmarszczyła brwi.

- A do kogoż innego miałabym mówić, moja droga? Jesteśmy tu tylko ty i ja... aha, ty gdzieś idziesz. Można wiedzieć, gdzie?

- Wiesz, kim jestem? - spytała Eden.

Kobieta odsłoniła dziąsła w uśmiechu.

- A ty wiesz, kim ja jestem? - odpowiedziała pytaniem.

Eden cofnęła się o krok, po czym doszła do wniosku, że ta rozmowa nie ma żadnego sensu i postanowiła kontynuować swoją wędrówkę. Opuściwszy głowę, ruszyła przed siebie, kiedy stara kobieta krzyknęła:

- Stój!

Eden zatrzymała się w pół kroku.

- Nie uciekniesz przed swoim przeznaczeniem. - W ciszy zalegającej las słowa te zabrzmiały złowrogo.

Eden odwróciła się.

- Kim jesteś?

- Jestem wdową Haskell, moja droga. Czekałam na ciebie.

Wdowa Haskell... kobieta, którą Betsy nazwała czarownicą.

- Na mnie? Przecież mnie nie znasz.

- Mylisz się, Eden.

- Skąd wiesz, jak mam na imię?

- Widziałam, jak przybyłaś. To ja cię tu wezwałam. Wszyscy na ciebie czekaliśmy.

Eden poczuła, że robi jej się zimno.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Oczywiście, że nie wiesz. Ale nie mogę pozwolić ci uciec. Jeszcze nie. Twój los jest związany z tym miejscem.

W sercu Eden zbudził się lęk. Czyżby została zdemaskowana?

- Co wiesz o moim losie i o mnie?

Wdowa oparła się ciężko na lasce.

- Wiem, że nie możesz nas jeszcze opuścić. Dopiero co się tu zjawiłaś i musisz czekać, aż sztuka dobiegnie końca.

- Sztuka? O czym ty mówisz? Nic nie wiem o żadnej sztuce.

- Oczywiście, oczywiście, moje dziecko, ale mimo to odgrywasz w niej ważną rolę. I musisz zostać aż do ostatniego aktu.

- Nie mogę tu zostać - wyznała szczerze Eden.

Wdowa podniosła taboret.

- Nie będę się z tobą spierać, Eden. Twój los jest nieodwołalnie związany z tym miejscem. Nie wiem tylko, czy jesteś na tyle odważna, by wyjść mu na spotkanie?

- Poszukują mnie pewni ludzie. Nie mogę pozwolić, by mnie znaleźli.

- Zamierzasz więc przez całe życie uciekać?

Eden dotknęła medalionu, który dostała od Mary.

- Nie mam wyboru.

- Wszyscy mamy wybór, Eden. Każdy z nas. Jedno ci powiem: nie znajdziesz mężczyzny lepszego niż lord Penhollow. Zostałaś tu przysłana dla niego i on zapewni ci bezpieczeństwo.

- Przecież on nic o mnie nie wie.

Starucha uśmiechnęła się łagodnie.

- Wybór należy do ciebie. - Włożyła taboret do wora. Potem zarzuciła wór na plecy, odwróciła się i poszła w głąb lasu.

Eden ruszyła za nią.

- Zaczekaj! Chcę się czegoś dowiedzieć. Dlaczego powiedziałaś, że zostałam tu przysłana? W jaki sposób lord może zapewnić mi bezpieczeństwo? Co takiego wiesz, czego ja nie wiem?

Ale wdowa szła dalej.

- Proszę! - krzyknęła Eden.

- Odwagi - padła ledwo słyszalna odpowiedź. Po kilku sekundach stara kobieta zniknęła wśród drzew.

Odwagi. *Obyś miała dość odwagi, aby odzyskać wolność.* Tak brzmiały słowa Mary.

Eden zacisnęła medalion w dłoni. Odwagi.

Nie wiedziała, co dalej robić, w jej umyśle kołatały się dziesiątki pytań, ale w głębi duszy pragnęła wierzyć słowom wdowy, mimo że rozsądek ostrzegał ją, iż nie istnieje nic takiego jak los czy przeznaczenie. Nie dla dziewcząt urodzonych w londyńskim rynsztoku. Nie dla niewolników, którzy uciekli swoim panom.

Z drugiej strony, mężczyźni rzeczywiście mogli zapewnić bezpieczeństwo w zamian za pewne usługi... a każda kobieta mogłaby mówić o szczęściu, gdyby zaopiekował się nią ktoś taki jak lord Penhollow.

Eden odwróciła się w stronę Penhollow Hall. Promienie słońca przedzierające się przez gałęzie sosen zdawały się wskazywać drogę w kierunku, z którego przyszła.

Los.

Powoli, niemal nieświadomie, skierowała kroki w stronę Penhollow Hall, ponieważ choć raz w życiu pragnęła uwierzyć.

Niedługo potem u Willisów rozegrała się scena, która tegoż dnia niemal dokładnie powtórzyła się w domostwach wszystkich okolicznych rodzin szlacheckich, w których były córki na wydaniu. Oto pani Willis, ubrana w szlafrok, bez pukania wpadła do sypialni

męża. Miała potargane włosy i nie dokończony makijaż. Jej mąż, który z reguły wstawał dość późno, smacznie spał.

- Mężu mój, obudź się natychmiast! Stało się coś strasznego! - Szarpnęła go mocno za ramię.

Pan Willis niemrawo podniósł się na łokciu.

- Co, stajnie się pała?

- Nie, to coś gorszego!

Dopiero wtedy szerzej otworzył oczy.

- Coś gorszego?- powtórzył z niedowierzaniem. Odrzucił pościel i mrużąc oczy popatrzył na żonę spod szlafmycy. - O co chodzi, gołąbeczko? Czy umarł król i musimy koronować tego cymbała regenta? A może Napoleon znów czmychnął i szykuje się do inwazji na Kornwalię?

Pani Willis usiadła na łożu męża.

- Lord Penhollow wybrał sobie narzeczoną.

Wreszcie udało jej się rozbudzić jego zainteresowanie.

- Narzeczoną! Penhollow? To stało się dość nagle, nieprawdaż? A co z naszą Wiktoria?

- No właśnie! Co z naszą kochaną córeczką? - dramatyzowała pani Willis. - Serce jej pęknie... a już zaczynałam mieć nadzieję. Zawsze był dla niej taki uprzejmy. Zachowywał się jak dżentelmen w każdym calu. Na pewno z czasem zainteresowałby się nią. Teraz czuję się zdradzona. Zdradzona, Bóg mi świadkiem! - Zniosła się płaczem.

Pan Willis wygramolił się z łoża. Miał na sobie koszulę sięgającą za kościste kolana. Wsunął stopy w kaptcie.

- To niedorzeczne! Przedwczoraj widziałem się z lordem. Gdyby się zaręczył, powiedziałyby mi o tym. Masz jakiś dowód, że to zrobił?

Pani Willis donośnie wysmarkała się w cienką koronkową chusteczkę.

- Powiedziała mi o tym moja garderobiana, która usłyszała o tym od kucharki, a ona z kolei dowiedziała się o wszystkim od kuzynki, którą odwiedziła w wiosce. Co więcej... - Ostatnie słowa wypowiedziała z naciskiem, żeby broń Boże mąż nie oskarżył jej o rozpowszechnianie plotek. - ...żeby się upewnić, zapytałam o to pokojówkę z dołu, a ona wszystko potwierdziła. Powiedziała też,

że w Hobbles Moor wszyscy wiedzą, że przyjechała narzeczona lorda. Podobno przebywa z gościna w Penhollow Hall.

Pan Willis osunął się na łożo obok żony.

- No cóż, nie spodziewałem się, że Penhollow tak się pospieszy. Zawsze wydawał mi się niezwykle rozważnym młodym człowiekiem. Jesteś pewna, gołąbeczko?

- Czy służący rozpuszczaliby takie plotki bez powodu?

- Nie, oczywiście, że nie. - Przez chwilę nie odzywał się, po czym westchnął ciężko. - Nie możemy nic zrobić. Pozostaje nam życzyć mu szczęścia.

- Nie możemy nic zrobić? - Pani Willis zerwała się na równe nogi. - Nie zamierzam poddać się bez walki. Penhollow jest zbyt dobrą partią.

- Ale cóż zrobisz, gołąbeczko?

Pani Willis żwawym krokiem podeszła do drzwi.

- Sama obejrzę tę kobietę! - oznajmiła podniosłym tonem. - Masz rację, mój drogi. To stało się zbyt szybko. Gdyby Pierce Penhollow zamierzał się ożenić, jego matka powiedziała by mi o tym. Muszę zobaczyć tę „narzeczoną” na własne oczy!

Z tymi słowy pomknęła do swojej sypialni, by dokończyć poranną toaletę.

5

Lady Penhollow siedziała w miękkim fotelu, stojącym w jej ulubionym pokoju - Sali Ogrodowej. Okna wychodzące na ogród były pootwierane i z oddali dobiegał plusk wody w fontannie, który to dźwięk zwykle działał na matkę Pierce'a kojąco. Ale nie dzisiaj.

Lady patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, rozmyślając z przerażeniem o tym, jakie konsekwencje może mieć fakt, że Pierce zadurzył się w tej nieznajomej dziewczynie.

Nie, ostrzegł ją głos wewnętrzny, to nie jest zwykłe zadurzenie.

To jest ta dziewczyna, na którą wszyscy czekali.

Przyszła synowa lady Penhollow...

Podpowiadał jej to matczyny instynkt. Pierce spotykał się w swoim życiu z wieloma kobietami, ale żadnej z nich nie okazywał tyle ciepła, co tej nieznajomej dziewczynie.

Traktował ją już niemal jak swoją własność, jakby to, że uratował jej życie, czyniło go osobiście za nią odpowiedzialnym. Nie skrywał rozczarowania, kiedy Betsy przekazała mu wiadomość, że panna Eden chce sobie odpocząć i w związku z tym nie pójdzie z nim na spacer. I zamiast wrócić do swojego gabinetu czy zająć się swoimi sprawami, zaczął krążyć z nachmurzonym czołem po korytarzu prowadzącym do pokoju dziewczyny.

Gdyby lady Penhollow wierzyła w przesady, powiedziałyby, że ta panna Eden rzuciła urok na jej zazwyczaj rozsądnego i spokojnego syna.

Skarciła się w duchu za to, że chodzą jej po głowie takie głupie myśli. Panna Eden była niezwykle piękna i tyle. Każdy mężczyzna zwróciłby uwagę na jej wdzięki... choć jak dotąd sama uroda nie wystarczyła, by Pierce zainteresował się jakąkolwiek kobietą, pomyślała z niepokojem lady Penhollow. W końcu przedstawiła mu całą masę dziewcząt dorównujących pannie Eden pod tym względem i nie przyniosło to żadnego efektu.

Dlaczego więc był tak zafascynowany tą dziewczyną?

Lady Penhollow kochała swojego syna i chciała, by się ożenił. Jego powinnością było zapewnienie ciągłości rodu i nadszedł czas, by się o to zatroszczył.

Ale żona Pierce'a powinna być spokojną, uległą młodą kobietą - taką, która nie zażyczy sobie, by matka Pierce'a wyprowadziła się z Penhollow Hall.

Lady Penhollow nie chciała spędzić ostatnich lat życia w samotności. Doskonale zdawała sobie sprawę, że mimo tytułu, wciąż była tylko Annabelle Longstead, córką majątnego rzeźnika. Jej posag już dawno przepadł i oprócz syna nie miała na tym świecie nikogo. Chciała zostać w Penhollow Hall, bawić wnuki i znów słyszeć dziecięcy śmiech niosący się po korytarzach tego ponurego kornwalijskiego pałacu.

Co się z nią stanie, jeśli Pierce poślubi tę pannę Eden?

Wczorajszej nocy czuwał przy niej aż do przyjazdu doktora Hargrave'a, a potem nawet posprzeczał się z nim na temat proponowanej kuracji. Oczywiście, medyk nie powinien był wdawać się w spór z Pierce'em. Lord Penhollow miał żelazną wolę i niewielu ludzi śmiało w czymkolwiek mu się sprzeciwić.

Lady Penhollow wiedziała też, że jednym z powodów, dla których syn zwlekał z ożenkiem, był nieudany związek jego rodziców. Małżeństwo budziło u Pierce'a złe skojarzenia, ale to nie powód, by miał zenić się z obcą kobietą o niewiadomym statusie społecznym!

W tej chwili z zamyślenia wyrwał ją lokaj Rawlins.

- Lady Penhollow, przyszła pani Willis, a także lady Baines oraz lady Danbury. Czy mam je wpuścić?

- Tak, oczywiście. Niech Lucy przyniesie jakiś poczęstunek. Ciastka i ratafię, jeśli ją mamy. Aha, i jeszcze herbatę dla pani Willis. Bardzo ją lubi.

- Dobrze, proszę pani. - Skłonił się i wyszedł.

Lady Penhollow ucieszyła się z przybycia przyjaciółek. Zjawiły się w odpowiedniej chwili. Właściwie były jej przyjaciółkami od niedawna. Upłynęło sporo czasu, zanim kornwalijska śmietanka towarzyska przyjęła w swoje szeregi Annabelle, hrabinę na Penhollow. *Zresztą doskonale zdawała sobie sprawę, że jej pozycja w dużej mierze zależy od syna, który cieszył się ogólną sympatią i szacunkiem.*

Na pewno przyjaciółki zapomniałyby o niej, gdyby mieszkała sama, we wdowim domu.

Po chwili do pokoju lekkim krokiem weszła Millie Willis.

- Annabelle! Piękny dziś poranek, nieprawdaż? Kto by pomyślał, że dwa dni z rzędu będziemy mieli tak cudowną pogodę? Wydawałoby się, że jesteśmy w Londynie. - Pani Willis nie znosiła życia na wsi i przy każdej okazji snuła długie opowieści o stolicy. Słuchając ich, lady Penhollow często zastanawiała się, czy jej przyjaciółka rzeczywiście kiedykolwiek była w Londynie, ale nigdy nie odważyła się zapytać o to wprost.

- Jak to dobrze, że tu jesteście - powiedziała lady Penhollow. - Służąca zaraz przyniesie herbatę i ratafię. Mam nadzieję, że napijecie się ze mną,

- Och, ależ oczywiście - odparła pani Willis, zdejmując rękawiczki, po czym uśmiechnęła się do Betsy, która właśnie przyniosła serwis do herbaty. - Zawsze podobał mi się ten pokój, Annabelle.

- Tak, to także mój ulubiony - włączyła się do rozmowy lady Baines i usiadła na kozetce. Lady Danbury, najtęższa z całej czwórki, spoczęła obok niej.

Podczas gdy Betsy przygotowywała zastawę na stoliku, przyjaciółki prowadziły rozmowę na błahe tematy; szczególnie zainteresowały je ostatnie osiągnięcia lady Penhollow na polu szydełkowania.

- Wychodząc zamknij dobrze drzwi - powiedziała lady Penhollow, kiedy Betsy skończyła.

- Tak, proszę pani.

Ledwie za służącą zamknęły się drzwi, pani Willis zwróciła wykrzywioną gniewem twarz ku lady Penhollow.

- Pamiętam, to w tym pokoju godzinami zastanawialiśmy się,

jak połączyć nasze dzieci małżeńskim węzłem. Annabelle! Nie spodziewałam się po tobie takiej bezdusznosci. Jak mogłaś pozwolić, byśmy dowiedziały się o wszystkim od służących? Dlaczego sama nam nie powiedziałaś?

- O czym? - spytała lady Penhollow. Spojrzała na lady Baines i lady Danbury, które także patrzyły na nią z nieskrywaną dezaprobatą. - Przepraszam, czy coś się stało?

- Ach, nie, nic się nie stało - powiedziała pani Willis fałszywie słodkim głosem, po czym dodała przez zaciśnięte zęby: - Nic poza tym, że twój syn się żeni!

- Co proszę? - krzyknęła lady Penhollow, ale pani Willis jej nie słuchała.

- Wiesz, że Wiktoria, odkąd skończyła szkołę, świata poza nim nie widzi.

- To prawda, to prawda- przytaknęła lady Baines, biorąc herbatnika. Drugiego podała lady Danbury.

- Chwileczkę. - Lady Penhollow podniosła ręce na znak, że chce coś powiedzieć. - O czym wy mówicie? - Obejrawszy się dodała: - Ale proszę, rozmawiajmy trochę ciszej. Wiecie, że służba lubi podsłuchiwać.

- Wiem o tym doskonale - powiedziała oschle pani Willis. - Obawiam się jednak, że nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Podobnie jak Letycja i Emilia. - Usłyszawszy swoje imiona, lady Baines i lady Danbury pospiesznie odłożyły ciastka na talerz.

Pani Willis podeszła do drzwi.

- Przyszłam tu tylko po to, żeby dać wyraz swojemu oburzeniu. Kto to widział, żeby jedna z twoich najlepszych przyjaciółek musiała z drugiej ręki dowiadywać się o zaręczynach twojego syna?

- Zaręczynach...? - wykrztusiła lady Penhollow.

Pani Willis wyszłaby w tej chwili z pokoju, gdyby nie to, że lady Penhollow stanęła jej na drodze.

- Millie, nie było żadnych zaręczyn- powiedziała.

- Naprawdę? - spytała pani Willis, sceptycznie unosząc brew.

- Ależ oczywiście - powiedziała lady Penhollow. - Mój syn nie jest z nikim zaręczony. Wciąż jest do wzięcia.

Pani Willis cofnęła się o krok.

- Tak mówisz? - Zerknęła przez ramię na lady Danbury i lady

Baines, które słuchoły uważnie. Spojrzała na lady Penhollow. - Może oskarżyłam cię zbyt pochopnie. Wygląda na to, że musimy porozmawiać.

- Masz całkowitą rację, moja droga - zgodziła się lady Penhollow. Zaczekała, aż jak zawsze nieobliczalna pani Willis usiądzie, po czym zajęła miejsce na kozetce obok lady Baines. Lady Danbury spoczęła przy talerzu z ciastkami.

- Co za dzień - westchnęła lady Penhollow. - Nie macie pojęcia, jak zagmatwało się moje życie. Kto wam naopowiadał takich rzeczy?

Pani Willis zmarszczyła brwi. Wyglądała na nieco zawstydzoną.

- Nie jestem pewna.

- Ale gdzieś musiałyście o tym usłyszeć - nie ustępowała lady Penhollow.

- Ja dowiedziałam się o tym od pokojówki - przyznała lady Danbury.

- *A ja od mleczarza, który o wszystkim powiedział naszej kucharce* - powiedziała lady Baines.

- Nieważne, kto mi o tym mówił - burknęła pani Willis. - W każdym razie ta wiadomość dotarła do mnie podobnymi kanałami.

Lady Penhollow pomasaowała skronie koniuszkami palców. Zaczynała ją boleć głowa.

- Słowo daję, ci wieśniacy z Hobbles Moor doprowadzą mnie do szaleństwa.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Annabelle?- spytała pani Willis.

Lady Penhollow opuściła rękę.

- Oni wszyscy są po jej stronie. Wyczytałam to w twarzach pani Meeks i Betsy. Nawet kucharka dziwnie zareagowała, kiedy powiedziałam coś o tej kobiecie. Są tak przesądni, że pewnie uznali ją za królową Kornwalii czy kogoś takiego.

- O jakiej kobiecie mówisz? - spytała lady Baines, przesuając się na skraj kozetki.

- O tej, którą mój syn wyciągnął wczoraj z wody.

- Cóż to za historia? - spytała pani Willis.

Lady Penhollow pokrótce zrelacjonowała przebieg wydarzeń.

- Straciła pamięć? - zdziwiła się pani Willis.

- Tak. Doktor Hargrave nazywa ten stan amnezją. Jak dotąd, przypomniła sobie tylko, że ma na imię Eden. Dziwaczne imię, nieprawdaz?

- Prawie bluźniercze - przytaknęła lady Baines.

- Pogańskie - odparła lady Penhollow - ale trafne. Obawiam się, że ta kobieta może owinąć sobie mojego syna wokół palca.

- Doprawdy? - spytała z niedowierzaniem pani Willis. - A zawsze wydawał mi się taki rozważny.

- Jest w niej coś takiego, jakaś taka bezbronność, która sprawia, że w moim synu budzi się instynkt opiekuńczy - odparła gospodyni.

Lady Danbury i pani Willis uważnie wsłuchiwały się w każde słowo lady Penhollow, lady Baines natomiast wyglądała na zainteresowaną czymś zupełnie innym. Przyzwyczajona do roztargnienia przyjaciółki, lady Penhollow nie zwracała uwagi na jej zachowanie, dopóki z ust lady Baines nie padło pytanie:

- Czy ta kobieta ma idealną sylwetkę, gładką skórę i gęste, kręcone czarne włosy?

- Tak, rzeczywiście. I zielone oczy. Jak kot. Miałaś okazję ją spotkać, Letycjo? - spytała lady Penhollow.

- Nie, ale wydaje mi się, że to właśnie ona w tej chwili przechadza się po ogrodzie.

Trzy panie jak na komendę odwróciły się do okna. Lady Penhollow osłupiała, gdy zobaczyła, jaka zmiana zaszła w wyglądzie panny Eden. Kiedy ją ostatnio widziała, dziewczyna wydawała się ładna, owszem, ale zachowywała się jak ranny wróbel, nieśmiała, wylękciona.

. A kobieta w ogrodzie swoim wyglądem zapierała dech w piersiach. Jakimś cudem zdołała zabrać z pralni jeden ze swoich strojów. Suknia ta, uszyta z zielonego jedwabiu, miała podniesioną talię i głęboki dekolt. Kształtne piersi panny Eden przesłaniał tylko kawałek koronki, a suknia, podkreślająca idealną sylwetkę dziewczyny, dopasowana była kolorem do jej pięknych oczu.

Lśniące włosy Eden upięte były na czubku głowy i przewiązane wstążką. Wydawało się, że gdyby pociągnąć ją odpowiednio, włosy opadłyby na ramiona w lubieżnym nieładzie.

- Jest bardzo... ładna. - Lady Danbury pierwsza przerwała milczenie. Skan i przerobienie pona.

Cztery kobiety patrzyły przez okno na intruza, który mógł udaremnić plany lady Penhollow i pani Willis dotyczące przyszłości ich dzieci. Pewnym krokiem, nie rozglądając się na boki, panna Eden przeszła przez ogród ścieżką, zakręcającą za róg domu.

- Ciekawe, dokąd się wybiera - burknęła pani Willis.

- Owszem - przytaknęła lady Danbury. - Zupełnie jakby kogoś szukała.

Na chwilę zapadła cisza.

- Mojego syna - powiedziała wreszcie lady Penhollow.

- Co? - spytała pani Willis.

- Ta ścieżka prowadzi do stajni... Ona szuka Pierce'a - stwierdziła, coraz bardziej przerażona. - Wystroiła się na spotkanie z moim synem!

Lady Penhollow odwróciła się; gdyby nie to, że pani Willis złapała ją za rękę, popędziłaby do stajni.

- Annabelle, nie ośmieszaj się.

- Ja się ośmieszam? Widziałaś, jak ona wygląda? - spytała lady Penhollow z rozpaczą w głosie. - Pierce spojrzy na nią i do reszty straci głowę! Wtedy wszystko weźmie w łeb!

- Tak, ale jeśli teraz pobiegiesz do stajni, nie tylko niczego nie zmienisz, ale wręcz pchniesz swojego syna w objęcia tej kobiety.

- Chcę go ochronić...

- Annabelle, twój syn jest mężczyzną i z pewnością nie życzy sobie twojej ochrony. Nie zaskarbisz sobie w ten sposób jego wdzięczności.

- No to co mam zrobić? Nie mogę pozwolić, by ta kobieta go zdobyła.

- Może to dziedziczka wielkiej, fortuny - powiedziała lady Baines. - Wtedy wszystkie twoje obietnice okażą się bezpodstawne.

Trzy przyjaciółki spojrzały na nią z oburzeniem.

Lady Baines przełknęła ślinę.

- Chciałam tylko poprawić Annabelle humor.

Pani Willis spiorunowała ją gniewnym wzrokiem.

- Ale czy panna Eden nie zamierza wkrótce wyjechać? Przecież nie możecie jej tu wiecznie trzymać - zauważyła lady Danbury.

Lady Penhollow potrząsnęła głową.

- Pierce rozesłał wczoraj ludzi po okolicy, by dowiedzieli się,

czy ostatnio zatonął w pobliżu jakiś statek albo zaginęła jakaś kobieta. Wrócili tego ranka bez żadnych wiadomości. Pierce zamierza wysłać ich, by zasięgnęli języka raz jeszcze, ale obawiam się, że panna Eden zostanie z nami jeszcze bardzo, bardzo długo. On chce, żeby mieszkała tutaj, dopóki nie wróci jej pamięć.

- Chwileczkę! Mam pomysł - oznajmiła pani Willis.

- Jaki? - spytała lady Baines.

- Będziemy ją ignorować - powiedziała zimno pani Willis. - Doprowadzimy do tego, że Pierce sam zrozumie, że ta kobieta jest dla niego nieodpowiednia. Albo tak jej uprzykrzymy życie, że to ona odczepi się od niego.

- Ale jak mamy to zrobić? - spytała lady Danbury.

Cztery przyjaciółki spojrzały po sobie. Pierwsza odezwała się pani Willis.

- Wiem! Urządźmy przyjęcie. Powiemy, że to na jej cześć. Pierce przekona się, że ona nie potrafi znaleźć się w towarzystwie i sam dojdzie do wniosku, że jest dla niego nieodpowiednia. No i nie będzie nas o nic podejrzewał.

Lady Baines spojrzała sceptycznie na ogród.

- Nie jestem pewna, czy to się powiedzie. Ta dziewczyna naprawdę jest niezwykle piękna.

- Ach, Letycjo, nie bądź taką pesymistką - powiedziała pani Willis. - Mężczyźni biorą sobie za żony kobiety, które mają im do zaoferowania coś więcej niż tylko urodę. Inaczej tancerki operowe byłyby księżniczkami! Ta kobieta nie ma rodziny ani majątku. - Pani Willis parsknęła śmiechem. - I nie ma pamięci! Pierce jest zbyt dumny i rozsądny, by marnować swój tytuł szlachecki na kogoś takiego.

- Obyś miała rację - powiedziała lady Penhollow.

- Oczywiście, że mam - odparła pani Willis. - A teraz chodźcie tu bliżej. Musimy wszystko dokładnie zaplanować.

Betsy sapnęła z oburzeniem. Stała z uchem przy dziurce od klucza w drzwiach do Sali Ogrodowej. Podniosła oczy na panią Meeks i Rawlinsa, którzy stali tuż za jej plecami.

- Nie uwierzycie, co one knują! - wyszeptwała.

- Co takiego? - spytała pani Meeks.
- Mówią, że panienka Eden nie jest odpowiednia dla lorda Pierce'a. - Betsy powtórnie przystawiła ucho do dziurki od klucza i zaczęła nasłuchiwać. - Zamierzają wydać przyjęcie, na którym lord zobaczy, że panienka nie potrafi znaleźć się w towarzystwie. Poza tym powiedzą swoim mężom, żeby rozmówili się z nim. Oni dadzą mu do zrozumienia, że nie może ożenić się z byle kim.

Wyprostowała się.

- Głupi arystokraci. Czy oni nic nie rozumieją? Lord Penhollow już jest w niej zakochany.

- Jak to możliwe? - spytał Rawlins.

- Działa na niego Czar - odparła zdecydowanie Betsy. - Jest mu pisane ożenić się z panienką Eden. Nic na to nie poradzi.

Pani Meeks załamała ręce.

- Czary nie czary, te kobiety zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby do tego ślubu nie doszło.

- No to musimy pokrzyżować im plany, dobrze mówię? - powiedział Rawlins.

Betsy i pani Meeks spojrzały ze zdumieniem na zazwyczaj mrukliwego lokaja.

- Ma pan coś na myśli, panie Rawlins? - spytała Betsy.

- Gdzie jest teraz panna Eden?

- Wysłałam ją w kierunku stajni. Tam jest lord Penhollow - powiedziała Betsy i mrugnęła porozumiewawczo.

- No cóż, jeśli te kobiety mogą potajemnie snuć swoje plany, możemy robić to i my - stwierdził lokaj. - Co powiecie na to, żeby kontynuować naszą dyskusję w kuchni?

Na twarzy Betsy wykwitł szeroki uśmiech.

- Myślę, że to doskonały pomysł.

6

Na stajennym dziedzińcu panowała cisza po pracowitym poranku. Kowal Dane właśnie skończył podkuwać konie i zbierał narzędzia, szykując się do powrotu do oddalonego o milę Hobbles Moor. Był potężnie zbudowanym mężczyzną o łysej, wielkiej głowie. W okolicy niewielu znalazłoby się śmiałków, gotowych stanąć z nim w szranki.

Większość stajennych siedziała w cieniu stajni, zajęta naprawianiem uprzęży, a reszta wykonywała inne prace wyznaczone przez Jima, który był ich przełożonym. Jim był tak niski, jak Dane wysoki, i razem tworzyli dość interesującą parę bliskich przyjaciół. Dane rzadko się odzywał, a Jimowi usta się nie zamykały. Każdego wieczoru wpadali do miejscowego pubu na kufelek piwa i marny byłby los tego, kto przeszkodziłby im w rozmowie, ponieważ w razie jakiegokolwiek scysji jeden natychmiast stawał w obronie drugiego.

Na szczęście dla Pierce'a, wobec niego zawsze byli lojalni. On sam niezmiernie ich podziwiał. To oni nauczyli go wszystkiego, co wiedział o koniach, a w dodatku kilkakrotnie zastąpili mu ojca.

W tej chwili Pierce miał okazję sprawdzić swoje umiejętności w praktyce. Właśnie oglądał najnowszy nabytek, gniadą klacz, należącą wcześniej do jednego z sąsiadów.

- Piękna jest - powiedział do Jima.

Jim prychnął.

- Za dużo pan za nią dał.
- Może i tak, ale Royster Blackburn wiedział, że od razu wpadła mi w oko. Poza tym, za każdego żrebaka, którego będzie miała z Królem Kornwalii, wezmę dwa razy tyle, ile zapłaciłem.
- A zarobiłby pan jeszcze więcej, gdyby zapłacił dwa razy mniej - odparował Jim. Pierce pochylił się i pogładził klacz po lśniąącym grzbiecie.
- Jest warta tych pieniędzy - stwierdził. - Poza tym, jest wysoka i silna. - Nachylony, podziwiał jej szeroką klatkę piersiową. - Ale nie chcę, by Król od razu ją pokrył. Dajmy jej pół roku. Nie ma pośpiechu. A co myślisz o tym zadrapaniu? - Wskazał ręką ledwo widoczną ranę na kolanie klaczy. - Chyba się o coś otarła. Lepiej posmarujmy zadrapanie tą maścią, którą robi twoja żona. Swoją drogą, mogłaby wreszcie dać mi przepis - zasugerował, jak zwykle, kiedy, rozmowa schodziła na ten temat.

Jim nie odpowiedział, ale Pierce nie zwrócił na to uwagi. Pogładził klacz po pysku.

- Imię do niej pasuje. Aksamitna. Piękna jesteś, wiesz, maleńka? - powiedział pieszczotliwie do klaczy, która na znak wdzięczności trąciła go lekko pyskiem.

Pierce parsknął śmiechem i obejrzał się na Jima.

- Wstawimy ją do... - Urwał w pół zdania, zdając sobie sprawę, że Jim go nie słucha, tylko wpatruje się w coś szeroko otwartymi oczami. Zresztą, nie on jeden. Dane stał jak wryty w ziemię, a stajenni podnieśli się ze stołków, porzuciwszy naprawiane uprzęże. Wszyscy jak zauroczeni patrzyli na coś, co znajdowało się za plecami Pierce'a.

Zaciekawiony, odwrócił się i z wrażenia aż otworzył usta.

Na ścieżce prowadzącej do domu stała Eden, spowita w słońcu. Wyglądała jak ucieleśnienie kobiecego piękna. Miała na sobie zieloną jedwabną suknię, podkreślającą jakże ponętne kształty. Oczy Eden zdawały się błyszczeć, a włosy były tak ufryzowane, aby podkreślić idealny owal twarzy i łabędzią szyję. Pierce zacisnął pięść, marząc o tym, by rozwiązać wstążkę utrzymującą te piękne włosy na czubku głowy i patrzeć, jak opadają w lokach na...

Otrząsnął się z tych myśli.

- Panno Eden - powitał ją, dziękując w duchu opatrności, że

jego głos zabrzmiał normalnie, choć być może drżał nieco bardziej niż zwykle. Pierce żałował, że nie ma na sobie surduta i halsztuka; po raz pierwszy w życiu zapragnął wyglądać jak hrabia pełną gębą.

Panna Eden nie wyglądała jednak na niezadowoloną z jego wyglądu.

- Lordzie Penhollow - powiedziała niskim, melodyjnym głosem, który w uszach Pierce'a zabrzmiał słodko niczym pieśń syreny.

Uprzytomniwszy sobie, że wokół stoi wielu gapiów, Pierce szybkim krokiem podszedł do Eden. Zniżył głos.

- Bardzo mi przyjemnie. - Wziął Eden za rękę. Nie miała na sobie rękawiczek; jej dłoń była taka ciepła. Schylając się, by złożyć na niej pocałunek, Pierce nie mógł nie zwrócić uwagi na głęboki dekolt sukni dziewczyny, choć piersi zasłonięte były kawałkiem strategicznie umieszczonej koronki.

Eden lekko ścisnęła go za rękę.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w pracy - powiedziała. - Wybrałam się na spacer i ścieżka tu mnie doprowadziła.

- Cóż za szczęśliwy traf - odparł, prostując się. Nie mówił tego z grzeczności.

Nie odpowiedziała, ale domyślił się, że wyczuła pożądanie w jego głosie, jako że spłonęła rumieńcem, a jej sutki uwydatniły się na zielonym jedwabiu stanika.

Ogarnęła go dzika żądza. Pragnął przyłgnąć ustami do tych wzgórków, zsunąć suknię z ramion Eden i przycisnąć tę dziewczynę do siebie, tutaj, w świetle słońca... i mógłby przysiąc, że w jej zielonych oczach także pojawił się błysk pożądania.

Aksamitna zarżała cicho, wrywając go z zadumy. Zdając sobie sprawę, że ciągle trzyma Eden za rękę, puścił ją i obejrzał się. Zauważył, że w oczach Jima i Dane'a pojawiło się zaciekawienie. Cofnął się o krok.

Eden dostrzegła spojrzenie, które rzucił na stajennych, i również poszła parę kroków w tył, w stronę drzew - gałęzie zwisały nad ścieżką, zapewniając schronienie przed oczami wścibskich.

- Powinien pan być dumny ze swojego ogrodnika, milordzie - powiedziała uprzejmie, jakby zapomniała, że przed paroma sekundami omal nie spłonęli z pożądania. - Pański ogród to najpiękniejsze miejsce na ziemi.

Jej podziw był tak szczery, że Pierce wyjawiał tajemnicę, którą poza nim znało zaledwie kilka osób.

- Właściwie to ja sam posadziłem wszystkie te rośliny, chociaż teraz opiekują się nimi ogrodnicy.

- Pan to wszystko zasadził? Róże? I te klomby? - Potrząsnęła głową. - Nigdy nie pomyślałabym, że mężczyzna mógłby założyć taki ogród. Jest pan artystą, milordzie. Kocha pan piękno. - Dotknęła jego ręki. Było to zaledwie muśnięcie, ale przeniknęło go do głębi.

- Zacząłem sadzić kwiaty, kiedy miałem trzynaście lat. Pomażało mi w tym kilku miejscowych z Hobbles Moor. Założyłem ten ogród dla mojego ojca.

- Ojca? Czy on też lubił pracować w ogrodzie?

Na samą myśl o tym Pierce o mało co nie wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie był ogrodnikiem. Wtedy już ciężko chorował. Kiedy byłem dzieckiem, ojciec prawie cały czas mieszkał w Londynie, więc ucieszyłem się z jego powrotu. Oczywiście, wtedy nie mógł już jeździć konno, łowić ryb czy robić innych rzeczy, które mi sprawiały frajdę. Oddychał z takim trudem, że nie był nawet w stanie wejść po schodach na piętro. Dlatego urządziliśmy mu pokój na parterze. To ten, który pani obecnie zajmuje.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

- Cierpiał na suchoty?

- Tak. - Pierce wolałby tego nie pamiętać. Gdyby chodziło tylko o suchoty, nie byłoby źle. Jednak matka szybko odkryła, że ojciec choruje też na syfilis i życie w Penhollow Hall stało się piekłem. Pierce pamiętał po dziś dzień zażartą kłótnię rodziców w sypialni ojca. On wtedy był tuż za drzwiami i pieliał jeden z klombów. Pieliał... bo pragnął, by ojciec był z niego zadowolony, ale cały wysiłek poszedł na marne.

Ojciec ani razu nie wspomniał o ogrodzie.

Eden dotknęła go znowu, tym razem lekko muskając palcem grzbiet jego dłoni.

- Nie był dobrym ojcem, prawda?

Pierce milczał. Nie docenił tej dziewczyny. Była o wiele bardziej przenikliwa, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Dobrze znała się na ludziach, nie ma co. Uśmiechnął się z przymusem.

- Miał swoje zwyczaje.
- Ale pan był dobrym synem, skoro został takim człowiekiem.
- Jakim? - zapytał, nie mogąc oprzeć się pokusie.

Na jej twarzy ukazał się uśmiech.

- Szlachetnym.

Spodobało mu się to określenie.

Jej palce znów musnęły jego rękę.

- Nie powinien pan niczego żałować. Ludzie są samolubni. Zawsze robią, co chcą, bez względu na konsekwencje.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Czasami konsekwencje okazują się warte wysiłku.

Ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Czasami - odparła.

W ciszę wdarło się głośne chrząknięcie Jima. Czar prysnął.

- Czy ten koń ma tu stać całe popołudnie, milordzie? - spytał.

Pierce postąpił krok do tyłu. Jego oczom ukazali się Jim i Dane, uśmiechnięci niczym dwie stare swatki. Nawet stajenni szczerzyli radośnie zęby.

- Nie chcielibyśmy przeszkadzać w tym małym *tete-a-tete* - powiedział Jim, zniekształcając francuskie słowa swoim kornwalijskim akcentem.

Pierce spojrział na niego spode łba, ale stajenny przybrał minę niewiniątka. Dane zlitował się nad lordem i szturchnął Jima pięścią pod żebro.

Eden nie zareagowała na te dobronudzne docinki. Weszła na dziedziniec przed stajnią.

- A więc to jest ta najsłynniejsza stadnina w Anglii - powiedziała i obdarzyła stajennych tak promiennym uśmiechem, że nawet Jim wyglądał, jakby odjęło mu mowę. - Betsy opowiadała mi o niej. Mówiła, że macie tu najpiękniejsze konie w całej Anglii.

Jim dumnie wyprężył pierś.

- Święta prawda - oznajmił, a wszyscy stajenni przytaknęli mu skwapliwie. - Sama panienka zobaczy, zaraz przyprowadzimy tu Króla!

- Króla? - zdziwiła się Eden. - Zna pan króla, milordzie?

Nie czekając na odpowiedź Pierce'a, Jim krzyknął do jednego ze stajennych, by poszedł po Króla Kornwalii.

- I zaprowadź tę klacz do jej boksu - nakazał drugiemu.
- Król Kornwalii to mój ogier - wyjaśnił Pierce.
- Piękniejszego konia nie ma w całej Anglii- oświadczył Jim. - Dobrze mówię, Dane?

- A jakże- przytaknął kowal, choć dotychczas ta kwestia wywoływała ich gorące spory. Po chwili zazwyczaj mrukliwy Dane uczynił coś, co zupełnie do niego nie pasowało. Oto, ku zaskoczeniu wszystkich, zrobił krok do przodu i powiedział, niemal z entuzjazmem: - Czy wie pani, że w żyłach lorda Pierce'a płynie królewska krew? Dokładnie, króla Artura. Penhollow Hall stoi na fundamentach Kamelotu. - Poczerwieniał i cofnął się za plecy Jima.

Zaintrygowana Eden spojrzała na Pierce'a błyszczącymi oczami.

- Podobno połowa Anglików wywodzi swój rodowód od Artura, milordzie. Czy jest pan jednym z nich?

- Jeśli na tę połowę składają się Kornwalijczycy, to owszem - odparł Pierce, po czym dodał z uśmiechem: - Z drugiej strony, do tego zaszczytu poczuwa się co najmniej trzech innych lordów kornwalijskich. Oczywiście, tylko ja jestem prawdziwym potomkiem króla Artura.

- A skąd pan to wie, milordzie?

- Ponieważ Artur był Celtem, a z czterech pretendentów tylko ja jeden jestem na tyle przystojny, by wywodzić się od Celtów.

W oczach Eden zamigotały wesołe ogniki. Stajenni zanieśli się rubasznym śmiechem.

- Od Celtów, powiada pan? - spytała. - Chodzi o tych małych człowieczków w wilczych skórach?

- Myśli pani, że w wilczej skórze byłoby mi nie do twarzy? - spytał, na pozór obrażony.

- Nie, po prostu nie mogę sobie wyobrazić pana jako małego człowieczka - powiedziała, mile łechcąc jego próżność. Stajenni wybałuszili oczy. - Chociaż jestem w stanie wyobrazić sobie pana z twarzą pomalowaną na niebiesko przed bitwą.

- Na niebiesko? - spytał z udawanym oburzeniem.

- Z drugiej strony - ciągnęła - gdzieś czytałam, że Artur był Walijczykiem.

Pierce przyciągnął ją do siebie i rozejrzał się na obie strony,

jakby zamierzał jej zdradzić jakąś tajemnicę i chciał się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje.

- Proszę nigdy nie mówić takich rzeczy w Hobbles Moor! Ci ludzie szczycą się swoją przeszłością i gotowi są o nią walczyć.

- Nie wątpię, że stanąby pan w mojej obronie- odparła pewnym głosem.

Pierce przez chwilę udawał, że głęboko się zastanawia nad jej słowami.

- Nie jestem pewien, czy mogę zapewnić pani bezpieczeństwo, panno Eden. W końcu sama pani stwierdziła, że nie wyglądałbym dobrze z twarzą pomalowaną na niebiesko.

Eden wybuchnęła radosnym śmiechem, którym z miejsca oczarowała wszystkich zebranych na dziedzińcu stajni.

- No to zmienię zdanie - obiecała. - Od tej pory będę twierdzić, że najlepiej byłoby panu w niebieskich malunkach.

Nagle otworzyła szerzej oczy i cofnęła się o krok. Na dziedzińcu wkroczył stajenny, prowadzący Króla Kornwalii. Był wspaniałym jablońskim koniem, wysokim i potężnie zbudowanym. Wystarczył rzut oka, by zauważyć, że w żyłach tego pięknego rumaka płynie krew dumnych arabów.

Za ogierem biegły dwa wielkie wilczury i mały terier. Ujrawszy Pierce'a, psy popędziły ku niemu, ale ich uwaga zaraz skoncentrowała się na nieznajomej kobiecie.

Gdy zaczęły ją obwąchiwać, Eden pogłaskała je odruchowo, nie odrywając oczu od Króla Kornwalii.

- Jest wspaniały - wyszeptała.

Pierce pogładził pięknego konia po pysku. Kiedy zabrał rękę, Król trącił go delikatnie w bok, domagając się dalszych pieszczot.

- Widzi pani, choć wygląda tak imponująco, zachowuje się jak kociak. Proszę go pogłaskać.

- Wolę go podziwiać z daleka - odparła. Pierce zauważył, że Eden odczuwa lęk. Kolejna wskazówka co do jej przeszłości: nie miała do czynienia z koźmi. Z psami także nie spoufalala się zbyt, ograniczając się do poklepywania ich po grzbiecie.

- Proszę tu podejść, panno Eden - nakazał cicho.

- Dlaczego, milordzie? - spytała, marszcząc brwi.

I niełatwo zdobyć jej zaufanie, pomyślał Pierce. To spostrzeżenie również mogło okazać się ważne.

- Bo panią o to proszę - odparł.

Zacisnęła usta i przez chwilę Pierce sądził, że odmówi... ale w końcu podeszła do niego.

- Czegóż więc pan sobie życzy, milordzie?

Pierce przytrzymał Króla za uzdę.

- Proszę go pogłaskać. On nie zrobi pani krzywdy.

Eden spojrzała niepewnie na Jima.

- Niech się pani nie boi - powiedział. - Jeśli ma pani tu mieszkać, musi się pani przyzwyczaić do koni.

Pierce nachmurzył się, usłyszawszy te słowa. O ile wiedział, Eden wcale nie miała zamieszkać w Penhollow Hall. Jednak nie zwrócił stajennemu uwagi.

Eden podniosła oczy na Pierce'a.

- Nie miałam wiele do czynienia z końmi.

- I nigdy nie jeździła pani konno, prawda? - spytał, patrząc jej w oczy.

Eden nieznacznie potrząsnęła głową.

- Nie.

Pierce doznał rozczarowania. A jednak ta piękna dziewczyna nie była ideałem. Nic nie wiedziała o koniach.

W tej chwili Król przejął inicjatywę. Pochylił łeb i trącił pyskiem kosmyk włosów opadający na ramię dziewczyny.

Eden aż podskoczyła. Pierce położył jej dłoń na ramieniu, próbując ją uspokoić.

- On tylko chce się pobawić. Nic pani nie zrobi. Chce, żeby go pani pogłaskała.

Ich spojrzenia spotkały się i Eden powoli, ostrożnie, podniosła rękę. Kiedy musnęła palcami pysk konia, w jej oczach pojawiło się zdumienie.

- Podoba mu się to.

- Typowy mężczyzna - powiedział Jim. - Kiedy coś idzie wbrew jego woli, jest uparty i zły, ale gdy okaże mu się trochę czułości, robi się potulny jak baranek.

Stajenni zachichotali. Dane wymierzył Jimowi kolejnego kuksańca.

- No, niech pani go pogłaszcz po szyi - namawiał ją Pierce. Było dla niego bardzo ważne, aby polubiła tego konia. - Uwielbia być podziwiany. Tylko proszę uważać na jego kopyta. Jeśli nadeptnie pani na nogę, to ją zmiążdży.

Król poruszył się i Eden zrobiła krok do tyłu. Potem ostrożnie wyciągnęła rękę i pogładziła konia po szyi.

- To niesamowite. Czuję, jak mu się napinają mięśnie. Nigdy w życiu nie widziałam piękniejszego konia.

- Już parę lat temu był najszybszym wierzchowcem w Kornwalii - powiedział Pierce z dumą. - A teraz jest w dodatku najzmyślniejszy. Jim, daj mi tę czerwoną chustę, którą masz na szyi. Pokażemy panie Eden, co Król potrafi. - Wcisnął chustę za pas tak, żeby na zewnątrz wystawał tylko jeden poszarpany róg. Następnie odwrócił się i ruszył przed siebie.

Koń w lot pojął, czego się po nim oczekuje. Podbiegł do Pierce'a i wyciągnął mu chustę z za pasa.

Następnie uczynił coś, co zaskoczyło nawet Pierce'a: odwrócił się i podszedł do Eden. Potrząsnawszy łbem, podał jej chustę; dziewczyna okazała się na tyle odważna, że wyciągnęła mu ją z pyska.

- Ten koń z każdym dniem jest coraz mądrzejszy. - Jim odebrał Eden swoją chustę.

- Tak, tylko patrzeć, jak wygryzie cię ze stanowiska - odparł Dane z kamienną twarzą. Stajenni wybuchnęli śmiechem.

Eden pogładziła konia po czole.

- Dziękuję - szepnęła.

W duszy Pierce'a znów obudziło się dziwne uczucie, że z tą kobietą łączy go jakaś więź. To samo pomyślał, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

- Podbiła pani kolejne serce - powiedział, podchodząc do niej. Prawdę mówiąc, podbiła wiele serc. Wszyscy stajenni patrzyli na nią cielejącymi oczami; nawet ten stary byk Jim i ponury, milczący Dane nie oparli się jej urokowi.

- Kolejne? - Spojrzała na niego spod długich, czarnych rzęs i dopiero wtedy dotarło do niego, co powiedział.

Cóż, nie mógł temu zaprzeczyć. Wmawiał sobie, że czuje się odpowiedzialny za tę dziewczynę i to wszystko, ale nie był już pewien, czy rzeczywiście tak jest.

- Nie powinna się pani przemęczać - powiedział. - Pozwoli pani, że ją odprowadzę do domu.

- Nie chcę jeszcze wracać. Dzień jest tak piękny, że szkoda go tracić.

- To prawda. Przez te mgły nigdy nie wiadomo, jakiej pogody się spodziewać - wtrącił Jim. - Może się zdarzyć, że jutro nie będzie się widziało własnej ręki.

Jeden ze stajennych przytaknął skwapliwie. Pierce pomyślał, że wolałby porozmawiać z Eden na osobności, niż przy kilkunastu wścibskich świadkach.

- Czy ma pani dość sił na krótki spacer?

Jej promienny uśmiech wystarczył mu za odpowiedź.

- Jim, wyprowadzimy Króla na pastwisko.

- Dobrze, milordzie.

Pierce skinął głową.

- Idziemy, Królu - powiedział. Koń posłusznie ruszył za nim, niczym dobrze wytresowany pies.

Pierce i Eden szli żwirowaną ścieżką, prowadzącą na ogrodzoną łąkę na tyłach stajni. Z boku znajdował się spory staw, po którym pływały szare kaczki. Po brzegu kołyszącym krokiem przechadzała się, groźnie posykując, biała gęś.

- Proszę na nią uważać - ostrzegł Pierce. - Jest gruba, kapryśna i w następnym Boże Narodzenie trafi na nasz stół.

Jakby na potwierdzenie tych słów, gęś wyciągnęła szyję i zasyzczała na intruzów. Eden roześmiała się, zaskoczona, i szybko schowała się za plecami Pierce'a.

Psy, które wiedziały już, dokąd zdąża ich pan, popędziły przodem. Król natomiast był dość niesforny. Co chwila trącał Pierce'a w plecy, jakby go popędział.

- Zawsze jest taki niecierpliwy? - zainteresowała się Eden.

- Tylko wtedy, kiedy idzie na pastwisko - odparł i dał Królowi lekkiego klapsa. - Lubi sobie pohasać.

- Czy to Jim pomógł panu nauczyć Króla Kornwalii tych sztuczek? - spytała.

- Nie, zrobiłem to sam. Wtedy Jim jeszcze tu nie pracował. To było dawno, zanim mój ojciec wrócił chory do domu. - Słowa spłynęły z ust, nim Pierce zdążył się zastanowić nad tym, co mówi.

Zatrzymał się. Eden także przystanęła.

- Co się stało, milordzie?

Przez chwilę patrzył na nią, na jej delikatne rysy, na mądre oczy.

Nigdy dotąd z nikim nie rozmawiał o swojej przeszłości, ale w tej chwili poczuł pokusę, by zwierzyć się Eden ze wszystkiego. Lepiej, żeby od razu poznała całą prawdę, niż tak jak jego matka usłyszała ją po kawałku z ust różnych ludzi.

- Mój ojciec był zapalonym hazardzistą- powiedział bez ogródek. - Któregoś dnia przyjechał posłaniec z Londynu. Przywiózł ze sobą Króla Kornwalii, tyle że wtedy nie wyglądał on tak dobrze jak teraz. Był wychudzonym, zaniedbanym żrebakiem. Ojciec wygrał go w karty. Nawet tego nie pamiętał, bo lubił sobie wypić. - Pogłaskał Króla po szyi. - Od razu wiedziałem, że to niezwykły koń. Ale ważniejsze było to, że znalazłem w nim przyjaciela, którego w tamtym czasie bardzo potrzebowałem. Po śmierci ojca postanowiłem przygotować tego konia do wyścigów. Pamiętam, jak galopowałem na nim po tych łąkach. Czasami wydawało mi się, że fruniemy. Powiedziałem Dane'owi o moich zamiarach, a on wysłał mnie do Jima, który wtedy pracował w stadninie u jednego z moich sąsiadów. Nie mogłem płacić mu tyle, ile dotychczas zarabiał, ale on stwierdził, że praca u mnie to dla niego zaszczyt. - Pierce uśmiechnął się lekko. - W końcu jestem potomkiem legendarnego Artura.

- Oni naprawdę w to wierzą? - spytała. Było to raczej stwierdzenie faktu niż pytanie.

- Oczywiście. Gdybym pomalował sobie twarz na niebiesko, byłiby wniebowzięci.

Ku jego zadowoleniu, Eden uśmiechnęła się.

- Między nami mówiąc - ciągnął Pierce - okazało się, że przecucie co do Króla mnie nie zawiodło. W całej Anglii nie było konia, który by nas prześcignął - powiedział z dumą. - A teraz zjeżdżają się tu właściciele koni z całej Europy ze swoimi klaczami. Chcą mieć po nim żrebięta. - Otworzył bramę na pastwisko. - No, Królu, droga wolna.

Wielki rumak ruszył kłusem przed siebie, po czym zerwał się do galopu. Psy popędziły za nim, szczekając donośnie, ale nie mogły dotrzymać mu tempa.

Pierce oparł się o ogrodzenie.

- Nie wolno nam już krzyżować koni czystej krwi z arabami i zgłaszać ich do wyścigów. Król Kornwalii jest w trzech czwartych arabem. Jeszcze przez długie lata niewiele koni będzie w stanie dorównać mu siłą i szybkością, stąd cieszy się taką popularnością jako ogier.

Eden jednak nie patrzyła już na Króla Kornwalii, tylko na Pierce'a.

- A więc, milordzie, miał pan nietypowe dzieciństwo jak na hrabiego.

- Dlaczego pani tak sądzi? - spytał.

- O ile wiem, hrabiowie nieczęsto zwracają się do kowali o poradę. Czy mam rację?

Ta kobieta była cholernie spostrzegawcza. Pierce poruszył się niespokojnie. Z drugiej strony, sam otworzył tę puszkę Pandory.

- Ojciec nie był dobrym graczem. Umierając zostawił nas bez grosza przy duszy. I prawdą jest, że nie zostałem wysłany do szkoły ani na uniwersytet, jak moi rówieśnicy. Pobierałem nauki w domu.

- Z tego, co widzę, teraz nieźle się panu powodzi.

- Udało mi się odbić od dna. Wyłącznie dzięki ciężkiej pracy - dodał niemal wyzywająco. - Nie jestem londyńskim fircykiem czy choćby... - Wzruszył ramionami, niepewny, jak mówi się teraz w Londynie. - ...to znaczy, chyba nie czułbym się dobrze w klubie Almacka. - Parsknął śmiechem. - Nie nadaję się do tych klubowych kręgów dyskusyjnych. Za to tutaj, w Kornwalii, ludzie muszą się ze mną liczyć. To, że mam trochę pieniędzy w banku, dodaje mi prestiżu - powiedział z ironicznym uśmiechem.

Eden położyła dłoń na jego ręce i spojrzała mu w oczy.

- Uważam, że jest pan dżentelmenem w każdym calu - powiedziała z przekonaniem. - Nie każdy na pana miejscu uratowałby życie obcej osobie.

- Postąpiłem tak, jak postąpiłby każdy Kornwalijszyk.

- Jest pan zbyt skromny. Niewielu jest na tym świecie ludzi takich jak pan.

W jej oczach widać było takie uwielbienie, że Pierce mógłby wpatrywać się w nie przez resztę życia. Ogarnęła go pokusa, by

wziąć Eden w ramiona i przysiąc, że pozabija dla niej masę smoków i do końca życia będzie ją chronił od wszelkiego zła...

Wiedział, że to byłoby idiotyczne. Zrobił krok w tył. Nigdy dotąd nie oddawał się fantazjom, ale przy Eden zdarzało mu się to zadziwiająco często.

- Nie jestem ideałem - powiedział prawie ze złością. - Mój dziadek ze strony matki był rzeźnikiem. Dorobił się sporej fortuny na handlu. Miał głowę na karku i chciał, by jego córka nosiła tytuł szlachecki, więc jej go kupił. Moi rodzice pobrali się z wyrachowania. Ja jestem owocem tego małżeństwa.

Eden oparła się o ogrodzenie.

- Czyli nie dość, że pański ojciec nie miał szczęścia w grach hazardowych, to jeszcze małżeństwo pańskich rodziców było nieudane.

Pierce skinał głową i przeniósł spojrzenie na konia, pasącego się na łące.

- Moi rodzice nienawidzili się, a kiedy ojciec przehulał cały majątek, zrobiło się jeszcze gorzej. Nawet teraz przy mojej matce lepiej o nim nie mówić. Nie należy też wspominać o jej kupieckich korzeniach.

- Ale dla pana to nie ma znaczenia, prawda?

Dobre pytanie. Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

- Nie uważam ani siebie, ani nikogo innego za przedstawiciela niższej klasy. Człowiek, który doszedł do czegoś własną pracą, nie powinien być uważany za kogoś gorszego.

- Czy ma pan jeszcze jakąś rodzinę?

Wiatr zaszeleścił liśćmi drzew. Po błękitnym niebie płynęły wielkie białe chmury.

- Wychowali mnie mieszkańcy Hobbles Moor. Moja matka była nieszczęśliwa i zaraz po moim przyjściu na świat zachorowała i zamknęła się w swoim pokoju. Zastąpiła mi ją pani Meeks i muszę przyznać, że miałem szczęście. To ona opiekowała się mną w czasie choroby, prowadziła mi kazania, kiedy coś zbroiłem, a jeśli akurat nie było jej w pobliżu, zastępowali ją Dane, Rawlins i cała masa innych ludzi. Nie trzeba było sprowadzać guwernera z Londynu, bo czytać nauczył mnie Samuel Cobbler, emerytowany wikary z wioski. Miejscowi rybacy z kolei wtajemniczyli mnie

w arkana żeglarstwa, a tajniki pracy w kopalni poznałem od ludzi, którzy urodzili się z łopata w ręku. Dzięki temu, czego się od nich wszystkich nauczyłem, zdołałem na nowo zapełnić skarbiec Penhollow Hall. Za pieniądze z nagród dla Króla Kornwalii otworzyłem kopalnię cyny, która od wielu lat nie była eksploatowana. Niektórzy sąsiedzi nazywali mnie szaleńcem, bo ich zdaniem tylko szaleniec podjąłby tak wielkie ryzyko. - Odwrócił się do Eden i na jego ustach wykwitł uśmiech zadowolenia. - Dzisiaj kopalnia Penhollow jest najbardziej wydajna w całej Kornwalii. Mogę też bez obaw pozwolić sobie na wypłacanie moim ludziom wysokich pensji.

Odepchnął się od ogrodzenia.

- Pytała pani, czy mam rodzinę. Mieszkańcy Hobbles Moor są moją rodziną.

Spодziewał się, że Eden wybuchnie śmiechem i uzna, jak wielu jego znajomych, że takie spoufalanie się z wieśniakami jest pozbawione wszelkiego sensu.

Ona jednak powiedziała cicho:

- Ja nigdy nie miałam rodziny. Nie miałam też wielu przyjaciół. Madame Indrani mówiła, że przyjaciele są niepotrzebni, ale ja tak nie uważam. - Musnęła dłonią złoty medalion wiszący na szyi. - Miałam jedną jedyną przyjaciółkę i ona całkowicie zmieniła moje życie.

- Kto to jest madame Indrani?

Eden patrzyła na niego w milczeniu.

- Wspomniała pani jakąś madame Indrani. A więc wraca pani pamięć. To z pewnością ktoś, kogo pani znała. Przypomina pani sobie coś jeszcze?

Eden zbladła. Pierce przestraszył się, że dziewczyna zaraz zemdleje. Wyciągnął do niej rękę, ale ona cofnęła się, potrząsając głową.

- Nie pamiętam. To nazwisko nic mi nie mówi.

Kłamała. Pierce wyczuł to od razu.

- Panno Eden...

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odwróciła się na pięcie i już chciała pobiec w stronę domu, kiedy nagle zastygła w bezruchu, a z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia.

Pierce ujął Eden za łokieć, kiedy cofnęła się w jego stronę, szukając ochrony. Ujrawszy to, co ją tak wystraszyło, uśmiechnął się.

- Witam, wdowo Haskell - powiedział.

Stara kobieta nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w Eden przenikliwym wzrokiem. Pierce położył ręce na ramionach przerażonej dziewczyny.

- Nie ma powodu do obaw - powiedział jej na ucho. - Wdowa Haskell nie zrobi pani krzywdy.

Jakby na potwierdzenie jego słów, staruszka obdarzyła Eden rzadko u niej oglądanym uśmiechem. Opierając się ciężko na lasce, podniosła wykrzywiony palec.

- Tak właśnie powinno być - powiedziała słabym, chrapliwym głosem. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i pokuśtykała ścieżką w stronę stajni.

Eden, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nieomal wisi na szyi Pierce'a, szybko wyprostowała ramiona i odsunęła się od niego.

- Wydaje mi się, że powinnam już wrócić do domu.

Pierce machnął ręką na znak, że nie należy przywiązywać wagi do słów wdowy.

- Ona jest niegroźna.

Eden ścisnęła w dłoni złoty medalion.

- Mam uczucie, że ta kobieta czyta w mojej duszy.

- Tak, no cóż, wieśniacy wierzą, że ona to potrafi. Uważają ją za czarodziejkę. Rzeczywiście, można się przestraszyć na jej widok, ale to dobra kobieta. - Wziął Eden pod rękę. - No, dość się już pani nachodziła jak na pierwszy dzień po chorobie. Odprowadzę panią do domu.

Eden tylko skinęła głową. W drodze do domu nie odezwali się do siebie ani słowem. W drzwiach powitała ich lady Penhollow.

- Mam dobre wieści - powiedziała wesoło. - Państwo Willis, nasi sąsiedzi, pragną jutrzejszego wieczoru zorganizować przyjęcie na powitanie panny Eden. Czy to nie wspaniały pomysł?

Pierce spojrzął najpierw na matkę, a potem na Eden, która wciąż miała zaszepioną minę.

- Doskonały, pod warunkiem, że nie będzie to kosztowało

panny Eden zbyt wiele sił - odparł, zwracając większą uwagę na milczącą młodą kobietę niż na własną matkę.

Na tym rozmowa się skończyła. Pierce odprowadził Eden do jej pokoju.

- Zaraz przyślę tu Betsy. Powinna pani położyć się i odpocząć. Powiem, żeby wieczorem przyniesiono pani kolację.

Eden nacisnęła kławkę.

- To miło z pana strony. - W progu przystanęła i obejrzała się na niego. - Dziękuję. To było naprawdę cudowne popołudnie - powiedziała szczerze, weszła do pokoju i zamknęła drzwi.

Pierce wpatrywał się w nie przez długą chwilę, po czym skierował kroki do swojego gabinetu.

Zadzwoił po Betsy.

- Idź do panny Eden. Dziś wieczorem nie pozwól jej wyjść z pokoju. Chcę, żeby odpoczęła.

- Dobrze, milordzie.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Betsy, Pierce wyjął pióro i atrament. „Madame Indrani”, napisał na kartce. Jutro wyśle kogoś na poszukiwanie tej kobiety... i prawie gotów był się założyć o Króla Kornwalii, że mieszka ona w jakimś dużym mieście. Przydałoby się popytać o nią w Londynie.

Eden zaciągnęła zasłony i położyła się na łóżu w zaciemnionym pokoju.

Jak mogła być tak nieostrożna i wspomnieć o madame Indrani? Nie wiedziała też, co myśleć o wdowie Haskell. Mimo słabego wzroku, staruszka zdawała się znać wszystkie tajemnice Eden, ale nie zdradziła jej przed Pierce'em. Powiedziała nawet, że lord Penhollow zostanie jej opiekunem!

Eden wiedziała, że powinna dziękować za to losowi. Lord Penhollow był inny niż wszyscy mężczyźni, z którymi dotychczas miała okazję się zetknąć. Odznaczał się niespotykaną wręcz uczciwością... i honorem.

Słuchając go przytapała się nawet na tym, że wyobraża sobie, jak to by było leżeć u jego boku i dotykać go, tak jak ją nauczono dotykać mężczyznę. Po raz pierwszy w życiu na myśl o tym, że

mogłaby coś takiego robić, czuła się jednocześnie zdenerwowana i podniecona, a jej ciało było zimne i gorące zarazem.

Usiadła prosto. Przestań, przywoływała się do porządku. -Masz na głowie inne problemy. Nie mogła wierzyć słowom wdowy Haskell, tej przesądnej czarodziejki.

Wstała z łoża i zaczęła chodzić po pokoju. Wieści o jej ucieczce z pewnością nie dotarły jeszcze do madame. Ile zatem miała czasu? Dwa dni? Nie, raczej tydzień. Zaledwie tydzień na to, żeby przygotować jakiś plan, znaleźć kryjówkę i zdecydować, w jaki sposób udobruchać madame Indrani. Na pewno będzie to ją kosztować dużo pieniędzy, co do tego nie mogło być wątpliwości.

Z drugiej strony, wdowa powiedziała, że lord Penhollow będzie ją chronił. Że zostanie jej opiekunem.

Eden usiadła na łożu. Oddanie się lordowi Penhollow nie byłoby dla niej czymś nieprzyjemnym. Obraz ich ciał splecionych ze sobą, tak, jak to widziała na własne oczy w czasie niezliczonych lekcji udzielanych jej przez madame, wręcz zapierał jej dech w piersiach. Ale czy stać go było na to, by zapłacić tak wysoką cenę...?

Rozległo się pukanie do drzwi.

Betsy weszła do środka nie czekając na zaproszenie. Przyniosła tacę z jedzeniem.

- Wyjdź, proszę. Nie jestem głodna - powiedziała Eden.

Betsy puściła jej słowa mimo uszu.

- Już ja wiem lepiej. Musi panienka odzyskać siły. Proszę nie zapominać, że jutro wieczorem idzie panienka na kolację do szlacheckiej rodziny i musi się do tego przygotować. - Postawiła tacę na stoliku. - Aha, pani Meeks powiedziała, że mam zostać panienki służącą. Osobistą służącą. Czy to nie wspaniale? Podeszła do okien i rozsunęła zasłony. Pokój zalało światło słoneczne.

Eden zmrużyła oczy, poirytowana.

- Nie wiem, czy będę w stanie przyjąć zaproszenie na jutrzejszy wieczór. Nie sądzę też, żebym potrzebowała służącej.

- Och, proszę się nie martwić, panienko. Pomogę panience przygotować się do przyjęcia. W końcu należę do grona osób, które znają panienki tajemnicę i mogę zapewnić, że nikomu jej nie zdradzę.

Eden zdrętwiała. Serce jej zamarło.

- Tajemnicę? - wykrztusiła.

- Wiem, skąd panienka przybyła - powiedziała służąca i podniosła kieliszek z tacy. - Nalałam odrobinę sherry. Pomyślałam, że to panience dobrze zrobi.

Eden miała ochotę wychylić zawartość kieliszka jednym haustem. Z trudem zachowała spokój.

- Skąd znasz moją tajemnicę?

- Wszyscy w Hobbles Moor ją znają. Mam pomóc panience się rozebrać?

Eden zerwała się na równe nogi.

- Nie! To niemożliwe! Skąd oni mieliby o wszystkim wiedzieć? - To był jakiś absurd!

- Cóż, Hobbles Moor to mała wioska. Wszyscy tu wiedzą o wszystkich wszystkim. Wieści szybko się rozchodzą, a złe wieści jeszcze szybciej. - Wzięła do ręki szczotkę do włosów. - Wyszczotkować panience włosy?

Eden podeszła do niej z mocno bijącym sercem.

- Nie, chcę, żebyś odpowiedziała mi na kilka pytań. Skąd wiecie, kim jestem?

- Skąd? - Betsy spojrzała na nią tak, jakby to było głupie, pytanie. - Bo panienkę wezwaliśmy, oto skąd.

- Wezwaliście? - zdziwiła się Eden.

- Boże mój, coś źle panienka wygląda. Proszę sobie usiąść, a ja rozwiążę panience włosy i powyciągam szpilki. Od razu panienka lepiej się poczuje.

Eden dała się usadzić przed lustrem.

- Wezwaliście, powiadasz.

- Wdowa Haskell jest czarodziejką i potrafi rzeczy, o których ludziom się nie śniło. To ona panienkę tu ściągnęła, chociaż wszyscy jej w tym pomogliśmy.

Eden popatrzyła na Betsy w lustrze.

- Ona mnie tu ściągnęła?

Wyciągając wstążkę z włosów Eden, Betsy skinęła głową.

- To prawda. W czasie ostatniej pełni zebraliśmy się nad brzegiem morza, w miejscu nazywanym Zatoką Pustelnika. Niebezpiecznie tam jest, nie powiem. Wszędzie skały. Ale to ma-

giczne miejsce. Przynajmniej tak mówi wdowa, a ja jej wierzę, bo panienka jest dokładnie taka, jak to sobie wymarzyliśmy.

Betsy wyciągnęła szpilki z włosów Eden i zaczęła rozczesywać splecione loki. Było to całkiem przyjemne. Niemal wbrew swojej woli, Eden rozluźniła się i zamknęła oczy.

Betsy mówiła dalej.

- Tej nocy wdowa rzuciła zakłęcie, specjalnie dla lorda Pierce'a, bo wszyscy go bardzo kochamy. I jeśli wolno mi zauważyć, nie moglibyśmy sobie zażyczyć nikogo lepszego od panienki.

Eden uśmiechnęła się marzycielsko. Ogarniało ją przyjemne rozleniwienie.

- Betsy, nie wiem, o czym mówisz. Może kogoś szukaliście, ale jestem pewna, że to nie o mnie wam chodziło. - To było niemożliwe!

- Ależ wręcz przeciwnie, panienko - powiedziała żarliwie Betsy. - To właśnie panienka jest tą osobą, której szukaliśmy.

- To znaczy kim? - spytała Eden.

- Idealną żoną dla lorda Penhollow.

- Żoną? - Eden otworzyła szeroko oczy.

7

Brest, Francja

Nasim pchnął cienkie drewniane drzwi izby i wszedł do gospody. Gospoda, też coś! Ta speluna przypominała raczej sypiącą się rudere.

Gadi siedział przy stoliku, pochłonięty ostrzeniem zakrzywionej klingi kindżału. Stał połyskiwała złowrogo w blasku świecy.

- Znalazłeś kogoś, kto zabierze nas na drugi brzeg?- spytał Gadi. Zeszli z pokładu statku „Wind Lark” w pierwszym porcie, do którego zawinął. Nasim był mocno niezadowolony z tego, że angielski kapitan nie chciał zawrócić, gdy okazało się, że dziewczyna zniknęła. Ważniejszy był dla niego statek i wyrządzone przez sztorm szkody, których naprawa zajęła ładnych kilka dni. Załoga „Wind Lark” miała szczęście w nieszczęściu, że uszkodzoną jednostkę zauważyła przepływająca w pobliżu fregata i podholowała do portu.

Nasim podszedł do stolika, przy którym siedział Gadi. Obok dzbana z jabłecznikiem stała miska z winogronami, hiszpańskimi pomarańczami i jednym melonem. Nasim napełnił kielich.

- Zajęło mi to prawie cały dzień, ale wreszcie się udało. O świcie wyruszamy łodzią rybacką.

- Łodzią rybacką?

- Nic lepszego nie dało się załatwić. Od zakończenia wojny Francuzi i Anglicy znów ze sobą handlują. To była jedyna łódź do wynajęcia w porcie.

Gadi skrzywił się.

- Pewnie będzie śmierdziała rybami. - Po niedawnych przykrych doświadczeniach z chorobą morską obaj nie mieli ochoty na kolejną podróż łodzią.

- Pewnie tak. - Nasim wziął kiść winogron.

- Zamierzasz powiadomić Ibn Sibaha, czemu nasze przybycie się opóźnia?

Nasim zeszytniał.

- Powiem mu, że przyjedziemy nieco później, niż przewidywaliśmy, nic więcej.

Gadi w zamyśleniu pogłodził się po brodzie.

- Ja tam powiedziałbym mu, co ta dziewczka zrobiła. Ibn Sibah jest sprawiedliwy. Nie ukarze nas.

Nasim uderzył dłonią w stół.

- Nigdy nie zawiodłem zaufania mojego pana i teraz też tego nie zrobię. - Podeszedł do stosu map i wbił wzrok w tę, która leżała na wierzchu. W słabym świetle jego spojrzenie wędrowało wzdłuż angielskiego wybrzeża i kresek wskazujących kierunki prądów morskich. Skrzywił się ze złością. Kto by pomyślał, że przechytrzy ich takie chucherko?

Choroba morska tak dała im się we znaki, że o ucieczce dziewczyny dowiedzieli się dopiero następnego ranka. Co gorsza, angielski kapitan nie chciał puścić ich na brzeg, dopóki Nasim nie zapłacił za skradzioną szalupę.

Nasim zacisnął palce na brzegach mapy. Ta dziewczka wydawała się posłuszna i uległa, ale okazało się, że pozory mylą. Następnym razem jej nie zlekceważy.

- Tak sobie myślę - powiedział Gadi - że ona mogła popłynąć do Francji.

Nasim potrząsnął głową.

- Musiałyby płynąć pod prąd. Nie zapominaj, że całe życie mieszkała w mieście. Nic nie wie o łodziach ani o żeglowaniu. Przepłynięcie kanału La Manche jest ponad jej siły. - Położył mapę na stoliku, obok świecy. - Nie, przyjacielu, ta dziewczka jest gdzieś tutaj. - Wskazał fragment wybrzeży Anglii niedaleko wyspy Wight.

- Jesteś pewien?

- Tak. W głębi duszy... - uderzył się w pierś - ...czuję, że ona żyje i że przebywa w Anglii. Czemu miałyby uciekać do obcego kraju?

Gadi nachylił się nad stołem.

- Nasim, przyjacielu, po co tracimy czas na poszukiwania tej dziewczki? Czemu nie możemy po prostu powiedzieć sułtanowi, że zginęła podczas sztormu?

- Chcesz się tak łatwo wykręcić?

- Chcę wrócić do domu - odparł Gadi zmęczonym głosem i oparł się łokciem o stół. - Znajdźmy tutaj jakąś dziewczkę. Jest wiele kobiet, które z radością zgodziłyby się służyć Ibn Sibahowi.

- Ta dziewczka nie jest taka, jak inne - powiedział Nasim. Kiedy wędrował po nabrzeżu poszukując łodzi, która zabrałaby ich do Anglii, jego także opadły wątpliwości. Wyprostował się na krześle. - Tajników zaspokajania męskiej żądzy uczyła ją ulubiona niewolnica Ibn Sibaha, madame Indrani.

- Kobieta, od której ją kupiliśmy?

- Tak. Ibn Sibah dał wolność madame Indrani w podziękowaniu za uratowanie mu życia podczas przewrotu pałacowego, niemal trzy dziesiątki lat temu. Potem bardzo mu jej brakowało; miał nadzieję, że zastąpi ją ta dziewczka. Liczy na to, że przeżyje z nią drugą młodość.

- Może wolą Allacha jest, żeby sułtan nie dostał jej w swoje ręce - powiedział ostrożnie Gadi.

- Może. - Nasim rozparł się na krześle. - Odważysz się powiedzieć to Ibn Sibahowi?

Gadi zbladł i potrząsnął głową.

- Nie, nigdy.

- No to nie mamy wyjścia, przyjacielu. Musimy znaleźć tę dziewczkę.

Gadi przejechał palcem po kłindze kindżału. Na opuszcze pojawiła się krew. Uśmiechnął się.

- Znajdziemy ją, przyjacielu. To tylko bezbronna kobieta.

- Tak. A kiedy już ją znajdziemy, drugi raz nam się nie wymknie.

8

Gdy Eden obudziła się następnego poranka, jej oczom ukazał się ogród spowity w gęstej mgle. Wyglądało na to, że przepowiednia Jima sprawdziła się. Eden zaciągnęła zasłony i z powrotem wśliznęła się do łóżka, zbyt zaspana, by oderwać głowę od poduszki.

Wtuliła policzek w pościel. Tej nocy dobrze spała, mimo nawiedzających ją barwnych, erotycznych snów, jakich nigdy dotąd nie miała. W każdym z nich pojawiał się lord Penhollow.

Eden położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. Nie mogła myśleć o nim w ten sposób. Musiała stąd uciec... ale słowa Betsy nie dawały jej spokoju. Czy rzeczywiście los wyznaczył jej rolę żony lorda Penhollow?

Minęło ładnych parę godzin, zanim Betsy udało się przekonać Eden, by choć wzięła pod uwagę taką możliwość. Hrabina Penhollow. Gdyby Eden na własnej skórze nie odczuła mocy wdowy Haskell, nie traktowałaby słów Betsy poważnie. Ale teraz było inaczej, bo tego właśnie chciała.

Eden postanowiła uwierzyć, że los naprawdę się do niej uśmiechnął. Przez jej ciało przeszedł dreszcz podniecenia.

- Hrabina Penhollow - wyszeptwała.

- Jeszcze panienka nie wstała?- od strony drzwi dobiegł poirytowany głos Betsy.

Eden nawet nie usłyszała, kiedy służąca weszła do jej sypialni. Uśmiechnęła się.

- Dopiero co się obudziłam. - Przeciągnęła się. - Piękny dzień, nieprawdaż?

- Znosi się na deszcz, a panienska nie powinna być takim śpiochem- powiedziała z werwą Betsy, wchodząc do sypialni i kierując kroki w stronę szafy. - W tej chwili powinna panienska jeść śniadanie z lordem Penhollow. Siedziałam w kuchni i czekałam, aż panienska po mnie zadzwoni. - Otworzyła szafę i zaczęła przeglądać suknie Eden. - Dobrze, że jestem taka niecierpliwa. Lord prawie już skończył jeść. Jeśli się nie pospieszymy, nie zastaniemy go w salonie.

Eden wyskoczyła z łóżka, z sercem przepełnionym radością na myśl o spotkaniu z lordem Penhollow.

Betsy wystawiła głowę z szafy.

- Przydałoby się paniencie więcej sukni, które można by nosić za dnia.

- Przecież mogę znów włożyć tę zieloną, koronkową.

- Nie ma mowy! On już panienkę w niej widział. Zaraz! Mam świetny pomysł. - Włożyła głowę do szafy, lecz po chwili się wychyliła, zaszepiona. - Nie ma panienska stroju do jazdy konnej. Dopiero teraz sobie o tym przypomniałam. .

- Nie mam. - Madame Indrani nie sądziła, by strój do jazdy konnej był potrzebny w haremie.

Betsy załamała ręce.

- Czemu panienska nie powiedziała mi o tym wczoraj?

Poprzedniego wieczoru Betsy opowiedziała Eden wszystko, co wiedziała o lordzie Penhollow. Eden znała już więc jego zwyczaje (zawsze jadł śniadanie po porannym obchodzie stajni, zwykle między ósmą a dziewiątą), wiedziała, jakie danie lubi najbardziej (małże gotowane w winie), jaki jest jego ulubiony kolor (zdaniem Betsy, niebieski), książki, muzyka, wino... i tak dalej. Służący przygotowali te wszystkie informacje w przekonaniu, całkiem zresztą słusznym, że pomogą one Eden zdobyć serce Pierce'a.

- Co lord Penhollow ceni nade wszystko? Tyle razy to paniencie powtarzałam.

- Reputację i konie - odparła Eden, niczym uczennica wezwana do odpowiedzi.

- I nie przyszło paniencie do głowy, że przydałby się jej strój do jazdy konnej? - spytała Betsy, biorąc się pod biodra.

- Nie - odrzekła spokojnie Eden. - On wie, że nie jeżdżę konno.
- Och, ale myśli, że panienka chce się tego nauczyć.
- A skąd mu to przyszło do głowy?
- Ot, wypsnęło mi się przy śniadaniu. Powiedziałam... - Przybrała ton typowej służącej. - ...Lordzie Penhollow, panna Eden prosiła, żeby zapytać, czy mógłby pan udzielić jej lekcji jazdy konnej". - Roześmiała się radośnie. - Wyszczrzył się jak pies do boczkę i powiedział, że będzie na panienkę czekał przed domem.

Eden zerwała się z łoża.

- Przecież o nic takiego nie prosiłam!
- On tego nie wie - odparła Betsy i zajrzała do szafy. Wyjęła z niej niebieską jedwabną suknię. - Będzie panienka musiała w tym chodzić, dopóki nie znajdę kostiumu do konnej jazdy. Uprzedzę lorda, że toaleta panienki jeszcze trochę potrwa.

- Nie chcę uczyć się jeździć na koniu - zbuntowała się Eden. - A poza tym wolę suknię różową z muslinu.

- Ale niebieski jest ulubionym kolorem lorda.

- A róż podkreśla moje rumieńce. I nie zamierzam jeździć konno.

Betsy schowała niebieską suknię i wyjęła różową.

- Albo pójdzie panienka na lekcję jazdy konnej z lordem Penhollow, albo... - zawiesiła złowróżbnie głos - ...przyjdzie tu doktor Hargrave i poczęstuje panienkę rycyną.

Wybór był prosty.

- Zawsze chciałam nauczyć się jeździć konno.

Betsy wygładziła suknię.

- Nie wystarczy, żeby panienka nauczyła się jeździć. Musi panienka śmigać nad żywopłotami jak najlepsi jeźdźcy w Anglii.

- Śmigać?

- Uhm- mruknęła Betsy, po czym położyła suknię na łożu i pomogła Eden ściągnąć przez głowę koszulę nocną. - Pani na Penhollow musi być amazonką jak się patrzy. Wszyscy tego oczekują.

W tej chwili tytuł hrabiny Penhollow wydał się Eden niezbyt nęcący. Cóż, zdobycie serca takiego mężczyzny jak Pierce wymagało poświęceń.

Włożyła różową muślinową suknię i usiadła przed lustrem. Tego dnia postanowiła nie eksperymentować z fryzurą; spięła włosy na czubku głowy i przewiązała je czarną wstążką. W lustrze napotkała spojrzenie Betsy.

- Nie mogę jeździć konno, jeśli nie mam odpowiedniego stroju, prawda?

- Ach, zaraz coś się znajdzie - obiecała Betsy, a Eden wiedziała, że rudowłosa służąca spełni obietnicę.

Zresztą i tak nie udało się uniknąć spotkania z doktorem Hargrave'em, ani kolejnej dawki rycyny. Lady Penhollow powiadomiła Eden przez służących, że chce, by doktor raz jeszcze ją zbadał.

Lord Penhollow przysłał wiadomość, że lekcja jazdy konnej rozpocznie się po zakończeniu badania.

Eden znalazła się w potrzasku.

Doktor zaczął od tego, co najmniej przyjemne - od razu po wejściu dał jej dużą łyżkę rycyny. Nie smakowała ani trochę lepiej niż poprzednio.

- Ale to lek na wszystko - zapewnił doktor Hargrave.

Eden nie była pewna, czy jest tego samego zdania.

Doktor Hargrave uwinął się dość szybko. Przez większą część badania patrzył jej głęboko w oczy i wypytywał o przeszłość. Siedzieli naprzeciw siebie przy oszklonych drzwiach do ogrodu, jako że tam było najjaśniej, a lady Penhollow stała przy łożu ze złożonymi rękami. Uparła się, że będzie uczestniczyć w badaniu.

Doktor usiadł wygodniej i wyjął ze swojej czarnej torby pióro, atrament i kartkę papieru.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, bym w czasie naszej rozmowy robił notatki. Wykorzystam je w liście do Królewskiego Kolegium Chirurgów. Pani przypadek z pewnością zainteresuje wielu specjalistów. Czy zgadza się pani na to?

- Nie jestem pewna - odparła z wahaniem Eden.

- To dla dobra nauki - namawiał ją doktor.

- Ależ jestem pewna, że ona nie ma nic przeciwko temu - powiedziała lady Penhollow. - Prawda, moja droga?

Eden nie mogła mu odmówić w obecności lady Penhollow.

- Zgoda.

W czasie badania doktor Hargrave zapisał dwie strony notatek. Na koniec popatrzył na Eden znad zsuniętych na czubek nosa binokli.

- Lord Penhollow powiedział mi, że przypomniało się pani jakieś nazwisko.

- To ciekawe - wycodziła lady Penhollow. - Mnie o tym nie mówić.

Eden w duchu raz jeszcze skarciła się za błąd, jaki popełniła poprzedniego dnia.

- Tak, to prawda - powiedziała i wstrzymała oddech, spodziewając się, że doktor lada moment nazwie ją oszustką.

Uśmiech lady Penhollow stał się jeszcze szerszy. -

Wtedy jednak doktor Hargrave skinął głową, a Eden kamień spadł z serca.

- Tak, tak właśnie powinno być. Pamięć powraca stopniowo. Najpierw pojawiają się pojedyncze myśli, wspomnienia, aż w końcu wszystkie fragmenty zaczynają układać się w całość.

- Tak powinno być? - Uśmiech zniknął z twarzy lady Penhollow.

- Tak! - potwierdził zdecydowanie doktor Hargrave.

Eden poruszyła się niepewnie.

- Czy zdarza się, że ludzie nigdy nie odzyskują pamięci?

- O tak, dużo jest takich przypadków! Wie pani, to wszystko rozgrywa się w ludzkim umyśle, a medycyna niewiele wie o tym, co tam się dzieje. - Postukał palcem w czoło. - Ale proszę się nie martwić, panno Eden. Jest pani wśród przyjaciół...

Eden była ciekawa, czy zaliczał do nich lady Penhollow.

- Ostatniej nocy myślałem sobie, jakie to musi być dla pani denerwujące, że nie wie pani, kim jest ani skąd się tu wzięła - ciągnął medyk. - Niektórzy chorzy cierpiący na amnezję lądują w szpitalach i siedzą tam przez wiele lat, nawet kiedy już odzyskają pamięć. Ale my do tego nie dopuścimy. Ludzie z Hobbles Moor nie odwrócą się od człowieka w potrzebie. Prawda, lady Penhollow?

Lady Penhollow przeniosła spojrzenie z medyka na Eden. Odetchnęła głęboko, po czym odparła z wymuszoną grzecznością:

- Oczywiście, że nie, doktorze.

Doktor Hargrave uśmiechnął się ciepło do Eden i podniósł z podłogi swoją torbę.

- Do zobaczenia jutro.

Lady Penhollow odprowadziła go do drzwi i Eden została sama w pokoju.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, obudziły się w niej wyrzuty sumienia. Była nikczemną oszustką, niczym więcej. Nie powinna okłamywać tych ludzi. Przez kilka ostatnich godzin szczerze wierzyła, że będzie mogła dalej prowadzić podwójne życie, ale teraz nie była już tego taka pewna.

Z drugiej strony, jaki miała wybór?

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi. Betsy wsadziła głowę do pokoju.

- Lord Penhollow - przypomniała znacząco.

Eden niemal bezwiednie podążyła za Betsy. Mimo zapowiadającego deszczu, w domu wszystkie okna były pootwierane. Mgła nie rozproszyła się, tylko zaścieniała ziemię upiorną zasłoną.

Do uszu Eden dobiegł głos Pierce'a wpływający do wnętrza domu przez okno.

Eden zapomniała o wszelkich zmartwieniach. Odruchowo ruszyła w stronę otwartych drzwi frontowych. Już miała wyjść przed dom i zawołać lorda, gdy zauważyła, że nie jest sam. Obok niego stał Jim, a także wysoki, szczupły mężczyzna. Stajenny trzymał za uzdę konia, na którym przyjechał nieznajomy.

Mężczyzna bez wątpienia przybył z Londynu. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jego strój jest dziełem krawca z Bond Street. Poza tym rumak nieznajomego prezentował się wspaniale nawet w oczach Eden, która w końcu niewiele wiedziała o koniach.

Lord Penhollow tego ranka pięknie wyglądał. Przywodził na myśl bohatera romansu. Był bez kapelusza, a zamiast surduta miał na sobie ciemnoniebieską kamizelkę, kontrastującą ze śnieżnobiałym halsztukiem, obcisłymi beżowymi bryczesami do jazdy konnej i błyszczącymi czarnymi butami.

Do jednego z nich przyczepiona była ostroga. W Londynie uznano by to za pozerstwo. Tutaj było oznaką męskości.

Dżentelmen z Londynu nie zgadzał się z czymś, co powiedział lord Penhollow. Wymachiwał rękami i szerokimi gestami pod-

kreślał swoje słowa. Spod jego kapelusza po obu stronach głowy wystawały kędzierzawe siwe włosy, przydające mu niemal komicznego wyglądu. Jednak lordowi Penhollow wyraźnie było nie do śmiechu.

Eden odprawiła Betsy gestem ręki i próbowała dyskretnie się wycofywać, ale usłyszała, że mówią o Królu Kornwalii. Zawahała się na chwilę i właśnie wtedy lord Penhollow wyczuł jej obecność.

- Panna Eden?

Nie miała wyjścia. Stanęła w drzwiach domu.

- Dzień dobry, lordzie Penhollow.

Reakcja Pierce'a była taka, na jaką Eden - i Betsy - liczyły w skrytości ducha. Na jego pełnych wargach wykwitł ciepły uśmiech, a w błękitnych oczach pojawił się błysk pożądania. Lord wszedł na schodek i wyciągnął rękę.

- Dołączy pani do nas?

Eden nie miała ochoty na spotkanie z nieznanym.

- Wolałabym nie. Nie chciałabym panom przeszkadzać. Bardzo przepraszam, milordzie.

- Nonsens, będziemy radzi, jeśli raczy nam pani dotrzymać towarzystwa, prawda, Whitby? - Pierce nachylił się do ucha Eden i dodał: - Inaczej ten człowiek nigdy sobie nie pójdzie.

Na widok Eden lord Whitby zamilkł raptownie i zastygł w bezruchu. Dopiero po chwili szybko zdjął kapelusz.

- Będę zaszczycony.

Ale Eden już żałowała, że wyszła z domu. Zdejmując kapelusz, Whitby odsłonił łysą głowę, na której widniało charakterystyczne purpurowe znamię. Eden rozpoznała je od razu i przypomniała sobie, gdzie widziała tego człowieka: na jednym z przyjęć wydanych przez madame Indrani.

A zapamiętała go tak dobrze, bo chciał ją kupić. Lord Whitby. Dlaczego od razu nie skojarzyła sobie tego nazwiska? Do dziś miała w pamięci ten wieczór sprzed dwóch lat. Whitby chciał ją kupić, ale się targował. Madame twardo obstawała przy swoim. Whitby nie zamierzał ustąpić, wreszcie zaczął się awanturować, po czym silny Firth wyrzucił go z domu madame. Zamiast przyjąć to upokorzenie z godnością, stanął na środku ulicy i zaczął się odgrażać. Chcąc nie chcąc, Firth musiał odprowadzić go do domu.

A teraz tenże sam Whitby stał przed Eden.

Wstrzymała oddech. Słowa Pierce'a, który przedstawił ją swojemu gościowi, zdawały się dochodzić z bardzo daleka. Eden spodziewała się, że lada chwila zostanie zdemaskowana.

Tymczasem lord Whitby skłonił się szarmancko.

- Bardzo mi miło, panno Eden.

Nieszczęsna dziewczyna nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zaszło jej w ustach; lęk ścisnął ją za gardło. Z najwyższym trudem przywołała na usta uśmiech i dygnęła lekko.

Lord Whitby odwzajemnił uśmiech. Wyglądało na to, że jej nie poznał.

Eden czuła na sobie zdumione spojrzenie Pierce'a, ale Jim i drugi stajenny zdawali się niczego nie zauważać.

- Czy pochodzi pani z Kornwalii, panno Eden - spytał uprzejmie lord Whitby - czy też przyjechała pani z innej części Anglii?

Eden nie wiedziała, co powiedzieć, by zabrzmiało to przekonująco. Przerazona, miała ochotę odwrócić się na pięcie i rzucić do ucieczki, ale zamiast tego stała w milczeniu jak wrośnięta w ziemię.

Z opresji wyratował ją lord Penhollow. Delikatnie ścisnął jej łokieć i odpowiedział za nią.

- Panna Eden przyjechała do nas z Devon - stwierdził bez mrugnienia okiem.

Eden, zaskoczona, przytaknęła z niepewną miną.

- Widzę, Penhollow, że znasz się nie tylko na koniach - powiedział lord Whitby bez ogródek.

Lord Penhollow zacisnął usta. W jego oczach błysnął gniew, ale Whitby najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że swoją wypowiedzią mógł kogoś urazić. Zamiast przeprosić, udał, że bierze Eden na stronę i zaczął głośno mówić:

- Może pani będzie w stanie mi pomóc. Otóż pragnę kupić Króla Kornwalii do swojej stadniny ogierów, ale Penhollow zawiażył się i za żadną cenę nie chce go sprzedać. Doszedłem już do piętnastu tysięcy funtów.

- Piętnaście tysięcy funtów? - zdziwiła się Eden. Za nią oferował tylko dwanaście.

- Król Kornwalii nie jest na sprzedaż - powiedział lord Penhollow cicho, ale zdecydowanie.

- Diabła tam, Penhollow, chcę mieć tego konia. Muszę. Drugiego takiego nie ma i nie będzie. Co mam zrobić, żebyś mi go oddał?

- On nie jest na sprzedaż.

- Wszystko jest na sprzedaż! - krzyknął lord Whitby, zapominając o Eden. Wcisnął kapelusz na głowę i mocno tupiąc zaczął chodzić w kółko, rozzłoszczony. - Przejechałem po niego szmat drogi i nie zamierzam wracać z pustymi rękami!

- Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia - odparł lord Penhollow. - On nie jest na sprzedaż. Możesz przyprowadzać do niego swoje klacze, ale nic więcej.

Lord Whitby zaczął miotać siarczyste przekleństwa, ale nagle, przypomniawszy sobie o Eden, uchylił kapelusza i przeprosił ją.

- Proszę o wybaczenie, panno Eden. Zachowuję się jak gbur. Po prostu przyzwyczaiałem się, że dostaję to, czego chcę.

Zaskoczona jego przeprosinami Eden uświadomiła sobie, że tak właśnie mężczyźni traktowali kobiety z wyższych sfer. Przy prostytutkach bez skrępowania przeklinali, bekali i robili jeszcze ohydniejsze rzeczy, ale w obecności dam zachowywali się nienagannie - a w Penhollow Hall wszyscy uważali Eden za damę.

Odkrycie to otworzyło Eden oczy. Nic dziwnego, że lord Whitby jej nie poznał. Eden, którą znalazł, była nie damą, tylko prostytutką.

- Na Króla Kornwalii nie ma ceny - powiedział lord Penhollow. - Rozmawialiśmy już o tym, Whitby.

- Owszem - zgodził się przybysz. - I jeszcze nie raz będziemy rozmawiać. Chcę mieć tego konia.

- Cóż, dzisiaj go nie dostaniesz.

Lord Whitby skrzywił się ze złości.

- Widzę, że cię nie przekonam. Proszę tylko o jedno: jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się sprzedać Króla, skontaktuj się najpierw ze mną, dobrze?

- Jeśli będę chciał go sprzedać, ciebie pierwszego o tym powiadomię.

- Dobre i to - powiedział lord Whitby, ale Eden czuła, że jest niezadowolony. Podszedł do swojego wierzchowca i już miał go dosiąść, kiedy nagle odwrócił się i spojrzał na Eden. W jego oczach pojawiło się nieme pytanie.

Eden napotkała spojrzenie lorda i uświadomiła sobie, że nie myśli on o Królu Kornwalii. Czyżby w czasie rozmowy obudziły się w nim uśpione dotąd wspomnienia? Uśmiechnęła się odważnie.

Lord Whitby potrząsnął głową, jakby doszedł do wniosku, że coś mu się przywidziało, po czym ku niewypowiedzianej uldze Eden, wskoczył na siodło i uchylił przed nią kapelusza.

- Miło było panią poznać, panno Eden. Penhollow, nie zapomnij swojej obietnicy.

- Nie zapomnę.

- I nie wahaj się za długo. Za pięć, sześć lat nie będziesz już miał z Króla żadnego pożytku.

- Cieszę się, Whitby, że znalazłeś czas, by nas odwiedzić - powiedział lord Penhollow chłodnym tonem.

Lord Whitby uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne. Spiął konia ostrogami i odjechał.

Eden marzyła o tym, żeby już nigdy go nie spotkać.

- Lord Whitby nie był zadowolony - powiedziała po chwili.

Pierce odprowadził jeźdźca spojrzeniem.

- Za miesiąc znowu tu przyjedzie. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii i nie rozumie, że nie wszystko można kupić. Za nic w świecie nie sprzedałbym Króla Kornwalii.

Skinieniem głowy odprawił Jima i stajennego, po czym zwrócił się do Eden z uśmiechem na twarzy. Nogi się pod nią ugięły. W tej chwili żadna kobieta nie mogłaby mu się oprzeć.

- Ale nie mówmy już o nim - powiedział. - Kiedy tu wróci, usłyszysz tę samą odpowiedź co dzisiaj i znów zaczniesz się awanturować. Jego sprawa. Nikt go tu nie zaprasza. Właściwie powinienem pani podziękowanie. Zjawiła się pani w samą porę.

Eden żałowała, że nie została w swoim pokoju.

Już po chwili jednak zapomniała o wszystkich troskach. Sprawily to słowa, które popłynęły z ust lorda Penhollow.

- Pięknie pani dziś wygląda. Pani suknia przypomina mi róże rosnące wokół fontanny.

Eden miała nadzieję, że Betsy to słyszy.

- Ale to nieodpowiedni strój do jazdy konnej - dodał.

Teraz Eden zaczęła w duchu prosić opatrność, by Betsy była możliwie najdalej stąd.

- Właśnie. Co się tyczy lekcji, milordzie...
- Wybrałem już dla pani klacz. Wabi się Aksamitna. Piękniejszej w życiu nie widziałem. Jest też dobrze ułożona.

Eden zawahała się. Nie chciała go rozczarować.

Z zadumy wyrwał ją głos lady Penhollow.

- Pierce, panna Eden nie może teraz wybrać się z tobą na przejażdżkę. Musimy pojechać do miasta po rękawiczki dla niej na dzisiejszy wieczór. Przecież nie może pokazać się naszym znajomym bez rękawiczek.

Pierce nie skrywał rozczarowania.

- Może zaczniemy lekcję po pani powrocie - zaproponował.

Lady Penhollow podeszła bliżej.

- Och, tak mi przykro - powiedziała bez cienia żalu w głosie - ale nie będzie na to czasu. Nie możemy pozwolić, by panna Eden się przemęczała. Przynajmniej na razie - dodała z przesadnie słodkim uśmiechem. - A propos, panno Eden, po rękawiczki musimy pojechać aż do Plympton. Zauważyłam, że nie jadła pani jeszcze śniadania; radzę to zrobić. Prawdopodobnie następny posiłek zjemy dopiero po powrocie z miasta, po południu.

W oczach lady Penhollow pojawił się dziwny błysk - była dumna, że tak przebiegle udało jej się pokrzyżować plany syna. Eden miała ochotę wyciągnąć ją w oba policzki i wylewnie podziękować. W końcu to dzięki niej zdołała się wymigać od lekcji jazdy konnej.

Lord Penhollow jednak nie zamierzał tak łatwo się poddać.

- Pojeździmy sobie jutro. Może z samego rana? Mam nadzieję, że o tej porze nie staną nam na przeszkodzie żadne pilne sprawy.

Zanim Eden zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, lady Penhollow wepchnęła się między nich.

- Pierce, czy naprawdę sądzisz, że panna Eden interesuje się końmi? Skoro dotąd nie nauczyła się jeździć konno, widać nie czuła takiej potrzeby. Czemu chcesz zmusić ją do tego wbrew jej woli?

Zza pleców Eden dobiegł odgłos kroków. Obejrawszy się, zobaczyła w drzwiach Rawlinsa, panią Meeks i Betsy, słuchających tej rozmowy z wyraźnym niepokojem... i w tej chwili zapragnęła

zostać kobietą, którą była w ich oczach, i to nie ze względu na siebie, tylko dla nich, by podziękować im za ciepło, jakie jej okazali. Chciała, by uwierzyli w magię, marzenia i uroki.

Odwróciła się do lorda Penhollow i obdarzyła go wyćwiczonym, promiennym uśmiechem, takim, jaki zawsze robił na mężczyznach największe wrażenie.

- Ale ja naprawdę chcę nauczyć się jeździć konno - powiedziała. - Wiem, że mogę okazać się złą uczennicą, ale obiecuję, że się postaram.

- Zostanę więc pani nauczycielem - odparł Pierce i na jego usta wypłynął uśmiech tak piękny, że pod Eden ugięły się nogi i lekko zakreśliło jej się w głowie.

Lady Penhollow stanęła między nimi.

- Pierce, nie starczy ci czasu na lekcje jazdy konnej. Masz na głowie kopalnię i stadninę, że nie wspomnę o innych obowiązkach.

- Czas się znajdzie - powiedział bez wahania lord Penhollow. - Od lat powtarzasz mi, że za ciężko pracuję. Zaczynam dochodzić do wniosku, że masz rację.

- Cóż - burknęła lady Penhollow i zwróciła się do Eden. - Czyli wszystko zostało ustalone. - Weszła po schodach do domu. Służący błyskawicznie zniknęli w głębi korytarza, usuwając się z drogi.

Lady Penhollow przystanęła na ostatnim stopniu.

- Wyjeżdżamy za godzinę. Aha, panno Eden, jeszcze jedno: suknie z głębokim dekoltem są zbyt odważne w tych okolicach. Dobrze by było, gdyby przykryła się pani jakimś szalem. - Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Radość wypełniająca serce Eden ulotniła się bez śladu. Spojrzała niepewnie na lorda Penhollow.

- Nie chciałam jej urazić.

Pierce wbił wzrok w zamknięte drzwi.

- Moja matka jest nieszczęśliwa - powiedział. - Nie wie, czego chce i nie umie sobie z tym poradzić.

- Nie rozumiem, dlaczego nie może być szczęśliwa. - Eden szerokim gestem ręki ukazała dom i ogród. - Przecież tu jest wszystko, czego człowiekowi potrzeba do szczęścia.

- Tak pani uważa? Osobiście gotów jestem się z panią zgodzić,

ale doświadczenie nauczyło mnie, że dla każdego człowieka szczęście oznacza co innego. To my decydujemy, co jest dla nas najważniejsze... a matka zawsze dokonywała niewłaściwych wyborów. - Potrząsnął głową, wyrывая się z zadumy. - Nie mogę się doczekać naszej jutrzejszej lekcji.

Eden nie podzielała jego entuzjazmu.

- Muszę pana ostrzec, nigdy w życiu nie siedziałam na koniu. Parsknął śmiechem.

- Panno Eden, nie ulega wątpliwości, że dotąd mieszkała pani w mieście. Na wsi wszyscy jeżdżą konno. Przy okazji, czy przypomniała sobie pani coś nowego?

Paskudnie się czuła okłamując go.

- Jakieś przebłyski, nic więcej.

- A co z rodziną? Nadal jej pani nie pamięta?

Tym razem mogła powiedzieć prawdę.

- Nie, nie pamiętam.

Ujął ją za rękę.

- Proszę się nie martwić. Dopóki nie odzyska pani pamięci, może pani liczyć na nas wszystkich. Z moją matką włącznie.

Eden wyczytała w jego oczach autentyczne współczucie. Nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który by tak traktował jakąś kobietę. Przez chwilę miała ochotę zaufać mu w pełni, powiedzieć całą prawdę, ale szybko wybiła sobie z głowy ten pomysł.

Mądra kobieta nie ufa nikomu. Nauczyły ją tego lata spędzone u madame Indrani i trudne dzieciństwo. Nawet jeśli miała zdać się na opiekę Pierce'a, nie mogła dać mu nad sobą pełni władzy.

Lord Penhollow ścisnął ją lekko za rękę. Eden drgnęła; uzmysłowiła sobie, że tak mocno trzymała jego dłoń, iż biedak nie mógł się uwolnić.

Cofnęła rękę i wykrztusiwszy przeprosiny odwróciła się, po czym skierowała kroki w stronę domu.

Pod drzwiami czekała na nią Betsy.

- Doskonale, panienko! Teraz musimy tylko znaleźć strój do jazdy konnej.

Ale Eden zdawała się jej nie słyszeć. Przed oczami wciąż miała lorda Penhollow. Między nimi zaczynało się rodzić jakieś uczucie.

Uczucie, które nie miało nic wspólnego z przesadami i lubczykiem.
Uczucie, które sprawiało, że nie mogła przestać o nim myśleć.

Pierce uderzył szpicrutą w but, odprowadzając wzrokiem powóz, którym jego matka i Eden jechały na zakupy do Plympton. Lordowi nie podobał się chłód, z jakim matka traktowała tę dziewczynę. Chciał, by żyły ze sobą w zgodzie, ale obawiał się, że to tylko pobożne życzenie. Matka potrafiła być bardzo samolubna.

Eden. Na sam dźwięk tego imienia krew zaczynała mu wrzeć w żyłach. Nigdy jeszcze nie pragnął żadnej kobiety tak mocno, jak jej. Widząc, jak łakomie Whitby się w nią wpatrywał, miał ochotę wydłubać mu oczy. Whitby był tylko pospolitym łajdakiem w skórze dżentelmena. Pierce postanowił, że nigdy nie sprzeda mu Króla Kornwalii.

Tym, co zaniepokoiło go jeszcze bardziej, była niespodziewana reakcja Eden na widok Whitby'ego. Znała tego człowieka. Kiedy Whitby zdjął kapelusz, zeszywniała, a w jej oczach pojawił się niepokój... choć on jej nie rozpoznał.

Pierce, zamyślony, ruszył w stronę stajni. Nie wiedział, czy to amnezja, czy też Eden była po prostu dobrą aktorką. .

9

Nie był to dobry dzień na wyjazd do miasta. Mgła zasnuła całą okolicę, a na niebie wisały ciężkie chmury.

Eden i lady Penhollow siedziały w ciasnym powozie, z rękami złożonymi na kolanach, odwrócone od siebie. Obie udawały, że ich uwagę absorbuje pejzaż rozciągający się za oknami. Eden miała na ramionach jasny kaszmirowy szal.

Za każdym razem, kiedy powóz podskakiwał na nierównej drodze, lady Penhollow sztywniała, jakby chciała utrzymać równowagę, by broń Boże nie dotknąć niemiłej towarzyszki podróży. Eden co pewien czas rzucała jakieś uprzejme uwagi, próbując rozładować napiętą atmosferę, ale z ust matki Pierce'a padały w odpowiedzi tylko monosylaby.

Zapowiadany od rana deszcz zaczął padać, kiedy powóz znalazł się na przedmieściach Plympton. Nie było to duże miasto. Brukowana ulica, wzdłuż której ciągnęły się sklepy, domy w kilku rzędach, no i oczywiście kościół.

Eden patrzyła przez okno z ponurą miną. Miała na głowie słomkowy kapelusz pożyczony od lady Penhollow i nie chciała, by się zniszczył. Bała się też o swoje trzewiki. Na szczęście stangret miał parasol. Niósł go nad głowami pań, kiedy maszerowały od jednego sklepu do drugiego.

Godzinę później Leeds podjechał na drugą stronę ulicy, pod sklep, nad którym wisił szyld w kształcie dłoni, z napisem *Wm.*

Harrelson, Rękawicznik. Eden i lady Penhollow weszły do środka. Dzwonek nad drzwiami zabrzączał cicho.

Z zaplecza wyłonili się państwo Harrelson, zdumieni, że ktoś wybrał się na zakupy w taką pogodę. Pani Harrelson przywitała klientów i zaproponowała im filiżankę herbaty „żeby rozgrzać kości”. Lady Penhollow zgodziła się łaskawie i usiadła na wysokim stołku przy ladzie.

- Czy szanowna pani też napije się herbaty? - spytała żona rękawicznika, zwracając się do Eden.

- To panna Eden - powiedziała lady Penhollow, zanim Eden zdążyła otworzyć usta. - Ona jest panną.

Pani Harrelson zakryła usta dłonią, zawstydzona, że popełniła taki nietakt.

Eden potrząsnęła głową na znak, że nie czuje się urażona i uśmiechnęła się ciepło do żony rękawicznika.

- Filiżanka herbaty dobrze by mi zrobiła. Czy mogłaby pani poczęstować również naszego stangreta? Przez całą drogę powrotną będzie siedział na deszczu, nieborak.

Pani Harrelson rozchmurzyła się.

- Oczywiście, mogę zaparzyć herbatę i jemu. To miło, że panienka pamięta o tym biedaku. - Podeszła do drzwi i przywołała Leedsa gestem ręki.

Stangret nie ukrywał zaskoczenia. Kiedy dowiedział się, że wezwano go, by napił się herbaty, wlepił wzrok w lady Penhollow, jakby nie wierzył własnym uszom. Pani Harrelson poprosiła go na zaplecze.

Lady Penhollow zastukała niecierpliwie w ladę.

- Czy ktoś wreszcie *nas obsłuży, czy też przez cały dzień* będziemy sączyć herbatę?

Natychmiast wyrósł przed nią pan Harrelson.

- Czym mogę służyć szanownej pani?

- Tej dziewczynie potrzebne są długie rękawiczki z koźlęcej skóry zdobione muszlami lub perłami; do tego przydałaby się jeszcze jedna para krótkich, wełnianych - powiadomiła sprzedawcę lady Penhollow.

Eden miała już dosyć jej wyniosłego tonu. Uważała, że nie powinna być traktowana jak niechciany ciężar, zwłaszcza że

przyjechała do miasta na żądanie matki Pierce'a. Sprzedawca w lot pojął, co lady Penhollow daje mu do zrozumienia - Eden była nikim. Sięgnął po pudło z tanimi rękawiczkami, których jakość odpowiadała cenie, i zaczął wykładać je na ladę.

Lady Penhollow naciągnęła jedną z nich na palec. Po chwili przymierzyła obie.

- Te będą dla niej idealne.

Eden zacisnęła zęby, wstrzymując się od wybuchu. Nie chciała wszczynać kłótni z lady Penhollow z powodu pary rękawiczek.

Puściła więc zniewagę mimo uszu, a nawet spróbowała wyrazić lady Penhollow wdzięczność za prezent.

- Dziękuję. Są bardzo ładne...

- Ach, nie, nie dziękuj - weszła jej w słowo lady Penhollow. - Gdyby to ode mnie zależało, trafiłabyś na plebanię, gdzie jest twoje miejsce. Nie mieszkałabyś pod moim dachem. Odkąd się u nas zjawiłaś, wszystko zaczęło się psuć. - Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi. Na progu zatrzymała się. - Leeds, możemy już iść.

Leeds, wierny sługa swojej pani, wypadł z zaplecza. Otworzył drzwi, rozłożył parasol i odprowadził lady Penhollow do powozu. Eden nie ruszyła się z miejsca, wstrząśnięta tym, jak grubiańsko została potraktowana.

- Panno Eden? - zagaił nieśmiało pan Harrelson.

Ocknęła się z szoku.

- Pani rękawiczki - powiedział, wręczając jej pakunek. Jego żona kręciła się niespokojnie w pobliżu drzwi na zaplecze. Ona też usłyszała słowa lady Penhollow.

Eden nie zamierzała dłużej hamować gniewu wzbierającego w jej piersi. Wzięła rękawiczki od pana Harrelsona, podziękowała mu cicho, po czym dziarskim krokiem wyszła ze sklepu, gotowa do rozpoczęcia bitwy z lady Penhollow.

Na szczęście deszcz był już nieco drobniejszy i niebo wyglądało, jakby miało lada chwila się rozchmurzyć. Dla Eden pogoda nie miała jednak żadnego znaczenia. Podeszła do powozu. Lady Penhollow była już w środku. Leeds siedział na koźle.

- Kazała mi tu czekać, panienko - powiedział półszeptem.

- Nie przejmuj się. Nie mam do ciebie żadnych pretensji -

odparła Eden cicho i otworzyła szeroko drzwi, po czym weszła do środka. Lady Penhollow siedziała sztywno, niczym marmurowy posąg. Eden zatrzasnęła drzwi z hukiem. Ku jej satysfakcji, lady Penhollow, zaskoczona, aż podskoczyła na siedzeniu.

Następnie zamrugała i nie czekając, aż Eden zajmie swoje miejsce, zastukała w sufit powozu, dając znak Leedsowi, że może jechać. Eden uśmiechnęła się. Lady Penhollow nie wiedziała, że trafiła na kogoś, na kim jej małe gierki nie robią wrażenia. Eden pobierała nauki od mistrzyń w sztuce złośliwości - kobiet mieszkających pod dachem madame Indrani. Ona sama nigdy nie uciekała się do zawołanych przytyków. Zawsze stawiała sprawę jasno... i tak też postąpiła i tym razem.

- Lady Penhollow, jeśli panią w jakiś sposób uraziłam, proszę przyjąć moje przeprosiny, zamiast poniżać mnie w obecności sklepikarzy. Uważam takie zachowanie za wysoce prostackie.

Lady Penhollow odwróciła się do Eden. Jej oczy płonęły gniewem. Eden odczuła na ten widok, sporą satysfakcję. Trafiła w czuły punkt.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała lady Penhollow ze złością.

- Och, moja pani, porozmawiajmy wprost, zamiast chować się za fasadą dobrych manier. Cóż takiego zrobiłam, że ściągnęłam na siebie pani gniew?

Lady Penhollow wcisnęła się w kąt powozu. Miała zaciśnięte usta. Przez kilka minut nie odzywała się. Eden zaczynała już nabierać przekonania, że nie uzyska odpowiedzi na swoje pytanie, gdy lady Penhollow przemówiła.

- Nie podoba mi się to, jak mój syn na ciebie patrzy. Stanowisz dla niego zagrożenie, więc za wszelką cenę postaram się go ochronić.

- Lord Penhollow jest wobec mnie niezwykle uprzejmy, nic więcej.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak.

Lady Penhollow uśmiechnęła się złośliwie.

- Kłamiesz, dziewczyno. Nie możesz być aż tak naiwna. Nie-możliwe, by kobieta, która wygląda tak jak ty, nie zdawała sobie sprawy z takich rzeczy.

- Co pani ma na myśli? - spytała ostrożnie Eden.

Lady Penhollow wychyliła się z kąta.

- Doskonale wiesz, co mam na myśli. Jest w tobie *coś*, co pociąga mężczyzn i co zręcznie wykorzystujesz: swojego rodzaju bezbronność, połączona z niezwykłą urodą. No, ale przecież sama wiesz o tym najlepiej, nieprawdaż?

Eden nie odpowiedziała. To prawda, wiedziała o tym.

- Wpadłaś w oko mojemu synowi. Widzisz, z niego jest taki sir Galahad i święty Jerzy jednocześnie. Namiętnie popiera wszystkie beznadziejne sprawy, jak prawa rolników czy poprawa losu górników. A teraz to ciebie wziął pod swoje skrzydła.

- A z jakiego powodu miałby to robić?

- Jeszcze o to pytasz? Ty, biedne, zagubione dziewczę? - zadrwiła lady Penhollow. - Chciałaś szczerości, to ją masz. Nie jesteś dla niego wystarczająco dobra.

Te słowa boleśnie ukłuły Eden w serce.

- Skąd ta pewność?

- Kobięca intuicja, panno Eden. Jest w tobie zbyt dużo zmysłowości. Kobiety z wyższych sfer nie obnoszą się z czymś takim. W połączeniu z bezbronnością, o której mówiłam wcześniej, daje to mieszanekę, która stanowi zagrożenie dla mojego syna. - Nachyliła się do Eden. - Zostaw go w spokoju. Zostaw nas wszystkich.

Eden odwróciła się do okna. Pastwiska po obu stronach drogi upstrzone były fioletowymi kępami wrzосу. W oddali, za łąkami, rozciągały się bagna, przydające pejzażowi surowego piękna.

Lady Penhollow zniżyła głos.

- Potrafię się odwdziżyć. Jeśli zgodzisz się wyjechać z Kornwalii, pokryję wszystkie koszty podróży w dowolnie wybrane przez ciebie miejsce. Ale mój syn nie może się o niczym dowiedzieć.

Eden spojrzała jej w oczy.

- Nie jestem szantażystką. Nie stanowią też dla pani aż tak wielkiego zagrożenia.

- Zuchwała jesteś - odparła lady Penhollow i przeniosła się w swój koniec powozu. - Wiedz jedno: bez względu na to, czy przyjmiesz moją ofertę, czy nie, nie pozwolę ci go usidlić. Będę z tobą walczyć na każdym kroku.

- Lord Penhollow nie jest człowiekiem, który pozwoliłby się usidlić.

- Każdy mężczyzna staje się potulny jak baranek, kiedy w grę wchodzi ładna buzia i zgrabne nogi. Z moim synem jest podobnie. Powiem ci jeszcze jedno: nie ufaj głupim przesadom i plotkom. - Lady Penhollow uśmiechnęła się. - Dziwisz się, że o nich słyszałam, prawda? Od chwili, gdy się tu pojawiłaś, służący o niczym innym nie rozprawiają. Mimo to Pierce się z tobą nie ożeni. Nie może. Jest głową rodu i spoczywa na nim duża odpowiedzialność. Ty za to jesteś nikim i dlatego nie nadajesz się dla niego.

Te okrutne słowa pogłębiły wyrzuty sumienia, jakie i bez tego nie dawały Eden spokoju. Potarła palcami złoty medalion... i uświadomiła sobie, że lady Penhollow ma rację.

Resztę drogi przebyły w milczeniu. Po przyjeździe do domu Eden od razu pobiegła do swojego pokoju. Otworzyła wielkie oszklone drzwi i wyszła do ogrodu.

W powietrzu unosił się zapach czystego powietrza, kwitnących roślin i bogatej ziemi. Jakże tu było inaczej niż w Londynie i świecie, który kiedyś znała! Takiego spokoju nie zaznała nawet w małym ogródku Mary. Przeszłość, słowa lady Penhollow - wydawało się, że to wszystko wydarzyło się w jakimś innym świecie. Tu nie istniało nic prócz pięknych zapachów i aksamitnych w dotyku płatków róż.

Stojąc w ogrodzie, Eden nagle doznała olśnienia. Jeszcze nie tak dawno myślała, że w najlepszym wypadku skończy jako nałożnica jakiegoś bogacza lub dobrze opłacana prostytutka w burdelu, takim jak prowadzony przez madame Indrani. Teraz jednak wiedziała, że jej życie może wyglądać inaczej. Chciała czegoś więcej, potrzebowała czegoś więcej... i rozumiała niepokój lady Penhollow.

Kiedy nastąpiła ta zmiana? Czy wszystko zaczęło się od przyjaźni z Mary Westchester? A może był to efekt wszechstronnego wykształcenia Eden i jej zamiłowania do książek?

Czy też wpływ na tę zmianę miało spotkanie lorda Penhollow?

Eden odwróciła się i ogarnęła spojrzeniem przeciwległe skrzydło budynku, w którym mieściły się jego pokoje. Wdowa Haskell nie miała racji. Eden wiedziała, że nie może tu zostać. To nie było

miejsce dla niej. Wkrótce będzie musiała stąd uciec. Ale przez jeszcze jedną noc pozwoli sobie pomarzyć, że jej życie mogłoby ułożyć się inaczej. Słońce wyłoniło się zza chmur, odbijając się w jednym z okien. Może to tam znajdowała się jego sypialnia?

Eden uznała to za znak opatrności. Mogła spędzić tu jeszcze jedną noc, a potem musi stąd uciec.

Obiecała sobie, że w pełni wykorzysta czas, jaki jej pozostał.

Godzinę później Eden wkroczyła do salonu. Lord Penhollow właśnie nalewał sobie wina. Leeds zaraz po powrocie z miasta opowiedział wszystkim służącym o grubiańskim zachowaniu lady Penhollow. Pomagając Eden w przebieraniu się, Betsy bez przerwy wyrażała swoje obawy co do przyjęcia u Willisów; tam panienska nie mogła liczyć na wsparcie przychylnych jej służących z Penhollow Hall.

Ale Eden się nie bała. To była jej ostatnia noc tutaj i postanowiła, że nie pozwoli, by zepsuła ją lady Penhollow ani nikt z jej przyjaciół.

Włożyła jedwabną kremową suknię, która została zaprojektowana z myślą o jej pierwszym spotkaniu z sułtanem Ibn Sibahem. Zgodnie z najnowszą modą, suknia miała bardzo głęboki dekol; przy każdym ruchu migotała w blasku świec. Stanik zdobiło kilka rzędów pereł, wielkości opuszka małego palca każda.

Eden nie nosiła żadnej biżuterii oprócz złotego medalionu, ale do tej sukni nie potrzeba było diamentów ani innych kamieni szlachetnych. Włosy spięta na czubku głowy, tak, by opadały jej na ramiona w artystycznym nieładzie.

Pierce na jej widok zareagował tak, jak w skrytości ducha marzyła. Z wrażenia zapomniał o butelce, którą trzymał w dłoni i niewiele zabrakło, by przepełnił kieliszek i rozlał wino na podłogę. W ostatniej chwili ocknął się z zauroczenia, odstawił butelkę i podszedł do Eden.

Miał na sobie strój wieczorowy; z czernią smokingu kontrastowała śnieżnobiała koszula i halsztuk. Wyglądał niezwykle elegancko, niczym prawdziwy arystokrata. Jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne niż zwykle, a umięśniona sylwetka nabrała smukłości.

Eden była oczarowana.

- Pięknie pan dziś wygląda, milordzie.

O dziwo, spłonął rumieńcem.

Uniósł do ust jej dłoń w rękawiczce.

- A pani wygląda wręcz zachwycająco. - Pocałował ją w rękę.

Serce Eden biło tak mocno, że była pewna, iż on nie może tego nie słyszeć. Jemu, to właśnie jemu pragnęła oddać swoje dziewictwo. W zamian nic od niego nie chciała; tylko tyle mogła mu ofiarować.

I staliby tak Bóg wie jak długo, wpatrzeni w siebie niczym osłupiali, gdyby w ciszę nie wdarł się donośny głos lady Penhollow, która podniosła się z kozetki stojącej przy kominku.

- Chodźmy! Jesteśmy już spóźnieni. Musimy jechać. - Wyszła z salonu, przechodząc między nimi.

Lord Penhollow podał Eden ramię.

- Mama jest nerwowa przed każdym przyjęciem.

Eden to nie obchodziło. Była przy nim i tylko to się liczyło - mimo że Betsy ostrzegała ją, by miała się na baczności, bo u Willisów nie będzie przychylniej jej służby z Penhollow Hall.

Tym razem pojechali większym powozem. Panie usiadły po jednej stronie, lord Penhollow naprzeciwko. Chmury rozeszły się i oczom podróżnych ukazał się przepiękny zachód słońca. Za każdym razem, kiedy powóz podskakiwał na nierównej, błotnistej drodze, kolano lorda Penhollow ocierało się o nogę Eden. Udawała, że tego nie zauważa, rozkoszując się jego bliskością.

Pierce też zdawał się nie mieć nic przeciwko temu, dopóki matka nie spytała aż za głośno:

- Czy nie jest pani za ciasno, panno Eden?

Lord Penhollow natychmiast cofnął nogę o kilka centymetrów.

Państwo Willis mieszkali w uroczym dwupiętrowym domu, niecałe pół godziny drogi od Penhollow Hall. Gości powitała pani Willis, wyglądająca niczym zjawa w purpurze. Na głowie miała purpurowy turban z wielkim purpurowym piórem przypiętym broszką z diamentem wielkości męskiego kciuka, a za nią ciągnęła się przezroczysta suknia, oczywiście też purpurowa. Gospodyni musnęła ustami policzek lady Penhollow, po czym teatralnym gestem podała Pierce'owi rękę do pocałowania.

- Wchodźcie, wchodźcie. Wszyscy już przyszli. Och! A to musi być panna Eden. - Dłoń pani Willis była zimna jak lód. - Miło mi panią wreszcie poznać. Tyle pani wycierpiała! Doktor Hargrave właśnie nam o wszystkim opowiadał. Proszę, przedstawię panią wszystkim.

Eden ruszyła za nią z lekkim niepokojem. Choć nie wyczuła w głosie gospodyni ani krzty złośliwości, oczy pani Willis wydały jej się nieco zbyt zimne i wyrachowane.

W salonie oprócz doktora Hargrave'a był także pan Willis, siwowłosa dżentelmen, tak chudy, jak jego żona była tęga, oraz ich córka Wiktoria. Eden nie spodziewała się, że Wiktoria jest tak młoda. Nie mogła mieć więcej niż siedemnaście lat. Wysoka, wąska w biodrach, po ojcu odziedziczyła smutne oczy, a po matce cofnięty podbródek. Kręcone włosy, uczesane z przedziałkiem, spięte były w kok.

Pani Willis, ledwie skończyła przedstawiać Eden wszystkim gościom, syknęła do córki:

- Wyprostuj się, Wiktorio. Nieładnie wyglądasz, kiedy się garbisz. Przecież jest tu twój narzeczony!

W odpowiedzi Wiktoria zgarbiła się jeszcze bardziej.

Pani Willis przewróciła oczami i zaciągnęła Eden do małej grupki, w skład której wchodził lord i lady Baines, lord i lady Danbury oraz ich gość, pan Whitacre, student seminarium wybierający się do Londynu. Tymczasem pan Willis wziął lorda Penhollow na stronę, by porozmawiać o kopalni.

- Ma pani bardzo ładną suknię, panno Eden - powiedziała z uśmiechem lady Baines. - Choć dekolot jest nieco za duży jak na nasze wiejskie gusta, nie sądzi pani?

Eden nie śmiała spojrzeć lady Penhollow w oczy. Wykrztusiła, że w Londynie to ostatni krzyk mody, zdając sobie sprawę, że wzrok wszystkich mężczyzn skupił się na jej piersiach. Żałowała, że nie wzięła ze sobą kaszmirowego szala.

- Słyszeliśmy, że straciła pani pamięć - powiedziała lady Danbury. - Doktor Hargrave właśnie przedstawiał nam swoje poglądy na ten temat.

- Moim zdaniem to nonsens - wszedł jej w słowo lord Baines. - Przyznaj się, dziewczyno. Masz tak dobrą pamięć jak ja.

Eden, zaskoczona jego bezpośredniością, cofnęła się o krok... i omal nie wpadła na lorda Penhollow.

Pierce ujął ją pod rękę i ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Eden była przekonana, że nie słyszał tego, co przed chwilą zostało powiedziane, ale swoją obecnością tworzył wokół niej barierę, która nie dopuszczała do niej wątpliwości lub niepokoju.

Uśmiechnęła się do lorda Bainesa.

- Wolałabym nie rozmawiać o mojej przypadłości- powiedziała, nakłaniając go w duchu, by ponowił swoje oskarżenie w obecności Pierce'a. Jednak tego nie zrobił.

Usatysfakcjonowana, zwróciła się do pani Willis.

- Czy jest tu jakiś pokój, w którym mogłabym odświeżyć się przed kolacją?

- Wiktorio, kochanie - krzyknęła pani Willis. - Proszę, zaprowadź pannę Eden do pokoju dla pań. - Następnie nachyliła się do ucha córki. -I wyprostuj się wreszcie - wyszeptwała ze złością. - Garbisz się. Ciagle się garbisz.

Wyglądało na to, że zachowanie pani Willis wobec córki nikomu poza Eden nie wydaje się dziwne. Goście kontynuowali swoje rozmowy, jakby nigdy nic.

Wiktoria przywołała Eden gestem ręki.

Razem weszły schodami na piętro. Jedna z sypialni pełniła funkcję garderoby dla pań zaproszonych na ten wieczór do państwa Willis.

Eden odświeżyła się, po czym stanęła przed dużym ściennym lustrem. Założyła za ucho kosmyk włosów ciagle opadający jej na czoło.

- Czy twoim narzeczonym jest pan Whitacre? - spytała Wiktoria, by nawiązać rozmowę.

- Nie, lord Penhollow.

Eden miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Usiadła na fotelu stojącym obok łóżka. Czyżby wieśniacy, z takim zapałem dążący do skojarzenia jej z lordem Penhollow, zapomnieli o Wiktorii?

- Tak? - spytała ledwo słyszalnym głosem.

Wiktoria stała pod zamkniętymi drzwiami, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Jesteś bardzo ładna.
- Eden z trudem przywołała na usta uśmiech, zmagając się z ogarniającą ją zazdrością.
- Dziękuję. Ty też.
- Wiktoria niemal się wzdrygnęła.
- Nieprawda. Wcale nie jestem ładna. Mama mówi, że przez to nie będę miała debiutu w Londynie.
- Debiutu?
- Wiktoria wybałuszyła oczy.
- Nie wiesz, co to jest debiut?
- Eden potrząsnęła głową, autentycznie zdumiona.
- Nigdy o czymś takim nie słyszałam.
- Ach, tak - przypomniała sobie Wiktoria. - Straciłaś pamięć. To prawda? Mama mówi, że to nonsens.
- Eden nie odpowiedziała.
- Debiut polega na tym, że dziewczyna zostaje wprowadzona do śmietanki towarzyskiej - wyjaśniła wreszcie Wiktoria. - Po zakończeniu nauki rodzice zabierają ją do Londynu, by tam przedstawić ją członkom towarzystwa i, jeśli dopisze szczęście, znaleźć jej dobrego kandydata do małżeństwa. Ja miałam mieć swój debiut w tym roku, ale papa mówi, że mój wyjazd do Londynu byłby stratą pieniędzy. Rodzice chcą, żebym wyszła za lorda Penhollow.
- A ty nie chcesz? - spytała Eden.
- Wiktoria lekko zmarszczyła brwi.
- Właściwie to on może być.
- „Może być”? - Eden patrzyła na nią w osłupieniu. - Jest przystojny, bogaty, cieszy się szacunkiem.
- Wiktoria wzruszyła ramionami.
- Nie jest z dobrego *ton*, a poza tym mama uważa, że ma w sobie za dużo z typowego Kornwalijczyka.
- Dobry ton?
- Jego rodowód pozostawia wiele do życzenia. Ładna dziewczyna z dobrego domu może mierzyć o wiele wyżej niż w tytuł hrabiny Penhollow. Mama mówi, że to dlatego on się jeszcze nie ożenił. Nikt go nie chce. Na nikogo lepszego ode mnie nie może liczyć. Mama uważa, że lord Penhollow potrzebuje naszej rodziny,

by podnieść swój status. Oczywiście, w zamian da nam swoją urodę. Mama mówi, że nasze dzieci byłyby tak piękne, jak ich ojciec.

- Wiktorio, uroda nie jest najważniejsza.

- Moja mama mówi co innego. Nie dała mi dziś chwili wytchnienia. Prawie cały dzień przesiadziałam z jej fryzjerem. Chciała, żebym zrobiła dobre wrażenie, ale kiedy cię zobaczyłam, wiedziałam, że nie mogę się z tobą równać. Przy tobie wyglądam jeszcze gorzej niż zwykle. Mama dobrze o tym wie, tylko nie chce tego przyznać. Wiesz, że ona cię nie lubi, prawda?

- Odniosłam takie wrażenie - powiedziała chłodno Eden.

Wiktorcia wzruszyła ramionami.

- Boi się, że odbierzesz mi narzeczonego.

Eden nie mogła się nadziwić temu, jaką sensację wzbudza samą swoją obecnością. Ciekawe, jak ci wszyscy ludzie zareagują, kiedy stąd jutro ucieknie.

- A ty co o tym myślisz, Wiktorio?

- Wydaje mi się, że lord Penhollow nie zauważa mnie, bez względu na to, czy tu jesteś, czy cię nie ma - odparła dziewczyna bez ogródek. - Zawsze okazuje mi wiele uprzejmości, ale tak naprawdę to wcale nie jest moim narzeczonym; przynajmniej nigdy nie prosił mnie o rękę, choć mama bardzo by chciała, żeby tak się stało. Ciągłe mi powtarza, żebym była dobrej myśli, ale ja sądzę, że nic dobrego mnie w życiu nie spotka, nie spodobam się żadnemu mężczyźnie, a mama nigdy nie da mi spokoju.

Z oczu dziewczyny popłynęły łzy i Eden, zapominając o zazdrości, szybko podeszła do niej i wzięła ją w ramiona. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak trudno jest znosić z godnością ciągłą krytykę i żyć pod brzemieniem nieszczęścia.

- Ty naprawdę jesteś ładna - pocieszała Wiktorię. - A do tego inteligentna i odważna.

- Nie, jestem tchórzem. Nie chcę wyjść za lorda Penhollow. Chcę pojechać do Londynu, ale boję się powiedzieć o tym rodzicom. Chcę pójść do opery. Chcę poznać ciekawych ludzi, zwiedzać muzea, chodzić do teatru. Zrobiłabym wszystko, żeby się stąd wyrwać. Tutaj można się zanudzić na śmierć. I wcale nie jestem inteligentna. Gdybym była, potrafiłabym mówić mądre rzeczy i nie przynosiłabym wstydu moim rodzicom.

- Wiktorio, przecież wcale nie przynosisz im wstydu - powiedziała Eden, po czym cofnęła się o krok i położyła jej ręce na ramionach. - A poza tym jesteś ładna.

Wiktoria pociągnęła nosem.

- Usiądź tutaj. - Eden wskazała dłonią taboret stojący przed lustrem.

- Dlaczego?

- Bo mam talent fryzjerski. - Wzięła Wiktorię za rękę i pociągnęła ją w stronę lustra. - Jeśli pozwolisz, zmienię ci trochę uczesanie. Wiem, w jakim będzie ci do twarzy.

- Jakim?

- Zobaczysz. To ostatni krzyk mody - zapewniła ją Eden. - A ja jestem z Londynu, więc coś o tym wiem. - Wyciągnawszy szpilki ze sztywnych loków Wiktorii, rozczesła je, po czym spięła włosy na czubku głowy. Na koniec nożycami krawieckimi skróciła grzywkę dziewczyny tak, by krótkie kosmyki okalały jej twarz.

Eden oceniła swoje dzieło w lustrze. Wysoko upięte włosy odwracały uwagę od cofniętego podbródka i przydawały Wiktorii nieco bardziej wytwornego wyglądu.

Wiktoria spojrzała w lustro.

- O raju, prawie że jestem ładna.

Eden położyła dłonie na jej ramionach.

- Masz piękne oczy, zwłaszcza kiedy się uśmiechasz. Z uśmiechem na twarzy każda kobieta staje się bardziej ponętna - powiedziała, powtarzając słowa, które madame Indrani niemal codziennie wbijała do głowy swoim podopiecznym.

Wiktoria spojrzała na nią w lustrze.

- Dlaczego mi pomagasz? Czy nie chcesz lorda Penhollow dla siebie, jak mówi moja mama?

- Może twoja matka się myli.

Wiktoria zamyśliła się nad tym, jakby nigdy dotąd taka możliwość nie przysłała jej do głowy.

- Tak powiedziała jej lady Penhollow... a poza tym ty i lord Penhollow pasujecie do siebie.

Eden odłożyła nożyce.

- Lord Penhollow uratował mi życie i to wszystko.

- Dla mnie on jest za stary - powiedziała w zaufaniu Wiktoria. - A poza tym wydaje mi się, że mama lubi go bardziej niż ja.

- Przecież jest przystojny- zauważyła Eden, zdziwiona, że Wiktoria oparła się urokowi Pierce'a.

- Jak pan Whitacre.

Eden omal nie parsknęła śmiechem, słysząc to nieśmiałe wyznanie.

Wiktoria spłoniła się, zdając sobie sprawę, że zdradziła swoją tajemnicę.

- Lepiej już wracajmy. - Raz jeszcze zerknęła w lustro, wdychając się dyskretnie. - Mama będzie zła, że zmieniłam uczesanie, ale mam to w nosie. Tak jest mi ładniej.

Ruszyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się w pół kroku.

- Muszę ci coś powiedzieć. Mama i jej przyjaciółki chcą ci dziś narobić wstydu w nadziei, że lord Penhollow dojdzie do wniosku, że nie nadajesz się dla niego.

- Wiktorio, nic mnie nie łączy z lordem Penhollow.

- Och, Eden, przecież wiesz, że tak nie jest - odparła Wiktoria. Była bardziej spostrzegawcza, niż mogłoby się wydawać.

- Dlaczego tak mówisz?

- Pod wieloma względami przypominasz lorda Penhollow. Nigdy go nie obchodziło, co o nim myślą inni. Mama uważa go za ekscentryka. - Uścisnęła dłoń Eden. - Ale nie martw się. Nie pozwolę, żeby ci ludzie źle cię traktowali. - Wyśliznęła się z pokoju i Eden poszła za nią.

Na dole powitał ich donośny głos pani Willis.

- Już zaczynałam się o... was... martwić... Wiktorio, czy zrobiłaś coś z włosami?

- Tak - odparła wesoło Wiktoria. - Tak jest o wiele ładniej. - O dziwo, nie garbiła się tak jak wcześniej.

- Nie sądzę, żeby... - zaczęła pani Willis, ale pan Whitacre nie dał jej dokończyć.

- Bardzo pani ładnie w tym uczesaniu, panno Willis - powiedział. - Czy pozwoli pani, bym odprowadził ją do salonu?

Wiktoria przytaknęła, zanim jej matka zdążyła zaprotestować.

- Cóż - burknęła pani Willis, wyraźnie zmieszana. - Proszę do stołu.

Zgodnie z zapowiedzią Wiktorii, kolacja okazała się koszmarem. Eden została posadzona daleko od lorda Penhollow. Ledwie zajęła miejsce, pani Willis nachyliła się do niej i powiedziała głośnym szeptem:

- Tej łyżki używa się do zupy.

Eden spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Dziękuję - mruknęła.

Na usta pani Willis wypłynął zimny uśmiech.

- Nie wiedziałam, czy pamiętasz takie rzeczy, czy nie.

- Tak, pamiętam, jak się je - odparła spokojnie Eden.

- To miło - powiedziała pani Willis, po czym zwróciła się do pana Whitacre'a i szepnęła: - Chciała użyć nieodpowiedniego widelca.

Pan Whitacre nie wydawał się zbyt przejęty tym faktem. Pani Willis jednak skorzystała z okazji, by wdać się z nim w pogawędkę i odwróciła się plecami do Eden, ignorując ją całkowicie.

Wiktorii i lord Penhollow kilka razy próbowali wciągnąć Eden do rozmowy, która toczyła się na drugim końcu stołu. Za każdym razem jednak lady Baines, lady Danbury lub nawet lady Penhollow nie dopuszczały jej do głosu. W dodatku Eden nie miała nic ciekawego do powiedzenia.

Czuła się tu obco, nawet bez zabiegów pani Willis.

'- Panna Eden jest z Londynu - powiedziała Wiktorii.

- Ach! Wraca jej pamięć - stwierdził lord Baines ze szczyptą sarkazmu w głosie i wbił widelec w kawałek ryby.

Eden spojrzała niepewnie na lorda Penhollow. On jednak nawet nie podniósł głowy znad talerza.

- W amnezji tak bywa - zaczął doktor Hargrave, szykując się do wygłoszenia dłuższej mowy na ten temat, ale lady Danbury weszła mu w słowo.

- Słyszeliście, że lord i lady Valen wybierają się w czwartek do Londynu? Lady organizuje przyjęcie na cześć swojej siostrzenicy i już zdobyła karty wstępu do Almacka.

- A to jej się poszczęściło! - powiedziała pani Willis i spojrzała na Eden. - Proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek była pani u Almacka? Czy wpuszczono by tam panią?

Lord Penhollow uprzedził Eden w odpowiedzi.

- Pani Willis, nie każdy przypisuje temu klubowi tak wielkie znaczenie. Mnie i mojemu ojcu odmówiono kart wstępu.

Lady Penhollow poruszyła się nerwowo. Misternie uknute przez nią plany po raz kolejny zwróciły się przeciwko niej. Eden trochę jej nawet współczuła. Tymczasem pani Willis zmieniła temat na mniej kontrowersyjny - pogodę.

Eden zerknęła na lorda Penhollow. Ciepły blask świec w najmniejszym stopniu nie łagodził jego surowych męskich rysów. Był przystojny, bardzo przystojny... a oprócz tego szlachetny i nie bał się bronić swoich przekonań. Oto mężczyzna, którego mogłaby podziwiać. Człowiek zasługujący na najwyższy szacunek.

Bez wątpienia mógł sobie znaleźć kogoś lepszego od londyńskiej prostytutki. Ta jedna jedyna myśl wystarczyła, by osiągnąć to, co nie udało się pani Willis i jej małostkowym przyjaciółkom: Eden uświadomiła sobie, że naprawdę nie jest godna lorda Penhollow.

Ich spojrzenia skrzyżowały się nad migocącymi płomykami świec. Przez chwilę wydawało się, że są tu tylko we dwoje... ale Eden zdawała sobie sprawę, że jeśli naprawdę dobrze mu życzy, musi go opuścić i pozwolić mu żyć jego własnym życiem.

Z zadumy wyrwał ją brzęk widelca o porcelanę. Służąca zaczęła sprzątać ze stołu. Pani Willis podniosła się. Wszyscy panowie uczynili to samo.

- Dżentelmeni z pewnością pragną w swoim gronie pogawędzić przy butelce porto o męskich sprawach - powiedziała. - Czy panie będą łaskawe przejść ze mną do salonu?

Eden podniosła się od stołu.

- Szczerze mówiąc, jeśli o mnie chodzi, to chętnie zrezygnuję z porto i brandy, by dotrzymać towarzystwa szanownym paniom - powiedział nieoczekiwanie lord Penhollow. - Co panowie na to?

Pan Willis zasępił się.

- Ja tam wolę porto.

- Przecież możemy je pić w salonie z szanownymi paniami - zauważył rozsądnie lord Penhollow.

- Ja właściwie jestem za - powiedział pan Whitacre. - Osobiście wolę kobiece towarzystwo. - Spojrzał na Wiktorię, która zarumieniła się uroczco.

- To niezgodne z obyczajem - burknęła pani Willis.
- Nonsens - powiedział lord Penhollow. - Wszyscy tu jesteśmy starymi przyjaciółmi. Po co się przyjaźnić, jeśli nie można w swoim towarzystwie pozwolić sobie na odrobinę swobody?

Pan Whitacre, a także, ku zdumieniu Eden, doktor Hargrave, przytaknęli i mimo sprzeciwów pani Willis wszyscy razem, panie i panowie, skierowali kroki do salonu.

Lord Penhollow szedł obok Eden.

- Mam wrażenie, że pani Willis i jej przyjaciółki zachowują się wysoce nietaktownie. Czy chce pani, żebyśmy wrócili już do domu?

Eden udała najwyższe zdumienie.

- Co takiego? Miałabym poddać się przed zakończeniem bitwy? Nigdy.

Pierce roześmiał się.

- Ma pani ogień w oczach. Widzę, że lepiej nie wchodzić pani w drogę.

Eden potrząsnęła głową.

- Tak naprawdę nie zachowują się aż tak źle. - Z pewnością nie traktowały jej gorzej, niż na to zasługiwała.

Lord Penhollow milczał przez chwilę.

- To nie pani wina - powiedział wreszcie. - Zachowują się tak nie dlatego, że żywią do pani jakąś osobistą niechęć. Willis chce, żebym oświadczył się jego córce, mimo że nigdy mu tego nie obiecywałem.

- Wiem o tym.

- Tak? Byłem przekonany, że matka powiedziała pani coś zupełnie innego.

Eden uśmiechnęła się.

- Pańska matka uważa Wiktorię za wymarzoną żonę dla pana. To Wiktorina powiedziała mi, że niczego jej pan nie obiecywał. Uważa, że jest pan dla niej za stary.

Pierce zatrzymał się w pół kroku.

- Za stary?

Eden parsknęła śmiechem i weszła do salonu. Pan Willis wciąż narzekał, że nie pozwolono mu napić się porto, a jego żona stała przy fortepianie. Klasnęła w dłonie, pragnąc zwrócić na siebie uwagę wszystkich zebranych.

- Dzisiejszego wieczoru zagra dla nas moja córka, Wiktorcia. Ona ma naprawdę wielki talent - powiedziała, patrząc na lorda Penhollow.

Pierce skinął głową i ukradkiem zerknął na Eden, przewracając oczami. Przysłoniła usta dłonią, by nie wybuchnąć śmiechem.

Wiktorcia okazała się dość przeciętną pianistką, ale obdarzoną słodkim głosem. Eden zauważyła, że lord Penhollow kiwa nogą w rytm muzyki i zazdrość ukłuła ją w serce. Skoro gra Wiktorcii tak mu się podobała, Eden uważała, że musi postarać się, by wypaść jeszcze lepiej. Spojrzała na pana Whitacre'a. Młodzieniec nie odrywał oczu od Wiktorcii.

Gdy przebrzmiał ostatni akord i wszyscy nagrodzili pianistkę oklaskami, pani Willis podniosła się z miejsca i skierowała wzrok na Eden.

- Panno Eden, czy posiada pani jakieś umiejętności, które chciałaby nam zademonstrować?

Eden już chciała powiedzieć, że potrafi grać na fortepianie, ale nie odezwała się.

To była wielka chwila Wiktorcii. Mogła zabłysnąć przed panem Whitacre'em, napełnić serca swoich rodziców dumą i nabrać poczucia własnej wartości.

A Eden była tylko oszustką.

Uśmiechnęła się.

- Nie, pani Willis, obawiam się, że nie jestem w stanie niczym państwu olśnić. Wiktorio, naprawdę pięknie grasz. - Pan Whitacre przytaknął jej skwapliwie, a Wiktorcia pokraśniała z zadowolenia.

Pani Willis wyglądała na niezmiernie zadowoloną z tego, że Eden okazała się beztalenciem. Wydawało się, że lada chwila zacznie napawać się swoim triumfem, ale uprzedził ją lord Penhollow, który wstał i oznajmił, że zrobiło się późno i pora wracać do domu.

Słowa te zabrzmiały w uszach Eden jak muzyka.

W powozie lady Penhollow nie przestawała mówić o Wiktorcii - jej dobrym wychowaniu, talencie, szlacheckim pochodzeniu.

- To prawdziwe szczęście mieć takich przyjaciół jak Willisowie i Bainesowie. No i oczywiście państwo Danbury. To dobrzy przyjaciele.

Eden i lord Penhollow siedzieli w milczeniu. Tym razem, ku jej rozczarowaniu, ich kolana nie dotykały się.

Jeszcze tego ranka snuła śmiałe, nieosiągalne marzenia. A teraz wszystko się skończyło... marzenia bezpowrotnie legły w gruzach.

Eden zaczęła się obawiać, że jeśli dłużej zostanie w Penhollow Hall, skończy jak Ikar, który zginął, bo wierzył, że może wznieść się do samego słońca. Nie mogła zdobyć lorda Penhollow. W końcu musiałyby mu wyznać całą prawdę o sobie. A kiedy by się dowiedział, że przez cały czas go oszukiwała, nie mogłaby mu spojrzeć w oczy. Uczucie, jakim go darzyła, było już zbyt silne.

Odczuła ulgę, kiedy powóz nareszcie skręcił na podjazd wiodący do Penhollow Hall. Zaraz po wejściu do domu Eden życzyła swoim gospodarzom dobrej nocy, po czym ruszyła do swojego pokoju.

Nie uszła para kroków, kiedy usłyszała, że woła ją lord Penhollow.

Zatrzymała się.

- Tak? - Nie odwróciła się, wsłuchana w odgłos jego kroków.

- Przepraszam za zachowanie mojej matki i jej przyjaciół.

- Już pan to mówił, milordzie. Poza tym, nie należą mi się przeprosiny. Ci ludzie mają na względzie przede wszystkim pańskie dobro. - Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że coś ją ściska za gardło. Mówienie wręcz sprawiało jej ból.

- Eden. - Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Zbiło ją to z tropu.

Wahała się przez chwilę. Jakże łatwo byłoby zdmuchnąć świecę, którą niosła w ręku, spowić ich dwoje w ciemnościach i błagać go, by przyjął ją do swojego serca, by ją wziął, tutaj, w tej chwili.

Ale gdyby nawet tak zrobiła, co stałoby się potem?

Czy odwróciłby się od niej z obrzydzeniem? A może przyjąłby to, co by mu zaoferowała, nie zdając sobie sprawy, jaką to ma dla niej wartość?

- To był cudowny wieczór - wyszeptła, po czym uciekła, nie czekając na jej odpowiedź.

Niestety, w sypialni czekała na nią Betsy.

- Ach, panienko, czy lord Penhollow zauważył, jak pięknie panienka wygląda? Czy coś powiedział?

- Nie wiem.

- Pewnie, że zauważył- mówiła dalej Betsy, jakby jej nie usłyszała. Odwiesiła wyszywaną perłami suknię do szafy. - Nic nie może na to poradzić. Oszalał na punkcie panienki. Wszyscy tak mówią.

Eden włożyła koszulę nocną i usiadła na łożu. Pomasaowała skronie, czując, że zaczyna ją boleć głowa. Jeszcze dzisiaj musiała zaplanować swoją ucieczkę. Nie miała czasu na gadanie po próżnicy.

- On nie może się we mnie zakochać.

Betsy cofnęła się.

- Może. Już się zakochał. Wdowa tak mówi.

Eden wzruszyła ramionami.

- Betsy, to tylko przesady.

Służąca zmarszczyła brwi i cofnęła się o krok, zaskoczona.

- Panienska nie wierzy, prawda? Cała wieś wierzy, a panienska nie.

- Bo wiem, że to niemożliwe. Betsy, lord Penhollow jest człowiekiem wysokiego stanu. Ja jestem nikim. On jest człowiekiem niezwykłym, szlachetnym i honorowym, i... -I musi ożenić się ze szlachcianką, nie z kurtyzaną, dopowiedziała w duchu.

Betsy zatrzęsała się z oburzenia.

- Musi panienska uwierzyć, głęboko w duszy. Kiedy jesteście razem, powietrze wokół was aż się iskrzy.

- To nie są czary - odparła krótko Eden. - To żądza.

- To miłość.

Taki mężczyzna nigdy nie byłby w stanie pokochać takiej kobiety jak ja, pomyślała Eden. Podniosła się z łoża.

- Betsy, nie istnieje coś takiego jak miłość. To mit, całkowita fikcja.

Betsy przeszyła ją gniewnym spojrzeniem, zaciskając dłonie w pięści. Jej głos drżał z nadmiaru emocji.

- Po prostu nie chcesz uwierzyć, i tyle. A jeśli ty nie uwierzysz, nic z tego nie będzie. - Z tymi słowami odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zatraskując z hukiem drzwi.

Eden usiadła na łożu. Dlaczego wszczęła kłótnię ze służącą? Dlaczego nie potakiwała jej dla świętego spokoju?

Dlatego, że dzięki Betsy zaczęła wierzyć, marzyć, że wszystko jest możliwe - a tak nie było.

Eden postanowiła, że następnego dnia zaproponuje lady Penhollow jedną ze swoich sukien w zamian za pokrycie kosztów wyjazdu z Kornwalii. Dokąd pojedzie i co będzie robiła, nie miało znaczenia. Chodziło tylko o to, aby jak najszybciej stąd uciec.

Podjąwszy decyzję, położyła się i zamknęła oczy. Musiała się wypaść przed czekającym ją ciężkim dniem, ale sen nie przychodził.

Nie mogła się odprężyć. W jej głowie kłębiły się dziesiątki myśli i planów. Przez pewien czas zastanawiała się, czy nawiązać kontakt z Mary Westchester. Przyjaciółka na pewno chciałaby jej pomóc, ale Eden nie chciała narażać jej na niebezpieczeństwo, jakie groziłoby jej i jej rodzinie ze strony madame Indrani, gdyby ta mściwa kobieta dowiedziała się o wszystkim.

Eden wstała z łoża, wzięła świeczkę i wyszła z sypialni. Spróbuje poczytać jakąś książkę w bibliotece i uspokoić nerwy na tyle, by udało jej się zasnąć.

Gdy przechodziła obok otwartych drzwi salonu, zatrzymała się na widok fortepianu skapanego w księżycowym świetle sączącym się przez okno. Po chwili wahania Eden weszła do środka i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Postawiła świecę na instrumencie i z namaszczeniem pogładziła gładką obudowę z drzewa różanego.

Powoli siadła do fortepianu, podniosła klapę i położyła palce na klawiszach z kości słoniowej. Znajome uczucie. Co by się stało, gdyby ośmieliła się zagrać tego wieczoru u Willisów? Zamknęła oczy, wyobrażając sobie uśmiech na twarzy lorda Penhollow. Zaczęła grać.

Muzyka działała bardziej kojąco niż lektura. Grając na fortepianie, Eden mogła uwolnić swoją duszę, zapominając o zmartwieniach i obawach. Czas stracił dla niej wszelkie znaczenie. Teraz liczyły się tylko te dobrze znane nuty, w które wkładała całe swoje serce. Jeden utwór niepostrzeżenie przechodził w następny i tak aż do chwili, kiedy Eden skończyła grać, dawszy upust szalejącym w jej duszy uczuciom.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie jest sama.

Jeszcze nie przebrzmiał ostatni akord, kiedy podniosła głowę. W drzwiach stał lord Penhollow. Nie miał na sobie surduta ani kamizelki. Rozwiązany halsztuk wisiał luźno na szyi. Przez chwilę Eden nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jakimś magicznym sposobem wezwała lorda Penhollow z otchłani swoich pragnień. Ich spojrzenia spotkały się.

Był tak blisko. Aż za blisko.

- Nie chciałam pana obudzić - wykrztusiła.
- Siedziałem w swoim gabinecie. Nie mogłem zasnąć. - Na chwilę zawiesił głos. - Dziś wieczorem mówiła pani, że nie umie grać.

Eden nie odpowiedziała.

Lord Penhollow podszedł do niej bezszelestnie.

- Nie chciała pani odwracać uwagi słuchaczy od Wiktorii Willis.

Eden odzyskała mowę, ale bała się spojrzeć na niego. Był zbyt przystojny.

- Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej.

Obrócił jej twarz do siebie.

- I wcale nie straciłaś pamięci, prawda? - szepnął.

10

Eden miała już dość życia w kłamstwie, ale nie mogła mu powiedzieć prawdy.

Lord Penhollow usiadł tuż obok fortepianu i wpatrzył się w Eden.

- Graj.
- Co mam grać?
- Nieważne.

Jej drżące palce spoczęły na klawiszach. Eden aż za bardzo zdawała sobie sprawę z bliskości Pierce'a; czuła, jak jego udo ociera się o jej nogę, widziała jego rękę wspartą na fortepianie, jego skupioną twarz.

Przez chwilę miała w głowie zupełną pustkę. Nie mogła przypomnieć sobie, jak ma na imię, a tym bardziej, co tu robi. Niemal bezwiednie wydobyła z fortepianu akord D, po czym jej palce same zaczęły biegać po klawiszach, jakby bez udziału woli pianistki. Mozart.

Utwórz ten, zgodnie z intencją kompozytora, należało grać w świetle księżycy. Nie był łatwy. Nastroj zmieniał się raptownie, od melancholii po niemal radosną ekstazę.

Eden grała dla lorda Penhollow, jak nigdy jeszcze nie grała dla nikogo, wyrażając poprzez muzykę to, czego nie mogła wyrazić słowami.

Pierce położył głowę na ramieniu i słuchał z kamienną twarzą. Blask świecy otaczał ich ciepłym kręgiem.

Eden nie zdawała sobie sprawy, że jej oczy wypełniają się łzami, dopóki pierwsza z nich nie zaczęła płynąć po policzku. Starła się wstrzymać następne. Żal ścisnął ją za gardło.

Ale mimo to grała dalej; jej palce biegały po klawiszach i wydobywały z instrumentu kolejne akordy. Następną łza popłynęła po policzku Eden i spadła na jej dłoń w chwili, kiedy zabrzmiała ostatnia nuta utworu.

Muzyka wciąż wypełniała powietrze. Lord Penhollow milczał. Eden nie mogła zdobyć się na to, by spojrzeć na niego. Opuściła głowę, patrząc na swoje palce odcinające się na tle kremowych klawiszy.

Wtedy poczuła na policzku dotyk jego dłoni. Przez jej ciało przebiegło drżenie. Zaniknęła oczy, rozkoszując się tą chwilą.

Nie wstrzymywała już łez, które obficie płynęły po jej twarzy. Poczwała na ustach ich słony smak. Wtedy Pierce musnął palcami jej wargi i nachylił się nad nią.

Eden jeszcze nigdy się z nikim nie całowała. Dziewczyny od madame Indrani po prostu tego nie robiły. Pocałunek był czymś zbyt intymnym, zbyt osobistym. Pewien poeta napisał niegdyś, że pocałunkiem na zawsze zdobywa się duszę kobiety i madame Indrani przy każdej okazji powtarzała to swoim podopiecznym.

Teraz jednak Eden pragnęła tej bliskości. Zwilżyła wargi i rozchyliła je.

Nie trzeba mu było wyraźniejszego przyzwolenia. Ich usta spotkały się.

Pocałunek okazał się o wiele delikatniejszy, niż się spodziewała. Wargi Pierce'a były gładkie i miękkie. Całowanie go wydawało się czymś tak naturalnym jak oddychanie i Eden z cichym westchnieniem wczepiła się w jego usta.

Pierce przyciągnął ją do siebie. Eden podniosła dłonie z klawiszy i oparła je delikatnie na jego ramionach.

Wargi Pierce'a, przyciśnięte do jej ust, drgnęły w uśmiechu, po czym uścisk jego ramion stał się silniejszy, a pocałunek głębszy.

To, co zaczęło się niewinnie, przerodziło się w gorącą namietność. Eden przywarła do twardej piersi lorda Penhollow; przez cienką warstwę bawełny czuła przyspieszone bicie jego serca. Jej sutki stwardniały.

Czubek jego języka delikatnie łaskotał jej dolną wargę. Z gardła Eden wyrwał się cichy jęk. Wtedy język Pierce'a słodko wdarł się do jej ust i Eden dowiedziała się, czym jest naprawdę pocałunek.

To było coś bardzo intymnego... ale jakże podniecającego.

Pierce pachniał mydłem do golenia i brandy. Eden upajała się rozkoszą.

Ale to jej nie wystarczało. Pragnąc być jeszcze bliżej, objęła go za szyję i przyciągnęła.

Wydał z siebie zduszony śmiech, po czym wziął ją za biodra i posadził sobie na kolanach.

Eden siedziała przodem do Pierce'a, obejmując go nogami. Teraz to ona przejęła inicjatywę, odwzajemniając pocałunek. Wiedziała już, jak to robić, a bliskość jego ciała sprawiała jej niewysłowioną przyjemność. Ujęła go pod brodę, czując pod palcami szorstki zarost.

W ich namiętym uścisku jej koszula nocna podsunęła się do góry, odsłaniając uda. Eden wyczuwała pod czarnymi, eleganckimi bryczesami Pierce'a długą, twardą męskość sterczącą mu niemal do pasa. Rozpalona żądzą, mocniej przywarła do ukochanego.

Jego dłoń powędrowała w górę jej nagiego uda i wśliznęła się pod koszulę nocną. Ich pocałunek z każdą chwilą był coraz głębszy, jakby nie mogli się sobą nasycić. Eden pociągnęła Pierce'a za koszulę, pragnąc, by obydwoje pozbyli się ubrań. Jej palce wśliznęły się pod pasek jego spodni i musnęły twarde, aksamitny w dotyku czubek sterczącej męskości.

Wtedy Pierce złapał ją za rękę, uniemożliwiając dalsze pieszczoty. Oderwał się od niej i oparł o fortepian, oddychając ciężko.

Eden odrzuciła włosy z twarzy, wciąż opanowana dziką żądzą. Położyła mu dłonie na piersi i ugryzła go w dolną wargę.

- Czemu przestałeś? Chcę cię dotykać. Muszę cię czuć przy sobie.

Pochyliła się, chcąc znów go pocałować, ale potrząsnął głową i złapał ją za nadgarstki.

- Jeśli nie przestaniemy teraz, to ja nigdy nie przestanę.

Eden zaczęła ocierać się o niego piersiami. Jej sutki stwardniały w oczekiwaniu na jego dotyk.

- No to nie przestawajmy.

Jego oczy błyszczały w blasku świecy. Eden czekała. Czuła się jak lubieżnica, ale czuła się też silna... i uczciwa, Robiła to, do czego ją przyuczono. To, co rozumiała.

Nagle Pierce wstał i podniósł ją. Silne ramiona podtrzymywały jej ręce i nogi. Szybko zdmuchnął świecę i wyszedł na korytarz prowadzący do sypialni Eden.

Objęła go za szyję, wdychając woń rozgrzanego mężczyzny i nakrochmalonej bawełny. Jutro stąd ucieknie, ale ta noc należeć będzie do niej.

Pierce otworzył ramieniem drzwi jej sypialni. Ciemności rozjaśniało tylko światło księżyca sączące się do środka przez oszklone drzwi i padające prosto na łożo. Z ogrodu dobiegał plusk wody w fontannie i cykanie świerszczy.

Serce Eden zabiło mocniej, gdy Pierce położył ją na łożu, na którym wciąż widać było wgłębienie w miejscu, gdzie leżała wcześniej. Wyciągnęła do niego ręce.

Ale lord Penhollow nie spoczął przy niej. Odszedł parę kroków w tył i skrył się w cieniu.

Eden podniosła się na łokciu.

- Nie dołączysz do mnie?

- Nie.

Jej odurzony żądzą umysł nie był w stanie tego pojąć.

- Nie? - Uklękła na łożu. - Ale ja myślałam... My właśnie... - Urwała w pół zdania. Nie potrafiła znaleźć słów na określenie tego, co zaszło między nimi w salonie. Och, oczywiście mogła to opisać na wiele sposobów, ale nie byłaby w stanie wiernie wyrazić uczucia, jakie zrodziło się wówczas w jej duszy. - Nie chcesz mnie?

Roześmiał się nerwowo.

- Pragnę cię aż do bólu - wyszeptał. - Niczego nie chcę tak bardzo, jak zagłębić się w tobie i czuć wokół siebie twoje ciało.

Na te słowa z ust Eden wyrwał się jęk pożądania. Wyciągnęła ręce do Pierce'a.

- To chodź do mnie.

- Nie mogę.

Eden opuściła rękę i ścisnęła prześcieradło w geście rozpacz.

- Dlaczego?

- Bo jest coś, czego chcę od ciebie jeszcze bardziej.

- Cóż to takiego?

- Chcę, żebyś mi zaufała.

Zaufanie. Eden usiadła na piętach. Odgarnęła włosy z twarzy.

- A jeśli nie mogę ci go dać?

- Możesz - powiedział z przekonaniem. - Zawsze dostaję to, czego chcę.

Serce zamarło jej w piersi.

- A jeśli to, czego chcesz... nie jest tym, czego oczekujesz?

- Eden, jesteś niewinna. Nigdy w życiu nie uwierzę, że masz na sumieniu jakikolwiek występki.

- Niewinna? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Skąd to przekonanie?

W ciemności błysnęły jego zęby w szerokim uśmiechu.

- Eden, moja słodka, poznałem to po twoim pocałunku. Jestem pierwszym mężczyzną, którego całowałaś, chociaż muszę przyznać, że szybko się uczysz.

Jego niezachwiana pewność wzbudziła w niej niepokój.

- Wcale nie jestem taka niewinna, za jaką mnie uważasz...

- Nie mów nic więcej. Każdy ma coś na sumieniu - odparł ze złością.

Ten wybuch gniewu całkowicie ją zaskoczył. Cofnęła się, a Pierce podszedł do niej, po czym przygarnął ją do siebie i pocałował. Ten pocałunek różnił się od poprzedniego. Był dziki, zaborczy, jakby Pierce chciał jej dać do zrozumienia, że odtąd należy tylko do niego.

Kiedy ją puścił, półprzytomna osunęła się na łożo.

Tak bardzo go pragnęła.

Pierce stanął nad łożkiem.

- Jesteś moja - powiedział - ale to mi nie wystarczy. Chcę czegoś więcej. Wezmę cię dopiero wtedy, kiedy uda mi się zdobyć cię całą. Twoje serce, twoje myśli... twoją duszę. - Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Upłynęło kilka godzin, zanim Eden zdołała zasnąć, a wtedy wiedziała już, że następnego dnia nigdzie się stąd nie ruszy.

Panienko, proszę się obudzić! Musimy panienkę wystroić na mszę. Już i tak ominęła panienkę lekcja jazdy konnej. Lord

Penhollow kazał dać się panience wyspać. Powiedział, że lekcja może odbyć się jutro.

To dobrze, pomyślała Eden i przykryła głowę poduszką.

Betsy nie zamierzała jednak pozwolić jej znów zapaść w sen.

- No, panienko. Trzeba iść do kościoła. Gdyby panienka opuściła mszę, lady Penhollow byłaby zadowolona jak nigdy. Całe Hobbles Moor wzięłoby panienkę na języki.

Eden z trudem otworzyła oczy. Usiadła na łożu i odgarnęła włosy z twarzy.

- Kościół? - spytała rozspanym głosem. - Ja nie chodzę do kościoła.

Betsy odwróciła się na pięcie.

- Że co proszę? Musi panienka pójść do kościoła. Wszyscy w Hobbles Moor chodzą do kościoła. Pewnie to ta choroba pamięci daje się panience we znaki. Zapomniała panienka, że chodziła do kościoła.

Eden przetarła oczy i stłumiła ziewnięcie.

- Masz rację, zapomniałam - mruknęła i położyłaby się z powrotem, gdyby nie słowa, które padły z ust Betsy.

- Lord Penhollow spodziewa się, że za pół godziny panienka będzie gotowa do wyjścia.

Eden natychmiast ocknęła się i zerwała na równe nogi.

- On chce mnie zabrać do kościoła?

- Oczywiście. Zabiera panienkę i swoją matkę.

Eden pochłapała twarz zimną wodą. Ostatnio była w kościele przed trzynastoma laty, gdy chciała rozgrzać się w czasie siarczystego mrozu. Wygonił ją stamtąd bezduszny wikary; była to jej pierwsza i ostatnia wizyta w domu Bożym.

Pamiętając z zeszłego wieczoru złośliwe komentarze na temat swojego głębokiego dekoltu, zasugerowała:

- Betsy, może ty coś wybierzesz?

- Bardzo chętnie, panienko - odparła służąca i wybrała suknię w ulubionym kolorze lorda Penhollow: niebieską.

Eden popatrzyła krytycznie na dekolt i westchnęła.

- Lepiej naszykuj też kaszmirowy szal.

Pół godziny później Eden była gotowa do wyjścia. Lord i lady Penhollow czekali na nią w salonie.

- Podobno nie pamiętasz, czy chodziłaś do kościoła - oznajmiła lady Penhollow na powitanie, unosząc brew.

Eden była ciekawa, jak udało jej się o tym dowiedzieć. Betsy wychodziła z sypialni tylko raz, po filiżankę czekolady. W jaki sposób wieść o tym, co jej powiedziała, mogła tak szybko dotrzeć do lady Penhollow?

Na szczęście nie straciła rezonu.

- Dzień dobry państwu, milady, milordzie. Tak, to prawda. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek uczestniczyła we mszy. - Przynajmniej to było prawdą!

Lord Penhollow postąpił krok naprzód.

- Mamo, to nie ma znaczenia. - Zmienił temat. - Pięknie wyglądasz dzisiajszego ranka, moje panie. Wszyscy parafianie będą mi zazdrościć. Gotowe do drogi?

Usłyszawszy taki komplement, obie panie ożywiły się nieco i przytaknęły skwapliwie.

Mały kościół był wypełniony po brzegi. Betsy miała rację; na mszy zjawili się wszyscy mieszkańcy Hobbles Moor włącznie z państwem Willis i ich znajomymi. Lady Penhollow pospieszyła do nich, by się przywitać, ale pani Willis potraktowała ją nad wyraz chłodno.

- Biedna mama - powiedział lord Penhollow. - Tak by chciała, żeby ci ludzie ją lubili.

- A ciebie nie obchodzi, co myślą? - spytała Eden.

Obdarzył ją zachwycającym uśmiechem.

- Nie zamierzam zawracać sobie tym głowy.

- Łatwo ci powiedzieć; jesteś mężczyzną. Kobiety inaczej do tego podchodzą - odparła szczerze.

- Nie przejmuj się tymi ludźmi. Nie warto.

- Nie zamierzam, ale ja jestem silniejsza od twojej matki.

Wprowadził ją do środka. Przedstawiciele rodu Penhollow chodzili do tego kościoła, odkąd został on wybudowany w 1142 roku. Ich ławka stała z przodu, przy samym ołtarzu.

Eden poczuła niepokój. Przystanąła.

- Nie wiedziałam, że będziemy na oczach wszystkich.

- Sądziłem, że jesteś odważna - przypomniał jej cicho. - Nie masz się czego bać. Będę przy tobie.

W odpowiedzi skinęła tylko głową. Pierce podprowadził ją do ławki i zajęli miejsca. Lady Penhollow dołączyła do nich tuż przed rozpoczęciem mszy.

Jak się wkrótce okazało, obawy Eden były pozbawione podstaw. Przez całą mszę lord Penhollow stał u jej boku i podpowiadał szeptem, co należy robić. „Wstań z pochyloną głową”. „Uklęknij”. Wydawało się, że nie ma jej za złe tej niewiedzy. Nawet otwierał za nią książkę z hymnami na odpowiednich stronach, by mogła powtarzać je razem ze wszystkimi. Powoli zaczynała czuć się coraz pewniej, tak jakby należała do tej społeczności. Jakby znalazła swoje miejsce... To było naprawdę cudowne uczucie.

Tego popołudnia spadł deszcz. Lord Penhollow, zamiast pójść do gabinetu i zająć się papierkową robotą, został z Eden w salonie i grał z nią w karty oraz w szachy. Szachistą był beznadziejnym, ale potrafił przegrywać z humorem, a jego żartobliwe uwagi na temat jej posunięć rozśmieszały ją do łez.

Lady Penhollow siedziała z nimi, udając zajęta szyciem. Nie widziała w ich przekomarzaniu się nic śmiesznego i w miarę upływu czasu robiła się coraz bardziej zasepiona, aż jej twarz zaczęła przypominać zasuszone jabłko nakryte koronkowym czepcem. Od czasu do czasu mówiła, że chce porozmawiać z synem na osobności, ale on zrećcznie się wykręcał.

Po kolacji wszyscy troje wrócili do salonu. Tam lord Penhollow poprosił Eden, by zagrała na fortepianie.

Lady Penhollow popatrzyła na nią szczerze zdumiona.

- Przecież ostatniego wieczoru mówiłaś, że nie potrafisz grać. Czyżbyś znowu coś sobie przypomniała?

Odpowiedział jej lord Penhollow.

- Nie przyznała się, że umie grać, bo nie chciała, by porównywano jej grę z grą panny Willis. Wiedziała, że takie porównanie wypadłoby na niekorzyść Wiktorii Willis.

Tego wieczoru miał na sobie ciemnozielony surdut z krepy i szare spodnie. Kolor surduta podkreślał błękit oczu Pierce'a.

- Wypadłoby na niekorzyść Wiktorii? - Lady Penhollow uniosła brwi. - Panna Willis bierze lekcje u najlepszego nauczyciela muzyki w całej Kornwalii.

Lord Penhollow westchnął.

- No cóż, wiem, że trudno pannie Eden rywalizować z takim wirtuozem, ale tak czy inaczej, chciałbym posłuchać jej gry.

- Dobrze więc - powiedziała oschle lady Penhollow. - Jeśli jest tak utalentowana, niech gra. Nie znajdzie we mnie łatwego słuchacza.

- Niczego innego się po tobie nie spodziewałem, mamó. - W jego oczach zabłyśły wesołe ogniki. Zwrócił się do Eden. - Zagrasz coś dla nas?

Dla niego zrobiłaby wszystko. Siadając do fortepianu, zastanawiała się, co by się stało, gdyby jednak powiedziała mu prawdę. Czy dalej pragnąłby jej tak mocno?

Dla próby przebiegła palcami po klawiszach, wracając myślą do tego, co robiła tu z z Pierce'em poprzedniej nocy. Zagrała niewłaściwy akord i lady Penhollow prychnęła z pogardą.

Eden postanowiła wyrzucić na niej dobre wrażenie. Zaczęła od menueta. Następnie, bez żadnego wysiłku, przeszła do sonaty. W połowie trzeciego utworu, podczas allegro z koncertu, zauważyła, że lady Penhollow odłożyła robótkę i skupiła całą uwagę na muzyce.

Eden ogarnęła triumfalny nastrój. Jednak po zakończeniu krótkiego koncertu lady Penhollow podniosła się z miejsca bez słowa pochwały.

- Chodźmy, panno Eden, robi się późno. Pora spać.

- Ale powiedz, mamó, czy nie jest dobrą pianistką? - spytał Pierce ironicznym tonem.

Z twarzy lady Penhollow nie schodził wyraz chłodnej obojętności.

- Ujdzie - przyznała i wyszła z salonu.

Lord Penhollow zwrócił się do Eden.

- Moim zdaniem grałaś wspaniale - powiedział i delikatnie pocałował ją w rękę.

Eden ścisnęła jego dłoń, próbując go zatrzymać.

- Zaufaj mi - powiedział cicho i wziął ją pod rękę. - Ona się zmieni.

Lady Penhollow, nie czekając na nich, udała się do swojej sypialni. Pierce odprowadził Eden pod jej drzwi.

- Do jutra - szepnął i odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

- Nie chcę, żebyś odchodził - powiedziała.
- A ja wcale nie mam ochoty cię zostawić, ale tak trzeba, Eden. - Ich usta musnęły się lekko, po czym Pierce odsunął się.
- Dobranoc - szepnął.
- Dobranoc.

Oparła się o drzwi i odprowadziła go spojrzeniem, a kiedy zniknął w głębi korytarza, nacisnęła klamkę i weszła do sypialni. Widząc czekającą tam Betsy, Eden pomyślała, że dobrze się stało, iż lord Penhollow nie przyjął jej zaproszenia.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

Eden otworzyła. Jej oczom ukazała się lady Penhollow.

- Nie dostaniesz go - powiedziała. - Nie dopuszczę do tego, bo na niego nie zasługujesz. - I odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Następnego ranka Betsy znów musiała ją obudzić. Rozsunęła zasłony.

- Czas wstawać, panienko. Przyniosłam czekoladę i mam też dla panienki małą niespodziankę.

Eden zmarszczyła brwi i wtuliła się głębiej w poduszkę.

- Nie chcę jeszcze wstawać.

Betsy nachyliła się nad łóżkiem.

- Lord Penhollow czeka na panienkę - powiedziała cicho. - Dzisiaj pierwsza lekcja jazdy konnej.

Eden otworzyła szeroko oczy.

- Lekcja jazdy konnej?

- A jakże - odparła wesoło pokojówka. - Powiedział, że będzie na panienkę czekał na dziedzińcu stajni. Aha, a oto i moja niespodzianka.

Eden przewróciła się na drugi bok, by ją zobaczyć. Betsy trzymała w rękach brązowy strój do jazdy konnej. Wyglądał na dość stary; był wyblakły na ramionach. Kapelusze z piórem przed laty z pewnością prezentował się okazale; teraz jego rondo wydawało się równie zasuszone, jak pióro.

- Nic lepszego nie dało się załatwić w tak krótkim czasie - wyjaśniła Betsy. - Powiedziałam pani Ivy, pokojówce lady Penhollow, że potrzebny panience strój do jazdy konnej. Oczywiście dałam jej do zrozumienia, że panienka na pewno zblamuje się

przed wielmożnym panem. Ucieszyła się i od razu wygrzebała ckaś ten strój. No, niechże panienka już wstanie. Lord Pierce czeka.

Eden nie miała ochoty na lekcję jazdy konnej, ale nie zamierzała stracić okazji do spotkania z Pierce'em, zwłaszcza że w pobliżu miało nie być jego matki. Wskoczyła z łóżka.

Dwadzieścia minut później, już ubrana, szła do stajni potykając się o zbyt długą spódnicę. Pozbyła się zbutwiałego pióra, ale wciąż czuła się dość głupio w przechylonym na jeden bok kapeluszu. W żaden sposób nie dało się przywrócić mu normalnego wyglądu.

Lord Penhollow gawędził z Jimem. Tego ranka prezentował się wspaniale; miał na sobie jasnożółte bryczesy, wysokie czarne buty i ciemnozielony surdut do jazdy konnej. Między pograżonymi w rozmowie mężczyznami stał gniady koń z białymi łatami na nogach.

- To jest Aksamitna - powiedział lord Penhollow. - Potulniejszej klaczy ze świecą by szukać. Będzie ci się wydawało, że siedzisz w fotelu bujanym, a nie na grzbiecie konia.

- Wątpię - odparła Eden pod nosem, bezwiednie głaszcząc wyżła, który podbiegł do niej.

- Zobaczysz - obiecał. - A teraz chodź tu, pomogę ci wsiąść na nią. - Podprowadził klacz do pniaka ułatwiającego jej dosiadanie.

Eden nawet nie drgnęła.

- Nadal nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł. To znaczy, skoro dotąd jakoś sobie radziłam bez umiejętności jazdy na koniu, to może nie ma potrzeby, żebym się tego uczyła.

Jim zaśmiał się rubasznie, a lord Penhollow powiedział:

- Skoro masz mieszkać na wsi, musisz nauczyć się jeździć konno.

„Skoro masz mieszkać na wsi...”? Teraz dopiero Eden miała motywację.

Ale nauka nie była łatwa.

Może w oczach Pierce'a Aksamitna była łagodnym stworzeniem, ale Eden patrząc w jej ślepie miała wrażenie, że klacz przy pierwszej nadarzającej się okazji zrzuci ją z grzbietu. W dodatku miała jechać po damsku, z obiema nogami po jednej stronie.

Lord Penhollow osobiście zademonstrował jej, jak to wygląda, nie zwracając uwagi na śmiech stajennych.

- Widzisz? Nic łatwiejszego.

- Rzeczywiście, łatwiej będzie wylądować na ziemi - odparła zgryźliwym tonem. - Czy grzbiet konia nie mógłby być trochę bardziej płaski?

Lord Penhollow parsknął śmiechem.

- Będzie dobrze. Wystarczy złapać równowagę. - Zeskoczył na ziemię. - Twoja kolej. - Wyciągnął rękę. - Nie bój się. Złapię cię, jeśli zaczniesz się zsuwać.

No, to zabrzmiało kusząco. Eden podeszła do klaczy. Biorąc Pierce'a za rękę, stanęła na drewnianym kłocu, po czym ostrożnie usiadła w siodle.

Czy raczej tak jej się wydawało.

Klacz zarżała cicho i odsunęła się w bok. Eden straciła równowagę i zaczęła zsuwać się na ziemię. Lord Penhollow czym prędzej podszedł do niej i spróbował wepchnąć ją z powrotem na grzbiet klaczy.

Jedną ręką złapał Eden za udo, a drugą objął w talii, ale to nie wystarczyło i niedoszła amazonka znalazła się na ziemi, w ramionach Pierce'a. Kiedy ochłonęła, pomyślała, że nauka jazdy konnej mimo wszystko mogła okazać się dobrą zabawą.

- Spróbujemy jeszcze raz. Teraz postaraj się utrzymać w siodle - powiedział Pierce, psując jej dobry nastrój.

W odpowiedzi Eden westchnęła ciężko, ale tym razem udało jej się nie spaść. Całkiem przyjemnie było popatrzeć na świat z wysokości końskiego grzbietu.

- A teraz przejedziesz się kawałek - powiedział lord Penhollow i lekko klepnął Aksamitną w zad.

Klacz ruszyła. Eden zeszczywniała.

- Spokojnie, rozluźnij się - poradził Pierce. - Kiedy będziesz się chciała zatrzymać, pociągnij lekko za cugle.

- Jesteś pewien, że to poskutkuje? - spytała ostrożnie.

- Mnie się za każdym razem udawało. Aha, i uśmiechaj się, żebyś wiedział, że wszystko jest w porządku.

Eden była zbyt skoncentrowana na tym, co robi, aby się uśmiechać. Pociągnęła za cugle i Aksamitna stanęła. Eden zwróciła pełne zdumienia spojrzenie na przypatrujących się jej stajennych.

- Udało mi się.

- Dobrze panienka siedzi w tym siodle, nie ma co - powiedział Jim.

- A teraz każ koniowi ruszyć - polecił jej lord Penhollow.

- Ruszyć? Jak? - zdziwiła się Eden.

- Trać Aksamitną kolanem. Jest dobrze wytresowana. Zrozumie, o co chodzi. - I klacz rzeczywiście rozumiała.

- To mi się zaczyna podobać - powiedziała Eden po drugim okrążeniu dziedzińca.

- Cieszę się - odparł lord Penhollow, po czym machnął ręką na jednego ze stajennych, by przyprowadził Króla Kornwalii. - A teraz możemy wyruszyć na przejażdżkę.

- To znaczy... to jeszcze nie koniec lekcji? - spytała Eden z niepokojem w głosie.

Pierce odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Nie chcesz chyba przez całe życie jeździć po dziedzińcu, co?

- Chcę być możliwie najbliżej tego drewnianego kłoca, żebym mogła zsiąść z konia, kiedy zechcę - odpowiedziała szczerze.

Wszyscy roześmiali się jak jeden mąż, choć Eden wcale nie żartowała.

Lord Penhollow wskoczył na siodło i pociągnął Aksamitną w stronę drogi. Eden ścisnęła cugle, trzymała się siodła i na wszelki wypadek uczepliła się jeszcze grzywy klaczy.

Król Kornwalii rwał się do galopu, ale lord Penhollow umiejętnie go wstrzymywał.

Doskonale czuł się na grzbiecie konia. Patrząc na Pierce'a Eden przypomniała sobie obraz, jaki kiedyś widziała- przedstawiał rycerza na rumaku, w pełnym rynsztunku. Gdyby żyli przed kilkoma setkami lat, tak właśnie by wyglądali, Pierce i Król Kornwalii, niepokonani, gotowi do walki na śmierć i życie z wszystkimi najeźdźcami.

Eden powoli zaczynała czuć się pewniej.

- Reaguj na ruchy konia - zasugerował. - W czasie jednej lekcji nie zrobimy z ciebie prawdziwej amazonki. Na razie chcę, żeby jazda sprawiała ci przyjemność.

Eden posłuchała jego rady i rzeczywiście okazało się, że tak jest o wiele wygodniej. Konie powoli szły naprzód.

Wkrótce Eden rozumiała, co Pierce miał na myśli, mówiąc,

że na wsi nie można się obejść bez konia. Kiedy już oswoiła się z faktem, że siedzi na grzbiecie tak wielkiego stworzenia, mogła podziwiać rozciągające się wokół widoki. Ostatniej nocy spadł deszcz i powietrze było świeże, czyste. Drozd przysiadł na żywopłocie, a po chwili ponownie zerwał się do lotu, wydając radosne trele.

Wjechali do Hobbles Moor. Wieś, rozciągająca się wokół dużego okrągłego stawu, była cztery razy mniejsza od Plympton, ale o wiele piękniejsza. Wzdłuż nie wybrukowanych ulic, odchodzących od stawu, stały domy kryte strzechą. Przed większością z nich były małe ogródki z kwiatami i warzywami. Eden była ciekawa, gdzie mieszka Betsy.

Mimo wczesnej pory, wieś tętniła życiem. Dane pracował w kuźni, z której dobiegał huk młota uderzającego w kowadło. Dzieci rozbiegały się przed końmi, głośno witając lorda Penhollow. Mała, jasnowłosa dziewczynka, wyglądająca na jakieś dziesięć lat, wyszła na drogę i podała Eden mały bukiet stokrotek.

Eden ściągnęła Aksamitną cuglami, ale bała się schylić po bukiet, w obawie, że spadnie z siodła. Lord Penhollow wziął kwiaty od dziewczynki i wręczył je swojej towarzyszce.

- Stokrotki to moje ulubione kwiaty - powiedziała Eden, wywołując uśmiech dziewczynki.

- Wszyscy to wiemy, panno Eden - odparła dziewczynka i dygnęła.

- Niech pański koń się ukloni - krzyknął krępy chłopiec do lorda Penhollow. - Proszę pokazać, co on potrafi.

Lord Penhollow spełnił prośbę dziecka. Król Kornwalii skłonił się przed dziewczynką, która dygnęła przed nim. Wszystkie dzieci wybuchnęły śmiechem.

- Chwała Bogu, że Aksamitna nie zna żadnych sztuczek - powiedziała Eden, trzymając cugle i kwiaty obydwoma rękami. - Inaczej wylądowałabym na drodze.

- Ależ Aksamitna zna parę sztuczek - odparł lord Penhollow. - Wystarczy klepnąć ją trzy razy w bark, o tak... - Wyciągnął rękę, ale Eden zdążyła ją złapać.

- Ani mi się waż - powiedziała ze śmiechem.

Pierce wychylił się w siodle i przybliżył się do niej.

- Jak mnie powstrzymasz? - spytał.

To było wyraźne zaproszenie do pocałunku, Eden spojrzała na Pierce'a z niedowierzaniem, niepewna, czy dobrze go usłyszała.

- No już, pocałuj ją! - rozległ się okrzyk. Eden i lord Penhollow podnieśli głowy i ze zdziwieniem zauważyli, że wokół nich zebrali się wieśniacy. Okrzyk padł z ust Dane'a, który stał przy ogniu ze skrzyżowanymi ramionami.

- Cóż, Dane, myślę, że to właśnie uczynię - powiedział lord Penhollow i pocałował Eden lekko w usta. Był to pocałunek niewinny, pocałunek dwojga młodych ludzi w letni, słoneczny dzień, ale wystarczył, by Eden zaszumiało w głowie.

Wieśniacy zaczęli wiwatować; tylko Dane stwierdził, że lord Penhollow musi się lepiej postarać, jeśli chce zdobyć serce „tak ładnej panienci jak panna Eden”.

Lord Penhollow parsknął śmiechem i przeprowadził Aksamitną przez tłum. Eden zauważyła kątem oka stojącą na uboczu wdowę Haskell. Jej srebrzyste włosy połyskiwały w świetle słońca.

Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, wdowa uśmiechnęła się. Eden poczuła, że otrzymała swojego rodzaju błogosławieństwo.

Wyjechali ze wsi i lord Penhollow skierował swojego rumaka w stronę starego dębu. Eden podążyła za nim.

- Dokąd jedziemy?

- Chcę ci pokazać osławione drzewo, na którym rosną pieniądze.

- Aha, Betsy mi o nim opowiadała. Mówiła, że Hobbles Moor jest niezwykłym miejscem, bo jest tu prawdziwie magiczne drzewo. Nie sądziłam, że coś takiego naprawdę istnieje.

- Istnieje, a jakże. Właśnie przed nim stoisz.

Gałęzie dębu sięgały niemal trzech metrów. Było to drzewo, na które łatwo mogły wspinać się dzieci i urządzać sobie zabawy w jego koronie. Dla dorosłych natomiast mógł to być doskonały punkt orientacyjny.

- Ale wierzysz, że naprawdę jest magiczne? - Eden ogarnęła spojrzeniem liściaste sklepienie nad swoją głową.

- Tak - powiedział.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ty nie żartujesz.

- Nie mam w zwyczaju pokpiwać sobie z magii.

- Nigdy w życiu nie spotkałam się z magią - przyznała poważnie. - I nie jestem pewna, czy mogę uwierzyć w istnienie drzew, na których rosną pieniądze. Niczego w życiu nie dostałam za darmo.

- Nie możesz mówić, że coś nie istnieje, tylko dlatego, że nigdy tego nie widziałas.

Eden powiodła wzrokiem po grubych konarach.

- Nie widzę tu żadnych pieniędzy.

- A miłość widzisz?

Spojrzała na niego z najwyższym zdumieniem. Miłość?

Pierce podszedł tak blisko, że niemalże czuła jego dotyk.

Popatrzył jej w oczy.

Przez chwilę była pewna, że on chce ją pocałować. Serce zabiło jej mocniej.

Zamiast tego jednak powiedział:

- Pokażę ci, czym jest magia. - Wyjął z kieszeni garść miedziaków. Kilka dał Eden.

- Co mam z nimi zrobić? - zapytała.

- Podrzucić je, Eden. Tak wysoko, jak tylko potrafisz. - Cisnął garść monet w powietrze. Eden słyszała, jak uderzają o liście drzewa, po czym spadają na ziemię niczym twarde krople deszczu.

- Twoja kolej - powiedział. - Rzuć te miedziaki. Mamy mało czasu.

Eden zrobiła to, o co prosił. Jej monety nie poleciały ani tak daleko, ani tak wysoko. Jedna z nich spadła na grzbiet Aksamitnej, która poruszyła się niespokojnie. Lord Penhollow przytrzymał spłoszoną klacz.

Poprosił, by Eden poszła za nim i skierował oba konie ku dużej kępie krzaków nad brzegiem strumienia. Po chwili wprowadził konie w zarośla, gdzie były niewidoczne od strony drogi.

- Na co czekamy? - spytała Eden. Po sekundzie do jej uszu dobiegły dziecięce głosy.

- Zaraz zobaczysz - szepnął Pierce.

Wyrzała zza krzaków i dostrzegła nadbiegającą grupkę wiejskich dzieci. Było ich kilkanaścioro.

- Ciekawe, czy dzisiaj leżą pod drzewem jakieś pieniądze? - spytał retorycznie jeden ze starszych chłopców i mniejsze dzieci rzuciły się pędem w stronę starego dębu.

- Są pieniążki! Są pieniążki! - krzyknęło najmniejsze dziecko i zaczęło zbierać miedziaki z ziemi.

- Czekaj no, musi starczyć dla wszystkich. - Dziewczynka podbiegła do malucha. - Drzewo nie lubi cheiwców.

Eden nie mogła oderwać oczu od tych roześmianych dzieci, zajętych zbieraniem miedziaków. To była prawdziwie magiczna chwila. Eden doskonale zdawała sobie sprawę, jak wielką wartość dla dziecka mają te drobne monety. Wciąż pamiętała czasy, kiedy to za pół pensa na chleb oddałyby duszę diabłu.

- Często to robisz? - spytała, wpatrując się w dzieci jak zauroczona.

- Mniej więcej raz w tygodniu, od czasu kiedy Król Kornwalii wygrał swój pierwszy wyścig. To było ponad szesnaście lat temu. Drugim dobrym miejscem do rozrzucania miedziaków jest Zatoka Pustelnika. Dzieci często chodzą tam na ryby. No, ruszajmy - zaproponował.

Niechętnie ujęła lejce i podażyła za nim. Wracali do domu inną drogą, przez las na drugim brzegu strumienia, by nie widziały ich dzieci.

- Jak myślisz, czy dzieci wiedzą, że to drzewo jest magiczne dzięki twoim czarom?

- Starsze na pewno, ale starają się jak najdłużej utrzymać to w tajemnicy przed młodszymi.

Eden spojrzała na stokrotki, które trzymała w dłoni.

- Dlaczego miałyby to robić?

Pierce zrobił zdziwioną minę.

- Co robić?

- Utrzymywać coś takiego w tajemnicy. Co ich obchodzi, czy młodsze dzieci wierzą, że drzewo jest magiczne, czy nie? Dlaczego nie wezmą sobie wszystkich miedziaków?

Lord Penhollow ściągnął cugle i Król Kornwalii zatrzymał się. Aksamitna również przystanąła.

- Bo cała ta zabawa straciłaby wtedy swój urok. Ten, kto nie potrafi dzielić się z innymi, nie poczuje magii tego miejsca.

Eden zamyśliła się nad jego słowami. Było to dla niej coś nowego: dzielić się... nie, obdarowywać innych, by mogli zaznać szczęścia.

Pierce pogładził ją po policzku.

- Eden, wszyscy w głębi duszy wierzą, że w życiu jest coś magicznego. Inaczej nie mieliby po co żyć.

- A dzieci podtrzymują tę wiarę dla dobra tych najmłodszych?

- Oczywiście - przytaknął i spiął konia kolanami.

Eden jechała obok Pierce'a. Była zamyślona.

- A czy Zatoka Pustelnika też jest uważana za miejsce magiczne? - spytała.

- Tak - odparł. - W końcu to tam cię znalazłem.

Jego słowa przepełniły serce Eden słodyczą. Przez chwilę znajdowała się pod działaniem najbardziej niezwykłego czaru, jaki można sobie wyobrazić. Przeszył ją od stóp do głów niby podmuch chłodnego wiatru i sprawił, że coś się w niej zmieniło.

Teraz patrzyła na lorda Penhollow innymi oczami. Jej życie stało się bogatsze i o wiele więcej warte - zwłaszcza kiedy była przy nim.

Bowiem w tej właśnie chwili Eden odnalazła to, co wydawało się nie do pomyślenia, w co dotychczas nie wierzyła.

Odnalazła miłość.

11

Tego popołudnia przybyli w odwiedziny dwaj goście: lord Danbury oraz kapitan Harry Dutton. Lord Penhollow siedział właśnie za biurkiem w swoim gabinecie, rozmyślając o Eden i porannej przejażdżce konnej. Myśli te tak go rozpraszały, że w przeciągu godziny zdołał wpisać zaledwie trzy liczby do rozłożonej przed nim książki. Na widok swoich dobrych znajomych zatrzasnął ją i powitał ich ciepło, wskazując krzesła stojące przed biurkiem. Zadzwoił po służącą, by przyniosła wino.

Dziesięć minut później miał ochotę wyrzucić gości za drzwi.

- Martwimy się o ciebie - powiedział Harry, kiedy uświadomił sobie, że to jego sugestia, by odesłać pannę Eden do wikarego, stała się przyczyną gwałtownego wybuchu Pierce'a. - Tylko dlatego tu przyjechaliśmy.

- Poza tym, twoja matka prosiła nas, żebyśmy z tobą porozmawiali - dodał lord Danbury. - Wśród ludzi zaczynają krążyć różne plotki. Podobno pocałowałeś tę dziewczynę na oczach całego Hobbles Moor. Zrozum, Penhollow, powinieneś bardziej troszczyć się o swoją reputację.

Pierce wiedział, że Danbury ma rację. Nie powinien był całować Eden w miejscu publicznym. Dał się ponieść radości, jaka go wtedy ogarnęła. Zupełnie nie wziął pod uwagę, co sobie ludzie pomyślą.

- Panna Eden nie powinna was nic obchodzić. Nie pozwolę, by ktokolwiek szkalował jej dobre imię.

- To nie my rozsiewamy plotki - zaprotestował gorąco lord Danbury.- Robią to inni. My jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Chcemy tylko, żebyś był ostrożny. W końcu nikt tak naprawdę nie zna panny Eden ani jej rodziny. Pojawiła się tu znikąd.

- Tak, Penhollow, musisz mieć się na baczności - przytaknął Harry. Przesunął się na skraj swojego krzesła. - Ktoś tak bogaty jak ty jest doskonałym celem dla różnorakich szalbierzy

Pierce odchylił się i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Chwileczkę, muszę się upewnić, czy dobrze cię zrozumiałem. Sugerujesz, że panna Eden, nie posługując się kompasem ani mapą, rozmyślnie wpłynęła do małej zatoki, nad którą ostatnim razem byłem... jak dawno, Harry? Dwa lata temu? I zrobiła to tylko po to, żeby upolować sobie hrabiego? Aha, oczywiście musiała jeszcze znaleźć się tam w odpowiednim momencie. Dwie godziny później już by nas tam nie zastała. - Zawiesił głos. - Naprawdę wierzycie, że to jest możliwe?

Harry poruszył się niespokojnie. Lord Danbury wlepił wzrok w podłogę.

Pierce położył dłonie na biurku.

- Wasze podejrzania są absurdalne.

- Może i tak. Ale nie jest wykluczone, że postanowiła skorzystać z okazji, gdy zobaczyła, jak wiele może na tym zyskać - powiedział Harry, próbując się bronić. - I całkiem dobrze jej to idzie. Obserwowałem was wczoraj w kościele. Widziałem, jak na nią patrzyłeś i jak blisko siebie staliście. Dzisiaj prawie cały poranek jeździłeś z nią po okolicy. Penhollow, nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek poświęcił tyle czasu na relaks. Zawsze liczyła się dla ciebie przede wszystkim praca. Dlatego oczywiste jest dla nas, że ta kobieta zrobiła na tobie ogromne wrażenie i prosimy tylko o to, żebyś był ostrożny.

Pierce poczuł, że jeszcze trochę, a straci panowanie nad sobą.

- Uważacie mnie za głupca?

Lord Danbury odkaslnął znacząco i potrząsnął głową.

- Nie, nie, to był pomysł twojej matki. To ona poprosiła nas, żebyśmy z tobą porozmawiali...

Harry przerwał mu, podnosząc się z krzesła i nachylając nad biurkiem.

- Nie, nie uważam, żebyś stracił głowę, przynajmniej nie całkowicie. Ale z niej jest naprawdę łakomy kąsek, Penhollow. Na widok takiej kobiety mężczyznom krew zaczyna kipieć w żyłach. Bądź ostrożny.

Pierce wpatrywał się w niego przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Nie, to ty powinieneś być ostrożny. Jeśli cenisz sobie moją życzliwość i przyjaźń, nie będziesz więcej z nikim rozmawiał o tej sprawie. Każdego, kto ośmieli się szkalować dobre imię panny Eden, wyzwę na udeptaną ziemię.

Harry podrapał się nerwowo.

- Nie chciałem cię urazić, Penhollow. Przyszedłem tu ze względu na naszą długotrwałą przyjaźń. Chodzi o twoją pozycję, twoją reputację. Ciężko na nie pracowałeś. Wiem, co dla ciebie znaczą.

- I wierzysz, że ich nie stracę - dokończył za niego Pierce, kipiąc z gniewu.

Lord Danbury i Harry rozsądnie zachowali milczenie.

Pierce uśmiechnął się ponuro.

- Panowie, uważam naszą rozmowę za zakończoną. Mam nadzieję, że sami traficie do wyjścia.

Harry otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyślił.

- Jak sobie chcesz, Penhollow - rzekł i ruszył w stronę drzwi.

Lord Danbury zwlekał z wyjściem.

- Penhollow, wiedz, że przyszedłem tutaj tylko na prośbę twojej matki. Mam nadzieję, że mimo wszystko nie zapomnisz o swojej obietnicy i pomożesz osuszyć tę łąkę, o której rozmawialiśmy, przy zastosowaniu sposobu, który wymyśliłeś.

- Owszem, pomogę ci, Danbury - powiedział zimno Pierce. - Ale radzę ci, żebyś nie mieszał się w moje sprawy.

- Penhollow, prosiły mnie o to dwie kobiety: twoja matka i moja żona. Co miałem zrobić?

- Już ci powiedziałem, czego od ciebie oczekuję.

- A tak, rzeczywiście - przytaknął Danbury i w ukłonach wyszedł z gabinetu. Zaraz potem Pierce wyruszył na poszukiwania matki.

Odnalazł ją w Sali Ogrodowej. Siedziała nad robótką w towarzystwie pani Ivy.

- Zostaw nas samych - rzucił Pierce do pokojówki.

Pani Ivy, zaskoczona, spojrzała na swoją panią. Gdy lady Penhollow skinęła głową, pokojówka czmychnęła z pokoju. Pierce zamknął za nią drzwi.

- Nie musiałeś jej stąd wypraszać - powiedziała matka, nie podnosząc oczu znad robótki. - Nie mam przed nią żadnych tajemnic.

Pierce nie odpowiedział od razu. Jego uwaga bowiem skupiła się na tym, co działo się za oknem, w ogrodzie. Eden szła za ogrodnikiem, który ścinał zwiędłe róże. Pierce nie słyszał jej słów, ale domyślał się, że o coś pyta. Po chwili ogrodnik dał jej sekator i pod jego czujnym okiem Eden sama zaczęła ścinać kwiaty.

Ta czynność całkowicie pochłaniała uwagę Eden. Dziewczyna nie miała na głowie kapelusza i jej ciemnie włosy nabierały w słońcu kasztanowego odcienia.

W duszy Pierce'a obudziło się pożądanie... a także inne uczucie, którego jeszcze nie śmiał nazwać.

Nagle dotarł do niego głos matki.

- Ależ z niej dzikuska. - Uśmiechnęła się pogardliwie. - Wykoczą jej piegi, jeśli nie będzie uważała.

- Odwiedziło mnie dzisiaj dwóch gości - powiedział Pierce, przechodząc od razu do sedna sprawy. - Lord Danbury i kapitan Dutton.

- Naprawdę? - spytała lady Penhollow, wyraźnie zaintrygowana. Spojrzał jej w oczy.

- Dobrze o tym wiesz. I doskonale zdajesz sobie sprawę, co ich tu sprowadziło.

Lady Penhollow odłożyła robótkę.

- Martwią się o ciebie. Podobnie jak wszyscy twoi przyjaciele.

- To ty ich poprosiłaś o to, żeby ze mną porozmawiali. To ty się o mnie martwisz, nie oni.

Przez chwilę myślał, że matka wszystkiemu zaprzeczy, ale ona tylko zacisnęła usta.

- To prawda - powiedziała po chwili. - Ta kobieta nie jest dla ciebie odpowiednia. Nie wiemy, kim jest ani z jakiej rodziny się wywodzi.

- To nie ma znaczenia, matko...

- Oczywiście, że ma! I to nie tylko dla ciebie, ale i dla mnie. - Podniosła się z krzesła dla podkreślenia wagi swoich słów.

Za oknem Eden zaśmiała się z czegoś, co powiedział ogrodnik, po czym wypróbowała swoje nowe umiejętności na kolejnym krzewie róży.

Odkał Eden pojawiła się w życiu Pierce'a, cały jego dom wydawał się pełen radości; służący wyglądali na szczęśliwszych. Często słyszał ich wesołe głosy i widział, jak się do siebie uśmiechają. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak cicho i pusto było w Penhollow Hall, gdy mieszkał tu tylko z matką.

- Ważne jest, co o nas myślą inni ludzie - powiedziała lady Penhollow i stanęła u boku syna. - Jeśli nie będziesz ostrożny, stracisz szansę poślubienia Wiktorii Willis.

- Matko, powtarzałem ci już wiele razy: nie zamierzam prosić o rękę panny Willis.

- Ale to byłoby dla ciebie korzystne małżeństwo - przekonywała go lady Penhollow, z rozmysłem zasłaniając sobą okno. - Zdobyłbyś sobie szacunek wszystkich naszych przyjaciół, a poza tym panna Willis ma niezły posag. Niczego lepszego dla ciebie nie mogłabym sobie wymarzyć.

- A co z moimi marzeniami? - odparł ze złością. - A jeśli chodzi o tych tak zwanych przyjaciół, to czy ty jesteś ślepa? Willisowie ani państwo Danbury nie są naszymi przyjaciółmi. Gdzie byli, kiedy ojciec przegrywał cały nasz majątek w karty? Albo kiedy był tak chory, że nie mógł chodzić? Czy wtedy pani Willis przychodziła do ciebie w odwiedziny? Czy lady Danbury albo lady Baines zapraszały cię na podwieczorki?

Lady Penhollow pobladła; a w jej niebieskich oczach błysnął gniew.

- Twój ojciec przyniósł nam wstyd. Dopóki przebywał pod naszym dachem, nie mogli pokazywać się w naszym towarzystwie, bo to groziłoby im utratą dobrego imienia.

- Nonsens! - wybuchnął Pierce. - Odwróciły się od nas, od ciebie, plecami, bo uważały, że nie jesteś dla nich wystarczająco dobra. Może ty chcesz zapomnieć, co się wtedy działo, ale ja nie. Pamiętam jak dziś, kiedy poszłaś do kościoła, a one cię znieważyły, w domu Bożym... ile to ja wtedy miałem lat? Osiem? A ciebie tak to zabolalo, że przez następne pięć lat ani razu nie zjawiłaś się w kościele. Dopiero ja cię tam zaciągnąłem.

Lady Penhollow potrząsnęła głową.

- To było dawno temu. Sytuacja się zmieniła.

- Matko, oni wszyscy tolerują naszą obecność, bo czegoś od nas chcą. Danbury potrzebuje moich rad, a Baines liczy na pieniądze za żrebięta po Królu Kornwalii. Wiedzą, że gdyby traktowali cię jak za dawnych czasów, natychmiast zerwałbym znajomość z nimi. A tego nie chcą.

- Nie - odparła lady Penhollow, coraz bardziej rozdrażniona. - To moi przyjaciele. Przyjęli mnie do swojego grona. Zapomnieli, kim jestem.

Pierce zaklął pod nosem. Matka tak naprawdę była delikatną kobietą, która nigdy nie potrafiła stawić czoła nieszczęściom, jakie ją spotykały. Tym bardziej trudno mu było zrozumieć, dlaczego darzy Eden taką niechęcią.

Wziął matkę za rękę i zaprowadził ją z powrotem do fotela. Sam usiadł na krześle, naprzeciwko niej.

- Najwyższy czas, żebyśmy szczerze porozmawiali.

Lady Penhollow złożyła dłonie na kolanach.

- Ależ my rozmawiamy. I myślę, że powinieneś odesłać stąd pannę Eden i ożenić się z panną Willis.

- Niech diabli porwą pannę Willis...

- Pierce, nie wolno ci tak o niej mówić!

- W ogóle nie chcę o niej rozmawiać! Chcę rozmawiać o tobie i ojcu, o tym dniu, kiedy zostałeś znieważona w kościele. Chcę rozmawiać o tym, jak zamknęłaś się w swoim pokoju i nie wyszłaś stamtąd aż do śmierci ojca. - Zawiesił głos, wspominając tamte dni. - Matko, ojciec był bez wątpienia łajdakiem, ale nic, co uczynił, nie zabolało mnie tak jak to, że mnie odrzuciłaś.

- Ja cię odrzuciłam...? - Potrząsnęła głową. Łzy napłynęły jej do oczu. - Nie, to jego odrzuciłam. Nie ciebie. Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego. Powiedz, że mi wierzysz. - Wyciągnęła do niego rękę. - Muszę usłyszeć od ciebie, że mi wierzysz. Kocham cię i mam na względzie tylko twoje dobro.

- Matko, wybacz, ale nie mam zamiaru żenić się z kobietą, której nie kocham. Widziałem, co takie małżeństwo z rozsądku uczyniło z tobą i nie chcę, by mnie też to spotkało. Ty i ojciec nie mieliście nic. Ja chcę mieć wszystko.

Łzy pociekły po jej policzkach. Otarła je grzbietem dłoni.

- To nie było tak, Pierce. Nie całkiem.

- No więc jak to było? Nigdy o tym nie mówisz. W tym domu nie ma nikogo, kto odważyłby się wspomnieć imię ojca w twojej obecności.

Lady Penhollow pochyliła się i przygarbiła ramiona.

- Pięciu adoratorów ubiegało się o moją rękę, ale przestali się dla mnie liczyć, kiedy poznałam twojego ojca. Zakochałam się w nim, Pierce, od pierwszego wejrzenia. Gorąco. - Rozjaśniła się na to wspomnienie, ale uśmiech zaraz zmienił się w grymas gniewu. - Jednak on nie był taki, jak mi się wydawało. Straciłam dla niego swoją młodość. Okazało się, że zależało mu tylko na moich pieniądzech i potomku. Kiedy dałam mu jedno i drugie, zostawił mnie.

Podniosła oczy na syna.

- Nie jestem całkownie bezduszna, ale popełniłam błąd zachowując się w człowieku, którego nie znałam i chcę ci tego oszczędzić. - Kiwnęła głową w stronę Eden. - Strzeż się tej kobiety. Uważaj na nią. Jest zbyt piękna, zbyt zmysłowa i zbyt łatwa do zdobycia.

- Nie jestem głupcem, matko.

- Czyżby? Może zaprzeczysz, że ciągle masz przed oczami jej uśmiech? Albo że przed zaśnięciem widzisz jej twarz? Że gdyby to od ciebie zależało, co noc gościłaby w twoim łóżu?

Teraz to Pierce poczuł się nieswojo. Podniósł się z krzesła. Eden z ogrodnikiem przenieśli się do innej części ogrodu.

- Ciągle szukasz jakichś informacji o niej, prawda? - spytała.

- Wysłałem ludzi do Londynu, by dowiedzieli się, czy nie zaginęła tam jakaś dziewczyna - odparł.

Matka zacisnęła usta.

- Obiecuj mi, że zaczekasz, aż wrócą i dowiemy się czegoś o przeszłości panny Eden, zanim uczynisz coś nieprzemyślanego.

- Co na przykład?

- Na przykład oświadczysz się.

Pierce potrząsnął głową.

- Słowem nie wspominałem o małżeństwie.

- Nie musisz. Można to wyczytać w twoich oczach za każdym

razem, kiedy na nią patrzysz. Jesteś, mój synu, człowiekiem, który zawsze staje w obronie słabych i potrzebujących pomocy. Lubisz chronić białogłowy, którym grozi niebezpieczeństwo. Oby nie okazało się, że chronisz niewłaściwą kobietę.

- Poczekamy, zobaczymy, nieprawdaż? - Wyszedł z pokoju, niczego nie obiecując.

Niedaleko Portsmouth, Nasim i Gadi popędzali konie, uciekając przed miejscowym dziedzicem.

- Przekłęci cudzoziemcy! Trzymajcie się z dala od mojej ziemi, bo was powystrzelam - krzyczał, mierząc z przedpotopowej rusznicy do intruzów.

Dwaj Arabowie na koniach zniknęli w oddali. Była to ich trzecia tego dnia konfrontacja z rozwścieczonymi Anglikami. Poprzedniego dnia o mało co nie trafili do więzienia, kiedy okazało się, że dom, do drzwi którego zapukali, by zapytać o poszukiwaną dziewczkę, należy do miejscowego sędziego.

Im dalej od Londynu, tym większą nieufność budziły w napotkanych ludziach powłóczyście szaty, ciemna karnacja i obcy akcent dwóch nieznanym. Gdy wspominali, że szukają młodej Angielki, niechęć przeradzała się w nienawiść.

- Nienajlepiej nam idzie - zauważył Gadi.

- Musimy tylko wpaść na jej trop. To nie takie trudne - odparł Nasim.

- Nie będzie żadnego tropu - odparł ponuro Gadi. - Anglia to wielki kraj. Odszukanie tej dziewczki może nam zająć ładnych parę lat.

- To prawda - przyznał Nasim. - Musimy coś wymyślić.

Wrócili do gospody. W drzwiach czekała na nich żona właściciela.

- Są na was skargi - powiedziała opryskliwie. - Podobno połujecie na jakąś dziewczynę. I to Angielkę. Wynoście się stąd! Nie chcemy was pod naszym dachem.

Gadi zaczął groźnie pomrukiwać pod nosem, ale Nasim położył mu dłoń na ramieniu i pochylił głowę w ukłonie.

- Rozumiemy. Dziękujemy serdecznie za okazaną nam gościnność.

Żona właściciela gospody prychnęła z pogardą.

- Wynoście się. I to już.
- Arabowie poszli na górę po swoje rzeczy.
- Dlaczego pozwalamy jej tak do nas mówić? - spytał Gadi, gdy zamknęli za sobą drzwi.
- Bo jesteśmy tu obcy. Co gorsza, czegoś nam tu brakuje, Gadi, czegoś ważnego - powiedziała w zamyśleniu Nasim.
- Myślisz, że ci ludzie chowają tę dziewczkę przed nami?
- Nic o niej nie wiedzą. Nie, nie, myślę o tym, co powiedziałaś przedtem. Anglia to rzeczywiście wielki kraj. Rzeczywiście, przyjacielu, nie możemy dalej chodzić od domu do domu. Tracimy tylko czas.
- No to co zrobimy? Nie możemy wrócić do Ibn Sibaha z pustymi rękami.
- Rusz głową! Ta dziewczka nie ma pieniędzy, rodziny ani przyjaciół. Oprócz jednej jedynej osoby.
- Gadi zmarszczył brwi.
- Nie wiem, kogo masz na myśli.
- Nasim pochylił się nad stołem.
- Madame Indrani.
- Ach, tak - powiedział Gadi, zaczynając domyślać się, do czego Nasim zmierza.
- Po co mamy szwendać się po tym przeklętym kraju, skoro ta dziewczyna nie ma wyboru i prędzej czy później musi wrócić do madame Indrani?
- A jeśli tego nie zrobi? Jak myślisz, co powie madame, kiedy ta dziewczka zjawi się u niej? Albo wyrzuci ją na bruk, albo poderżnie jej gardło, żeby nikt ich nie mógł ze sobą powiązać. Madame Indrani wie, czym jest gniew Ibn Sibaha!
- Może dziewczyna wymyśli jakąś historyjkę. Taką, w którą madame Indrani mogłaby uwierzyć.
- Gadi zamyślił się na chwilę.
- Nie wiem.
- Ale ja wiem. Tylko dzięki madame Indrani możemy odnaleźć tę dziewczynę. Czuję to, o tutaj. - Nasim położył rękę na sercu. - I tutaj - dodał, dotykając skroni. - Poza tym, jeśli nie odnajdziemy tej dziewczki, madame Indrani powinna zwrócić nam pieniądze, które za nią zapłaciliśmy. Dobrze mówię?

Usta Gadiego wykrzywiły się w uśmiechu.

- Jeśli odzyskamy pieniądze, Ibn Sibah będzie rozczarowany, ale nie wściekły. Zgadzam się z tobą, przyjacielu. Kto wie, może one od początku to ukartowały?

- Też mi to przyszło do głowy, ale skąd madame Indrani mogłaby wiedzieć, że na morzu rozpęta się sztorm? Pojedziemy do Londynu. Tam poznamy odpowiedzi przynajmniej na część naszych pytań, prawda?

Podjąwszy decyzję, spakowali swoje rzeczy i opuścili gospodę.

12

Następne dni były najcudowniejszymi w życiu Eden, mimo codziennych wizyt doktora Hargrave'a, w czasie których zadawał jej dziesiątki pytań w związku z przygotowywanym przez siebie referatem oraz wmuszał w nią kolejne dawki rycyny.

Była zakochana. Nie martwiła się już o przyszłość, żyła chwilą obecną; liczyła się dla niej tylko bliskość Pierce'a.

Betsy nie musiała rano wyciągnąć jej z łóżka. Kiedy zjawiała się w sypialni, Eden czekała już na nią, ubrana w sfatygowany brązowy strój do jazdy konnej. Uwielbiała poranne przejażdżki z lordem Penhollow, ponieważ mogli wtedy być tylko we dwoje. Przy innych okazjach lady Penhollow robiła wszystko, by im przeszkodzić. Zjawiała się nie wiadomo skąd nawet wtedy, gdy spotykali się przypadkiem na korytarzu.

Popołudniami Eden pomagała w rozdzielaniu kościelnych darów albo pracowała w ogrodzie. Po kilku dniach znała już niemal wszystkich mieszkańców Hobbles Moor i czuła, że stała się częścią tej małej społeczności.

Po kolacji lady Penhollow towarzyszyła Eden i Pierce'owi, gdy grali w karty lub czytali na głos. Pewnego wieczoru Eden dała mały koncert dla służby. Kucharka Lucy wzruszyła się do łez.

Każdej nocy przed zaśnięciem Eden wspominała wszystko, co wydarzyło się w ciągu dnia. Co mówił Pierce, jak wyglądał, jak reagował na jej słowa... Z niecierpliwością wyczekiwała nadejścia poranka i kolejnego spotkania z nim.

A potem nawiedzały ją gorące, erotyczne sny, które podsycaly płomień pożądania gorejący w jej duszy.

Ale lord Penhollow nawet nie próbował skraść Eden więcej pocałunków. Wiedziała, że jej pragnie, bo gdy na nią patrzył, w jego oczach widać było pożądanie. Za każdym razem, kiedy niby to niechcący go dotykała, czuła, jak Pierce sztywnieje. Każdego ranka wyglądał tak, jakby i on miał kłopoty ze snem.

Dlaczego więc tak się hamował? Czy wciąż czekał, aż sama powie mu całą prawdę? A może było w tym coś jeszcze?

Kiedy budziła się o świcie, niespokojna i rozgorączkowana, wiedziała, że tylko jego dotyk może uciszyć burzę szalejącą w jej duszy. Miała nawet ochotę wyznać mu całą prawdę i zaproponować, że zostanie jego kochanką. Ale zarazem ze wszystkich sił pragnęła uwierzyć w moc czarów wdowy Haskell.

Tak bardzo pragnęła zostać żoną lorda Penhollow.

Tego ranka Eden pomagała pani Meeks, Lucy i służącym pakować koszyki z jedzeniem dla ubogich z Hobbles Moor. Z Penhollow Hall nikt potrzebujący nie odchodził z pustymi rękami. Także z tego powodu Eden kochała Pierce'a Kirriera, lorda Penhollow.

Pierce. Nawet z jego imienia emanowała jakaś dzika, męska siła.

Lucy wyrwała ją z marzeń.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że zatęsknię za deszczem. Już prawie tydzień nie pada. A dzisiejsza pogoda jest w sam raz na piknik.

- Piknik? - zdziwiła się Eden.

- Tak, piknik - odparła pani Meeks. - Wie panienka, posiłek pod gołym niebem, w cieniu drzewa. Za życia mojego świętej pamięci męża w każdy słoneczny dzień urządzaliśmy sobie piknik. A dzisiaj wieje taki przyjemny wietrzyk. - Włożyła do koszyka wędzoną szynkę. - Szkoda, że panienka i lord Penhollow nie mogą sami wybrać się na piknik. Mamy tyle jedzenia, został też jeszcze

jeden pusty koszyk. Oczywiście, można by pójść do wielmożnego pana i wyciągnąć go z domu. Zdaje mi się, że jest w swoim gabinecie.

Eden zmarszczyła brwi.

- Myślisz, że się zgodzi? Jest bardzo zajęty.

- Dla panienki zawsze znajdzie czas - odparła Lucy i puściła oko do pani Meeks. Służące zachichotały.

Eden czuła pokusę, by rzeczywiście zaprosić Pierce'a na piknik. Dzisiejsza przejażdżka konna była nieco krótsza niż zwykle, ponieważ do lorda przybył jakiś człowiek z Devon w sprawie ogiera. Interesant wyjechał przed godziną.

- Może rzeczywiście mogłabym go spytać.

- Och tak, proszę to zrobić - powiedziała pani Meeks. - Za ciężko pracuje. A ja w tym czasie znajdę jakiś koc, który moglibyście ze sobą wziąć.

- Koc? - spytała Eden, zaskoczona.

- Żeby w czasie jedzenia nie siedzieć na gołej ziemi - odparła pani Meeks. - A panienka co myślała?

Eden spłonęła rumieńcem, a Lucy i służące wybuchnęły gromkim śmiechem.

- Zaraz, ja nie mogę iść na piknik - powiedziała Eden do pani Meeks. - Obiecałam ci, że zaniosę te koszyki do wsi.

- Mogą poczekać - odparła pani Meeks. - Zaniesie je panienka po powrocie.

Lucy wypchnęła Eden na korytarz.

- No już, proszę iść do lorda Pierce'a i zaprosić go na piknik. A, jeszcze jedno. - Zwróciła się do jednej ze służących. - Liz, znajdź panią Ivy i zajmij ją czymś. - Mrugnęła do Eden porozumiewawczo. - To pani Ivy donosi lady Penhollow, kiedy spotykacie się z lordem Pierce'em.

- Ale co mam jej powiedzieć? - spytała Liz.

- Spytaj ją, jak się pierze wełnę czy coś takiego - poradziła pani Meeks. - Zobaczysz, przez kilka godzin nie przestanie głądzić.

Liz skinęła głową i wybiegła z kuchni. Po kilku minutach Lucy i pani Meeks dały Eden znak, że może bezpiecznie pójść do gabinetu lorda Penhollow. Szeptem udzieliły jej paru instrukcji, po czym wcisnęły do ręki koszyk z jedzeniem.

Eden wygładziła różową muślinową suknię i zapukała nieśmiało do drzwi gabinetu. Pierce kazał jej wejść.

Siedział za wielkim biurkiem. Przed nim leżała sterta jakichś papierów. Nie miał na sobie surduta, a jego halsztuk był lekko przekrzywiony.

- Bardzo jesteś zajęty? - spytała.

Pierce odłożył pióro.

- Dla ciebie zawsze mam czas. Czemu pytasz?

- Chciałam cię zaprosić na piknik. - Podniosła koszyk.

Lord Penhollow ukazał zęby w uśmiechu.

- Doskonały pomysł. - Wstał od biurka i sięgnął po surdut. - Masz już jakiś pomysł co do miejsca?

- Moglibyśmy pójść nad staw dla kaczek. Muszę wrócić na trzecią, żeby zanieść do wsi koszyki dla ubogich.

Pierce wziął z rąk Eden koszyk, próbując ocenić jego ciężar.

- Lucy go spakowała, prawda? - Wyciągnął ze środka butelkę wina i mrugnął do Eden. - Ona wie, co się najbardziej przydaje.

Ruszyli w stronę drzwi prowadzących do ogrodu; wtem na ich drodze stanęła pani Meeks z kocem przewieszonym przez ramię.

- Tędy lepiej nie iść - powiedziała z naciskiem, a Eden natychmiast zorientowała się, że oznacza to, iż lady Penhollow jest w ogrodzie. - Proszę, weźcie ten koc i wyjdźcie z domu frontowymi drzwiami.

- Przecież tędy jest bliżej - zaczął lord Penhollow, ale Eden już odwróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwnym kierunku.

Dogonił ją i obrzucił podejrzliwym spojrzeniem.

- Czyżbyśmy starali się uciec przed moją matką?

Wymamrotała coś niewyraźnie. Drzwi otworzył im Rawlins.

- Miłego popołudnia, milordzie - powiedział lokaj, gdy lord Penhollow wyszedł za Eden.

- Służący bawią się w swatów - stwierdził Pierce.

- Zauważyłeś to? - zdziwiła się.

- A ty nie?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, zmieniła więc temat.

- Wiesz, jak mówią na ciebie służący, kiedy rozmawiają między

sobą? Lord Pierce. I wypowiadają te słowa z dumą. Nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka, który cieszyłby się tak dużym szacunkiem ludzi, jak ty.

- Owszem, szanują mnie - odparł spokojnie - dopóki nie zrobię czegoś, co im się nie podoba. Wtedy przez tydzień dostaję przypalone jedzenie, a w domu panuje ogólny bałagan.

Eden parsknęła śmiechem.

- Nie wątpię, że pani Meeks byłaby w stanie uciec się do takich metod, byle postawić na swoim. Nie ośmieliłabym się wejść jej w drogę.

- Bardzo słusznie. Nie zapominaj o tym - odparł Pierce.

Przeszli przez pusty dziedziniec. Gdy dotarli nad staw po drugiej stronie stajni, kaczki podpłynęły do brzegu, kwacząc donośnie na widok Eden. Od pewnego czasu codziennie je dokarmiała. Nawet gęś wyglądała na zadowoloną z jej przybycia. Eden zaczęła wrzucać podrobiony chleb do wody, a lord Penhollow rozłożył koc na ziemi.

Eden wrzuciła do wody ostatni kawałek chleba, usiadła na kocu i zabrała się za rozpakowywanie koszyka.

- Było mi przykro, że musieliśmy skrócić poranną przejażdżkę - przyznała.

Pierce położył się na kocu; wyjął z koszyka brzoskwinę i nóż.

- Mnie też. - Zręcznie pokroił owoc.

Eden zawahała się. Po wodzie płynęła wesoła pieśń rudzika. Jeśli miała wyjawić Pierce'owi prawdę, teraz był na to odpowiedni moment. Ale czy starczy jej odwagi?

Lord Penhollow podał jej kawałek brzoskwini. Sok ściekał mu po palcach. Eden nagle zapragnęła je oblizać.

Niespokojna i spięta, wrzuciła cały kawałek do ust, by nie ulec pokusie.

- Coś cię niepokoi - zauważył Pierce.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Co się stało? - spytał.

- Chciałabym spróbować, jak smakuje sok brzoskwini na twoich palcach - powiedziała.

Pierce zeszytniał. Podniósł się na ręce.

- Co proszę? - Usiadł zdumiony.

Eden potrząsnęła głową. Drugi raz te słowa nie przeszłyby jej przez gardło. Obawiała się, że i tak powiedziała za dużo.

Pierce wstał i spojrzał na nią bacznie.

- Najpierw zachowujesz się jak najbardziej niewinna istota, jaką znam, a po chwili chcesz mnie lizać. Wydajesz się pełna przeciwieństw; flirtujesz i igrasz ze mną, a mimo to jesteś całkowicie niewinna.

- Nie powinnam była tego mówić.

Pierce uklęknął przy niej i ujął ją za podbródek.

- Eden, cieszę się, że mnie pragniesz. Ale, jak ci już raz mówiłem, chcę, byś dała mi coś więcej. - Wpił się w nią oczami. - Czekam i czekam, aż opowiesz mi o swojej przeszłości, ale ty nie zamierzasz zdradzić swoich tajemnic, prawda?

Nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, odwróciła się...

- Opowiedz mi o madame Indrani.

Eden spojrzała na niego. Wydawało jej się, że przywołana madame we własnej osobie stanęła między nimi.

- Eden, opowiedz mi o niej - powtórzył.

Otworzyła usta. Tak, chciała mu wszystko powiedzieć... ale w ostatniej chwili słowa uwięzły jej w gardle. Potrząsnęła głową.

- Nie mogę. - Próbowała się odsunąć, ale przytrzymał ją za ramię.

- Nie możesz czy nie chcesz? Eden, niech runie wreszcie ten mur, który nas dzieli. Musisz mi w końcu zaufać. Powiedz, czego się boisz.

Nadal nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Ścisnął ją lekko za ramię.

- Eden, muszę wiedzieć o tobie więcej.

Zaczęła mówić urywanym głosem.

- Ona była dla mnie... jak nauczycielka. To właśnie przez nią... znalazłam się na statku. - Tylko tyle zdołała powiedzieć.

- Wiem, że to nie wszystko - powiedział.

Jestem kurtyzaną, ładaczną, dziwką.

Nie mogła mu tego powiedzieć. Ich światy za bardzo różniły się od siebie. Gdyby zdradziła mu całą prawdę, rozdzieliłaby ich bezdenne otchłaniai.

- Czy moja przeszłość tak wiele dla ciebie znaczy? - wyszeptwała.

- Ważne jest dla mnie to, byś była ze mną szczerą.

Słuchając go czuła ogromną pokusę, by wyzbyć się wszelkich wątpliwości...

Odgarnął z jej twarzy kosmyk kręconych włosów.

- Eden, dlaczego ukrywasz się przede mną? Czego nie chcesz mi wyjawić?

Nie chciała, by Pierce odwrócił się od niej z obrzydzeniem.

Z żalem podjęła wreszcie decyzję. On nie może poznać jej przeszłości. Nie zrozumiałby jej.

Odwróciła się, a Pierce wypuścił ją z ramion.

- Muszę już wracać. Obiecałam pani Meeks, że zaniosę do wsi koszyki z jedzeniem dla ubogich.

Pochyliła się, by schować jedzenie z powrotem do koszyka, ale lord Penhollow złapał ją za rękę i odwrócił ku sobie.

- Eden, spójrz na mnie.

Podniosła na niego oczy. Zobaczyła, że na jego twarzy maluje się złość.

Delikatnie, z czułością odgarnęła mu włosy z czoła.

- Gdybym mogła oddać ci swoją duszę, uczyniłabym to bez wahania.

Pierce odskoczył od niej, jakby jej dotyk go parzył, i poszedł na brzeg stawu. Przez długi czas stał odwrócony do niej plecami. Jakże pragnęła, by było inaczej... ale nie miała innego wyjścia.

Kochała go za bardzo, by narazić go na hańbę.

W ciszę wdarł się jego głos.

- Cóż. - Pierce odwrócił się do niej. Miał zaciśnięte usta. Unikał jej spojrzenia. - Powinniśmy po sobie posprzątać. Mam jeszcze sporo pracy.

Eden skinęła głową. Schowała ser i owoce do koszyka. Radosny nastrój prysnął. Nawet pieśń rudzika nie wydawała się już taka wesoła.

Skierowali kroki w stronę domu. Na podjeździe Eden zatrzymała się.

- Chyba będzie najlepiej, jeśli jutro wyjadę.

Nie spojrzął na nią.

- Może masz rację. - Zrobił kilka kroków w stronę domu i odwrócił się - Powiedz mi, co chcesz zrobić i kiedy, a ja poczynię wszelkie niezbędne przygotowania.

Powiedziawszy to, odszedł. Eden stała jak wrośnięta w ziemię. Decyzja została podjęta. Klamka zapadła. Wyjedzie stąd.

Odetchnęła głęboko, po czym powoli poszła w ślad za nim do domu, powtarzając sobie w duchu: „Tak będzie najlepiej”.

Eden postanowiła, że to lord Penhollow powiadomi wszystkich o jej wyjeździe. Ona sama wolała wyjść z domu i zanieść do wsi dary dla ubogich, by choć przez te kilka godzin wszystko wydawało się takie jak dotychczas.

Do Hobbles Moor zawiózł ją Jim, który akurat wybierał się do kuźni, żeby Dane naprawił mu orczyk. Jak zawsze gadatliwy, przez całą drogę nie dopuszczał Eden do głosu i nie zauważył, że była wyjątkowo cicha.

Zawiózł ją na drugi koniec Hobbles Moor, gdzie w kilku rzędach stały małe chatki kryte strzechą. Lord Penhollow postawił je dla górników. Domki te były jedno i dwuizbowe, a przed każdym znajdował się mały ogródek, w którym rosły warzywa i kwiaty. Na tyłach niektórych chatek stały kurniki, a tu i ówdzie widać było krowy przywiązane do ogrodzenia.

- Słowo daję, żyją jak królowie od kiedy lord Penhollow wybudował te domki - powiedział Jim z dumą.

- A jak było wcześniej?- spytała Eden. Po raz kolejny ogarnął ją głęboki smutek na myśl, że musi wkrótce stąd wyjechać.

- Mieszkali, gdzie się dało. Żyli z dnia na dzień. Jedna rodzina to nawet mieszkała w jaskini nad morzem. Kiedy lord Penhollow dowiedział się o tym, ściągnął ich do Hobbles Moor i nauczył fachu ojca rodziny. Słowo daję, gdyby nie lord Penhollow, wielu tutejszych ludzi nie miałoby dachu nad głową. - Zerknął na Eden kątem oka. - Panna na wydaniu nie mogłaby wymarzyć sobie lepszego męża od wielmożnego pana. Dobry z niego człowiek, nie ma co.

Eden z trudem zachowała kamienną twarz.

- Jak daleko jest stąd do kopalni cyny? - zmieniła temat.

- Dwie mile. O, jedzie się tam, przez tę łąkę. - Jim kiwnął głową ku północy. - To też zasługa lorda Penhollow. Dopóki on nie przejął kopalni, wszyscy myśleli, że nic tam już nie ma. A lord się nie poddał. Sam w niej pracował! Płaci ludziom, jak należy, bo namachał się kilofem, to i wie, jaka to ciężka harówka. Tory i wózki, które zaprojektował, ułatwią ludziom pracę.

- Zaprojektował tory? - Jechali wokół okrągłego stawu w centrum Hobbles Moor.

- Tak, dzięki nim łatwiej będzie wywozić rudę na powierzchnię. To strasznie ciężka praca. Trzeba ludziom jakoś ulżyć. Lord Pierce zamierza też zbudować odlewnię przy samej kopalni. Wynajął już inżyniera. Z rozpoczęciem prac czeka na jego przyjazd.

Jim zatrzymał dwukólkę przed chatką z ogródkiem, w którym siedziało zapłakane dziecko. Zaciągnąwszy hamulec, zeskokczył z kozła, otworzył drzwi przed Eden i wręczył jej koszyk.

- Dziękuję, Jim. Daj mi od razu obydwu. Ty w tym czasie możesz pójść do Dane'a.

- To nie jest dobry pomysł, panno Eden - odparł. - Chyba lepiej, żebym na panienkę poczekał.

- Wtedy nasz pobyt tutaj przeciągnie się do wieczora. - A ona musiała jeszcze się spakować. - Mówię ci, załatw swoje sprawy, a ja pójdę do pani Tucker i pani Furman. Nic mi się nie stanie, a pani Furman przyda się towarzystwo. Kiedy byłam tu ostatnio, jej syn chorował na febrę i chcę zobaczyć, czy mu się polepszyło.

Kiedy Eden uświadomiła sobie, że wkrótce nie będzie już częścią tej społeczności, poczuła żal niemal tak silny, jaki ogarniał ją na myśl o rozstaniu z lordem Penhollow. Zamrugała, wstrzymując łzy i odwróciła się, by Jim tego nie zauważył.

- Tak sobie myślę, że lord Penhollow nie życzyłby sobie, żebym panienkę bez opieki zostawiał.

- Lord Penhollow będzie ci wdzięczny, jeśli odstawisz mnie do domu o rozsądnej godzinie.

Jim uległ perswazji.

- To potrwa nie dłużej niż godzinę, panienko - obiecał.

- Dobrze. Nigdzie nie ucieknę - powiedziała Eden. Dopiero

kiedy weszła do ogródka Tuckerów, Jim szarpnął wodze i ruszył dwukółką w stronę kuźni.

Eden przykucnęła obok płaczącego dziecka.

- Harry, co się stało?- spytała łagodnym tonem. Czuła, że poza lordem Penhollow, najbardziej będzie jej brakować właśnie dzieci.

Duże brązowe oczy spojrzały na nią, po czym chłopczyk zaczął krzyczeć jeszcze głośniejsze niż dotąd. Z wnętrza chatki dobiegł płacz innego dziecka. W drzwiach stanęła pani Tucker. Miała szóstkę dzieci; ostatnio urodziły jej się bliźnięta, Sarah i Willie. W tej chwili trzymała Sarah na biodrze. Pani Tucker była ciężko pracującą kobietą, która od narodzin bliźniąt przed półtora roku nie czuła się najlepiej. Lord Penhollow za pośrednictwem wikarego niósł pomoc tej rodzinie.

- Mam dla pani koszyk, pani Tucker. - Eden postawiła go na ziemi i wyciągnęła ręce do Sarah. - Ja ją potrzynam, a pani niech zanieś koszyk do domu.

- Nie wiem, czy będzie chciała iść do panienki. Strasznie jest dzisiaj marudna, bo nowy ząbek jej rośnie. - Ale Sarah już wyciągała rączki.

Eden wzięła dziecko na ręce i przytuliła do siebie. Bardzo kochała wszystkie dzieci i przy każdej okazji brała je w ramiona. Mary Westchester byłaby z niej dumna.

- A gdzie Willie? - spytała Eden, rozglądając się w poszukiwaniu swojego ulubieńca.

- Śpi. Szkoda, że Sarah nie bierze z brata przykładu - odparła pani Tucker. Była mniej więcej w wieku Eden, ale ciężka praca i liczne porody sprawiły, że wyglądała na o wiele starszą; tylko w jej oczach tliły się wesołe ogniki. Uśmiechnęła się do Eden. - Proszę wejść, napijemy się herbaty. Widzę, że pani Meeks włożyła ją do koszyka.

- Och, chętnie wstąpię do pani na chwilę, ale z herbaty będę musiała zrezygnować. Mam jeszcze koszyk dla Furmanów, a Jim dał mi tylko godzinę. Nie wie pani, czy ich synek już wyzdrowiał?

Sara wsadziła sobie kosmyk włosów Eden do buzi. Pani Tucker podeszła i delikatnie wyjęła rękę córeczki z włosów Eden.

- Nie, nie wiem. Panienka poczeka, położę dzieci spać i pójdziemy razem do Furmanów.

- Byłoby miło.

- No, Harry. Pora na poobiednią drzemkę - powiedziała pani Tucker. Harry zaniósł się głośnym płaczem, ale matka pozostała niewzruszona.

Eden ruszyła za nią, śmiejąc się z Sarah, wyraźnie zafascynowanej jej kręconymi włosami.

W skromnie umeblowanej izbie było schludnie i czysto, mimo dymu i sadzy z torfu służącego za podpałkę. Przy ścianie stało podwójne łóżko. Obok, na podłodze, ułożone były sienniki dla dzieci. Pośrodku łóżka spał jasnowłosy Willie, z kciukiem w buzi.

- Widzieliśmy panienkę wczoraj rano. Była panienka na przejażdżce z lordem Penhollow - powiedziała pani Tucker. Postawiła koszyk na stole i wyciągnęła z niego bochenek chleba. Odkroiwszy cienką kromkę, dała ją Harry'emu, który od razu się uspokoił.

- Tak sobie myślę, że ładna z was para.

Eden uśmiechnęła się z wdzięcznością; im mniej powie, tym lepiej. Położyła Sarah na łóżku, obok braciszka. Pani Tucker dała dziewczynce kawałek skórki od chleba. Sarah ścisnęła ją w jednej dłoni i zaczęła ssać kciuk drugiej.

- Jak się pani czuje? - spytała Eden.

- Z każdym dniem coraz lepiej - odparła pani Tucker, zajęta układaniem dzieci do snu. Położyła Harry'ego na jednym z sienników.

Chłopiec od razu zaczął się z niego dyskretnie zsuwać. Zauważwszy to, pani Tucker strzeliła palcami i zdecydowanym gestem wskazała siennik. Harry przez chwilę niepewnie patrzył na matkę.

- Harry - powiedziała ostrzegawczym tonem. Chłopiec posłusznie się położył.

Eden podeszła do drzwi i pani Tucker dołączyła do niej.

- Thomas mówił, że przy kopalni wczoraj cały dzień padało, ale tutaj nie spadła ani jedna kropla. Dziwna jest ta Kornwalia, co? Zupełnie jakby Bóg igrał sobie z nami. - Obejrzała się. Harry z miną niewiniątka wpatrywał się w sufit.

- A gdzie reszta dzieci? - spytała Eden.

- Tommy pilnuje owiec ze starym Milo. Jedna z dziewcząt

pomaga w czesaniu wełny. - Kiwnęła głową w stronę drogi prowadzącej do chatki tkacza. - A druga opiekuje się dziećmi pani Furman. O, właśnie tu idzie. - Machnęła ręką w kierunku ładnej ciemnowłosej dziewczynki, która prowadziła dwójkę dzieci.

Pani Tucker wyszła do ogródka. Eden za nią.

- *Dokąd się wybieracie, Klaro?*

- Postanowiłam zabrać dzieciaki na spacer nad staw, mammo.

- Dobra z ciebie dziewczynka. Miej je na oku i nie pozwalaj im podchodzić za blisko do wody- powiedziała pani Tucker z zadowoleniem i pomachała do córki. Następnie podkraśniała się na palcach do otwartych drzwi domku. - Już śpią - szepnęła do Eden. - Szybko, chodźmy do pani Furman.

Eden podniosła drugi koszyk, wciąż stojący w ogródku Tuckerów. Pozostawiwszy drzwi domku otwarte, przeszła w ślad za panią Tucker na drugą stronę drogi. Chatka państwa Furmanów stała tuż obok. Gospodyni siedziała przy drzwiach; była w mocno zaawansowanej ciąży i na jej kolanach spoczywał duży, okrągły brzuch. Wyglądało na to, że przyszła matka nie najlepiej czuje się w tym upale. To miało być jej piąte dziecko.

- Panno Eden, witamy serdecznie.

- Dziękuję, pani Furman. Pani Meeks i Lucy przygotowały dla pani koszyk z jedzeniem. Jak się miewa pani syn? Czy czuje się już lepiej?

Pani Furman z trudem podniosła się i wzięła koszyk z rąk Eden.

- A jakże. Dziś rano była u niego wdowa Haskell i powiedziała, że jest już prawie wyleczony.

- A doktor Hargrave? Nie zaglądał do pani?

Pani Furman potrząsnęła głową.

- A na cóż nam pan doktor, skoro była tu wdowa Haskell? Jej przynajmniej nie trzeba płacić. - Zwróciła się do pani Tucker. - Mary, twoja Klara to złota dziewczyna. Dzięki, że ją do mnie przysłałaś.

- W koszyku jest herbata - powiedziała znacząco pani Tucker.

- Och, jak to dobrze. - Pani Furman ucieszyła się. - Napije się panienka z nami?

Eden popatrzyła na drogę. Wózka Jima nie było widać, więc przytaknęła.

Podobnie jak we wszystkich domach w Hobbles Moor, tu także nad ogniem wisiał żelazny kociołek. Pani Furman wsypała herbatę do dwóch filiżanek; jedna z nich była mocno wyszczerbiona. Eden uświadomiła sobie, że więcej filiżanek w tym domu nie ma. Wiedziała, jakim luksusem dla tych kobiet jest herbata i była wzruszona ich gościnnością. Choć żyły biednie, nie zaznały ubóstwa ducha, z jakim Eden zetknęła się w dzieciństwie. Ci ludzie niewiele mieli, ale byli porządni i dumni.

Daniel Furman smacznie spał w łóżku rodziców. Lekko zaróżowione policzki wskazywały na to, że jego stan znacznie się poprawił.

Pani Furman odczekała kilka minut, by herbata się zaparzyła i podała Eden filiżankę. Nagle do ich uszu dobiegł jakiś krzyk.

- Ciekawe, co się dzieje - powiedziała gospodyni i podeszła do drzwi.

Pani Tucker odstawiła filiżankę.

- Oby tylko nie pobudzili mi dzieci.

W tej chwili na zewnątrz rozległ się krzyk:

- Gore!

Wszystkie trzy wybiegły do ogródka. Jakiś mężczyzna pędził z wiadrem w rękę w stronę stawu. Kilka innych kobiet wyszło przed domy, rozglądając się z zaciekawieniem.

W powietrzu unosił się swąd dymu, ale trudno było powiedzieć, skąd dochodził. Nagle pani Tucker krzyknęła i wyciągnęła rękę przed siebie. Paliła się tylna część dachu chatki stojącej po drugiej stronie drogi.

Rozległo się bicie dzwonu na wieży kościelnej, wzywającego do pożaru wszystkich pracujących w polu. Słychać go było w obrębie wielu mil. Na drodze zaczęli gromadzić się ludzie. Kilka osób trzymało już w rękach wiadra z wodą.

Dwie kobiety stojące przy Eden nie zwlekały ani chwili. Pani Furman porwała wiadro stojące pod drzwiami. Choć były w nim tylko pomyje, czym prędzej przebiegła na drugą stronę drogi i wylała je na płomienie, które w przeciągu kilku sekund ogarnęły suchą słomę. Pani Tucker pobiegła po swoje wiadro. Eden wyszła na drogę, gotowa pomóc innym w walce z rozprzestrzeniającym się ogniem.

Niemłoda kobieta, właścicielka płonącej chatki, siedziała przy drodze i rozpacziała głośno, a wieśniacy utworzyli łańcuch do samego stawu.

Dzwon ciągle bił, rozpaczliwie wzywając pomocy. Nieprzyjemny swąd dymu był coraz silniejszy i drażnił nozdrza Eden. Ktoś wcisnął jej do ręki wiadro z wodą ze stawu; szybko podała je kolejnej osobie w szeregu. Potem pojawiły się następne wiadra; po ich opróżnieniu młodzi chłopcy, ile sił w nogach, biegli z nimi z powrotem nad staw.

Choć wszyscy spieszyli się, jak mogli, to nie wystarczyło. Ogień strawił całą chatkę. Mimo to mieszkańcy wsi nie przerywali walki z płomieniami. Eden zerwała z głowy przeszkadzający jej czepek i odrzuciła go na bok. Bolały ją ręce i plecy, ale wciąż stała ramię w ramię z innymi, dźwigając ciężkie wiadra.

Wtedy stało się to, czego najbardziej się obawiali. Zapaliła się strzecha sąsiedniej chatki.

Wyciągając rękę po kolejne wiadro, Eden zauważyła, że stoi przy niej Jim.

- Cała wieś się spali, jeśli tego nie ugasimy! - krzyknął jej do ucha.

Kiwnęła głową i podała wiadro następnej osobie. Nie był to może najskuteczniejszy sposób walki z ogniem, ale innego nie znali.

Rozległ się krzyk właścicieli palącej się chatki. Od strony pól nadbiegli mężczyźni, którzy przekleństwami i wykrzykiwanymi poleceniami powiększyli jeszcze ogólny chaos. Dym stał się gęsty. Wydawało się, że cała wieś przystąpiła do walki z nieubłaganie rozprzestrzeniającym się żywiołem. Płomienie błyskawicznie strawiły drugą chatkę. Zmienił się kierunek wiatru. W powietrzu unosiły się iskry, zagrażające suchym słomianym strzechom.

Mając brudne ręce, Eden otarła spocone czoło rękawem muslinowej sukni. Wtedy właśnie zauważyła, że zapalił się dach domku pani Tucker.

Eden postąpiła dwa kroki naprzód; z tyłu dobiegł rozpaczliwy krzyk pani Tucker:

- Dzieci! Moje dzieci!

Nogi same niosły Eden w stronę płonącego domu. Ogień ogarnął cały dach.

Jakiś człowiek złapał ją za ramię.

- Już za późno - usłyszała męski głos. - Ten dach lada chwila się zawali.

Słyszając rozpaczliwe krzyki pani Tucker, Eden bez namysłu wyrwała się przytrzymującemu ją mężczyźnie i wbiegła do płonącej chatki.

13

Pierce wpadł do Hobbles Moor na rozjeżdżonym Królu Kornwalii. On także usłyszał bicie dzwonu, a czarny dym dało się zauważyć nawet z Penhollow Hall.

Przyjechał w chwili, kiedy Eden wbiegała do płonącego domku.

Pani Tucker rzuciła się za nią z krzykiem rozpacz, ale przy samych drzwiach spadła jej na głowę płonąca krowa i kobieta osunęła się bezwładnie na ziemię.

Pierce spiał rumaka ostrogami i skierował go w stronę chatki, do której wbiegała Eden. Dotarłszy na miejsce, w biegu zeskoczył z konia, upewnił się, czy wieśniacy odciągnęli panią Tucker od ognia, przeskoczył płonąca krowa i wpadł do środka.

A było tam jak w piekle. Izbę wypełniał gęsty dym, a małe języki ognia lizały podłogę i ściany. Dach pękał i lada chwila mógł runąć.

Eden stała przy łóżku, chwiejąc się lekko. Na rękach miała dwójkę dzieci. Kiedy ujrzała Pierce'a, wydawało się, że nie wierzy własnym oczom.

Pierce złapał ją i zaczął ciągnąć w stronę drzwi, ale wyrwała mu się.

- Dzi... - zaczęła mówić, ale zakrztusiła się dymem. - Dziecko - udało jej się wydusić.

Lord Penhollow obejrzał się szybko; rzeczywiście, na łóżku leżało jeszcze jedno dziecko. Małe płomyki nieuchronnie zbliżały się do jego główki. Pierce nie był pewien, czy ono w ogóle jeszcze żyje.

- Idź! - krzyknął i pchnął Eden w stronę drzwi. Wieśniacy pomogli jej przejść przez płomień i wyciągnęli ją na świeże powietrze.

Pierce odwrócił się i wziął dziecko na ręce w chwili, kiedy dach zaczął się walić. Osłaniając maleństwo swoim ciałem, wyskoczył przez drzwi. Wylądował na boku i przetoczył się, nie wypuszczając dziecka z rąk. Zatrzymał się dopiero pod żywopłotem okalającym ogródek.

Leżał tam przez chwilę, po czym ktoś dopadł do niego i zaczął gasić płonąca na nim koszulę. Pierce czuł mrowienie skóry w oparzonych miejscach, ale poza tym nic mu się nie stało.

Gdzie była Eden?

Dane podała mu rękę. Z jego pomocą Pierce podniósł się z ziemi. Ciągle trzymał dziecko na ręku.

- Gdzie Eden? - spytał... i wtedy ją zobaczył. Znosiła się kaszlem, podtrzymywana przez panią Furman. Jakieś dwie kobiety wzięły od niej uratowane dzieci. Mniejsze z nich wyciągało ręce do matki, która wciąż leżała nieprzytomna.

Pierce ruszył w stronę Eden. Jej twarz była umazana sadzą, włosy potargane. Ogień wypalił dziury w pięknej sukni, a jeden rękaw został całkowicie oderwany. Ale w oczach Pierce'a Eden nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie.

Spojrzała na niego.

- Jak się czuje Sarah? - spytała chrapliwym szeptem.

Wieśniacy wciąż walczyli z ogniem, który objął dwie następne chatki. Mężczyźni szybko ściągnęli bosakami płonąca strzechę.

- Sarah?

- Dziecko, które uratowałeś. Ma na imię Sarah.

Tak się ucieszył na widok Eden, całej i zdrowej, że prawie zapomniał o dziecku, które trzymał na ręku. Spojrzał w dół. Dziewczynka o delikatnych jedwabnych włosach okalających twarz zdawała się smacznie spać, z kciukiem w buzi. Jej czoło było brudne od sadzy. Leżała tak spokojnie... aż za spokojnie.

Z ust Eden wyrwał się okrzyk przerażenia. Pierce podniósł dziewczynkę. Ona musiała żyć. Po prostu musiała. Nie mogli jej zawieść.

Przycisnął palce do piersi dziecka, ale nie wyczuł bicia serca.

Pochylił głowę, nadsłuchując oddechu, lecz wokół panował zbyt duży hałas.

Pani Furman pociągnęła nosem i odwróciła się. Oczy Eden wypełniły się łzami.

- Tylko nie Sarah. Proszę, tylko nie Sarah.

Pierce odwrócił dziecko na brzuch. Bez trudu utrzymywał je na jednej dłoni.

Nic.

Eden zaczęła ciągnąć go za nadpalony rękaw.

- Go mam powiedzieć jej matce?

Pierce nigdy dotąd nie czuł się tak bezsilny. Położył drugą dłoń na plecach dziewczynki i mocno nacisnął. Kciuk wysunął się z jej buzi i ręka zwiśla bezwładnie w powietrzu.

I wtedy... dało się słyszeć kaszlnięcie, cichy, prawie niesłyszalny dźwięk. Potem następne, i jeszcze jedno. Odwracając dziewczynkę na plecy, Pierce miał wrażenie, że widzi dym wypływający z jej ust. Duże brązowe oczy otworzyły się i spojrzały na niego.

- Spała - powiedział Pierce z niedowierzaniem, po czym potwórzył, głośniejsz, wstrząsany śmiechem: - Spała sobie.

Eden zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie. Dane i pani Furman padli sobie w objęcia. Jim krzyknął do wieśniaków, że dziewczynka żyje. Eden wzięła Sarah od Pierce'a i podniosła na niego błyszczące oczy.

- Uratowałeś ją. Gdyby nie ty, nie wydostałabym się stamtąd. Dusił mnie dym. Jeszcze nigdy nie byłam tak wdzięczna losowi jak w chwili, kiedy zobaczyłam cię w drzwiach.

W tej chwili poczuł w sobie wielką moc.

I wiedział już, że ją kocha.

Miłość. W latach młodości parę razy wydawało mu się, że kogoś kocha, ale to, co czuł teraz, było bez porównania silniejsze, głębsze i bardziej radosne.

Już nic więcej nie brakowało mu do szczęścia. Ogarnęło go poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Było to coś niesamowitego... a do tego wiedział, że z każdym następnym dniem jego miłość do Eden będzie coraz silniejsza.

Odnalazł to, czego szukał. To los rzucił ją w jego ramiona. Teraz już zdawał sobie z tego sprawę i wprawiało go to w stan euforii.

Matka uratowanych dzieci odzyskała przytomność. Wzięła Sarah od Eden i z radością wyczuwała wszystkie swoje pociechy.

Eden podeszła do Pierce'a, a on objął ją ramieniem i przygarnął do siebie, niczym bezcenny dar, jakim przecież była. Czuł na piersi bicie jej serca. Tutaj, pośród zgliszczy, znalazł wielką radość. Oczywiście, zamierzał odbudować spalone domy, ale wiedział, że bez Eden nic, co uczyni, nie będzie miało znaczenia.

Była piękna, nawet z umorusaną twarzą i potarganymi włosami. Pierce wtulił twarz w jej gęste loki, wdychając woń potu i dymu. W tej chwili uzmysłowił sobie, że Eden byłaby dla niego doskonałą żoną; zawsze marzył właśnie o takiej kobiecie jak ona.

Ktoś krzyknął, że pożar został ugaszony. Mieli szczęście. Spłonęło tylko pięć domów. Wiadra wysunęły się ze zmęczonych rąk; kilku mężczyzn padło na ziemię z wyczerpania.

Pierce pociągnął Eden za sobą i wyszedł na drogę. Wieśniacy zebrali się wokół niego. Wszyscy klepali go po plecach. Został okrzyknięty bohaterem.

Lord Penhollow podniósł rękę na znak, że chce mówić.

- Możemy mówić o wielkim szczęściu, że nie spaliła się cała wieś. Obiecuję wszystkim, którzy utracili swoje domy, że zostaną one odbudowane. Każdy z was otrzyma świnie, łóżko i stół. Proszę też, aby pozostali przyjęli pogorzalców pod swój dach na czas odbudowy spalonych domów.

Wszyscy pokiwali głowami na znak aprobaty. Lord Penhollow robił to, co należało zrobić. Dobrze znał tych ludzi; w końcu byli dla niego jak rodzina. Znalazł się przy nim potężnie zbudowany Dane, a także Kyle, kłusownik, którego Pierce nigdy nie mógł i nie chciał złapać. Jim stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Za jego plecami zgromadzili się stajenni z Penhollow Hall wraz z panią Meeks, Betsy i Rawlinsem; przybiegli do wsi, gdy tylko rozległo się bicie dzwonu. Wikary Thomas kręcił się niespokojnie przy pani Tucker, a po drugiej stronie ogródka stała wdowa Haskell, wsparta na sękatym kosturze.

Pierś Pierce'a rozpierała duma i wdzięczność. To dzięki tym ludziom jego życie miało sens. Postanowił więc podzielić się z nimi swoim szczęściem.

- Mam wam coś jeszcze do powiedzenia- zaczął. Tłumek

uciszył się. - Zamierzam ożenić się z kobietą, która stoi u mego boku, kiedy tylko uda mi się zdobyć specjalne zezwolenie. Penhollow Hall i Hobbles Moor będą miały nową panią.

Otoczający ich tłum zakołysał się. Dzieci pochwyliły się za ręce i zaczęły biegać w koło, radując się na myśl o weselu. Dorośli rzucili się do składania gratulacji, a Dane zakrzyknął: „Najwyższy czas, jak rany!”. Wszyscy śmiali się.

Pierce spojrzął na Eden.

- Co ty na to? - spytał cicho. - Wyjdiesz za mnie?

Jej oczy rozbłyły radością, ale po chwili przygasły. Potrząsnęła głową.

- Nie, milordzie, nie mogę. Nie wolno mi dopuścić do tego, byś... Zamknął jej usta pocałunkiem.

Pierce wyczuwał wahanie ukochanej, przygarnął ją więc do siebie, by przełamać jej opór - i udało mu się.

Nie zwracał uwagi na radosne krzyki wieśniaków. Skupiony był na tym, że od tej chwili Eden należy do niego, tylko do niego, i tak pozostanie już na zawsze.

- Wiwat! - zakrzyknął Dane, kiedy Pierce i Eden wreszcie oderwali się od siebie. - Wiwat! Niech żyją hrabia i hrabina Penhollow! - Wszyscy podchwycili ten okrzyk.

Jeden z chłopców przyprowadził Króla Kornwalii. Rumak niecierpliwie tupał kopytami. Pierce posadził Eden w siodle, po czym usiadł za nią i ścisnął konia kolanami. Król Kornwalii dumnie przemaszerował przez Hobbles Moor.

Pierce i Eden nie odezwali się do siebie ani słowem, dopóki nie zostawili za sobą ostatnich zabudowań wsi. Kiedy skręcili na podjazd wiodący do Penhollow Hall, Eden pierwsza przerwała milczenie.

- Wiesz, że nie mogę za ciebie wyjść.

- Powtórz to patrząc mi w oczy - powiedział Pierce.

Odwróciła się i spojrzała na niego. W jej zielonych oczach była stanowczość i żal.

Pierce roześmiał się, zachwycony jej odwagą i siłą.

- Eden, to nie wystarczy. Nie obchodzi mnie, skąd pochodzisz ani dlaczego tu jesteś. To nie ma dla mnie znaczenia. Kocham cię. Bardzo długo czekałem na miłość i teraz, kiedy nadeszła, wiem, że chcę tylko ciebie.

Patrzyła na niego bez słowa. Usta jej drżały.

Figlarnie trącił ją w bok.

- Teraz chyba powinnaś powiedzieć: „Ja ciebie też kocham, Pierce”. Nie jestem pewien, ale zdaje się, że to najodpowiedniejsza chwila.

Przez chwilę miał wrażenie, że ona tego nie powie. W końcu jednak wyszeptała:

- Kocham cię.

- Pierce - odpowiedział,

- Pierce. - Na jej ustach pojawił się uśmiech. - Kocham cię, Pierce. Pokochałam cię tego dnia, kiedy rozrzuciłeś miedziaki pod drzewem, a może nawet wcześniej. Kocham cię za twoje dobre serce, twoją siłę, twoją wielkoduszność. Kocham nawet dołek, który pokazuje się w kąciку twoich ust, kiedy się ze mną droczysz. - Przcisnęła dłoń do jego policzka. - Zawsze będę cię kochała.

W tej chwili był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Mogłabyś wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu - powiedział wesoło.

Ona też parsknęła śmiechem i oczy jej rozbłyły.

- Kocham cię, Pierce! - krzyknęła. Słowa te odbiły się echem od kamiennej fasady Penhollow Hall. Eden zarzuciła Pierce'owi ramiona na szyję, o mało co nie zrzucając go z konia.

Pocałowali się raz, potem drugi, trzeci i tak bez końca. Pierce wiedział, że nigdy nie będzie miał tego dosyć. Nie mógł już doczekać się chwili, kiedy będzie się z nią kochać i posiadać ją w pełni.

- Pobierzemy się w przyszłym tygodniu.

Eden musnęła palcami jego usta.

- Jesteś pewien? Kochasz mnie?

- Całym sercem.

- Nigdy tego nie pożałujesz, milordzie...

- Pierce - poprawił ją.

- Pierce - powtórzyła posłusznie, po czym obiecała: - Będę idealną żoną.

Pocałował ją znowu, by przypieczętować tę umowę.

Pierce wbiegł po schodach do pokojów matki. Przedtem zajrzał do Sali Ogrodowej, ale tam jej nie zastał.

Zapukał do drzwi jej salonu. Otworzyła je pani Ivy. Lady Penhollow stała przy oknie, patrząc na ogród.

Ciekawe, jak długo tak stoi, pomyślał.

- Masz dla mnie chwilę? - spytał.

Matka odwróciła się. Nie uśmiechnęła się na powitanie.

- Oczywiście. Pani Ivy, proszę zostawić nas samych.

Pokojówka ukłoniła się i wyszła.

Pierce zaczekał, aż drzwi zamkną się za nią, po czym podszedł do okna.

- W Hobbles Moor był pożar. Spaliło się pięć domów.

Lady Penhollow uniosła brwi.

- Och, to przykre. - Nie była przesadnie wrażliwa. Patrzyła na syna z powagą. - Prawdę mówiąc, Pierce, cieszę się, że przyszedłeś do mnie. Właśnie miałam zacząć cię szukać.

- Naprawdę? Dlaczego?

Zawahała się i odetchnęła głęboko, jakby nie była pewna, co chce powiedzieć.

- Pierce, mój drogi, nie lubię krytykować innych, ale dzisiaj zobaczyłam coś, co wzbudziło we mnie pewien niepokój.

Pierce zaczął tracić cierpliwość.

- Widziałaś, jak całowałem się z Eden.

- Tak, to prawda. W dodatku robiliście to tutaj, na podjeździe, gdzie wszyscy mogli was widzieć.

- Miałem dobry powód.

- By całować ją w miejscu publicznym? Nie wierzę! Jej się nie dziwię, takiego zachowania można się spodziewać po takiej...

- Matko...

- Pierce, to prostytutka w każdym calu. Żądam, żebyś natychmiast odesłał ją do wikarego czy gdziekolwiek...

- Oświadczyłem się jej.

Lady Penhollow zamknęła usta. Po chwili położyła dłoń na sercu, a drugą ręką zaczęła macać za sobą w poszukiwaniu krzesła.

Pierce wyjrzał przez okno, zażenowany jej zachowaniem. Od strony Hobbles Moor nadchodzili stajenni z pieśnią na ustach. Bez

wątpienia nie omieszkali po drodze wpaść do pubu na mały kufelek. Pierce nie mógł doczekać się następnego spotkania z Eden. Mieli tyle rzeczy do zaplanowania.

Lady Penhollow jęknęła i zamknęła oczy.

- Och, Pierce.

- Matko, przestań! - krzyknął. - Tragedią jest to, że pięć rodzin zostało bez dachu nad głową, a nie moje oświadczyiny.

Otworzyła oczy.

- Jak możesz tak mówić? Ach, wiedziałam, wiedziałam! Kiedy zobaczyłam tę dziewczynę po raz pierwszy, od razu domyśliłam się, że przybyła tu tylko w jednym celu.

- Och, matko...

- Nie mów do mnie jak do idiotki! - Zerwała się z krzesła. - Ta kobieta od samego początku robiła wszystko, żeby cię zdobyć. Ta jej amnezja, czy jak to tam zwał, jest wysoce podejrzana. Czy przyszły jakieś wieści z Londynu?

- Nie. - Sam był z tego bardzo niezadowolony.

- Obiecałeś, że nie zrobisz żadnego nierozsądnego kroku, dopóki nie dowiesz się, kim ona jest.

- Nie uważam małżeństwa z kobietą, którą kocham, za czyn nierozsądny.

- Powiedziałeś, że zaczekasz.

- Nieprawda. To ty chciałaś, żebym zaczekał. Ja niczego nie obiecywałem.

Lady Penhollow prychnęła ze złością.

- Nie mogę uwierzyć, że wystarczyło kilka pocałunków, żeby cię omotać.

- To coś więcej - odparł Pierce. - Już w chwili, kiedy zobaczyłem ją w tej łodzi, zaczęła się we mnie budzić miłość. A dzisiaj niewiele brakowało, bym stracił Eden na zawsze. Rzuciła się w płomień, by uratować trójkę dzieci. Nigdy nie znajdę kobiety, która dorównywałaby jej odwagą lub siłą charakteru. Nie mógłbym bez niej żyć.

- Pierce, jesteś zaślepiiony. Ostrzegałam cię kiedyś, że ta kobieta jest zbyt... zbyt... - Zaczęła machać gwałtownie rękami, jakby nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa na wyrażenie tego, co chciała powiedzieć. - Doskonała.

- Uważasz ją za perfidną jędzę, prawda? - spytał gorzko.
- Nie, chcę po prostu powiedzieć, że jej nie znasz!
- Ależ ja ją znam! - powiedział z mocą. - Mogę rozmawiać z nią godzinami, nie nudząc się przy tym. Podoba mi się jej bezpretensjonalność i łatwość w obcowaniu z ludźmi. Uwielbiam patrzeć, jak Eden pracuje w ogródku. Zachwyca mnie jej śmiech. Od dnia, gdy pojawiła się w Penhollow Hall, zrobiło się tu wesoło jak nigdy. Kocham ją, matko.

Lady Penhollow zacisnęła usta.

- Nigdy się nie spodziewałam, że usłyszę mojego syna kwilącego jak cielę z powodu kobiety. Skoro tak jej pragniesz, to ją po prostu weź! Nie musisz od razu się z nią żenić. Widziałam, jak cię całowała. Ona nie ma za grosz klasy. Nie jest taka jak Willisowie, Bainesowie czy rodzina Danburych. Jest nikim.

- Jest moją przyszłą żoną - odparł stanowczo. - A ty będziesz ją szanować. Jeśli nie zdobędziesz się na to, nie dopuszczę do tego, by mieszkała w tym samym domu, co ty. Każę ci się przenieść do wdowiego domku.

Lady Penhollow osunęła się na krzesło. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Odesłałbyś mnie tam ze względu na nią?
- Nie pozwolę, żebyś okazywała pogardę mojej żonie.
- Mam na względzie tylko twoje dobro, synu.
- Jeśli tak jest rzeczywiście, to przyjdiesz na mój ślub i będziesz dobrze życzyć mojej żonie.

Zacisnęła zęby.

- Nie wiem, czy mogę to zrobić. Moim przyjaciołom to się nie spodoba.

Pierce prychnął pogardliwie.

- Twoi przyjaciele! - Podszedł do drzwi. - Wybór należy do ciebie, matko. Za tydzień weźmiemy ślub. Albo tam będziesz, albo odeślę cię do wdowiego domku.

Lady Penhollow usiadła sztywno, jakby połknęła kij. Jej twarz była jak wyciosana z kamienia.

- Zacznę się więc pakować - powiedziała.

Pierce wyszedł z jej pokoju.

Eden czekała na Pierce'a u stóp schodów. Zaczęły ją ogarniać wątpliwości. Jak ona mogła się zgodzić na ślub? Z pewnością nie lepiej nadawała się na hrabinę niż pani Meeks.

Kiedy jednak ujrzała Pierce'a na schodach, wszelkie wątpliwości pierzchnęły bez śladu.

Lord Penhollow przystanął na ostatnim stopniu.

- Co powiedziała twoja matka? - spytała Eden, zaniepokojona.

- Bardzo się ucieszyła- odparł i uśmiechnął się, ale widać było, że jest zły.

Eden wyciągnęła rękę, chcąc pogłodzić go po policzku.

- Pierce... - zaczęła, ale on złapał ją za rękę.

- Eden, wszystko będzie dobrze.

Jakże chciała mu uwierzyć...

Musnął ustami koniuszki jej palców.

- Będziemy mieli ślub, jakiego nie pamiętają najstarsi Kornwalijscy. - Zaciśnął usta, a jego oczy rozbłyśły dumą. - Zaproszę całą okoliczną szlachtę. Będzie to ceremonia godna lorda Penhollow. Eden, zostaniesz moją hrabiną, a ja będę cię miłował do końca życia.

- Nie zasługuję na ciebie - szepnęła.

Ścisnął ją mocniej za rękę.

- Eden, nigdy nie mów takich rzeczy. Nigdy.

Eden poczuła, że pragnie powiedzieć mu całą prawdę. Tak bardzo chciałyby wyznać wszystko.

Przeszkodziło jej w tym pojawienie się pani Meeks i Rawlinsa, którzy śmiali się radośnie z jakiegoś żartu. Ujrawszy Eden i lorda Penhollow, zatrzymali się w pół kroku.

- Przepraszamy najmocniej, milordzie, panienko - wymamrotała pani Meeks i odwróciła się, chcąc odejść, ale lord Penhollow zatrzymał ją.

- Pani Meeks, panie Rawlins, dobrze, że tu jesteście. Niedługo będzie ślub, trzeba się do niego przygotować.

- Och, wszyscy radujemy się wraz z panem, milordzie!

- Dziękuję, pani Meeks. Liczę, że pomoże pani panie Eden we wszystkim.

- Ależ oczywiście, milordzie! To dla mnie zaszczyt. Ale co z lady Penhollow...

- Rawlins, ty też pomożesz - przerwał jej lord Penhollow. - Zaprosisz wszystkich naszych sąsiadów. Willisów, lorda i lady Danbury, lorda i lady Baines, kapitana Duttona z żoną. Pamiętaj, żeby nikogo nie pominąć - powiedział z naciskiem. - Panna Eden i pani Meeks wypiszą zaproszenia, a ty, Rawlins, zajmiesz się dostarczeniem ich do adresatów.

- Tak jest, milordzie - odparł Rawlins. - Czy wolno mi się przyłączyć do gratulacji, sir?

- Tak. Dziękuję - powiedział Pierce i uśmiechnął się do Eden. - No widzisz. Rawlins, pani Meeks i cała służba są do twojej dyspozycji. Przed tobą ciężki tydzień. Dasz sobie radę?

- Ja... - zawahała się. Cóż ona mogła wiedzieć o przygotowaniach do ślubu?

- Chodźmy, pani Meeks, Rawlins - ciągnął lord Penhollow nie czekając na jej odpowiedź. - Mam w gabinecie papier, który idealnie nadaje się na zaproszenia. - Odwrócił się i odszedł w głąb korytarza. Służący ruszyli w ślad za nim.

- Tacy jesteśmy szczęśliwi, milordzie - szczebiotała wesoło pani Meeks. - Myśleliśmy, że już nigdy się pan nie ożeni.

Lord Penhollow nie odpowiedział. Rawlins szturchnął panią Meeks łokciem, chcąc dać jej do zrozumienia, że powinna uważać, co mówi, ale nie odniosło to najmniejszego skutku.

Eden popatrzyła za nimi z niepokojem. Podniósłszy głowę, skierowała wzrok w stronę pokoju lady Penhollow. Ciekawa była, jak wyglądała naprawdę rozmowa Pierce'a z matką. Niemożliwe, by lady Penhollow ucieszyła się z wiadomości o ślubie syna z taką kobietą...

Dlaczego Pierce'owi tak zależało na tym, by zaprosić na ślub całą okoliczną szlachtę? Wydawało się, że pragnie sprowokować sąsiadów do tego, by odrzucili zaproszenie. Tak, o to chodziło. Rzucił im wyzwanie.

Eden weszła dwa stopnie wyżej i zatrzymała się. Co by się stało, gdyby porozmawiała z lady Penhollow w cztery oczy?

Doskonale znała odpowiedź na to pytanie. Matka Pierce'a potwierdziłaby tylko to, co podpowiadała Eden jej własna intuicja. Lady Penhollow nie chciała dopuścić do tego ślubu, a jej przyjaciele także byli mu zdecydowanie przeciwni.

No i mieli rację.

Eden stała w miejscu, niezdeterminowana. Powinna powiedzieć lordowi Penhollow całą prawdę, i to teraz, zanim rozpoczną się przygotowania do ślubu... Cóż miała do stracenia?

Miłość człowieka, który stał się dla niej wszystkim.

Przez całe życie Eden starała się w pełni wykorzystać nieliczne możliwości, jakie się przed nią otwierały. Gdyby teraz powiedziała prawdę, po tym, jak lord Penhollow publicznie jej się oświadczył, z pewnością straciłaby jego miłość.

Cena za wyjawienie prawdy była zbyt wysoka.

Eden zeszała na dół i ruszyła w stronę gabinetu, najpierw powolnym, potem coraz raźniejszym krokiem. Z każdą chwilą jej obawy stawały się coraz słabsze, a podniecenie silniejsze. Musiała zająć się przygotowaniami do ślubu.

Po dwóch dniach pani Willis ku swojemu zdumieniu otrzymała zaproszenie na ślub lorda Penhollow. Natychmiast wmaszerowała do salonu, w którym jej mąż właśnie czytał gazetę, a córka przyszywała wstążkę do kapelusza.

- To niesłychane! Wstrząsające! - oznajmiła i cisnęła zaproszenie na podłogę.

- Co jest wstrząsające, gołąbeczko? - spytał.

- Wiesz, co to jest? Zaproszenie na ślub lorda Penhollow! W następną środę żeni się z tą sekutnicą. I to w kościele.

- Żeni się z panną Eden? - spytała Wiktoria i roześmiała się. - Och, jakże się cieszę!

- Cieszysz się? - Pani Willis odwróciła się do córki. - Nie rozumiesz? Teraz już nie masz szans, by poślubić lorda Penhollow. Och, pomyśleć, ile cennego czasu poświęciłam lady Penhollow, a ona nawet nie przysłała żadnego ostrzeżenia. Ba, zarzekła się, że jej syn nie ożeni się z tą kobietą.

- Lubię pannę Eden - oznajmiła buńczucznie Wiktoria.

- Wiem, że ją lubisz, moja droga - odparła matka. - To dlatego, że jesteś młoda, a młodzi ludzie sprzeciwiają się wszystkiemu, co mówią ich rodzice. - Usiadła w fotelu obok męża i zaczęła zastanawiać się głośno. - No cóż, nic się nie da zrobić. Oczywiście nie pójdziemy na ich ślub.

- Ależ to byłoby zniewagą dla lorda Penhollow!
- Właśnie, gołąbeczko - powiedział pan Willis, podnosząc wzrok znad gazety. - Z nim lepiej nie zadzierać.

- Mamy inne plany.

- Tak? Jakie? - spytał.

- Otóż... - Pani Willis zamyśliła się. - Już wiem. Wybieramy się do Bristolu, do twojej siostry. Ciągłe molestuje, żebyśmy ją odwiedzili. Napiszę do niej, że wkrótce przyjedziemy. Potem wyślę liścik do Penhollow Hall, w którym wyjaśnię, dlaczego nie możemy przyjść na ślub.

- Czy to rozsądne, gołąbeczko?

- Penhollowowie nie są z dobrego *ton* - powiedziała mężowi. - Nie możemy pokazywać się w ich towarzystwie. Jestem pewna, że lady Baines i lady Danbury zrobią to samo, co ja. Poza tym, chyba nie chcesz sprawić zawodu swojej siostrze, prawda? W liście napiszę, żeby spodziewała się nas w poniedziałek. Nie będzie miała wiele czasu, żeby się przygotować, ale jakoś sobie poradzi. - Podjąwszy ostateczną decyzję, pani Willis podniosła się. - W każdym razie nigdy nie wybaczę tego lady Penhollow. Nigdy.

Ruszyła ku drzwiom salonu, ale zatrzymały ją słowa Wiktorii.

- Mamo, czy to znaczy, że będę miała debiut w Londynie?

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. - Potrząsnęła głową. - A tak liczyłam na to, że lord Penhollow weźmie ciebie za żonę.

Wiktoria z trudem ukrywała radość.

- Słyszałam, że pan Whitacre jest w Londynie. Spytaj o niego lady Danbury, dobrze? Obiecał złożyć mi wizytę, gdybym przyjechała do Londynu.

- Pan Whitacre, powiadasz? - spytała pani Willis, zaciekawiona. - Chłopak z dobrego domu, nie powiem. Rodzina ma trochę pieniędzy... tak, nadawałby się dla ciebie. Zdecydowanie. Może rzeczywiście wybierzemy się do Londynu w przyszłym miesiącu. Ale jedno ci powiem: moja noga nigdy więcej nie postanie w Penhollow Hall! A jeśli zobaczę lady Penhollow albo jej syna, nawet się im nie ukłonię i powiem wszystkim znajomym, żeby potraktowali ich tak samo!

14

Na dzień przed ślubem Eden poszła do gabinetu. Pierce'a. Choć drzwi były uchylone, zawahała się. Wolałaby mimo wszystko uniknąć tej rozmowy.

W szparze w drzwiach widziała Pierce'a, siedzącego za biurkiem. Właśnie studiował jakieś papiery. Po chwili wziął do ręki pióro, zanurzył je w kałamarzu i zaczął coś pisać. Kosmyk ciemnych włosów opadł mu na czoło.

W ciszy rozlegało się skrobanie stalówki o papier i tykanie zegara stojącego na kominku. Eden poczuła pokusę, by wymknąć się stamtąd niepostrzeżenie, ale właśnie wtedy Pierce podniósł głowę.

- Eden?

Nie mogła już uciec. Otworzyła drzwi na oścież.

- Nie chciałam przeszkadzać ci w pracy.

- Ty mi nigdy nie przeszkadzasz. - Obdarzył ją tak ciepłym uśmiechem, że niemal uwierzyła, iż jej obawy są całkowicie bezpodstawne. - Wejdz - powiedział.

Zamknęła za sobą drzwi.

- Czy możesz poświęcić mi chwilę?

Pierce rzucił pióro na biurko, wstał i podszedł do niej.

- Możesz zająć mi tyle czasu, ile chcesz. - Wskazał jej krzesło stojące przed biurkiem, a sam usiadł naprzeciwko. - O co chodzi, Eden?

Siedziała sztywno wyprostowana, zacierając nerwowo ręce. Nie wiedziała, od czego zacząć.

Pierce zrobił to za nią.

- Chodzi o ślub.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, po czym skinęła głową.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Z powodu matki? - Po pożarze w Hobbles Moor lady Penhollow zamknęła się w swoim pokoju i nie wychodziła nawet na posiłki. Pani Ivy pakowała jej rzeczy tak demonstracyjnie, że wszyscy wiedzieli już o planowanej przeprowadzce lady Penhollow do wdowiego domku.

- Między innymi dlatego.

Pierce nachylił się ku niej.

- Moja matka sama jest swoim największym wrogiem. Nie możemy pozwolić, by przeszkodziła nam w osiągnięciu szczęścia. Wcześniej się tego nauczyłem. Nie pierwszy raz tak się zachowuje.

Eden spróbowała przywołać na usta uśmiech i spojrzeć mu w oczy.

- No cóż, pani Meeks powiedziała mi to samo.

Pierce odchylił się.

- A widzisz?

- Ale nie chodzi tylko o twoją matkę. Pierce, wiem, że wikary odradzał ci to małżeństwo.

Pierce milczał przez chwilę.

- Skąd wiesz?

- W Hobbles Moor niczego nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Nie prosiłem wikarego o radę.

- Wiem. Namówił go do tego kapitan Dutton i część przyjaciół twojej matki. Pierce, wszyscy twoi sąsiedzi, z Duttonem włącznie, zapowiedzieli, że nie zjawią się na ślubie. Nie przyjdzie nawet doktor Hargrave.

Pierce patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Wyznaczyliśmy tak bliską datę ślubu. Należało się tego spodziewać.

Eden nie mogła przyjąć takiego wytłumaczenia.

- To z mojego powodu nie chcą przyjąć.

- Oni mnie nie obchodzą. Liczy się tylko to, że wikary zgodził się udzielić nam ślubu.

Eden splotła dłonie.

- Może ma to jakiś związek z faktem, że ty mu za to płacisz.
- Może - padła odpowiedź.
- Pierce, nie możemy się pobrać.

Zerwał się na równe nogi, po czym złapał ją za ręce i podniósł z krzesła.

- Czy tego właśnie chcesz?

Zaczęła coś mówić, ale on jej przerwał.

- Nie, tylko nie opowiadaj mi, że leży ci na sercu moje dobro. Takiego wytłumaczenia nie przyjmuję do wiadomości. - Jego niebieskie oczy wpatrzyły się w nią tak, jakby chciały spenetrować najgłębsze zakamarki jej duszy. - Kocham cię. Nie mogę się doczekać jutra. Pragnę cię, Eden, tak, jak jeszcze nigdy nie pragnąłem żadnej kobiety. Teraz, kiedy już to wiesz, co masz mi do powiedzenia?

- Nie wiesz, kim jestem.

- No to zdradź mi wszystkie swoje tajemnice i wreszcie będziemy to mieli z głowy.

Przez chwilę wahała się... ale ryzyko wydało jej się zbyt wielkie.

Wziął ją w ramiona.

- Nie obchodzi mnie to, rozumiesz? Ożeniłbym się z tobą, nawet gdybyś była prostą mleczarką.

W jego objęciach Eden czuła się bezpieczna jak nigdy.

- Przeciwno mleczarce pewnie nic by nie mieli.
- Tak sądzisz?
- Nie.

Pierce wypuścił ją z uścisku, po czym delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy.

- To, co oni myślą, co myśli ktokolwiek, nie ma już dla mnie najmniejszego znaczenia. Rozumiesz?

I wtedy wpił się gorącym pocałunkiem w jej usta. Spijając słodycz z jego warg, Eden zarzuciła mu ręce na szyję.

Przycisnęła ją do siebie tak mocno, że czuła przez ubranie jego twardą męskość. Tak nie wolno, powiedziała sobie w duchu. Wiedziała, że postępuje samolubnie... ale w żaden sposób nie mogła odrzucić tego, czego zawsze pragnęła.

Zwłaszcza gdy on pragnął tego samego.

Pierce jednak oderwał się od niej, oddychając ciężko.

- Lepiej już idź, Eden. Jeśli zostaniesz, zrzucę z biurka wszystkie papiery, położę cię na nim i słowo daję, już dzisiaj uczynię swoją. Moja cierpliwość już się wyczerpała. Pragnę cię.

Jego śmiałe słowa przyprawiły ją o dreszcz podniecenia.

- Nie czekaj więc, Pierce, weź mnie, proszę. Tutaj. Teraz. Ja też cię pragnę.

- Eden, nie mogę...

- Ależ możesz. Daję ci siebie. Proszę. - Weź, co ci daję, pomyślała, ale nie żeń się ze mną!

Ciszę mąciło tylko tykanie zegara stojącego na kominku. Pierce i Eden patrzyli sobie głęboko w oczy. Jego męskość wciąż wpijała się w nią. Jej ciało drżało z żądy, którą on też odczuwał.

Jednak Pierce powoli odsunął się od niej.

- Nie, Eden, nie możemy zrobić tego teraz.

- Pierce...

- Wciąż tego nie rozumiesz, prawda? Do tej pory nie wierzysz.

- Nie wierzę w co?

- Że cię kocham. - Cofnął się o krok, wsunął palce w jej włosy, po czym odwrócił się. - Eden, nie chcę mieć cię tylko do łóża. Chcę, żebyś była matką moich dzieci i przekazała im swoją radość i talent muzyczny. Kiedy chodzisz po ogrodzie w tym wyświechtanym fartuszku, który udało ci się wyciągnąć od pani Meeks, wydajesz mi się najpiękniejsza na świecie. Patrząc, jak pracujesz w ogródku i zachwycasz się kwiatami, mam wrażenie, że jestem najbogatszym człowiekiem na ziemi. Potrzebuję cię, Eden. Potrzebuję tego, co możesz mi dać, bo inaczej z każdym dniem będę coraz bardziej samotny.

Eden pochyliła głowę. Ach, gdyby tak potrafiła być silna!

- Przecież możesz znaleźć sobie kogoś innego - nie ustępowała.

- Ale czy ten ktoś będzie mnie kochać tak mocno jak ty? - spytał.

Podniosła głowę i hardo spojrzała mu w oczy.

- Na pewno nie! - odparła zdecydowanie i rzuciła mu się w ramiona.

Pierce zakreślił nią młynka, jak w tańcu. Eden oparła mu głowę na piersi, bezpieczna w jego silnych ramionach.

- Pierce, mam nadzieję, że nigdy nie będziesz tego żałował. Obiecuję ci, że zrobię wszystko, by być dla ciebie dobrą żoną.

- Proszę cię tylko o to, żebyś była sobą, żebyś pozostała tą kobietą, w której się zakochałem.

Wtuliła twarz w gors jego koszuli. „Żebyś była sobą”. Te słowa zmąciły nieco jej radość, ale Eden odpędziła czarne myśli. Będzie dla Pierce'a dobrą żoną!

Wysunęła się z jego objąć.

- Muszę omówić z panią Meeks parę spraw związanych ze ślubem.

- Czy przywieziono już beczki z piwem? - spytał.

- Stoją w stodole i czekają na wesele - odparła

- Eden, wydamy wielkie przyjęcie z okazji naszego ślubu i nie obchodzi mnie to, czy zjawią się na nim Dutton, Danbury i inne osoby z tego grona. Zaprosimy całe Hobbles Moor i tych ludzi, którzy życzą nam szczęścia. - Ucałował jej dłoń.

Niechętnie wyszła z jego gabinetu. Gdyby mogła, wolałaby zostać i patrzeć na Pierce'a przy pracy... ale miała jeszcze dużo do zrobienia. Szczególnie ważna była jedna sprawa, bez załatwienia której nie mogliby być w pełni szczęśliwi.

Na korytarzu Eden wpadła na panią Meeks, która jeszcze tego ranka skarciła ją za zbyt małe zainteresowanie przygotowaniami do ślubu. W powietrzu unosił się zapach piekącego się chleba.

- Pani Meeks, chcę, żeby kościół tonał w kwiatach.

- W kwiatach, panienko? To dość niezwykłe. Myśli panienka, że wikary zgodzi się na to?

- Sama z nim porozmawiam. Albo pozwoli mi ozdobić kościół kwiatami, albo weźmiemy ślub w ogrodzie.

Pani Meeks potrząsnęła głową.

- Och, do tego to on by nie dopuścił.

- Wiem. Chodźmy, musi mi pani pomóc odszukać wszystkie wazon-y w domu. Chciałabym, żeby jutro rano przypilnowała pani służących, kiedy każę im zebrać najładniejsze kwiaty z ogrodu. Chcę, żeby w kościele było kolorowo. A co jest zaplanowane na potem?

- Cóż, chcieliśmy wydać oficjalne śniadanie, ale nie zanoszą się na to, żeby zjawiało się na nim wielu gości...

- Sytuacja się zmieniła. Zapraszamy całą wieś.

Pani Meeks otworzyła usta w najwyższym zdumieniu.

- Ale ja myślałam, że dla nich zorganizujemy oddzielne przyjęcie, pod stajnią. Przecież lord Penhollow kazał na tę okazję upiec wołu.

- Tak, i nadal zamierza to zrobić. Ale pieczone podamy w ogrodzie i wszyscy będą tam mile widziani. Na moim weselu goście mają ucztować przez cały dzień. Aha, a muzyka? - spytała nagle. - Jaka muzyka jest przewidziana?

- Zamówiliśmy kapelę ze wsi, ale nic panienka nie mówiła o muzyce do śniadania.

- Zagrają też przy śniadaniu - poleciła Eden.

Pani Meeks radośnie klasnęła w dłonie.

- Ach, to dopiero będzie ślub!

Eden uśmiechnęła się. Z każdą chwilą czuła się coraz pewniej.

- Jeszcze jedno, pani Meeks. Chcę widzieć na moim ślubie was wszystkich: panią, Lucy, Rawlinsa i pozostałych służących.

W oczach pani Meeks błysnęły łzy.

- Och, panienko, jakże się cieszę, że panience wreszcie poprawił się humor. Lord Pierce nie mógłby sobie znaleźć nikogo lepszego.

- Obyś się nie myliła. - Eden skierowała kroki w stronę schodów wiodących na piętro. - Czy lady Penhollow nadal jest w swoim pokoju? - zapytała i ruszyła na górę.

Pani Meeks podążyła za nią.

- Co panienka chce zrobić?

- Porozmawiać z moją przyszłą teściową.

- Och, nie wiem, czy to dobra myśl - Pani Meeks, była wyraźnie zaniepokojona. - Zawsze trudno się z nią dogadać, a dzisiaj jest w wyjątkowo złym nastroju.

- Tak, rozumiem - odparła Eden, ale nie zatrzymała się.

- Kto jak kto, ale panienka raczej nie powinna jej się pokazywać. - Pani Meeks zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Ona mówi, że nie chce mieć z panienką nic wspólnego.

- Będzie mi to musiała powiedzieć prosto w oczy - odparła Eden. Pani Meeks przystanęła i popatrzyła na nią z namysłem.

Eden nie zastanawiała się nad tym, co powie, ale obawiała się, że jeśli teraz nie rozmówi się z lady Penhollow, to już nigdy nie

zdobędzie się na odwagę, by to uczynić. Zapukała do jej drzwi. Po drugiej stronie rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się. Stała w nich pani Ivy.

Eden wiedziała, że pani Ivy przyjechała z lady Penhollow z Londynu i pozostali służący nie mieli do niej zaufania. Była chuda, pięćdziesięcioletnią kobietą o ostrych rysach twarzy i wiecznie ponurej minie. Eden przemknęło przez myśl, że przy takiej służącej nikomu nie byłoby wesoło, a zwłaszcza lady Penhollow.

Ona sama siedziała przy oknie i szyła. Nie podniosła głowy, ale wyraźnie zeszywniała.

- Chcę rozmawiać z lady Penhollow - powiedziała Eden do służącej.

- Zobaczę, czy moja pani ma czas - odparła pani Ivy chłodnym tonem i próbowała zamknąć drzwi, ale Eden je przytrzymała. - Musi panienka chwilę poczekać - powiedziała z oburzeniem.

- Zaczekam przy otwartych drzwiach - stwierdziła Eden.

Pani Ivy uniosła lekko brwi, ale odsunęła się.

- Lady Penhollow, panna Eden chce z panią rozmawiać.

Nie czekając na zaproszenie, Eden wśliznęła się do pokoju.

Pani Ivy syknęła ze złością, lecz lady Penhollow uciszyła ją gestem ręki.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - oznajmiła, dumnie unosząc podbródek. - Proszę opuścić mój pokój.

- Nie - odparła Eden. - Najpierw mnie pani wysłucha.

Niebieskie oczy lady Penhollow rozbłyły gniewem. Nie przywykła do tego, by się jej sprzeciwiano.

- Jeśli przyszedłeś tu po to, by zająć moje pokoje, wiedz, że już zaczęliśmy się pakować. Nie jesteś jednak jeszcze hrabiną. Wyjdź stąd dopiero po ślubie.

Eden rozejrzała się po saloniku. Stały tu dwa wielkie kufry, wypełnione do połowy ubraniami i bibelotami.

- Nie przyszłam, by panią stąd wyganiać.

- Nie? - zdziwiła się lady Penhollow. Zmarszczyła brwi. - No to powiedz, co masz do powiedzenia. - Znów zajęła się robótką.

Eden zerknęła kątem oka na panią Ivy, która stała na środku pokoju niczym milczący strażnik w czerni.

- Lepiej, żebym powiedziała to pani w cztery oczy.

Lady Penhollow podniosła głowę.

- Pani Ivy zostanie.

- Nie.

Lady Penhollow zmarszczyła brwi. Eden nie odwracała od niej oczu.

Wreszcie lady Penhollow odprawiła panią Ivy skinieniem głowy. Służąca prychnęła z oburzeniem, ale posłusznie wyszła z pokoju.

Lady Penhollow odłożyła robótkę na kolana.

- Cóż takiego chcesz mi powiedzieć?

Serce mocno biło w piersi Eden. Co chciała powiedzieć? A jeśli swoimi słowami jeszcze bardziej rozdrażni tę kobietę?

- Chcę, żeby przyszła pani na mój ślub.

Lady Penhollow uniosła podbródek, mrużąc oczy.

Eden od razu uświadomiła sobie, że popełniła błąd, ale nie mogła się wycofać. Nie teraz. Jeśli ta kobieta ma ją odtrącić, to trudno, niech tak będzie, ale nie zamierzała poddać się bez walki.

- Nie mam rodziny - przyznała. - Zawsze byłam sama, nawet kiedy otaczali mnie inni.

Lady Penhollow patrzyła jej prosto w oczy.

Eden mówiła dalej.

- Będzie pani dla mnie kimś takim, jak matka, której nigdy nie miałam. Doskonale wiem, że nie jestem pani wymarzoną synową i że przeze mnie być może straci pani bliskich jej sercu przyjaciół. Ale, lady Penhollow, ja naprawdę go kocham... i choć próbuję ze wszystkich sił, nie mogę zdobyć się na to, by go opuścić. Nie wiem jeszcze, jaka będzie ze mnie hrabina, ale wiem, że będę potrzebowała pani pomocy. - Eden uklękła. - Ale, co najważniejsze, chcę, żebyśmy się pogodziły. Być może nigdy nie będziemy sobie bliskie. Może za bardzo się różnymi albo za bardzo panią rozczarowuję, ale jedno nas łączy: obydwie kochamy Pierce'a. Czy nie mogłybyśmy, przez wzgląd na naszą miłość do niego, przynajmniej spróbować się zaprzyjaźnić? Jeśli to dla pani za trudne, zrozumieć, ale jestem gotowa zapomnieć o swojej dumie i błagać, żeby pani jutro przyszła na ślub. Wiele to będzie znaczyło dla pani syna.

Lady Penhollow wciąż patrzyła na nią z kamienną twarzą. Eden wstała. Czuła się głupio.

Lady Penhollow powoli odwróciła się i wyjrzała przez okno. W ten sposób dawała jej do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

Eden przegrała. Podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce. Ale jeszcze nie powiedziała wszystkiego.

- Tak czy inaczej, nie chcę, żeby opuszczała pani Penhollow Hall - stwierdziła. - Mam nadzieję, że będziemy mieli z Pierce'em dzieci. Chcę, żeby znały swoją babcię. Proszę, żeby została pani tu tak długo, jak pani sobie życzy.

Lady Penhollow milczała.

Eden wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Tego wieczoru siedziała z Pierce'em na ławce w ogrodzie, pod usianym gwiazdami niebem. Ich głosy mieszały się ze szmerem fontanny, cykaniem świerszczy i rechotem żab. Spoczywając w ramionach Pierce'a, Eden opowiedziała mu o rozmowie z matką.

- Taka już jest - uciął krótko.

- Zawsze marzyłam o rodzinie - powiedziała Eden, zasmucona. - Marzyłam, że gdzieś znajdę swoje miejsce. Teraz okazało się, że można mieć rodzinę i mimo to być samotnym.

Pierce przyłożył dłoń do jej ust.

- Od jutra nigdy już nie będziesz samotna.

Następnego ranka niebo było schowane za chmurami. Służący kręcili się po ogrodzie, zajęci zbieraniem kwiatów.

Betsy niemal tanecznym krokiem weszła do pokoju Eden.

- To wspaniały dzień na ślub - świergotała. - Wszystkim bardzo się spodobał panienki pomysł, żeby przystroić kościół kwiatami. - Nalała Eden gorącej czekolady i otworzyła szafę.

Z namaszczeniem wyjęła kremową jedwabną suknię z górą ze złotej koronki.

- To najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam. - Powiesiła ją na rzeźbionym drewnianym haku. - Będzie panienka najpiękniejszą panną młodą w dziejach Penhollow Hall. Lord Pierce powinien zamówić portret panienki w tej sukni i powiesić go w galerii.

- Chciałabym mieć coś więcej niż tylko urodę.
- Co takiego?
- Och, posag czy rodowód. To, co liczy się dla szlachty.
- Panno Eden, dlaczego wszystko widzi panienka w czarnych barwach? - spytała rezolutnie Betsy. - Daje mu panienka szczęście. Czegóż człowiekowi trzeba więcej?

Eden pomyślała o lady Penhollow i usiadła na łożu.

- Ale czym jest szczęście, Betsy?

Pokojówka uśmiechnęła się.

- Wielmożny pan ciągle pogwizduje sobie wesoło, choć nigdy dotąd tego nie robił. Jego krok stał się rażny, sprężysty. Tak właśnie wygląda człowiek szczęśliwy. Słyszałam, że zamierza rozbudować stajnię. Powiedział Jimowi, że chce, by jego synowie odziedziczyli kwitnący interes. Synowie. Panienka mu ich urodzi. Tak powiedziała wdowa Haskell. - Zniżyła głos. - Mówiła, że urodzi panienka także córkę. Wszyscy bardzo się cieszymy, że panienka do nas przybyła. Jest panienka naszym prezentem dla wielmożnego pana.

Eden bardzo chciała uwierzyć w jej słowa: Pragnęła, by jej przeszłość pozostała tylko mglistym wspomnieniem.

Podeksytowana, wyskoczyła z łoża i włożyła fartuch. Przez następną godzinę pomagała układać kwiaty w wazonach, dopóki Betsy nie zaciągnęła jej z powrotem do sypialni.

Nikt nie widział lady Penhollow ani pani Ivy.

Ceremonia została zaplanowana na jedenastą. O dziesiątej trzydzieści Eden wyszła z kąpieli i zaczęła się ubierać. Lord Penhollow pojechał już do kościoła. Betsy powiedziała jej, że w stroju ślubnym, na Królu Kornwalii, wyglądał przecudownie.

- Ma na sobie surdut z granatowej krepy, tak ciemnej, że wydaje się prawie czarna i spodnie z tego samego materiału. Włożył też białą jedwabną kamizelkę. - Betsy udała, że jest jej gorąco i powachlowała się. - W całej Kornwalii nie ma przystojniejszego mężczyzny.

Pani Meeks podeszła do drzwi.

- To co? Zakładamy suknię?

- Tak - odparła Eden z wdzięcznością.

Gdyby nie te kochane służące, nie poradziłyby sobie. Nawet jej

uczesanie - włosy upięte na czubku głowy i poprzątkane paskami róż - było w znacznej mierze dziełem rąk Betsy. Na szyi Eden wisiał medalion od Mary Westchester.

Wkładanie sukni przez głowę okazało się prawdziwą mordęgą.

- Spóźnimy się - narzekała pani Meeks, pomagając Betsy pozapinać guziki na plecach Eden. Kiedy zakończyły, otworzyły drzwi. - Szybko, szybko. Nie wolno się spóźniać na własny ślub. Narzeczony pomyśli, że panienka się waha.

Eden porwała ze stolika długie rękawiczki i idąc korytarzem w stronę wyjścia naciągała je na ręce. Betsy i pani Meeks szły za nią, ubrane odświętnie.

Eden weszła do holu głównego i zastygła w bezruchu.

Jej oczom ukazała się lady Penhollow. Miała na sobie niebieską suknię obszytą koronką i jedwabny czepiec.

Przez kilka sekund wpatrywały się w siebie w milczeniu, po czym lady Penhollow uniosła podbródek.

- Czy przyszedłam za późno, by dołączyć do weselników? - spytała łagodnym tonem.

Eden przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Postąpiła krok naprzód.

- Pani obecność na ślubie to dla nas zaszczyt.

Lady Penhollow podniosła ze stolika leżące tam pudło.

- To dla ciebie.

- Dla mnie? - Eden wzięła je od niej, nieco zbita z tropu.

- Otwórz to - poleciła lady Penhollow.

Eden uniosła wieko pudła. W środku leżał koronkowy welon. Ostrożnie wyjęła go z pudła i rozłożyła.

- To mój ślubny welon. Dostałam go od ojca - powiedziała lady Penhollow. - Pierce bardzo lubił swojego dziadka. Był prostym człowiekiem. Owszem, chciał dobrze wydać swoją córkę za męża, ale nie wynosił się ponad innych i nie dbał o koneksje. Zdaje się, że nie wrodziłam się w niego.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Eden. - Ten dar zawsze będzie miał dla mnie ogromną wartość. Pewnego dnia welon ten przywdzieje następna pani na Penhollow.

Jej słowa wywarły silny efekt. Z twarzy lady Penhollow zniknął kamienny wyraz. Wyciągnęła chusteczkę z dzianej torebki.

- Ojej, ślub się jeszcze nie zaczął, a ja już się rozklejam.

Eden poczuła, że i jej łzy napływają do oczu. Dotąd nie wiedziała, że płakać można nie tylko ze smutku, ale i ze szczęścia.

- Chodźmy - powiedziała i podała ramię lady Penhollow. - Pojedziemy do kościoła razem. Pierce ucieszy się na pani widok.

Oprócz nich, w karecie zasiadły pani Meeks i Betsy. Jim wdrapał się na kozioł.

W kościele panował niewiarygodny ścisk, jako że stało się tu całe Hobbles Moor. Wieśniacy trzymali w dłoniach kwiaty i machali nimi do nadjeżdżającego powozu, wykrzykując: „Penhollow! Penhollow!”.

W chwili kiedy Jim zatrzymał karekę przy wejściu na dziedziniec, słońce wyłoniło się zza chmur, ogarniając świat swoim radosnym blaskiem.

Pierce czekał przed ołtarzem. Wydawał się Eden jeszcze bardziej przystojny niż zwykle. Jego twarz była skupiona, poważna.

Przez chwilę Eden stała jak wrośnięta w ziemię. Lady Penhollow ścisnęła ją za rękę.

- Nie czas na wahanie - ostrzegła.

Eden doskonale o tym wiedziała. Kochała Pierce'a Kirriera. Będzie dla niego dobrą żoną. Pani Meeks popchnęła ją lekko i Eden ruszyła w stronę człowieka, który lada chwila miał zostać jej mężem. Bezszelестnie stapała po zimnej kamiennej posadzce.

Jeśli wikary miał przed ślubem jakieś wątpliwości, teraz nie dawał tego po sobie poznać. Eden, która nigdy dotąd nie była na ślubie, słyszała wypowiedane przez niego słowa pierwszy raz w życiu i przez to wydawały jej się święte. Obiecała kochać, szanować i być posłuszna swojemu mężowi. W duszy złożyła jeszcze jedną przysięgę. Obiecała Bogu, że uczyni wszystko, by jej małżeństwo było szczęśliwe.

Wreszcie Pierce wsunął Eden na palec szczerozłoty pierścionek z wygrawerowanym herbem rodu Penhollow, ten sam, który od półtora wieku nosiły wszystkie panie na Penhollow Hall.

Pierce wziął Eden pod rękę i poprowadził ją przez kościół do wyjścia, za którym czekało na nich wspólne życie. Za drzwiami na ich głowy posypał się deszcz płatków kwiatów, przemieszanych z całymi kwiatami, którymi obrzucili je rozradowani wieśniacy.

Lady Penhollow wracała do Penhollow Hall razem z nowożeńcami.

- Dziękuję - powiedział do niej Pierce i pocałował ją w policzek. Matka zwróciła błyszczące od łez oczy ku Eden.

- Miałaś rację - szepnęła.

Uroczyste śniadanie było takie, jak należy. Lucy przeszła sama siebie. Na stole leżały najprzeróżniejsze rodzaje pieczywa, pieczone jagnię i trzy gęsi. A na kredensie czekały na gości rozmaite budynie i kremowe ciasteczka, których przygotowywanie musiało trwać całą noc. Poza tym, był jeszcze wół, który piekł się od wczoraj.

Dzień był przyjemnie ciepły i wszyscy zostali na dworze. Przez ogród płynęła muzyka wyczarowywana przez wiejskiego skrzypka i towarzyszącą mu kapelę, doskonale harmonizująca się z szumem fontanny i bzyczeniem pszczół. Nikt nie odczuwał braku okolicznej szlachty.

Pierce nie odstępował Eden na krok i dotykał jej, kiedy tylko miał okazję, podobnie jak ona jego. Od czasu do czasu obejmował ją władczo w tali, a ona przyłapywała się na tym, że nie może się doczekać chwili, kiedy zostaną sami.

O szóstej wieczorem wieśniacy zaczęli się rozchodzić, a służba przystąpiła do sprzątania.

Eden nagle ogarnął dziwny niepokój. Wzięła ze stołu kilka talerzy i chciała je zanieść do kuchni, ale Pierce powstrzymał ją. Wziął od niej naczynia, podał je pani Meeks i powiedział do żony:

- Chodź.

Lęk ścisnął ją za gardło. Jej ręka zaczęła lekko drżeć w uścisku Pierce'a. Uśmiechnął się ciepło. Splótł jej palce ze swoimi i pociągnął ją za sobą w stronę domu.

Poprowadził Eden do skrzydła Penhollow Hall, w którym mieszkał. Ich kroki odbijały się echem od marmurowych ścian holu. Weszli po schodach na górę i podążyli wyłożonym dywanem korytarzem do pokoiów Pierce'a.

Lord Penhollow otworzył drzwi i gestem zaprosił Eden do środka. Zawahała się. Wiedziała, że kiedy przekroczy ten próg, na zawsze stanie się częścią świata swego męża.

- Eden?

Poczuła nerwowy ucisk w żołądku. Odetchnawszy głęboko, weszła do salonu. Stały w nim duże, surowe meble. Jedną ze ścian zdobiły obrazy przedstawiające konie, a nad biurkiem wisiła rycina przedstawiająca Króla Kornwalii.

Eden podeszła do niej po miękkim dywanie, czując na sobie spojrzenie Pierce'a.

- To naprawdę ładne. Koń wygląda jak żywy.

- Owszem - powiedział z pewnym rozbawieniem. Po chwili dodał: - Eden, nie zamierzam cię atakować.

- Och, wiem - rzuciła nerwowo. - Po prostu... - Przejechała dłonią po chłodnym, gładkim blacie biurka. Zauważyła otwarte drzwi wiodące do sypialni. Pierwszym, co rzuciło jej się w oczy, było wielkie łóże z baldachimem, schowane za błękitnymi zasłonami i przykryte narzutą w tym samym kolorze. Ściany były beżowe, a cały pokój wydawał się wypełniony migoczącą poświatą.

Zapominając o wstydzie, Eden weszła do sypialni. Przez okna z trzech stron do środka sączyło się światło zachodzącego słońca.

Eden stanęła na środku sypialni, przy łóżu. Okna wychodziły z jednej strony na stajnię i pastwisko, a z drugiej na ogród. Na horyzoncie widać było cienką linię morza.

- Czuję się tak, jakby cały świat leżał u moich stóp - powiedziała cicho Eden.

Pierce oparł się o drzwi.

- Wiedziałem, że ci się tu spodoba.

Odepchnął się od drzwi i podszedł do niej. Eden nawet nie drgnęła. Wiedziała, co stanie się za chwilę. Madame Indrani przygotowywała ją do tego... choć najprawdopodobniej sądziła, że Eden wykorzysta swoje umiejętności w innych okolicznościach.

Pierce zdjął koronkowy welon z jej ramion i odrzucił go na bok. Wbił wzrok w jej usta.

Przez ciało Eden przeszedł dreszcz.

- Chcę uczynić cię szczęśliwym.

Na jego wargach błąkał się lekki uśmiech.

- I udaje ci się to, Eden. Dzięki tobie jestem bardzo szczęśliwy. - I przybliżył usta do jej ust.

15

Pierce powtarzał sobie w duchu, by się nie spieszyć. Pragnął Eden od chwili, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, ale musiał być z nią ostrożny; nie miał wątpliwości, że jest dziewczcą.

Jednak była tak podniecona, jak on, przywierała do niego dokładnie tak, jak powinna...

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóża. Na stoliku stał słój wonnego gęsiego łożu od pani Meeks. Ale Pierce wiedział, że nie będzie go potrzebował. Już czuł bijące od Eden gorąco.

- Eden, chcę, żeby to była dla ciebie niezapomniana noc - powiedział, kładąc się na łożu. Zdjął buty.

Wtedy złapała go za kłapy, przyciągnęła do siebie i pocałowała tak ogniście, tak namiętnie, że Pierce zapomniał o całym świecie.

Eden zaczęła niecierpliwie ściągać z niego surdut. Pierce zapomniał, że miał się nie spieszyć i przystąpił do rozpinania guzików z tyłu jej sukni. Nie przychodziło mu to łatwo, jako że były bardzo małe, a jego młoda żona bynajmniej nie okazywała już nieśmiałości.

Zrezygnował z walki z irytującymi guzikami i z pomocą Eden zdjął surdut, po czym znów wyciągnął do niej ręce. Ona tymczasem zaczęła rozplątywać halsztuk na szyi Pierce'a. Jej palce były zręczniejsze niż jego i chusta po chwili zsunęła się. Wtedy Eden zajęła się rozpinaniem kamizelki męża.

W tym czasie Pierce znów wziął się za rozpinanie przysłoniętych koronką guzików jej sukni. Zupełnie mu to nie wychodziło.

Jak tak dalej pójdzie, ona rozbierze go do naga, a on ciągle będzie zмагаł się z jej suknią! Z cichym pomrukiem zniecierpliwienia przewrócił się na plecy i wciągnął Eden na siebie.

- Pierce...?

Delikatnie ugryzł ją w dolną wargę. Szpilki wysunęły się z jej włosów i wraz z pączkami róż posypały się na niego niczym deszcz. On jednak nie zwracał na to uwagi. Pocałunki Eden uderzały mu do głowy niczym mocne wino, a były o wiele bardziej upajające... co oczywiście nie pomogło mu w rozpinaniu tych przeklętych guzików. Kiedy wreszcie udało mu się rozpiąć pierwszy, jedwabiste włosy Eden zaplątały się między jego palcami a drugim guzikiem.

Pierce znów wydał z siebie głośny pomruk, odrywając się od jej ust. Eden parsknęła śmiechem.

- To nie jest śmieszne - oznajmił, choć śmiał się razem z nią. - Zaraz po prostu zerwę z ciebie tę suknię.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedziała cicho i zanim zdążył zaprotestować, usiadła na nim okrakiem. Suknia rozłożyła się na łożu. Pierce uświadomił sobie, że Eden nie ma na sobie ani halki, ani bielizny.

Śmiech zamarł na jego ustach. Cóż, okazało się, że jego żona jest pełna niespodzianek. Pierce poczuł, że jeszcze trochę, a guziki jego bryczesów nie wytrzymają, tak jej pragnął, tak potrzebował.

- Eden. - Położył dłonie na jej udach i uniósł spódnicę, po czym zaczął odwiązywać wstążki przytrzymujące pończochy.

Tymczasem Eden przystąpiła do rozpinania guzików z tyłu sukni, wypinając piersi. Pierce objął je dłońmi. Pod jego dotykiem sutki momentalnie stwardniały.

- Piękna jesteś - wyszeptał.

Eden rozpięła ostatni guzik i położyła dłonie na jego rękach. Następnie lubieżnie otarła się o niego. Pierce zamknął oczy i odrzucił głowę do tyłu. Cóż za rozkoszne tortury.

- Wiesz, co mi dzisiaj dałeś, milordzie? - spytała chrapliwym szeptem. - Coś, czego nigdy nie miałam. Nazwisko. Od dzisiaj jestem Eden Kirrier. Gdyby nie ty, wciąż byłabym nikim.

- Bez ciebie to ja byłbym nikim - poprawił ją i zsunął jej suknię z ramion. Twarde, bordowe sutki wystawały spod gorsetu.

Pierce zapragnął pozbyć się dzielących ich ubrań. Usiadł na łożu, trzymając Eden na kolanach, po czym zdjął koszulę i kamizelkę. Następnie zaczął rozwiązywać jej gorset, przywierając ustami do cudownych piersi.

Z ust Eden wyrwał się jęk zaskoczenia... które przerodziło się w rozkosz, kiedy jego wargi przyłgnęły do niej. Wsunęła dłonie we włosy męża i przycisnęła go do siebie.

Pierce uświadomił sobie, że jego żona jest kobietą pełną wigoru. Kobieta stworzoną do miłości, kobietą, która czerpała z niej taką samą rozkosz, jak on. Jakże wdzięczny był Stwórcy za to, że mu ją zesłał.

Położył Eden na łożu i ściągnął z niej suknię w dół, nie odrywając ust od jej piersi.

Szybko rozpięła jego bryczesy. Tymczasem suknia zsunęła się na podłogę. Wtedy Pierce ściągnął pończochy z nóg Eden i zaczął rozplątywać tasiemki przytrzymujące jej gorset.

Nagle Eden objęła palcami jego męskość. Pieściła go tak zręcznie, że leżał u jej boku jak sparaliżowany.

Święty Boże, jeśli ona nie przestanie, on umrze z rozkoszy... Ale czuł się tak dobrze... aż za dobrze.

Złapał ją za rękę.

- Chcesz mnie pozbawić męskości?

W ciemnozielonych oczach Eden pojawił się niepokój.

- Czy robię coś nie tak? Och, Pierce, powiedz mi, jeśli to, co robię, nie sprawia ci przyjemności.

- Jest mi aż zbyt przyjemnie - przyznał chrapliwym głosem, po czym pocałował ją w rękę. - Nadszedł czas, moja miła - oznajmił i położył ją z powrotem na pościeli.

- Co mam robić?

Pierce uśmiechnął się.

- Rozluźnij się.

Eden niepewnie skinęła głową. Pierce wstał i zdjął bryczesy.

Sypialnia skąpana była w gasnącym świetle słońca. Przez otwarte okna płynął śpiew ptaków i szum fontanny.

- Jesteś doskonała - wyszeptał Pierce.

- Nie, to ty jesteś doskonały. - Przyciągnęła go do siebie. Pierce pocałował ją, po czym jego usta powędrowały w dół jej ciała.

Była wilgotna, gotowa, by go przyjąć. Jej skóra pachniała kwiatami. Pierce schował twarz we włosach Eden i wsunął dłoń między jej nogi.

Wygięła się pod jego dotykiem. Pierce wiedział już, że nie ma co zwlekać. Nadeszła ta chwila. Ale musiał panować nad sobą. Chciał, by Eden zapamiętała ten pierwszy raz na zawsze.

Położył się między jej nogami. Eden zeszywniała.

- Postaram się, żeby nie bolało - obiecał, świadom, że to może okazać się niemożliwe, zwłaszcza że tak mocno jej pożądał.

Eden musnęła palcem jego usta.

- Nie boję się, Pierce. Kocham cię... i teraz wiem, jak wiele znaczy miłość. Dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy. - Uśmiechnęła się do niego.

Boże jedyny, nie chciał sprawić jej bólu. Od tej pory Eden należała do niego, do niego na wieki. Wpił się w jej usta, po czym wszedł w nią jednym gwałtownym pchnięciem.

Poczuł na swojej drodze delikatną przeszkodę i, owładnięty pożądaniem, przerwał ją.

Eden zeszywniała, unosząc kolana, jakby chciała go z siebie rzucić, ale to sprawiło tylko, że wszedł w nią głębiej. Odwróciła od niego głowę, a on zastygł w bezruchu, by przyzwyczyła się do tego uczucia. Była ciasna, och, jak ciasna.

Pocałował ją w ucho i zaczął jej mówić, jak doskonale się czuje i że to właśnie było im pisane. Że złączyli się ze sobą na wieki.

Eden przycisnęła go mocniej do siebie. Pierce uznał to za zachętę. Powoli zaczął wchodzić w nią, wpatrując się w jej oczy. Przestałby, gdyby o to poprosiła... to znaczy, gdyby był w stanie przestać.

Wtedy natura wzięła górę. Eden oddychała ciężko i poruszała się razem z nim. Pierce obawiał się, że jeśli tak dalej pójdzie, to skończy za wcześniej. Wsunął dłonie pod jej pośladki i przycisnął ją do siebie.

Szmer fontanny i śpiew ptaków ucichły. Wydawało się, że cały świat przestał istnieć. Nawet łożo rozpułyło się w nicłość. Pozostali tylko oni, złączeni w jedno.

Z ust Eden wyrwały się ciche jęki, a w jej oczach pojawił się zachwyt. Zachwyt, który czuł i on. Miłość była odpowiedzią na wszystko, miłość była lekiem...

I wtedy właśnie poczuł, że jej ciało zaczyna się zaciskać wokół niego, wyciągając zeń życie i przyjmując w siebie.

Pierce pozwolił się ponieść fali rozkoszy. Nigdy dotąd spełnienie nie wydawało mu się tak słodkie, tak cudowne.

Pierce nie miał pojęcia, jak długo leżeli w bezruchu, wtuleni w siebie.

Wreszcie poczuł, że Eden poruszyła się pod nim i uświadomił sobie, że musi jej być ciężko. Przewrócił się na bok i przyciągnął ją do siebie. Przykrył ich nagie ciała prześcieradłem, by osłonić je przed chłodnym powietrzem płynącym przez okna. Odgarnąwszy włosy z twarzy Eden, delikatnie musnął palcami jej miękkie policzek.

Ona pierwsza przerwała milczenie.

- Nie wiedziałam, że to może być tak przyjemne. Nikt mi nie powiedział...

- Nie zawsze jest tak dobrze. Byłem z wieloma kobietami, ale nigdy nie przeżyłem takiej rozkoszy jak dzisiaj.

Uświadomił sobie, co powiedział, dopiero wtedy, gdy Eden podniosła na niego iskrzące się wesołością oczy.

- Żadnych innych kobiet już nie będzie - obiecał, całując ją w czoło. - Teraz już zawsze będziemy razem.

Eden potarła nos o jego pierś.

- W moim życiu nie pojawi się żaden inny mężczyzna. Tylko ciebie będę kochać - przyrzekła, patrząc mu w oczy.

- Na to właśnie liczyłem - odparł z uśmiechem.

Wstał i podszedł do stojącej na podłodze miednicy. Nalał do niej trochę wody z dzbana, po czym przyniósł ją do łóżka, wraz z ręcznikiem.

Wargi Eden były nabrzmięte od pocałunków, jej potargane włosy opadały na ramiona w nieładzie - w oczach Pierce'a wyglądała pięknie jak nigdy dotąd.

- Po co to? - spytała.

- To dla ciebie. - Usiadł na brzegu łóżka z miednicą na kolanach i zamoczył ręcznik. Potem wyjął go i zaczął ostrożnie myć Eden między udami. Nie straciła wiele krwi, ale z pewnością przez jakiś czas ból będzie dawał się jej we znaki.

- Kazałem przygotować kąpiel. Balia jest za tym parawanem - powiedział, wskazując głową kąt sypialni. Za parawanem był też stół, na którym czekały zimne przekąski i kilka butelek wina. - Powiedziałem pani Meeks, żeby napełniła ją wrzatką, więc teraz woda powinna być już w sam raz. - Położył dłoń na udzie Eden. - Oczywiście, będę musiał zastąpić ci służącą.

- A czy ja mogę zostać twoim lokajem? - spytała.

Ukazał zęby w uśmiechu.

- Lepszego nie mógłbym sobie zażyczyć.

Eden związała włosy na czubku głowy i weszła do wody. Miedziana balia była na tyle duża, że można się w niej było swobodnie położyć. Przez pewien czas Pierce niespiesznie mył Eden mydłem o zapachu lawendy i podawał jej do jedzenia kawałki kurczaka.

Pierwszy raz w życiu piła teraz szampana. Bąbelki łaskotały ją w nos i co chwila wybuchała śmiechem. Już po pierwszej lampce zaszumiało jej w głowie. Pierce nie mógł ukryć podniecenia, jakie w nim rosło, kiedy jego namydlone dłonie wędrowały po nagim, ponętym ciele żony.

Eden pochyliła się do przodu i musnęła palcami jego sterczącą męskość.

- Chcesz, żebym wróciła do łóżka?

Ależ gorąca niewiasta, pomyślał Pierce, ale potrząsnął głową.

- Nie, jeszcze dla ciebie za wcześnie. Teraz jesteś bardzo wrażliwa i mógłbym zadać ci ból.

Eden położyła głowę na ramieniu opartym na krawędzi balii. W jej zielonych oczach pojawiło się zdziwienie.

- Tak się o mnie troszczysz?

Dotknął ją w czubek nosa namydlonym palcem.

- Oczywiście. Jesteś moją żoną - powiedział z dumą. - A teraz wynocha z balii, białołowo.

Eden parsnęła śmiechem i wyszła z wody. Pierce wytarł ją ręcznikiem, po czym sam wskoczył do balii.

Odziana tylko w ręcznik, Eden podeszła do stołu.

- Podoba mi się ten pokój. Meble są doskonale dobrane.

- Cieszę się, że tak myślisz. W końcu od dzisiaj to nasz pokój.

Eden wyglądała na zdziwioną.

- To znaczy, że nie będziemy mieszkać osobno?

- A chcesz tego?

Potrząsnęła głową.

- Myślałam, że to tobie będzie na tym zależało. Pani Meeks mówiła, że twoi rodzice mieszkali w oddzielnych pokojach i że tak robi większość szlachty.

- Nie ma mowy. Dość się napatrzyłem na swoich rodziców. Mówiłem ci, że nie chcę, by nasze małżeństwo było takie jak ich, bez miłości. To oznacza, że będziemy spali razem, każdej nocy, cokolwiek będzie się działo. Jeśli się o coś pokłócimy, to nie położymy się spać, dopóki nie dojdziemy do porozumienia.

Eden ukłękła przy balii.

- Miałam ogromne szczęście, że spotkałam kogoś takiego jak ty. Jesteś moim życiem, moim zbawcą, moim królem.

Widać było, że mówi poważnie i Pierce nieco się zawstydził. Nie należały mu się takie pochwały za to jedynie, że pragnął pielęgnować łączącą ich miłość.

- Ja tylko chcę, żebyś umyła mi plecy - sprowadził ją na ziemię.

Eden roześmiała się, wrzuciła do ust winogrono, po czym wzięta do ręki fioletowe mydło.

- Tym?

- Nie - odparł, udając oburzenie.

Podniosła mydło o korzennym zapachu i powąchała je.

- Rozpoznałabym cię z zamkniętymi oczami po zapachu twojego mydła.

Powoli zaczęła myć mu plecy. Starła się robić to tak jak on, ale wprowadziła też parę urozmaiceń. Kiedy pochylała się nad nim, jej piersi prawie dotykały jego ust i Pierce wstrzymywał oddech, czekając, nie, pragnąc gorąco, by ten cholerny ręcznik spadł.

Ręcznik nie spadł; spadło za to mydło. Eden udała, że się tym zmartwiła.

- Ojej, teraz trzeba go będzie poszukać. - Po czym włożyła ręce do wody.

Jej dłonie zaczęły wędrować po brzuchu Pierce'a, potem zeszyły niżej, pieszcząc wewnętrzną stronę ud. Jego lędźwie znów obudziły się do życia.

- Tam go chyba nie ma - szepnął chrapliwym głosem.

Przejechała palcem po jego wyprężonej męskości.'

- Jesteś pewien?

Pierce jęknął i głębiej zanurzył się w wodzie.

Palec Eden powoli wędrował wokół zwieńczenia jego męskości.

Gdzie ona się tego nauczyła? Pierce oparł głowę o krawędź balii, starając się myśleć o wszystkim, tylko nie o seksie.

- Musimy poczekać do jutra.

- I będziemy się kochać?

- O świcie, w południe, o czwartej i przez całą następną noc - obiecał.

- A teraz? - Obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem.

Kusiła go jak syrena - i o mało jej nie uległ. Ale ona wciąż była zbyt wrażliwa. Kiedy znów wyciągnęła rękę, wygramolił się z balii, ociekając wodą.

Zanurzył palce w błyszczących włosach swojej żony i wpił się w jej usta. W jego pocałunku było i pożądanie, i pewien żal. Kiedy poczuł, że Eden topnieje w jego ramionach, jednym ruchem zdjął z niej ręcznik.

Eden roześmiała się, bynajmniej nie skrzępowana swoją nagością. Pierce owinał ręcznik wokół bioder i podszedł do łóża, starając się uczynić to z godnością; nie wyszło mu to najlepiej, jako że wciąż był mocno podniecony.

Eden nalała mu szampana.

- Masz - szepnęła, idąc ku niemu. - To ci pomoże się zrelaksować.

Rozwiązała wstążkę i włosy opadły w lokach na jej piersi. Pierce pomyślał, że ciężko będzie przez całą noc leżeć u boku Eden i nawet jej nie dotknąć.

Usiadła na łóżu obok niego.

- Ależ jesteś spięty, aż przykro patrzeć.

W jej oczach błysnęły złośliwe ogniki.

Pochyliła się do przodu, kładąc dłonie na biodrach Pierce'a. Jej sutki musnęły jego brzuch.

Pierce duszkiem wychylił szampana.

Wtedy Eden powoli wsunęła palce pod ręcznik, oblizując wargi. Jej usta błyszczały kusząco. Nie spuszczać oczu z Pierce'a, zdjęła ręcznik z jego bioder.

- Eden...?

Potrząsnęła głową na znak, by nic nie mówił.

- Nie chcę, żebyś był taki spięty - powiedziała, lekko zadyzana... po czym schyliła głowę i wzięła go do ust.

Pierce wypuścił kieliszek z ręki, częściowo z zaskoczenia, częściowo z rozkoszy. Opadł na poduszki, zamknął oczy i odkrył raj.

O wiele później, gdy Pierce już spał, trzymając ją w objęciach, Eden leżała z szeroko otwartymi oczami.

Z miłością powiodła dłonią po jego umięśnionym udzie, czerpiąc przyjemność z dotykania go. Nie spodziewała się, że Pierce tak bardzo będzie się troszczył o jej potrzeby ani że okaże się tak czułym i delikatnym kochankiem. Kochając się z nim czuła niewypowiedzianą rozkosz; postanowiła, że odwziedczy mu się w jedyny sposób, jaki знаła, zaspokajając każdą jego potrzebę. Podjąwszy tę decyzję, zamknęła oczy i zapadła w sen.

Przez następnych kilka dni nie opuszczali sypialni. Nie przeszkadzał im nikt prócz służących, którzy przynosili jedzenie i zabierali puste tace.

Pierce nie zważał na to, co sobie myślą inni; nie myślał też o pracy. On i Eden idealnie do siebie pasowali, byli dwiema zmysłowymi istotami, rozkoszującymi się swoją bliskością. Nie wkładali ubrań. Nie odczuwali takiej potrzeby.

No i ani trochę się nie nudzili. Czytali sobie na głos albo prowadzili długie rozmowy o wszystkim i o niczym. A poza tym kochali się.

Któregoś ranka, gdy cały dom jeszcze pogrążony był we śnie, Eden droczyła się z Pierce'em, wmawiając mu, że to niesłychane, by tak wielki pan nie miał swojego lokaja.

- Twoja matka uważa, że przydałby ci się ktoś taki.

- Matka za dużo mówi. - Pocałował ją w szyję.

Eden dyskretnie odsunęła się i ujęła jego twarz w dłonie.

- Mam ci coś do powiedzenia.

Patrzył na nią w milczeniu.

- Powiedziałam twojej matce, że nie musi się stąd wyprowadzać.

Nie chcę, by czuła się odrażona. Byłoby miło, gdyby mieszkała z nami.

Pierce skinał głową.

- Jeśli tego sobie życzysz, bardzo się cieszę. Ale jeśli matka zacznie ci się naprzykrzać, nie próbuj dogadzać jej kaprysom, Eden. Nie pozwolę, by źle cię traktowała.

Dłoń Eden zaczęła pieścić jego pierś, po czym zsunęła się niżej. Była to zachęta. Pierce poczuł, że znów budzi się w nim dzika żądza.

- Nie sądzę, by miała mnie źle traktować - Eden szepnęła mu na ucho. - Wiem, że za mną nie przepada, ale ciebie bardzo kocha.

- Będzie więc okazywać mojej żonie należny szacunek. - Podniósł jej dłoń do ust i wycisnął na niej pocałunek. Ich namiętność rozkwitła w pełni i zaczęli się kochać.

Potem zapadli w sen. Eden leżała skulona niczym nasycone kocie. Pierce natomiast wkrótce obudził się i leżał z otwartymi oczami. Nie mógł zasnąć.

Odruchowo gładził Eden po włosach, poszukując w myśli przyczyn swojego niepokoju.

Nie mógł sobie życzyć lepszej żony niż Eden. Była inteligentna, piękna, dobra i rozsądna, a w łóżku... no cóż, miał szczęście, co tu dużo mówić.

Aż za dużo szczęścia.

Przez ostatnich kilka dni Eden pokazała mu to i owo. Skąd ona znała takie sztuczki? Co prawda z Pierce'a nie był żaden Casanova, no, ale bynajmniej nie żył jak mnich i zdobył trochę doświadczenia. Jak to możliwe, by niewinna młoda kobieta była tak pomysłowa?

Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Eden zależy przede wszystkim na zaspokojeniu jego potrzeb.

Nie miał wątpliwości co do tego, że ona go kocha, ale był ciekaw, czy wie o tym, że jej uczucie jest w pełni odwzajemnione. Dlaczego bowiem była tak hojna w dawaniu mu przyjemności? Cóż z tego, że wydawała się zadowolona, skoro od tej pierwszej nocy ani razu nie udało mu się wprowadzić jej na wyżyny rozkoszy?

Będąc mężczyzną, postępował jak na mężczyznę przystało - czerpał pełną garścią z tego, co mu oferowano. Nic na to nie mógł poradzić. Eden była tak dobra w zaspokajaniu go.

Pierce uśmiechnął się. On też może być w tym dobry.

Ostrożnie wysunął rękę spod jej głowy. Delikatnie przewrócił ją na plecy. Promienie wschodzącego słońca wpadające przez okno zalewały jej ciało różową poświatą.

Eden jęknęła przez sen. Pierce uśmiechnął się. A niech się wtula w poduszkę, ile chce, ale nie tego ranka.

Zamierzał ją obudzić; i tym razem to on da jej niezapomnianą rozkosz. Zsunął się niżej i delikatnie rozsunął jej uda.

Skóra Eden była gładka jak atłas. Pierce dmuchnął na wewnętrzną stronę jej uda, raz, potem drugi. Poruszyła nogą, jakby chciała go kopnąć.

Wtedy Pierce wpił się ustami między jej uda.

Eden szarpnęła się przez sen, ale on nie przestawał, delektując się jej smakiem.

Otworzyła szeroko oczy, a z jej ust wyrwał się okrzyk zaskoczenia, który przerodził się w jęk rozkoszy, gdy ruchy Pierce'a stały się bardziej zdecydowane.

Zgodnie z jego oczekiwaniem, Eden próbowała oderwać się od niego, pieścić i dotykać go, ale pozostawał poza zasięgiem jej rąk. Chciał poczuć, jak Eden szczytuje pod nim, chciał dać jej rozkosz, nie oczekując nic w zamian.

- Pierce, pozwól, bym cię dotknęła. Pozwól, bym cię kochała.

Nie zważając na jej błagania, unióś ją do góry. Oddech Eden był coraz szybszy. Zaczęła jęczeć. Całe jej ciało ogarnęło drżenie.

- Pierce... kochanie. Nie wiem, co mam robić. Proszę, proszę!

Poczuł, że jej nogi zaciskają się wokół jego głowy. Eden zadygotała pod wargami Pierce'a i wygięła się w łuk, a z jej ust wydobył się przeciągły okrzyk spełnienia.

Podniósł się na rękach i pocałował ją w usta. Przywarła do niego, nasycona.

- To ja powinnam dawać ci przyjemność - wyszeptwała. - To mój obowiązek.

- Przecież dajesz mi przyjemność. Dajemy ją sobie nawzajem. Rozumiesz, Eden? Jesteś moją żoną, nie nałożnicą.

Podniósł ją do pozycji siedzącej i odwrócił w stronę lustra stojącego tuż obok łóża. Potem usiadł za plecami Eden, położył ręce na jej ramionach i wyszeptał:

- Spójrz na nas. Widzisz? Mąż i żona.

Skinęła głową. Jej oczy przesłaniała mgiełka pożądania.

Pierce objął ją i położył dłonie na jej piersiach. Następnie opuścił rękę do trójkątka włosów między nogami Eden i zaczął ją pieścić.

- Stanowimy jedność, Eden, nie jesteśmy niewolnikami swoich pragnień. - Ujął w palce jej sutek, który natychmiast zeszywniał pod jego dotykiem. - Nie chcę ciągle od ciebie brać. Chcę też dawać.

Przejechał zębami wzdłuż jej szyi. Eden zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, odsłaniając wrażliwe miejsce pod uchem.

Pierce podniósł się na kolana i pociągnął ją za sobą.

- Otwórz oczy, Eden - szepnął jej na ucho. - Chcę je widzieć, kiedy w ciebie wejść.

Eden zatrzepotała powiekami, zaskoczona, a Pierce jednym, płynnym ruchem wśliznął się w nią od tyłu, nie przerywając pieszczot.

- Patrz na nas, Eden. Spójrz w lustro.

I wszedł w nią głęboko. Eden wyprężyła się. Teraz należała tylko do niego. Czuł to, kiedy zaczęła się poruszać, przyciskając ciało do niego, biorąc to, czego potrzebowała, co musiała zdobyć.

Zawładnęła nimi szalona żądza. Nie mogli oderwać oczu od lustra. Eden chciała odwrócić się, przejąć inicjatywę, ale Pierce jej na to nie pozwolił. Tym razem to on miał dać jej rozkosz. W końcu Eden pozwoliła się ponieść namiętności. Powietrze wypełniło się jej jękami. Raz po raz wykrzykiwała imię Pierce'a, błagając, by nie przestawał, a on szeptał jej na ucho słodkie obietnice.

Eden pochyliła się do przodu, by mógł wejść jeszcze głębiej. Włosy opadły jej na ramiona. Obydwoje zapomnieli o lustrze, o panowaniu nad sobą. Dali się ponieść pożądaniu.

I wtedy Pierce poczuł to. Drżenie w jej ciepłym wnętrzu. Uwolnienie. Eden osiągnęła szczyt rozkoszy.

W tej chwili i on wzniósł się na wyżyny szczęścia.

Opadli razem na łożo. Pierce wciąż trzymał Eden w objęciach, zasłuchany w przyspieszone bicie ich serc.

Po chwili Eden przerwała milczenie.

- Chyba przez kilka dni nie będę mogła się ruszyć.

Pierce wybuchnął śmiechem. Jego śmiech, początkowo cichy, zaczął narastać, aż wypełnił cały pokój. Eden zawtórowała mu i leżeli tak spleceni ze sobą, czerpiąc radość z życia... i miłości.

Pierce zadał kłam wszelkim przekonaniom Eden na temat charakteru mężczyzn.

Cudownie się czuła jako jego żona. Każda chwila wypełniała jej serce radością, nawet gdy już opuścili swoją kryjówkę i powrócili na łono świata.

Eden rzuciła się w wir pracy. Nocami, po jej zakończeniu, leżeli z Pierce'em, mocno w siebie wtuleni, i snuli marzycielskie plany na przyszłość.

Eden zaczęła wierzyć, że nic już nie zakłóci jej szczęścia. Będzie miała dzieci. Kto wie, może już była w ciąży; bezustannie dziękowała Bogu, którego odkryła na nowo, za błogosławieństwa, jakimi ją obsypał. Nawet jej teściowa, lady Penhollow, wyglądała na ukontentowaną.

Eden powiedziała Pierce'owi, że chce, by ich dzieci miały takie jak on niebieskie oczy i dołeczki w kąciку ust. On parsknął śmiechem i odparł, że będzie prosić Boga o zielonookie maleństwa obdarzone talentami ich matki.

Wydawało się, że Eden wreszcie znalazła szczęście, o jakim marzyła. Przeszłość pozostała niewyraźnym, zatartym wspomnieniem.

Minęły dwa tygodnie. Dwa tygodnie przyjemności, pracy i radości.

W trzeci wtorek po ślubie Eden pojechała do Hobbles Moor, by sprawdzić, jak przebiega budowa nowych domów. Kiedy wróciła, zauważyła stojącą na podjeździe karetę. Tego dnia nikt nie oczekiwał gości. Eden weszła do domu.

- Rawlins, kto przyjechał? - spytała, wręczając lokajowi kapelusz i rękawiczki. Spodziewała się usłyszeć, że to jacyś interesanci w sprawie koni.

Rawlins jednak rzekł:

- Nie wiem, jak ci ludzie się nazywają. Nie chcieli podać nazwisk, ale wielmożny pan i tak zaprosił ich do swojego gabinetu.

To trzech mężczyzn i kobieta. Dwaj mężczyźni ubrani są w takie dziwaczne, długie szaty. Mówili, że przyjechali aż z Londynu. Myśli pani, że zostaną na lunch?

Trzej mężczyźni i kobieta z Londynu. Eden bezwiednie skinęła głową. Nogi same poniosły ją w kierunku gabinetu Pierce'a, z którego dobiegały ściszone głosy.

W tej chwili drzwi gabinetu otworzyły się. Staął w nich Pierce.

- Eden, dobrze że jesteś. - Mówił dziwnie beznamietnym tonem, jakby był mocno zmęczony. - Czy mogłabyś do nas dołączyć?

Nie była to prośba, tylko rozkaz.

- Oczywiście, Pierce. - Nie mogła dostrzec wyrazu malującego się na jego twarzy, ponieważ światło padało na niego od tyłu, ale kiedy podeszła bliżej, pożałowała, że nie uciekła stamtąd. Jej mąż jeszcze nigdy nie miał tak posępnej miny.

Pierce przez chwilę patrzył na Eden przenikliwym wzrokiem, po czym bez słowa odwrócił się i wszedł do gabinetu.

Eden ostrożnie ruszyła za nim. Pierwszym z gości, którego zobaczyła, był Firth - potężnie zbudowany sługa madame Indrani. Obok niego stał brodaty Gadi, odziany w długie, luźne białe szaty.

Nasim siedział na krześle przed biurkiem Pierce'a. Gdy Eden weszła, odwrócił się do niej i jego oczy rozbłysły triumfalnie.

A na sam koniec Eden zobaczyła madame Indrani. Miała na sobie jedwabną brokatową suknię. Pobrzękując złotymi bransoletkami, wyciągnęła rękę do Eden.

- Eden, *cher*, tak się cieszę, że cię widzę.

16

- Ta kobieta twierdzi, że dobrze cię zna - powiedział Pierce. Stał przed biurkiem, dotykając koniuszkami palców gładkiego blatu. Czekał na reakcję żony.

Eden zignorowała wyciągniętą rękę madame.

- To prawda.

Pierce odchylił się lekko, miał nieprzenikniony wyraz twarzy.

Eden zwróciła się do madame Indrani.

- Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

Madame skrzywiła się w uśmiechu.

- To lord Penhollow mnie szukał. Wynajął w tym celu pewnego człowieka.

Eden obrzuciła męża spojrzeniem wyrażającym zdumienie.

- Czy to prawda, milordzie?

- Kiedyś wspomniałaś jej imię, pamiętasz? - odparł oschle. - Kazałem jej szukać.

Eden potrząsnęła głową.

- Zapomniałam o tym. Wydaje się, że to było tak dawno temu.

- Eden, mówiłaś, że ta kobieta była dla ciebie nauczycielką - powiedział Pierce. - Dlaczego się przed nią ukrywałaś?

- Tak, *cher*, dlaczego się przede mną ukrywałaś? - powtórzyła madame ironicznym tonem. - Powiedziałaś mu, czegoż to cię nauczyłam? - Wyraźnie doskonale się bawiła.

Eden znalazła się w pułapce. Skan i przerobienie pona.

- Proszę, pozwól mi porozmawiać z tą kobietą na osobności - powiedziała do męża. - Wyjaśnimy sobie pewne sprawy i wszystko będzie w porządku.

Pierce zmarszczył brwi, zaniepokojony.

- Sprawy? - Spojrzał na madame Indrani. - Jakie to sprawy mogą łączyć cię z moją żoną?

Madame wpatrywała się w niego przez chwilę, jakby nie wierzyła własnym uszom, po czym wybuchnęła śmiechem.

Nasimowi jednak nie było do śmiechu. Zerwał się na równe nogi.

- Ty masz męża? - rzucił przez zaciśnięte zęby, patrząc na Eden.

Nie czekając na jej odpowiedź, spojrzął na Gadiego i w ożywieniu zaczął mówić coś po arabsku. Na twarzy Gadiego odbiło się zaskoczenie, które po chwili przerodziło się w gniew. Wbił wzrok w Eden i ruszył w jej stronę. Pierce stanął między Eden a rozwścieczonym Arabem, zaś Firth złapał Gadiego za rękę.

Nasim powiedział coś po arabsku, a gdy jego towarzysz uspokoił się nieco, zwrócił się do madame Indrani:

- A więc ona nie jest już dziewicą, zgadza się?

- Co do stu...? - zaczął Pierce, ale Eden położyła mu rękę na ramieniu, próbując go powstrzymać, a kiedy się odwrócił, spojrzała na niego błagalnie.

Madame patrzyła z zaciekawieniem na Pierce'a. Widząc to, Eden spłoneęła rumieńcem i zabrała rękę z jego ramienia.

- Na to wygląda - stwierdziła madame w odpowiedzi na pytanie Nasima.

- Rozumie więc pani - powiedział Arab - że Ibn Sibah nie jest już nią zainteresowany. Proszę nam zwrócić pieniądze. Zapłacił za dziewicę.

- Dostanie swoje pieniądze - odparła madame. Już się nie śmiała. - Musicie pojechać ze mną do Londynu. Nie mam przy sobie tyle pieniędzy.

- Zgoda, jeśli to konieczne - powiedział Nasim, krzywiąc się pogardliwie. Rzucił parę słów do Gadiego, który skinął głową. - Zaczekamy w karecie - oznajmił. Nie patrząc na Eden, wyszedł z pokoju. Gadi ruszył za nim.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, madame pierwsza przerwała milczenie.

- Wygląda na to, że mamy kłopot. - Nachyliła się do Eden. - Ciekawe, jak temu zaradzimy?

Eden nie odpowiedziała, bo i cóż tu można było odpowiedzieć?

- Hrabina - powiedziała cicho madame. - To naprawdę niesamowite, ale cóż, można się tego było po tobie spodziewać, *cher*. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, od razu wiedziałam, że zajdziesz wysoko. - Nagle spochmurniała. - Ale jak mam udobruchać Ibn Sibaha, hmmm?

Powoli zmierzyła Pierce'a wzrokiem, od błyszczących czarnych butów aż po ciemne włosy i niebieskie, rozgniewane oczy. Potarła palcem dolną wargę.

- Doskonale ci się trafiło, *cher*.

Eden postąpiła krok naprzód.

- Nie obchodzi mnie Ibn Sibah. Może mu pani powiedzieć, co chce. To mnie już nie dotyczy.

Ciemne oczy madame Indrani rozbliły gniewem, ale szybko ukryła go pod maską obojętności.

- To przez ciebie mam ten problem, Eden, i ty pomożesz mi go rozwiązać.

- Eden, o co w tym wszystkim chodzi? - spytał cicho Pierce.

Eden odwróciła się do niego, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

- *Cher*, nie możesz dłużej ukrywać prawdy- powiedziała madame z nutą smutku w głosie. - Nie powinnaś była oddawać się mężczyźnie, jeśli kupił cię inny.

Pierce zeszywniał.

- Kupił?

W najczarniejszych myślach Eden nie sądziła, że będzie to dla niej tak trudna chwila. Jakże pragnęła znaleźć słowa, które uczyniłyby prawdę łatwiejszą do zaakceptowania.

Madame Indrani wyczuła jej niezdecydowanie.

- Prawda, *cher*, to jedyne wyjście.

Prawda. Eden musiała powiedzieć Pierce'owi wszystko. Na samą myśl nogi się pod nią ugięły. W pokoju nagle zrobiło się potwornie duszno. Eden otworzyła usta, ale słowa nie mogły jej przejść przez gardło.

Madame Indrani wyręczyła ją.

- Prowadzę dyskretny burdel, milordzie, świadczący usługi

bardzo bogatym mężczyznom. Zapewniam im towarzystwo, a tak-, że, za odpowiednią opłatą, kochanki szkolone przeze mnie osobiście. Pańska żona jest jedną z moich uczennic.

Pierce wbił wzrok w madame, jakby nie zrozumiał ani jednego słowa z tego, co mówiła.

- Moja żona była kochanką innego mężczyzny?

Eden stała jak sparaliżowana. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w madame, nie mogąc się doczekać, aż ten koszmar się skończy.

- Nie, jeszcze nie - wyjaśniła madame z uśmiechem. - Musi pan wiedzieć, że Eden jest niezwykle kobietą. Los obdarzył ją urodą i inteligencją, a to rzadko spotykana kombinacja. Nauka przychodziła jej bez żadnego trudu, czy chodziło o poezję, muzykę, arytmetykę czy... - Znacząco zawiesiła na chwilę głos. - ...miłość. - Wypowiedziała to słowo z namaszczeniem. - Jestem pewna, że nie ma pan powodów do narzekań, prawda, milordzie?

- Zaraz każę panią stąd wyrzucić - rzucił lodowatym tonem.

- Nie, nie robi pan tego - stwierdziła madame i wygodnie usadowiła się na krześle. - Od dzisiaj całą naszą trójkę łączą tajemnica. Z pewnością nie życzyłby pan sobie, żeby wydostała się poza te ściany. Pańską żonę kupił sułtan Ibn Sibah do haremu. Zapłacił za nią ogromną sumę. Niestety, Eden uciekła i wpadła w pańskie ramiona. Swoją drogą, to dopiero ciekawa historia, *cher*.

Eden odwróciła się.

- Proszę, madame. Jego ta sprawa nie dotyczy. Nie mieszajmy go do tego.

- Nie mogę, Eden. Ibn Sibah zapłacił za ciebie dużo pieniędzy. Słyszałaś, co powiedział Nasim. Muszę zwrócić całą sumę. Żeby było sprawiedliwie, twój mąż powinien pokryć moje straty. Takie są reguły handlu.

- Ale on nie ma z tym nic wspólnego. Nic o mnie nie wiedział. Udawałam, że straciłam pamięć. Nie chciałam trafić do haremu.

- Udawałaś, że straciłaś pamięć? - zdziwiła się madame. - W życiu nie słyszałam o czymś takim. A pan w to uwierzył, lordzie Penhollow? - Potrząsnęła głową ze zdumieniem.

Eden bała się spojrzeć Pierce'owi w oczy.

- *Tiens!* Kłamka zapadła - powiedziała madame surowo. -

Wiedziałaś, *cher*, jakie są reguły gry. To nie z dobrego serca zabrałam cię z rynsztoka, dałam ci dach nad głową i strawę. Zresztą, dla lorda Penhollow to nader korzystna transakcja. Jesteś piękną kobietą. Dasz mu wiele szczęścia. Ja chcę tylko to, co należy mi się za twoje dziewictwo. To, czy mężczyzna, który cię kupuje, robi z ciebie swoją żonę czy kochankę, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. - Jej oczy stały się zimne, bezwzględne. - Owszem, mogłabym cię zabrać z powrotem do siebie i kazać ci odpracować całą kwotę... ale trwałoby to długo, bardzo długo. No, lordzie Penhollow, co pan na to? Może teraz, kiedy poznał pan już całą prawdę, zechce pan pozbyć się swojej żony?

Eden odzyskała głos, przelękniona, że Pierce może skorzystać z tej propozycji.

- Jest pani bez serca, madame. Poza tym, nie może mnie pani zmusić, bym powróciła do Londynu czy dała pani jakieś pieniądze!

Madame Indrani patrzyła na Eden oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

- *Cher*, zmieniłaś się. Kiedyś nie ośmieliłabyś się mi sprzeciwić. Zawsze byłaś wdzięczna za to, co dla ciebie zrobiłam.

- I nadal jestem, madame. Zginęłabym, gdyby pani nie zabrała mnie tamtej nocy. - Spojrzała na Pierce'a. - Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, głodnym i przerażonym. Na moich oczach zamordowano człowieka i bałam się, że to ja będę następną ofiarą. Błagałam, by madame wzięła mnie ze sobą. Była moją jedyną nadzieją.

- No i zawarłyśmy umowę, nieprawdaż? - spytała madame. - Może byłaś mała, *cher*, ale niezwykle cwana i wiedziałaś, czym się zajmuję. Teraz pora wyrównać rachunki.

- Wie pani, że nie mam pieniędzy. Gdybym miała, oddałabym pani wszystko.

- Nie dam się oszukać. Te pieniądze mi się należą. On mi zapłaci. - Madame wskazała na Pierce'a

- To nie on panią oszukał, tylko ja. On nic o tym nie wiedział. Udawałam, że straciłam pamięć...

- Tak, tak, doskonale! Może udawałaś też, że go kochasz, by się tobą opiekował?

Eden poczerwieniała z oburzenia.

- Co pani opowiada? Jak pani może tak mówić? - Zrobiła krok w stronę madame, ale odwróciła się i spojrzała na męża. - Pierce, nie wierz jej. Proszę, kochanie, nie wierz jej.

- „Proszę, kochanie, nie wierz jej” - przedrzeźniała ją madame, wciągając rękawiczki. - Taki wniosek sam się nasuwa, *cher* - dodała zimno.

Eden miała ochotę rzucić się na nią z pazurami. Chciała zetrzeć ten pogardliwy uśmiech z jej ust.

Nagle wtrącił się Pierce.

- Ile Eden jest pani winna?

- Nie! - krzyknęła Eden.

Madame uśmiechnęła się.

- Dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

Pierce otworzył usta z wrażenia.

- Dwadzieścia pięć tysięcy funtów - powtórzył z niedowierzaniem. - Toż to majątek.

- I warta jest każdego pensa, nieprawdaż? - spytała zjadliwie madame.

Eden spłonęła rumieńcem.

W oczach Pierce'a błysnął gniew. Podszedł do biurka i otworzył szufladę.

- Przyjmie pani weksel bankowy?

- Ależ oczywiście, milordzie - odparła madame bez namysłu.

Eden patrzyła z przerażeniem na pióro wędrujące po wekslu.

- Pierce, nie.

Nie zareagował.

Przykryła dłonią weksel.

- Nie!

Podniósł na nią wzrok, ale nie spodobało jej się to, co ujrzała w jego oczach. Nie było już w nich miłości, tylko chłód.

- Nie ma innego wyjścia.

- Musi być! - powiedziała z mocą. - To niesprawiedliwe. Nieuczciwe.

Miał ponurą minę.

- Robię tylko to, co konieczne.

- Konieczne do czego? - spytała Eden.

Nie odpowiedział, tylko pisał dalej.

Niepewnie cofnęła się o krok.

Pierce dmuchnął na weksel i wysuszył atrament piaskiem. Potem wstał i podszedł do madame Indrani.

- Co otrzymam w zamian za te pieniądze? Czy za miesiąc znów zobaczę panią na moim progu?

Madame z dumą uniosła podbródek.

- Jestem kobietą interesu, milordzie, nie szantażystką. Za te pieniądze kupił pan moje milczenie. Zwrócę je moim arabskim przyjaciółom i tyle. Ja będę miała to, co zarobiłam, a pan to, czego pragnie. Zapewne nigdy więcej mnie pan nie ujrzy.

Pierce podniósł weksel w dwóch palcach. Madame wzięła papierek, po czym złożywszy go na pół, wsunęła za stanik.

- Miło robić z panem interesy, lordzie Penhollow. Chodźmy, Firth.

Wyszli z gabinetu.

Eden i Pierce zostali sami.

Nie odzywali się ani słowem. Eden nadśłuchiwała odgłosu zamykanych drzwi frontowych. Madame Indrani odeszła na zawsze. Eden osunęła się na krzesło przed biurkiem Pierce'a, wygrzane przez madame.

Pierce przeszedł za biurko i zamknął księgę, po czym schował ją do szuflady.

Co teraz?

- Pierce, przepraszam cię - powiedziała Eden, wpatrując się we wzorzysty dywan.

Mąż nie odpowiedział.

Podniósłszy głowę, zobaczyła, że stoi odwrócony do niej tyłem i wygląda przez okno. Promienie słońca oświetlały sylwetkę człowieka, którego Eden tak mocno kochała.

Miłość. Siedząc w tym pokoju, w którym powietrze było ciężkie od nie wypowiedzianych słów, Eden uzmysłowiła sobie, jak głębokim uczuciem darzy męża.

Jeszcze przed ślubem była przekonana, że go kocha, ale w przeciągu kilku ostatnich tygodni tę miłość zastąpiło nowe, silniejsze uczucie. Było to dla Eden coś zupełnie nieoczekiwanego.

W ciszę wdarł się głos Pierce'a.

- Czy wyszłaś za mnie dla pieniędzy?

- Nie! - krzyknęła natychmiast. Wstała. - Pierce, po tym, co przeżyliśmy przez ostatnie tygodnie, powinno to być dla ciebie oczywiste.

Podniósłszy głowę, Pierce spojrział na Eden niebieskimi oczami przywodzącymi na myśl dwa witraże.

- Wydaje mi się, że wcale cię nie znam.

Jego słowa zraniły ją do głębi.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bałam się.

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Owszem, na początku twój strach był zrozumiały, ale potem... Eden, czemu mi nic nie powiedziałaś?

Serce waliło w jej piersi jak młot. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

- A jak sądzisz, co miałam powiedzieć?

W jego oczach pojawiły się groźne błyski.

- *Prawdę.*

Pochyliła głowę, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia.

- Chciałam to zrobić. Na samym początku bałam się, że Nasim i Gadi znajdą mnie i zabiorą ze sobą.

- Naprawdę myślałaś, że pozwolilibym im na to?

Spojrzała mu w oczy.

- Nie wiedziałam. Przynajmniej na początku. - Słowa z trudem przechodziły jej przez ściśnięte gardło.

- A później, Eden, później, kiedy już wiedziałaś, że możesz mi zaufać? Przecież rozmawialiśmy o wszystkim! Otworzyłem przed tobą duszę, a ty rozmyślnie zataiłaś przede mną prawdę. Nigdy bym nie podejrzewał, że...

- Kiedyś powiedziałeś mi, że kochałbyś mnie, nawet gdybym była mleczarką.

- Jest pewna różnica między mleczarką a prosty... - Urwał w pół słowa, po czym dokończył. - Nałożnicą.

Eden drgnęła, słysząc to słowo.

- Nie chciałam, by sprawy zaszły aż tak daleko. Zamierzałam wyjechać, ale wtedy... - Zawiesiła głos, niepewna, co chce powiedzieć. Teraz cała ta gadanina wieśniaków i słowa wdowy Haskell wydawały się wręcz idiotyczne.

- Wtedy co?

Znów podniosła na niego oczy.

- Tamtej nocy... przy fortepianie, wszystko się zmieniło. Nie chciałam wyjechać. Wiedziałam, że powinnam, ale nie mogłam się na to zdobyć. Potem był ten pożar we wsi i oświadczyłeś mi się, no i... chciałam być tą osobą, za którą mnie uważałeś.

Lord Penhollow odwrócił głowę i wyjrzał przez okno, zasępiiony.

- Pierce, czy ożeniłbyś się ze mną, gdybym na samym początku powiedziała ci prawdę? Czy łączyłoby nas to, co teraz?

Odwrócił się na pięcie i podszedł do barku.

Eden zwilżyła spierzchnięte wargi.

- Pierce?

Wyjął butelkę whisky i napełnił szklanekę.

- Pierce, proszę, wybacz mi.

Zakorkował butelkę i zwrócił się do Eden.

- To nie takie proste. Nic już nie jest proste. Widzisz, to ja popełniłem błąd. Chciałem wierzyć w miłość, która, jak mi się wydawało, nas łączyła.

- I powinieneś wierzyć! Ja naprawdę cię kocham. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

- Poza powiedzeniem mi prawdy.

Opuściła oczy, rozumiejąc, że on ma rację.

- Tak. - Cofnęła się o krok. - Ale tylko dlatego, że bałam się, że prawda nas rozdzieli.

- Chodzi o coś jeszcze - powiedział łagodnie. - Jestem zrujnowany. - Uniósłszy szklanekę, uśmiechnął się ironicznie i spełnił toast

- Zrujnowany? - powtórzyła w osłupieniu Eden. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie odpowiedział od razu, tylko zabębnił palcami w szkło, pogrążony w rozmyślaniach. Wydawało się, że dopiero gdy Eden powtórzyła pytanie, zauważył, że żona jeszcze jest w pokoju.

- Kiedy madame przedłożył wksel mojemu bankierowi, nie będę miał pieniędzy na zapłacenie za nowy sprzęt górniczy - powiedział. - Mam na to trzy tygodnie.

Serce Eden wypełniło się lękiem.

Pierce uśmiechnął się zimno.

- I pomyśleć, że wszyscy ci ludzie ostrzegali mnie, radzili, żebym nie ufał swojemu instynktowi... błagali, żebym jeszcze trochę zaczekał... a ja... - Znowu napełnił szklanekę. - Wydawało mi się, że jestem od nich mądrzejszy. Ufałem ci. A propos - powiedział z nutą gorczy w głosie - dwadzieścia pięć tysięcy funtów to rzeczywiście uczciwa cena za ciebie. - Podniósł szklanekę. - Jesteś precudną istotą, wartą każdego szylinga...

- Przestań - przerwała mu. - Proszę, nie mów o nas w ten sposób.

- Eden, nas już nie ma. Jesteś tylko ty i twoje tajemnice.

- Mówiłeś, że mnie kochasz.

- To było zanim dowiedziałem się, jaka z ciebie kłamliwa dziwka - powiedział ze złością. Wypił do dna i odstawił szklanekę. - Przepraszam. Nie powinienem był tak do ciebie mówić. Co prawda powiedziałem tylko to, co myślę, ale nie powinienem był tego zrobić. Zrujnowałaś mnie, Eden, zniszczyłaś wszystko, co zbudowałem własną pracą.

Eden w obronnym geście skrzyżowała ramiona na piersi. Nie podobał jej się ten rozgoryczony obcy człowiek, w którego zmienił się jej mąż.

- Czy nie moglibyśmy sprzedać kawałka ziemi? Albo czegoś, co jest w domu?

- Majątek jest dziedziczony prawem majoratu. Nie mogę sprzedać ani piędzi ziemi, nawet gdybym chciał. Całą gotówkę włożyłem w kopalnię, a do tego doszedł jeszcze pożar w Hobbles Moor i odbudowa spalonych domów. Brakuje mi co najmniej dziesięciu tysięcy funtów na pokrycie wszystkich kosztów.

Dopiero po dłuższej chwili Eden zdołała zebrać myśli. Musiało istnieć jakieś wyjście z tej sytuacji. Gotowa była zrobić wszystko.

- Pierce, pojedź do madame Indrani. Poproszę, żeby oddała mi wksel.

Jednym susem przypadł do niej i złapał ją za ramiona. Wściekłość wykrzywiła mu twarz.

- Nie zrobisz nic takiego! Jesteś moją żoną, do cholery!

- Chcę tylko pomóc. To ja jestem wszystkiemu winna. Kocham cię, Pierce. Nie chcę, żeby nas rozdzieliło to, co się stało. Proszę, -

Po jej policzkach popłynęły długo wstrzymywane łzy. - Może pożyczmy te pieniądze.

Pierce gniewnie potrząsała głową.

- Do lichwiarzy nie pójde, a od znajomych też nie pożyczę ani szylinga. Zapłaciłem madame Indrani tylko dlatego, że chciałem ochronić dobre imię twoje i matki. Jeśli ludzie dowiedzą się, kim byłaś i ile mnie kosztowałaś, obydwie będziecie miały zatrute życie. Nie życzę sobie, żeby inni traktowali cię tak, jak przez wiele lat traktowali moją matkę. W końcu nie zniosłabyś tego i ukryła się przed światem, tak jak zrobiła ona, a nasze dzieci na każdym kroku słyszałyby krzywdzące plotki.

Sam doświadczył tego w dzieciństwie.

- Ale co będzie z tobą?

Gniew w jego oczach przygasł. Pierce podszedł do barku i wziął butelkę whisky.

- Jakoś sobie poradzę. Nie pierwszy raz jestem na dnie. Wygrzebałem się stamtąd poprzednio, wygrzebię się i teraz.

- Pierce. - Jej głos drżał. - Przepraszam.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko.

Wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie w duchu. Pierce jest rozgniewany, ale wkrótce wszystko będzie dobrze.

Jakby na potwierdzenie jej myśli, Pierce odstawił whisky.

- Eden...- zaczął, ale zawiesił głos.

- Pierce, proszę, powiedz, że między nami będzie tak jak było, Pierce. Chcę to od ciebie usłyszeć. - Chcę usłyszeć, że mnie kochasz, pomyślała.

Odwrócił się do niej. Jego twarz wyprana była z wszelkich uczuć.

- Będzie dobrze.

Patrzyli sobie w oczy. Eden czuła się głupio, jako że ciągle nie mogła powstrzymać łez. Z zewnątrz dobiegały głosy służących, niosące się po korytarzu; w jej nozdrza bił silny zapach mydła po goleniu Pierce'a...

Pukanie do drzwi zabrzmiało jak wystrzał z armaty. Eden aż podskoczyła, po czym szybko przeszła na drugą stronę pokoju, wycierając twarz dłońmi.

Pierce zasłonił ją.

- Proszę.

Do gabinetu weszła lady Penhollow.

- Pierce, widziałam, jak sprzed domu odjeżdżała dość dziwna kobieta. Załatwiałeś z nią jakieś sprawy?

- Tak.

- Mój Boże - westchnęła lady Penhollow. - Mam nadzieję, że nie było to nic poważnego.

- Nie, skąd - odparł beznamiętnym tonem.

- Eden? Dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję - wykrztusiła Eden, ukrywając zalaną łzami twarz za plecami męża.

Lady Penhollow nie ruszała się z miejsca, jakby spodziewała się usłyszeć coś jeszcze. Zapanowała jednak pełna napięcia cisza. Zdając sobie sprawę, że ani Eden, ani Pierce nic więcej nie powiedzą, lady Penhollow ruszyła do drzwi.

- Cóż, cieszę się, że wszystko jest w porządku. Rawlins powiedział mi, że z tą kobietą przyjechali jacyś groźnie wyglądający osobnicy w arabskich szatach. Jak sądzisz, czy Rawlins coś pił?

Powiedziała to półżartem, ale po chwili jej spojrzenie spoczęło na szklance stojącej na szafce.

- Pierce, ty pijesz. Co się dzieje?

- Nic - odparł spokojnie i uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały zimne.

- Nigdy dotąd nie piłeś w dzień.

Pierce podszedł do matki i wziął ją pod rękę.

- To dla towarzystwa. Poczęstowałem tych ludzi z Londynu.

- Czego chcieli? - spytała cicho lady Penhollow.

- Niczego, mamó. - Zręcznie podprowadził ją do drzwi. - Zobaczymy się na kolacji.

Lady Penhollow nie pozostało nic innego, jak tylko wyjść. Spojrzała na Eden z zaciekawieniem, po czym zniknęła za drzwiami.

- Wzięłaś się już w garść? - spytał żonę Pierce.

Skinęła głową.

- Nie powinnam była płakać. Zapomniałam, że łyzy niczego nie dają. - Westchnęła głęboko i spojrzała mu w oczy, - Czy musimy powiedzieć jej prawdę?

- To zależy od ciebie - powiedział, po czym usiadł za biurkiem.

Nie ulegało wątpliwości, że daje jej w ten sposób do zrozumienia, by zostawiła go samego, ale Eden nie zamierzała się poddać.

- Pierce, kocham cię.

Zawsze, kiedy mówiła te słowa, on natychmiast odpowiadał: „Nie, to ja cię kocham”. Stało się to swego rodzaju zabawą. Głupią, idiotyczną zabawą.

Teraz mąż nie odezwał się.

- Pierce?

- Eden, potrzebuję czasu, żeby się zastanowić, wszystko prze-myśleć. To spadło na mnie tak nagle... Nie wiem jeszcze, co zrobić.

- Czy możesz cofnąć zamówienie na sprzęt górniczy? - spytała, pragnąc mu pomóc.

Pierce patrzył na nią tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Aleś ty piękna- zauważył, a po chwili dodał, jakby do siebie: - Naprawdę byłem aż tak ślepy?

Te słowa boleśnie ukłuły ją w serce.

- Pierce, tytuł hrabiny nic dla mnie nie znaczy. Pieniądze też nie. Zawsze pragnęłam przede wszystkim być twoją żoną. Miałam nadzieję, że uczyniłam cię szczęśliwym.

Nawet nie drgnął.

Czekała, co powie.

- Owszem, uszczęśliwiłaś mnie - powiedział wreszcie. - Obawiam się tylko, że za drogo będzie mnie to kosztowało.

- Pierce...

Rabnął pięścią w stół.

- Niech cię diabli! Zostaw mnie! Tyle lat tyrałem jak wół, żeby naprawić reputację rodu. W niecałą godzinę udało ci się mnie zniszczyć. Idź już!

Eden nie trzeba było dwa razy tego powtarzać. Zrobiła krok do tyłu, po czym odwróciła się i wybiegła z gabinetu. Trzaśnięcie drzwi odbiło się echem od ścian korytarza.

Eden schowała się w sypialni, dziękując w duchu opatrności, że nie było tu spostrzegawczej Betsy. Pierce potrzebował czasu. Postanowiła zaczekać do kolacji i porozmawiać z nim później. Zawsze rozmawiali trochę po kolacji.

Ale tego wieczoru było inaczej.

Rawlins powiadomił Eden i lady Penhollow, że wielmożny pan jest zajęty i bardzo żałuje, ale nie będzie mógł zjeść z nimi kolacji.

- Dziwne - powiedziała lady Penhollow. - Myślałam, że po ślubie Pierce nie będzie już harował do późnej nocy.

Eden w odpowiedzi wzruszyła ramionami i zaczęła się bawić jedzeniem na talerzu. Straciła cały apetyt.

Po kolacji czekała na Pierce'a w Sali Ogrodowej. Jednak wciąż nie przychodził, więc wreszcie zebrała się na odwagę i poszła do niego.

Spod drzwi gabinetu nie wydostawało się światło. W całym domu panowała cisza, ponieważ lady Penhollow poszła już spać.

Stojąc pod drzwiami z zapaloną świecą, Eden cicho zapukała.

Bez odpowiedzi.

Zapukała powtórnie i otworzyła drzwi.

Ciemności rozpraszała tylko lampka paląca się na biurku. Jej światło odbijało się od stosów pootwieranych ksiąg i dokumentów; Pierce śleczął nad nimi. Halsztuk luźno zwisał mu z szyi, koszula była rozchełstana. Między papierami stała szklanka z whisky.

- Tak? - rzucił. Wydawał się całkowicie trzeźwy.

- Zastanawiałam się tylko, kiedy przyjdiesz do łóżka. - Czy widział, jak drżą jej kolana?

- Jeszcze nie - powiedział, wyraźnie wymawiając każde słowo.

- Czy mam tu poczekać, aż skończysz? - wykrztusiła z trudem.

Pierce roześmiał się, najpierw cicho, potem na całe gardło.

- Co w tym śmiesznego? - spytała Eden, kiedy złapał oddech.

- Ja tu próbuję uratować nas od nędzy, a ty martwisz się, kiedy przyjdę do łóżka.

Eden rozchyliła usta, zaskoczona.

- Nie, Pierce, to znaczy, ja tylko... ja tylko chcę pomóc. To moja wina. Mnie powinieneś za wszystko winić.

- Och, wiem o tym - powiedział ze smutkiem. - Ale zawiniła też moja własna przekłeta duma i pożądanie, jakie do ciebie czułem.

Jego słowa mocno ją zabolały.

- Myślałam, że to była miłość, nie pożądanie.

Pierce zamknął na chwilę oczy.

- W tej chwili sam nie wiem, co mówię. Eden, idź do łóżka. Rano będzie lepiej.

- Pierce...?

- Powiedziałem ci: wyjdź!

Uciekła z jego gabinetu niczym spłoszona łania. Zza jej pleców dobiegł donośny brzęk; to Pierce rzucił szklanką w drzwi.

Kiedy Eden sama weszła do sypialni, Betsy popatrzyła na nią dziwnie.

- Wielmożny pan ma na głowie wiele ważnych spraw - wyjaśniła Eden.

- Czy ma to coś wspólnego z tą dziwną kobietą, która była tu dzisiaj po południu?

- Nie wiem - skłamała Eden, mając nadzieję, że Betsy nic nie zauważyła.

Potem rozebrała się i położyła, pewna, że bez Pierce'a nie zmrury oka. Mimo to zasnęła i dopiero po kilku godzinach obudził ją jakiś szelest.

- Pierce?

Bez słowa położył się u jej boku. Eden przysunęła się do niego, pragnąc ulżyć jego troskom w jedyny znany sobie sposób. Pierce jednak złapał ją za ręce.

- Proszę cię - szepnęła, chcąc, by wreszcie runął ten mur, który nagle zaczął ich dzielić. - Przepraszam. - Ileż razy miała to jeszcze powtarzać?

Nie odpowiedział, tylko przekręcił się na brzuch i położył na niej. Poruszył się, rozchylając jej nogi. Mocno zalatywało od niego whisky, ale Eden to nie przeszkadzało.

Nie powiedział nic, tylko wszedł w nią szybko, bez ostrzeżenia. Eden nie protestowała, przyjmując tę niewielką niewygodę jako pokutę. Jej ciało szybko rozgrzało się i dopasowało do niego. Pierce poruszał się w niej monotonnie.

Do tej pory ich noce były radosne, wypełnione cichym śmiechem i szeptanymi wyznaniem miłości.

Tej nocy nie było ani śmiechu, ani czułych słówek, ani radości.

Pierce wziął ją bezceremonialnie. Eden leżała pod nim nieruchomo, czekając, aż mąż zaspokoi swoją potrzebę; i posłusznie dawała mu to, czego chciał. Wsłuchując się w jego chrapliwy oddech, uświadomiła sobie, że seks niejedno ma oblicze. U madame Indrani mówiono jej, że nie wiąże się z nim żadne uczucie, że jest to zwyczajna usługa, za którą pobiera się zapłatę.

Pierce natomiast nauczył ją, że jest to najbardziej intymna chwila między kobietą a mężczyzną. Że wtedy stają się oni jednością. Że to cud życia i miłości. Że nic piękniejszego nie może ich połączyć.

A teraz dowiedziała się, że może to też być chwila, w której dwoje ludzi poznaje, czym jest prawdziwa samotność.

Eden poczuła w sobie nasienie Pierce'a. Pragnęła przyciągnąć go do siebie, ale instynkt ostrzegł ją, że lepiej tego nie robić.

Pierce padł na nią, wyczerpany.

Eden przypomniała sobie jego obietnicę, że rano wszystko będzie dobrze i, niczym dziecko szukające pocieszenia, postanowiła wziąć to zapewnienie za dobrą monetę.

Mąż zszedł z niej i położył się na plecach.

- Co ja zrobiłem? - wyszeptał.

Eden nie odezwała się. Cóż te słowa mogły znaczyć? Gdy wreszcie zebrała się na odwagę i wyciągnęła do niego ręce, wstał i ubrał się po ciemku. Potem niemal bezszelestnie przeszedł przez sypialnię i drzwi się zatrzasnęły.

Eden usiadła na łóżku, zastanawiając się, gdzie Pierce mógł pójść. Spodziewała się, że zaraz wróci, ale czas mijał, a jego wciąż nie było. Po kwadransie dało się słyszeć tętent kopyt na podjeździe. Podbiegła do okna i wyjrzała na skapany w świetle księżycy dziedziniec między stajniami.

Pierce jechał konno w kierunku wrzosowiska, wczepiony w grzywę Króla Kornwalii. Rumak lśnił jak srebro. Eden nie spuszczała konia i jeźdźca z oczu, dopóki nie zniknęli w oddali.

Pierce wrócił dopiero wczesnym rankiem. Eden wiedziała o tym, bo cały czas na niego czekała. Przez bite cztery godziny czuwała przy oknie, błagając opatrność, by mąż nie zgubił się na wrzosowiskach i by nie spotkało go jakieś nieszczęście.

Zauważyła ich w oddali, człowieka i zwierzę zlewających się w jedno. Pierce i Król Kornwalii znali się tak dobrze. Eden oparła głowę o framugę okna, zazdrosna o konia.

Pierce nie wrócił już do sypialni; wyglądało na to, że resztę nocy spędził w stajni.

Eden natomiast zapadła w sen siedząc przy oknie.

Nie zobaczyła męża aż do śniadania. Siedziała w jadalni z lady

Penhollow, która rozprawiała o pogodzie. Dzień był nieprzyjemny, zanosiło się na deszcz. Eden słuchała jednym uchem.

- Dobrze się czujesz? - spytała nagle lady Penhollow, przerywając swój monolog. - Jesteś jakaś taka blada.

- Źle spałam - wyznała Eden. Postanowiła nigdy więcej nie kłamać.

- Ach, bezsenna noc. Coś okropnego. Ja zawsze przed zaśnięciem wypijam filiżankę ciepłego mleka. Spróbuj, może to coś da.

- Tak, to dobry pomysł - powiedziała Eden, ledwie słysząc, co teściowa do niej mówi. Nagle odniosła wrażenie, że wszystko wokół zastygło w bezruchu. W drzwiach jadalni stał Pierce.

Wcześniej musiał być w sypialni, jako że ogolił się i przebrał w strój do jazdy konnej. Miał ciężkie powieki. Serce Eden zabiło mocniej, gdy przypomniała sobie, jak ją posiadł ostatniej nocy.

Ich spojrzenia spotkały się. Przepraszam, chciała szepnąć Eden. Proszę, wybac mi.

Pierce wszedł do jadalni.

- Dzień dobry, matko. Witaj, Eden. - Pocałował matkę w policzki i usiadł przy Eden. Położył dłoń na oparciu jej krzesła, ale nie musnął kciukiem szyi żony, jak to miał w zwyczaju czynić.

- Śniadanie, milordzie? - spytał Rawlins.

Pierce skinął głową.

- Daj mi byle co i filiżankę mocnej herbaty.

- Tak jest, milordzie.

- Cieszę się, że wrócił ci apetyt - powiedziała lady Penhollow z matczyną troską. - Słyszałam, że wczorajszego wieczoru nie poprosiłeś służących, by przynieśli ci kolację do gabinetu. Bardzo mnie to zaniepokoiło.

- Nic mi nie było - odparł.

Rawlins postawił przed nim talerz z kiełbaskami i jajkami, a Gordon nalał herbaty.

- Za ciężko pracujesz, Pierce - napomniała syna lady Penhollow. - Wyglądasz, jakbyś przepracował całą noc.

- W pewnym sensie tak było - powiedział Pierce, udając, że je.

Eden zrozumiała się, kiedy dotarło do niej ukryte znaczenie tych słów.

Lady Penhollow nie zwróciła na to uwagi. Smarowała grzanek dżemem.

- Cóż więc zaplanowałeś na dzisiejszy poranek? - spytała ot tak, pragnąc nawiązać rozmowę.

- Wyjeżdżam w sprawie sprzedaży Króla Kornwalii - odparł Pierce.

17

Eden siedziała jak sparaliżowana, patrząc na męża. Nie wierzyła własnym uszom. Spojrzała na lady Penhollow, która również zastygła w bezruchu, unosząc grzanekę do ust. Nawet Rawlins i lokaj zupełnie oniemieli.

Pierce tymczasem zabrał się do jedzenia, jakby nigdy nic.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziała Eden, kiedy wreszcie odzyskała głos.

Nie patrząc na nią, Pierce wytarł dłonie w serwetkę i położył ją obok talerza.

- Już podjąłem decyzję - odparł spokojnie. - Za godzinę, dwie wyjeżdżam do Londynu, żeby sfinalizować transakcję.

- Kiedy wrócisz? - spytała lady Penhollow.

- Pod koniec tygodnia. Sprzedam Króla Whitby'emu. Zabrałbym go ze sobą od razu, ale Lambeth przywiózł swoją klacz, która zostanie tu jeszcze przez jakiś tydzień. Proszę wybaczyć - powiedział nagle - ale muszę pójść do stajni. - Odsunął krzesło od stołu i wyszedł z jadalni.

Zapadła cisza.

- Zawsze wydawało mi się, że ten koń był dla niego najważniejszy - powiedziała wreszcie lady Penhollow i przeszyła Eden groźnym spojrzeniem. - Jak długo jeszcze będziecie przede mną udawać, że wszystko jest w porządku?

Eden słuchała jednym uchem. Jej wzrok wciąż utkwiony był w drzwiach, za którymi przed chwilą zniknął Pierce.

- Przepraszam - mruknęła, kładąc serwetkę obok talerza. Zanim lady Penhollow zdążyła cokolwiek powiedzieć, Eden była już na korytarzu.

Pod drzwiami frontowymi stała niewielka waliza. Na pewno należała do Pierce'a.

Eden dogoniła go na ścieżce prowadzącej do stajni. Był na tyle blisko, że powinien usłyszeć jej wołanie, ale szedł dalej.

Podniósłszy suknie, podbiegła do męża.

- Musimy porozmawiać.

Pierce nie zwolnił kroku i Eden musiała niemalże biec, by za nim nadążyć.

- Teraz nie mogę - powiedział. - Jestem zajęty.

Złapała go za rękę i zaparła się w miejscu. Nie mając innego wyjścia Pierce musiał się zatrzymać.

Na jego twarzy odmalowało się źle skrywane zniecierpliwienie.

- Nie możesz sprzedać tego konia - stwierdziła stanowczo - Król Kornwalii jest częścią ciebie. Jest dla ciebie ważniejszy niż ta ziemia czy kopalnia cyny. - Ważniejszy niż ja, pomyślała.

- W tej chwili w Hobbles Moor mieszka dwadzieścia rodzin górników. Dwadzieścia rodzin, Eden, których byt zależy od tego nowego sprzętu. Co mam im powiedzieć? „Hej, wiecie, przykro mi, ale musiałem wydać majątek na żonę. Okazało się, że to dziwka i by chronić dobre imię swojej rodziny, muszę pozwolić wam umrzeć z głodu”?

Eden zakręciło się w głowie.

- Czy o to właśnie chodziło ostatniej nocy? Brałeś to, za co zapłaciłeś?

Pierce odwrócił głowę. Jego oczy powlekły się mgiełką smutku.

- Ostatniej nocy nie byłem sobą. Ten mężczyzna w łóżu to nie ja... prawie tego nie pamiętam.

- Pierce, nigdy nie byłam dziwką. Owszem, mieszkałam u madame i gdybym została sprzedana, musiałabym spełnić życzenia mojego właściciela, ale sam wiesz, że zanim cię spotkałam, byłam dziewczcą.

- Dziewcą obdarzoną niezwykłymi zdolnościami.

Eden nie drgnęła.

- Widziałam w swoim życiu wiele rzeczy, o których lepiej nie mówić.

Pierce odszedł kilka kroków, przystanął, ale nie odwrócił się do niej. Wbił wzrok w ziemię.

- Nie powinienes być się ze mną ożenić - stwierdziła ze smutkiem.

Pierce odwrócił się do niej. W jego oczach widać było ogromny ból.

- Eden, na razie dajmy temu spokój. Sam nie wiem, co myśleć. Wyjeżdżam na tydzień. Porozmawiamy po moim powrocie. - Nie czekając na jej odpowiedź, skierował kroki w stronę stajni.

Eden doszła do wniosku, że musi wyznać wszystko. Ruszyła za nim.

- Lord Whitby może mnie rozpoznać.

Pierce zatrzymał się w pół kroku.

- Whitby?

Skinęła głową.

- Kiedy tu był, nie przypomniał sobie, że mnie już kiedyś widział, ale ja go rozpoznałam.

Pierce przypadł do żony. Chwycił ją mocno za rękę.

- Skąd on miałby cię znać?

W jego oczach dojrzała coś przerażającego - ogień zazdrości, gniew, a także lęk przed ujawnieniem prawdy.

- Kiedyś madame Indrani kazała mi zagrać na fortepianie dla kilku gości. To było w czasie aukcji. Wystawiła wtedy na sprzedaż pięć dziewczyn.

- I zapamiętałaś Whitby'ego?

Skinęła głową.

- Trudno zapomnieć to znamię na jego głowie. Tamtej nocy wypił za dużo i zaczął się awanturować. - Nie chciała powiedzieć Pierce'owi, że to ona była przyczyną gniewu Whitby'ego. - Nie sądzę, by mnie pamiętał.

Pierce milczał przez chwilę.

- Czy są jeszcze jacyś ludzie, którzy mogliby cię rozpoznać?

- Być może jest kilku... w Londynie. Tutaj raczej nie. Madame Indrani wiedziała już od dawna, że sprzeda mnie sułtanowi. Gdyby nie wojna i intrygi polityczne w Kurdufanie, wysłano by mnie do niego już parę lat temu. Od czasu do czasu madame kazała mi występować przed gośćmi i sądzę, że gdyby któryś z nich gotów był zapłacić wyznaczoną przez nią sumę, zostałabym sprzedana.

- Czy nie miałaś nic przeciwko temu, że ci ludzie handlowali tobą jak kłaczą rozpłodową?

To samo pytanie zadała jej Mary Westchester.

- Pierce, moje życie było tak straszne, że kiedy madame wzięła mnie do siebie, uważałam się za najszcześniejszą dziewczynę pod słońcem - powiedziała zdecydowanym tonem. - Ale nie wiedziałam, czym jest miłość, dopóki nie spotkałam ciebie. Wtedy wszystko się zmieniło.

- Wciąż nie wiesz, czym jest miłość - odparł Pierce ze smutkiem. - Eden, miłość to coś więcej niż tylko zwierzęca żądza. To uczciwość i szczerłość. Człowiek, który kocha prawdziwie, rozumie, jaki wpływ ma jego postępowanie na innych ludzi.

- I kiedy mówiłeś, że mnie kochasz, miałeś to wszystko na myśli?

- Tak - przyznał krótko.

- Pozostaje mi więc modlić się o to, żebyś pokochał mnie znowu. Ale proszę cię, nie sprzedawaj Króla Kornwalii. Musi być inne wyjście.

Stali nie więcej niż parę stóp od siebie, ale wydawało się, że dzieli ich cały ocean.

Patrzył na nią bez wyrazu.

- Eden, życie nauczyło mnie, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Nigdy już nie będzie między nami tak, jak było.

- Co się zmieni?

- Nie wiem. - Odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę stajni.

Eden z ciężkim sercem pozwoliła mu odejść. Wiedziała, że nie wolno mu sprzedać Króla Kornwalii. Jeśli to zrobi, nigdy jej tego nie wybaczy.

Jak się okazało, lady Penhollow myliła się w swoich zapowiedziach co do pogody, zaczął bowiem siąpić deszcz, ale Eden nie zważała na to. Przypomniała sobie, że jest jeszcze jedna osoba, którą mogła poprosić o pomoc: wdowa Haskell.

Eden nie poszła nawet do domu po szal, tylko od razu skierowała się do Hobbles Moor. Była przyzwyczajona do długich spacerów i po kwadransie, nawet nie zmęczona, dotarła do wioski.

Szła obrzeżem Hobbles Moor, by nikt jej nie zobaczył. Widok hrabiny Penhollow w mokrej sukni mógł wzbudzić podejrzenia. Miała niewiele czasu; musiała zdążyć przed wyjazdem Pierce'a.

Zanim dotarła do chatki wdowy, zdążyła przemoknąć do suchej nitki. Niewielki domek stał na końcu pastwiska, pośród starych wierzb strzegących ścieżki wiodącej na wrzosowiska za Hobbles Moor. W oknie stała zapalona świeca. Z komina schowanego przed deszczem pod konarami drzew wypływał dym. W powietrzu unosił się zapach palącego się torfu.

Eden na każdym kroku zaczepiała suknią o długie źdźbła trawy i kolce ostu. Ziemia była nasiąknięta wodą. Eden szła naprzód, nie zważając na to, że jej trzewiki z kożłęczą skórą przemokły na wylot, a włosy opadały na plecy w mokrych, pozlepianych strąkach.

Podeszła do chatki. Drzwi otworzyły się, zanim zapukała. Z półmroku wyłoniły się ciemne, błyszczące oczy wdowy Haskell. Srebrzyste włosy opadały jej na ramiona.

- Czekałam na ciebie. Wejdz.

Eden przestąpiła próg zadymionej chatki. Drzwi były tak niskie, że musiała się pochylić.

Wspierając się na kosturze, wdowa pokuśtykała do małego fotela na biegunach. Eden stała przy drzwiach.

Odgarnawszy z twarzy mokre włosy, rozejrzała się po wnętrzu domku wdowy. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki, zastawione pudłami i małymi słojami wypełnionymi ziołami i innymi przedziwnymi rekwizytami. I tak w jednym z tychże słoików spoczywały kurze łapki, zanurzone w czymś, co wyglądało jak olej. Inny był pełen ptasich dziobów, a w niektórych znajdowały się rzeczy, o które Eden wolała nie pytać.

W powietrzu unosił się zapach torfu, tabaki i wonnej mikstury, gotującej się w czarnym garze. Wdowa nabiła fajkę. Dopiero wtedy Eden zauważyła, że za plecami starej kobiety, na oparciu fotela, przysiadł młody kogut. Wyglądał na zadomowionego.

- Czy jest oswojony? - spytała Eden.

- To mój Przystojniak - powiedziała wdowa, szczerząc w uśmiechu szczerbate zęby. - Przywitaj się z hrabiną, Przystojniaku.

Ptaka tylko przekrzywił głowę i spojrzał na Eden.

- Proszę usiąść, hrabino. - Wdowa Haskell wskazała ręką krzesło.

Eden jednak nie usiadła. Stojąc przy drzwiach, zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju przez całą drogę do Hobbles Moor.

- Dlaczego on mnie opuszcza?

Wdowa Haskell zaciągnęła się fajką.

- Przyszłaś do mnie, bo boisz się, że lord Penhollow już cię nie miłuje.

- A miłuje mnie? Powiedz.

- Od pierwszego wejrzenia.

- Ale jak jest teraz? - spytała Eden, obawiając się odpowiedzi. - Dlaczego musi z mojego powodu stracić Króla Kornwalii?

Wdowa Haskell pochyliła się do przodu.

- Lady Penhollow, nie jestem czarownicą czy wróżką. Pracuję z siłami natury, nie przeciwko nim. Jeśli chcesz poznać odpowiedź na to pytanie, musisz zadać je swojemu mężowi.

- Nie mogę - przyznała Eden. - On wyjeżdża do Londynu. Uważa, że go zdradziłam. Boję się o przyszłość naszego małżeństwa. Proszę, chcę, żeby wszystko było tak jak dawniej.

- Nic nie może trwać wiecznie. Świat zmienia się z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

- Ale nie miłość - odparła Eden. - Miłość trwa.

- Miłość zmienia się tak jak wszystko. - Wdowa odchyliła się na fotelu. Przystojniak zatrzepotał skrzydłami, usiłując zachować równowagę. - Tak, to właśnie miłość przede wszystkim musi się zmieniać. W przeciwnym razie uwiędnie i umrze.

Eden osunęła się na twardą glinianą podłogę u stóp wdowy.

- Nie jestem tą osobą, za którą wszyscy mnie uważają - wyznała. - Nie wierzę, bym mogła odzyskać jego miłość, po tym, co zrobiłam.

- Czy okłamałaś go?

- Tak. Nie ufałam mu i wciąż mi się wydaje, że postąpiłam słusznie nie wyznając mu prawdy. - Musnęła palcami rąbek wyświechtanej spódnicy wdowy. - Proszę, musisz mi pomóc.

- A cóż ja miałabym zrobić?

- Nie wiem, ale wszyscy mówią, że to ty mnie tu sprowadziłaś. Jeśli wiedziałaś, że jestem oszustką, powinnaś była powiedzieć o tym lordowi Penhollow. Czemu tego nie zrobiłaś.

Wdowa zmrużyła oczy.

- Czemu sądzisz, że o tym wiedziałam?

- Wyczułam to, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy.

Wdowa położyła dłoń na głowie Eden.

- Nie ja cię tu sprowadziłam, dziecko. Sama tu przybyłaś i w każdej chwili mogłaś mu powiedzieć prawdę.

- Ale wtedy zupełnie inaczej patrzyłby na mnie. Nie ożeniłby się ze mną. A teraz może mnie odtrącić. - Eden złapała wdowę za rękę. - Proszę, musisz mi pomóc.

Wdowa wyjęła fajkę z ust.

- To może być dla ciebie ciężka lekcja, hrabino, i całym sercem jestem z tobą... ale ci nie pomogę.

Eden zerwała się na równe nogi.

- Dlaczego? - spytała.

- Nic nie mogę zrobić, nawet gdybym znała jakieś czary. - powiedziała łagodnie wdowa. - Małżeństwo można uratować tylko w jeden sposób. Trzeba o nie walczyć.

- Ale co z Królem Kornwalii? Pierce więcej na mnie nie spojrzysz, jeśli sprzeda tego konia.

- No to postaraj się, żeby nie musiał tego zrobić.

- Ale jak? Nie mam pieniędzy. Pierce wydał wszystko na pomoc dla mieszkańców Hobbles Moor. Zaproponowałam mu, że pojedę do Londynu do madame, ale on mi na to nie pozwolił. Wściekł się, że mogłam w ogóle coś takiego zasugerować.

- Małżeństwo wymaga ciężkiej pracy. Nie uczyni się go silniejszym przy pomocy innych ludzi. Wszystkie problemy trzeba rozwiązywać samemu.

- A jeśli on już mnie nie chce?

Wdowa Haskell wzięła Przystojniaka na ręce i zaczęła go głaskać.

- Wtedy przegrasz, ponieważ małżeństwo to związek dwóch dusz. Jeśli jedna chce się uwolnić, dla drugiej nie ma już nadziei.

- To już koniec - powiedziała cicho Eden. Ta mądra kobieta, która była jej ostatnią nadzieją, nie miała do powiedzenia nic poza komunałami. - Nie mogę go zatrzymać przy sobie. Moje małżeństwo już nie istnieje!

Wdowa bujała się na fotelu z zamkniętymi oczami. Nad jej głową unosiła się aureola z dymu.

- Będzie, jak mówisz.

Eden przysłoniła usta dłonią, przerażona. Co ona zrobiła? Czyżby rzuciła na siebie kłutwę?

Wdowa westchnęła ciężko.

- Idź już. Jestem zmęczona i chcę być sama. - Z tymi słowami opuściła głowę, nie wyciągając fajki z ust. Po chwili zaczęła cicho chrapać.

Eden wyszła z chatki na sztywnych nogach. Deszcz przybrał na sile.

Dom. Pozostało jej tylko wrócić do domu.

Kiedy szła przez pastwisko w strugach rzęsistego deszczu, usłyszała, że ktoś ją woła. To był Leeds, stangret. Siedział na koźle dwukółki, schowanej pod drzewem.

- Lord Penhollow mnie tu przysłał. Kazał mi pojechać za panią i przywieźć ją do domu.

- On cię wysłał? - spytała z nadzieją. - To znaczy, że nie jedzie do Londynu?

- Ależ jedzie, jedzie. Zdaje się, że już jest w drodze - powiedziała szczerze zasmucony Leeds.

Eden stała jak wrośnięta w ziemię.

- Proszę pani, może byśmy tak już pojechali? Wygląda pani na przemoczoną i zziębniętą.

- Nie, Leeds, ja nic nie czuję - odparła ze smutkiem i podeszła do dwukółki.

Lady Penhollow czekała przy drzwiach domu. Jak się okazało, myliła się w swoich rachubach co do pogody. Deszcz jednak się rozpadał.

Pierce przyjechał na koniu od strony stajni.

Lady Penhollow przykryła głowę szalem i wyszła na zewnątrz. Rawlins kręcił się przy niej, zaniepokojony.

- Pójdę sama - powiedziała krótko. Lokaj cofnął się do domu.

Zszedłszy na dół schodów, lady Penhollow stanęła synowi na drodze. Pierce ściągnął cugle.

- Co się dzieje między tobą a Eden? - spytała, biorąc cugle do ręki, by syn nie mógł jej uciec.

- Nic.

Potrząsnęła głową.

- Stało się coś, przed czym chcesz uciec.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał ze złością.

- Nie musisz jechać do Londynu, żeby sprzedać Króla Kornwalii. Nienawidzisz tego miasta i jeździsz tam tylko wtedy, kiedy to jest naprawdę konieczne.

- Muszę porozmawiać z Whitbym.

- Bzdura. Mógłbyś do niego napisać. Poza tym, pogoda jest nieodpowiednia do podróży. Uciekasz, Pierce, uciekasz tak jak twój ojciec.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Prychnęła niecierpliwie.

- Kiedy twój ojciec chciał uniknąć czegoś nieprzyjemnego, wyjeżdżał do Londynu. Czego ty chcesz uniknąć?

Pierce poruszył się niespokojnie; z kapelusza wciśniętego nisko na czoło ściekała woda.

- Za tydzień będę z powrotem w domu.

- I co wtedy?

- Wtedy wszystko będzie tak jak zawsze.

Wiedziała, że ją okłamuje. Tylko matka była w stanie to wyczuć.

- Pierce, nigdy w życiu nie widziałam dwojga ludzi kochających się tak, jak ty i Eden. Obserwując was przez te ostatnie kilka tygodni, uzmysłowiłam sobie, jak wiele w życiu straciłam. Nie bądź taki głupi jak ja. Nie odrzucaj szczęścia.

Pierce zacisnął usta. Byli do siebie pod wieloma względami tak podobni, że mogła odgadnąć jego myśli.

- Wrócę za tydzień - rzucił. Lady Penhollow puściła cugle.

- No to szerokiej drogi, synu. Ale pamiętaj, co ci powiedziałam. Miłość może umrzeć, jeśli nie jest pielęgnowana. Pamiętaj o tym.

Nie odezwał się. Lady Penhollow spodziewała się, że odjedzie bez słowa. Jednak on w ostatniej chwili pochylił się i pocałował ją w policzek. Potem spał konia ostrogami i odjechał.

Lady Penhollow dotknęła palcami policzka i odprowadziła Pierce'a wzrokiem. W głębi duszy wiedziała, że jest głęboko nieszczęśliwy. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie.

Rawlins wybiegł z domu z parasolem.

- Nie powinna pani aby wejść do domu?

Lady Penhollow bezwiednie skinęła głową i weszła za lokajem do środka. Rawlins strząsnął wodę z parasola.

- Może nie powinienem o to pytać, ale czy coś się stało

w Penhollow Hall, że wielmożny pan postanowił sprzedać swojego konia? Król Kornwalii był dla nas wszystkich jak talizman.

- Nie wiem, dlaczego podjął taką decyzję - odparła lady Penhollow zgodnie z prawdą. Podała lokajowi mokry szal. - Gdyby wróciła moja synowa, przyjdź i powiedz mi o tym.

Teraz wyruszyła na poszukiwania Betsy. Niestety, rozmowa z nią nic nie dała. Wścibska służąca wiedziała tyle, co wszyscy, o tajemniczych gościach, którzy zjawili się poprzedniego dnia w Penhollow Hall. Z dziedzińca dobiegł turkot kół. Lady Penhollow podeszła do okna i ujrzała Eden - przemoczona do suchej nitki wysiadała z dwukółki.

- Przygotuj kąpiel dla swojej pani - nakazała służącej, po czym zeszała na dół, by powitać synową.

Ale nie zastała Eden w holu.

- Gdzie ona jest? - spytała Rawlinsa.

- Poradziłem jej, żeby poszła do swojego pokoju i wysuszyła się, ale od razu udała się do gabinetu lorda Penhollow.

- Dziękuję. - Lady Penhollow skierowała kroki w głąb korytarza. W gabinecie było ciemno. Stała w drzwiach. - Eden?

Bez odpowiedzi. Weszła do środka. Podchodząc do stolika, zapaliła zapałkę. Przyłożyła ją do knota świecy.

Eden siedziała w fotelu ze skrzyżowanymi ramionami. Dygotała na całym ciele. Oczy miała opuchnięte od płaczu.

- Dlaczego siedzisz tu po ciemku?

Eden zamrugała, jakby dopiero teraz zauważyła lady Penhollow. Nie odpowiedziała na jej pytanie, tylko potrząsnęła głową i znów popadła w ponure zamyślenie. Wydawało się, że opuściły ją wszystkie siły.

Lady Penhollow podeszła bliżej.

- Posłuchaj mnie, moja droga. Musisz pójść na górę i przebrać się w suche ubranie.

Eden zmarszczyła brwi.

- Jeszcze nie. Chcę coś powiedzieć. Na pewno ci się to nie spodoba, ale nie mogę dłużej udawać. Dopadły mnie demony przeszłości.

- O czym ty mówisz? - spytała lady Penhollow, a Eden opowiedziała monotonnym głosem całą swoją historię.

- Widzisz więc, że ty i twoje przyjaciółki nie pomyliłyście się co do mnie - stwierdziła na zakończenie. - Nie tu jest moje miejsce. Zrobiłam coś niewybaczalnego... i zapłaciłam za to wysoką cenę. Och, cóż ja uczyniłam? - Szloch wyrwał się z jej piersi.

Lady Penhollow wzięła synową w objęcia.

- Rozchorujesz się, jeśli nie przestaniesz rozpaczać - powiedziała. - No już, weź się w garść, bo pójdę po sole trzeźwiące, a to nie będzie dla ciebie przyjemne.

Kiedy to nie odniosło skutku, lady Penhollow stwierdziła wprost:

- No dobrze, porozmawiamy, kiedy przestaniesz się nad sobą użalać.

Eden podniosła głowę, zaskoczona.

- Użalać się nad sobą? Nie słyszałaś, co mówiłam?

- Nie wiem jeszcze, co myśleć o twojej opowieści - odparła lady Penhollow. - Ale wiem na pewno, że mój syn jest w tobie zakochany.

- Już nie. Teraz czuje do mnie wstręt.

- Och, nie gadaj głupstw. Jest rozczarowany, owszem, ale nie czuje do ciebie wstrętu. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że obydwoje jesteście nieszczęśliwi. Kirrierowie to urodzone uparciuchy i każdego mogą doprowadzić do rozpacz. Wiem, bo sama Pierce'a tego nauczyłam.

- Nie chodzi tylko o to...

Lady Penhollow gniewnie machnęła ręką, nie pozwalając Eden dokończyć.

- Pierce nie jest lekkoduchem. To człowiek wielkiego serca i nie brakuje mu odwagi. Pamiętam do dziś, jak sąsiedzi wymyślali mu i twierdzili, że doprowadzi nas wszystkich do ruiny. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy otworzył kopalnię. Wszyscy mówili mu, że nic z tego nie wyjdzie, ale on postawił na swoim. Wiedział, co chce zrobić i teraz też będzie wiedział.

- Tak, to prawda, ale w każdej chwili może zmienić swoje postanowienie. Wdowa Haskell powiedziała, że nic nie mogę na to poradzić. - Łzy znów napłynęły jej do oczu.

Lady Penhollow wzięła ją za rękę.

- Och, Eden, nigdy nie wierzyłam, że spotkałaś Pierce'a dzięki tym jej zakłębom. I nie zakochał się w tobie tylko dlatego, że jesteś piękna, choć pewnie teraz tak mówi.

- On nazywa to żądzą.

- Przez ostatnich kilka tygodni dawała mu się we znaki, a jakże - zauważyła matka Pierce'a z przekąsem. - Ale was łączy coś więcej. Eden, on kocha cię za to, kim jesteś. - Odgarnęła mokry kosmyk włosów z jej twarzy. - Mój syn jest ode mnie mądrzejszy. Zawsze mówił, że ożeni się tylko z miłości i tak właśnie uczynił. A niełatwo zdobyć jego serce. Jeśli postanowił sprzedać Króla Kornwalii, to dlatego, że pragnie ochronić tych, których kocha.

- Ale kocha też tego konia.

- To prawda - przytaknęła lady Penhollow. - Ale Król Kornwalii to tylko zwierzę. Natomiast ty będziesz matką dzieci Pierce'a. Owszem, mój syn ma teraz spory mętlik w głowie i pewnie rzeczywiście jest zagniewany. Mimo to ufam, że podejmie właściwą decyzję.

Eden spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Też chciałabym w to wierzyć, ale on jest tak dumny... a ja nie chcę sprawić mu bólu.

- A tam - zachnęła się lady Penhollow. - Jesteś nie gorsza niż ja, córka rzeźnika. W oczach Millie Willis obydwie jesteście równie godne pogardy. Ostrzegam cię, niełatwo jest znieść przytyki i złośliwe spojrzenia tych bab, ale mam nadzieję, że ty będziesz ode mnie mądrzejsza. Och, Eden, przeżyłam tu naprawdę ciężkie chwile. Czułam się tak, jak ty czujesz się teraz. Wydawało mi się, że na nic nie zasługuję, nawet na mojego syna... a Pierce cierpiał z tego powodu. Dopiero niedawno to zrozumiałam.

Uścisnęła dłoń Edena.

- Odkąd ty tu jesteś, jest szczęśliwy jak nigdy dotąd. Ale teraz nadeszła dla was chwila próby. Czy chcesz zrezygnować z Pierce'a i bezustannie narzekać, że na niego nie zasługujesz, czy też będziesz o niego walczyć?

- To samo pytanie zadała mi wdowa Haskell. Nie chcę zniszczyć mu życia.

- No to odpowiedzże wreszcie! Czy kochasz mojego syna na tyle mocno, by o niego walczyć?

- Tak! - powiedziała Eden i zerwała się na równe nogi. - Ale może już być za późno.

- Eden, nigdy nie jest za późno. Musisz go tylko nauczyć, że problemom trzeba stawić czoło, a nie uciekać od nich.

- Jak mam to zrobić?

- Najpierw weźmiesz gorącą kąpiel i włożysz suche ubranie. Potem opracujemy plan działania.

- Plan? - zdziwiła się Eden i ruszyła za lady Penhollow, która skierowała się już ku drzwiom.

Lady Penhollow zdmuchnęła świecę.

- Same spróbujemy trochę poczarować. - Wzięła Eden za rękę i wyprowadziła ją z gabinetu.

18

Przez pierwsze dwa dni po przyjeździe do Londynu Pierce wałęsał się bez celu. Wmawiał sobie, że jest zajęty.

Nie był.

Jako że tak rzadko pojawiał się w stolicy, miał mnóstwo spraw do załatwienia i spotkał wielu dawno nie widzianych znajomych. Niektórzy z nich byli przyjaciółmi jego ojca. Pierce fatalnie się czuł w ich towarzystwie i jedna wizyta w dawnym klubie ojca zupełnie mu wystarczyła.

Nie mógł się tylko zdobyć na to, by skontaktować się z Whitby w sprawie Króla Kornwalii. Zresztą chodziły słuchy, że Whitby wyjechał do swojej stadniny w Sawston. Pierce w każdej chwili mógł się tam wybrać, ale coś go przed tym powstrzymywało. Nie potrafił nawet zmusić się do napisania listu do Whitby'ego.

Gdyby nie Król Kornwalii... Ten koń był jego jedynym przyjacielem w ciężkich chwilach, kiedy wszyscy inni go opuścili. Pierce zdawał sobie sprawę, że popada w sentymentalizm, ale nie mógł nic na to poradzić. Król Kornwalii nie był zwykłym koniem. Był częścią jego życia.

Dlatego też Pierce w końcu udał się do lichwiarzy. Okazało się to jednak błędem. Wszyscy chcieli Króla Kornwalii w zastaw, a odsetki miały być tak wysokie, że Pierce obawiał się, iż tak czy inaczej utraci swojego ukochanego rumaka.

Poza tym bezustannie myślał o Eden. Był na nią wściekły. Wykorzystała go, zdradziła... a mimo to tęsknił za nią.

W środku nocy zrywał się ze snu i nie mógł już zasnąć. Zastanawiał się, co też ona robi i czy za nim tęskni.

Dręczyły go też bardziej mroczne pytania. Kiedy myślał o tym, jak doskonale znała potrzeby mężczyzn i wyobrażał sobie, w jaki sposób mogły wyglądać jej lekcje, miotała nim gwałtowna zazdrość.

Wreszcie trzeciego dnia, wbrew rozsądkowi, poszedł do Opactwa, burdelu, którego właścicielką była madame Indrani. Znajdował się on w niepozornej dzielnicy niedaleko Banku Anglii, zamieszkiwanej głównie przez sklepikarzy i kupców. Dom madame był największy w tej okolicy. Stał przy skromnej plebanii i otoczony był wysokim murem. Żelazna brama prowadziła na podjazd biegnący do frontowych drzwi.

Pierce przystanął przy bramie, po czym z wahaniem wszedł na pierwszy stopień schodów i pociągnął za sznurek dzwonka. W drzwiach stanął Firth, wypełniając niemal całą framugę swoim potężnym cieleśkiem.

- Chcę się zobaczyć z madame Indrani.

- Jest pan z nią umówiony? - Wyglądało na to, że Firth go nie rozpoznał.

Pierce wręczył mu swoją wizytówkę. Olbrzym rzucił na nią okiem, po czym bez słowa zaprowadził lorda Penhollow do biblioteki.

- Zaniosę madame pańską wizytówkę.

W bibliotece, tak jak w całym domu, unosiła się woń kadzideł. Na wszystkich stołach poustawiane były wazony z kwiatami, a wystrój świadczył o bogactwie właścicielki. Nie ulegało wątpliwości, że meble doбираła kobieta. Biurko i krzesła zdobiły motywy przedstawiające ptaki i kwiaty. Na podłodze i dużej kanapie, zajmującej niemal całą ścianę pokoju, leżały wielkie poduchy. Nad kanapą wisiał obraz przedstawiający apetyczną nagą Turczynkę.

Dopiero po dłuższej chwili Pierce rozpoznał w niej młodą madame Indrani.

Drzwi biblioteki otworzyły się.

- Lord Penhollow, cóż za niespodzianka - powiedziała madame

Indrani swoim mocno akcentowanym angielskim. Podeszła do niego zwiewnym krokiem, pobrzękując melodyjnie bransoletami. Miała na sobie czerwonożółtą brokatową suknię i turban w tym samym kolorze. Złote nitki połyskiwały w świetle wpadającym przez wielkie okna. - O ile wiem, rzadko pan przyjeżdża do Londynu - powiedziała, po czym zapytała wprost: - Co pana tu sprowadza?

Co go tu sprowadzało? Pierce sam się nad tym zastanawiał. Stał sztywno wyprostowany na środku pokoju.

Madame rozsiadła się na kanapie.

- Chodzi o Eden - odpowiedziała sama sobie. - Mam rację?

- W pewnym sensie.

- Mam nadzieję, że nic się jej nie stało?

- Nie, bynajmniej.

- To dobrze. Proszę, niech pan siądzie. - Machnęła ręką w stronę drugiego końca kanapy i wzięła ze stolika rzeźbione drewniane pudełko. W środku leżały cienkie cygara. - Zapali pan?

Pierce przysiadł niepewnie na pluszowych poduszkach i potrzęsął głową.

- Nie, dziękuję.

- Ale nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że ja sobie zapalę? - Nie czekając na odpowiedź, włożyła cygaro do ust, zapaliła je od świeczki i zaciągnęła się głęboko. Odchyliła się do tyłu. - Przyszedł pan tu, by mnie o coś zapytać, choć nie wiem, czy chce pan to przyznać - powiedziała z uśmiechem.

Milczał, ona zaś mówiła dalej:

- Jest pan ciekaw, skąd ona się wzięła? Jak wyglądało jej życie? Nie może pan pogodzić się z tym, że Eden nie jest taką kobietą, za jaką pan ją uważał.

- Jest pani bardzo spostrzegawcza, madame.

Wzruszyła ramionami.

- W moim fachu to się przydaje. Proszę mi powiedzieć, milordzie, jak pan odnalazł mój dom?

- Czy to ważne?

- Zawsze mnie to interesuje.

- Zapytałem o panią kilku znajomych. Jeden z nich okazał się stałym bywalcem pani przybytku.

- I zastanawiał się pan, czy ten człowiek znał pańską żonę?

- Tak, a niech to diabli - odparł Pierce krótko.

Madame roześmiała się cicho.

- Może pan być spokojny, on nie mógł jej znać. Eden była jak piękny brylant pokazywany tylko wybrańcom. Od początku przeznaczyłam ją dla Ibn Sibaha, ale miała tak duży talent muzyczny, że od czasu do czasu kazałam jej grać dla ważniejszych gości. Słyszał pan, jak ona gra?

- Tak.- Teraz już znał jeden z powodów, dla których tu przyszedł: musiał zaspokoić wywołaną zazdrością ciekawość, która rozgorzała w jego duszy.

Madame zgasiła cygaro.

- Proszę za mną - nakazała, podnosząc się z kanapy.

- Dokąd pójdziemy?

- Pokażę panu to, co pan myśli, że chce zobaczyć.

Pierce z wahaniem ruszył za madame Indrani. Poprowadziła go korytarzem do wielkiego salonu, tonącego w zieleni i różu. Pierce nie mógł się oprzeć wrażeniu, że miejsce to przypadłoby do gustu jego matce i jej przyjaciółkom. Dopiero po chwili poczuł unoszącą się w powietrzu woń tytoniu i alkoholu, mimo pootwieranych okien i zapalonych kadzideł. Po drugiej stronie pomieszczenia stał duży kontuar, ukryty za parawanami.

- Tutaj goście spotykają się z moimi dziewczętami - powiedziała wskazując pokój szerokim gestem. Kiwnęła głową w stronę fortepianu. - Właśnie na tym instrumencie Eden nauczyła się grać. Jestem przekonana, że każda kobieta powinna choć trochę znać się na muzyce. Muzyka uspokaja dzikie dusze. Mężczyzn także - dodała półzartem.

Nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła szerokimi, krętymi schodami w górę. Pierce poszedł za nią. Po drodze minęły ich dwie kobiety; sądząc po stroju, wybierały się na zakupy. Gdyby Pierce zobaczył je na ulicy, pomyślałby, że to prawdziwe damy, a nie królowe nocy. Mijając go, popatrzyły na niego spod długich rzęs z nie skrywanym zaciekawieniem. Miały w sobie śmiałość, która cechowała też Eden, a z ich oczu wyzierało doświadczenie.

- Wiedzą, kim jestem?

- Tak sędzę - odparła madame. - W domu pełnym kobiet nie

ma tajemnic. Mimo swojej urody, Eden była bardzo lubiana. Kiedy doszły do nas wieści o jej zniknięciu, wszystkie bardzo się o nią martwiłyśmy.

Na piętrze przystanęła. Wzdłuż korytarza ciągnęły się dwa rzędy drzwi. Kilka kobiet przypatrywało się Pierce'owi z zaciekawieniem.

- Tutaj przyjmujemy naszych gości - powiedziała madame. - Chce pan obejrzyć któryś pokój?

Pierce potrząsnął głową.

Madame uśmiechnęła się lekko i zaczęła wchodzić na drugie piętro.

Pierce zaczynał czuć się nieswojo w obecności tylu kobiet, zwłaszcza że wiele z nich było w daleko posuniętym negliżu. Wszystkie odznaczały się niezwykłą urodą, ale większości brakowało niewinności i wesołości jego żony.

Na drugim piętrze madame przystanęła.

- Tutaj mieszkają dziewczęta. - Otworzyła drzwi pokoju, w którym stały tylko krzesła. - A to jest moja klasa. Tutaj uczę moje podopieczne manier i opowiadam im o sprawach, o których dama powinna wiedzieć.

- Osiąga pani doskonałe rezultaty.

- To prawda, ale trzeba przyznać, że Eden była nadzwyczaj dobrą uczennicą. Starała się ciągle rozwijać swoje umiejętności. Żadna z moich dziewczyn nie pracowała tak ciężko jak ona. Proszę, niech pan pójdzie za mną.

Weszli na ostatnie, trzecie piętro. Madame podeszła do pierwszych z brzegu drzwi i otworzyła je kluczem z kółka wiszącego u biodra.

Za nimi znajdował się mały pokój na poddaszu.

- Tu mieszkała Eden - powiedziała madame.

Pierce wszedł do środka. Musiał się schylić, by nie uderzyć głową w sufit. Stało tu małe łóżko i kuferek. Mały pokój przywodził na myśl raczej celę mniszki niż mieszkanie prostytutki. Pierce podszedł do okna, za którym znajdował się mały balkon. Rozciągał się z niego widok na piękny ogród po drugiej stronie ogrodzenia.

- Mieszkała tu przez trzynaście lat - powiedziała madame

Indrani bez cienia sentymentu.- Inne dziewczęta narzekałyby i domagały się, by przeniesiono je do wygodniejszych izb, ale Eden doskonale się tu czuła.

Pierce musnął palcami gładki drewniany kuferek.

- To właśnie chciał pan zobaczyć, prawda? - spytała madame Indrani. - To chciał pan wiedzieć?

- Tak, właśnie to. - Zupełnie inaczej wyobrażał sobie to miejsce w czasie owych bezsennych nocy, strawionych na jałowych rozmyślaniach.

Madame Indrani wydeła wargi i zmierzyła Pierce'a spojrzeniem.

- Chyba powinnam panu pokazać coś jeszcze.

Stał jak odrętwiały.

- Myślę, że zobaczyłem już dosyć.

- Nie, nie, musi pan pójść ze mną w jeszcze jedno miejsce. - Odwróciła się i wyszła z pokoju.

A on podążył za nią, nie widząc innego wyjścia.

Zszedłszy na dół, madame Indrani kazała Firthowi przygotować powóz do drogi. Po kilku minutach stał on już pod drzwiami. Mosiężne ozdoby połyskiwały w świetle chyłącego się ku zachodowi słońca.

Pierce nie chciał nigdzie jechać w towarzystwie tej kobiety. Niepotrzebnie tu w ogóle przychodził. Odwiedziny w tym domu nie pomogły mu wyzbyć się wszystkich wątpliwości.

Wyszedłszy na zewnątrz, ominął otwarte drzwi powozu.

- Jestem pewien, że widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć. Nie będę zabierał pani więcej czasu, madame.

Uchylił kapelusza i odwrócił się, chcąc odejść, ale madame złapała go za rękę.

- Nie, nie może pan jeszcze sobie pójść. Przychodząc tutaj, kierował się pan czymś więcej niż tylko ciekawością. Jest pan niezwykłym człowiekiem, lordzie Penhollow, człowiekiem prawdziwie gorącego serca. Zauważyłam to już przy naszym pierwszym spotkaniu. Nie może pan przestać myśleć o Eden, prawda? Wciąż się pan na nią złości. Widzę to w pańskich oczach, ale widzę też, że ciągle panu na niej zależy i to właśnie najbardziej pana irytuje.

- Wydaje mi się, że moje sprawy nie powinny pani interesować.

- Wręcz przeciwnie. Byłam dla tej dziewczyny matką, nau-

czycielką i siostrą. Ja jedną broń Eden i nie pozwolę, by pan ją osądzał, dopóki nie zobaczy pan wszystkiego. Dopóki nie zrozumie pan, dlaczego dokonała w swoim życiu takich, a nie innych wyborów. - W jej oczach rozbłysło wyzwanie. - Tylko czy jest pan dość silny, by stawić czoło prawdzie?

Opuściła rękę i Firth otworzył drzwi powozu.

- Chodźmy, milordzie. Zapraszam na krótką przejażdżkę.

Pierce wsiadł do powozu. Firth zajął miejsce obok stangreta.

Dzień był piękny jak na Londyn. Powietrze było stosunkowo rześkie i dawało się w nim wyczuć nadchodzącą jesień.

Z sąsiadującej z Opactwem plebanii wyszła młoda kobieta z jasnowłosym dzieckiem na ręku. Powiodła spojrzeniem za przejeżdżającym powozem, po czym przeszła na drugą stronę ulicy, do parku.

- Dokąd jedziemy? - spytał Pierce.

- Zobaczy pan.

Powóz zostawił za sobą spokojną dzielnicę i wjechał na zatłoczoną Threadneedle Street. Wieczór zbliżał się błyskawicznie. Na ulicach kładły się długie cienie budynków.

Powóz skręcił raz, potem drugi. Pierce nigdy jeszcze nie widział tej części Londynu. Ulice robiły się coraz węższe. Im głębiej powóz brnął w ten labirynt, tym więcej pojawiało się sklepów z alkoholem. Smród odpadów stawał się nie do zniesienia, a uliczki, choć wydawało się to niemożliwe, z każdą chwilą były coraz bardziej zatłoczone. Przed oczami pasażerów powozu przewijały się wychudzone twarze, wodzące za nimi tępym wzrokiem. Pierce widział, jak jasnowłosa prostytutka wyciąga portfel z kieszeni mężczyzny, jednocześnie namawiając go na skorzystanie z jej usług.

Tu cały świat wydawał się spowity w cieniu.

Tutaj mieszkała londyńska biedota, ludzie skazani na nędzę. Na tych tętniących życiem ulicach czyhało niebezpieczeństwo... tu na każdym kroku można było spotkać się z niespotykanym okrucieństwem. Ludzie bez najmniejszych skrupułów zabijali jedni drugich i nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

- Gdzie jesteśmy? - spytał szeptem Pierce.

- Ta dzielnica nazywa się Rookery. To najbardziej odrażające miejsce na świecie - odparła madame. Jechała z wysoko pod-

niesioną głową; najwyraźniej, mimo swojego bogatego stroju, pewnie się czuła w tej okolicy.

Po chwili trąciła stangreta w ramię laską inkrustowaną kością słoniową. Powóz zatrzymał się.

Madame wskazała laską wyłot ciemnej alei.

- Tam właśnie ją znalazłam. Grzebała w śmieciach razem z innymi dziećmi. Szukały czegoś do jedzenia.

Odwróciła się do Pierce'a.

- Wielu uważa, że wyciągnęłam Eden z tego piekła ze względu na jej urodę. Ale zapewniam pana, milordzie, że kiedy ją zobaczyłam po raz pierwszy, nie było w niej ani trochę piękna. Natomiast wielkie wrażenie zrobiła na mnie jej godność. Podczas gdy inne dzieciaki pętały się wokół jak małe szczury, Eden stała i patrzyła mi prosto w oczy. Wydawało się, że zwęszyła okazję, by wyrwać się z tego bagna.

- Owszem, umie wykorzystać każdą okazję - powiedział Pierce, nie potrafiąc ukryć goryczy.

- Jak my wszystkie - odparła beznamytnie madame. - Poza tym, piękno przemija, ale duch... duch na zawsze zostaje w człowieku. A ja w tym dziecku dostrzegłam właśnie wielką siłę ducha. Skinęłam na Eden palcem, to wszystko, a ona w mgnieniu oka wskoczyła do mojego powozu. Spytałam ją, czy wie, kim jestem. A ona na to, że wszyscy mnie znają. Że jestem szefową dziwek, która zbiera dziewczyny z ulicy i daje im pracę. Tak właśnie mnie nazwała. Szefową dziwek.

Madame zamknęła oczy na to wspomnienie, po czym spojrzała na Pierce'a.

- Nie podoba się panu to, co robię, lordzie Penhollow, i nie mam o to do pana żalu. Nie może pan zrozumieć, że niektórym kobietom, by przeżyć, nie pozostaje nic innego jak tylko sprzedać się. Nasze ciała są chodliwym towarem. Uratowałam wiele dziewczyn od życia w nędzy.

- I zmusiła je pani do życia w niewoli, jak w tym haremie, do którego trafić miała Eden.

Madame parsknęła śmiechem.

- A czym, pana zdaniem, jest małżeństwo?

- Dla mnie to więź, przysięga łącząca dwoje ludzi.

- No to cóż pan tu robi, milordzie? - spytała, odchylając się do tyłu i kładąc dłoń na biodrze. - Po co te wszystkie pytania? Czyżby właśnie odkrył pan, że zanim „śmierć was rozłączy”, może upłynąć wiele, wiele czasu?

Pierce miał ochotę strzelić ją w tę bezczelnie uśmiechniętą twarz, ale wtedy właśnie Firth odwrócił się i groźnie łypnął na niego oczami.

Pierce wysiadł z powozu. Uchylił kapelusza.

- Dziękuję za przejażdżkę, madame Indrani, ale pozwoli pani, że dalej pójdę pieszo.

Podawała mu rękę, jakby ich spotkanie miało czysto towarzyski charakter.

- Miło było znów pana widzieć, milordzie.

Pochyliwszy głowę w lekkim ukłonie, odwrócił się na pięcie i poszedł przed siebie. Powóz ruszył z miejsca.

Do uszu Pierce'a dobiegł głos madame Indrani.

- Niech pan uważa na siebie, lordzie Penhollow. To niebezpieczna okolica.

Pierce szedł dalej. Nie bał się, że zostanie obrabowany. Chętnie obiłby gęby paru rabusiom. Może tego właśnie było mu trzeba, by dać upust tkwiącej w nim złości.

Eden posłużyła się nim do swoich celów. Życie nauczyło ją, że należy w pełni wykorzystać wszelkie nadarzające się okazje, a on, zaślepiony miłością głupiec, dał się jej omotać. Przyszedł do madame Indrani w nadziei, że uzyska odpowiedzi na dręczące go pytania, ale nie spodobało mu się to, co usłyszał.

Przystanął na chwilę, by zorientować się, gdzie właściwie jest. Dotąd nie zwracał uwagi na to, w którym kierunku idzie, i zaczął się zastanawiać, czy aby nie powinien zawrócić. Ze sklepu z alkoholem wytoczyli się dwaj marynarze, obejmujący jakąś dziewczynę, i omal nie wpadli na Pierce'a. Sukienka dziewczyny była podwinięta do pasa.

- Hejże, z drogi, koleś! - krzyknął do niego jeden z marynarzy, a drugi odepchnął go mocno. Następnie cała trójka chwiejnym krokiem potoczyła się w głąb ulicy. Żaden z przechodniów nie zwrócił uwagi na półnagą dziewczynę, jakby taki obrazek nie był tu rzadkością.

Im ciemniej się robiło, tym bardziej przerzedzały się ulice. Pierce miał dość oleju w głowie, by wiedzieć, że nie powinien tu spacerować po zmroku. Skierował się na zachód, w stronę hotelu. Obliczył, że szybkim krokiem powinien dojść tam w piętnaście minut, no, może pół godziny. Szedł z pochyloną głową, unikając spojrzeń mijanych ludzi.

Z góry dobiegł okrzyk. Ktoś wylewał nieczystości prosto na ulicę. Pierce'owi w ostatniej chwili udało się uskoczyć. Wtedy niezgrabnie wpadła na niego jakaś kobieta. Pierce poczuł, że jej ręka wślizguje mu się do kieszeni. Szybkim ruchem złapał złodziejkę za nadgarstek.

- Co do stu...

Słowa uwięzły mu w gardle. Złodziejką okazała się nie kobieta, tylko dziewczynka, wyglądająca na nie więcej niż dwanaście lat. Miała duże czarne oczy i zapadłe z głodu policzki.

- Przepraszam, szefie, ja... ten... potknęłam się - wyrzuciło dziecko. - Może mnie pan już puścić?

Ale Pierce tego nie zrobił. Wpatrując się w nią, widział na jej miejscu inną dziewczynkę, o dużych zielonych oczach i długich ciemnych włosach. Widział w niej Eden.

Czy Eden też nauczyła się okradać przechodniów, by mieć za co kupić jedzenie? Czy nosiła suknię ze zbyt dużym dekoltem dla dziecka w jej wieku? Czy gdyby dłużej tu została, jej twarz także pokryłaby się bliznami po ospie?

Widząc, gdzie utkwiał wzrok, dziewczynka ze wstydem potarła policzki dłonią.

- Próbowałaś mnie okraść - powiedział.

Zmarszczyła brwi, a jej rysy stały się łagodniejsze.

- Wcale nie. Chciałam się tylko zabawić. - Przywarła do niego całym ciałem. - Pan też by chciał, co, szefuniu? Moglibyśmy się schować w tej alejce i za dwadzieścia szylingów nieźle się zabawić. To niedrogo, co nie?

- Ile masz lat?

Suknia zsunęła się z ramienia dziewczynki. Mała poruszyła się tak, by spod dekoltu wyłoniła się pierś.

- Dość dużo, coby wiedzieć, jak szanownego pana zadowolić.

Pierce puścił ją i wyjął sakiewkę. W środku było dziesięć funtów.

- Masz, weź to. Więcej nie mam.

Uśmiech rozjaśnił chudą twarz dziecka.

- O rany, panie, za tyle to ja mogę panu całą noc dobrze robić. - Znów otarła się o niego. - Przystojniak z pana, nie ma co.

Pierce odepchnął ją lekko.

- Nie o to mi chodzi! Weź te pieniądze i uciekaj z tego przeklętego miejsca! Wyjedź z Londynu. Ratuj się, póki możesz!

- A na co miałabym stąd wyjeżdżać, skoro mam tyle forsy? Odbiło panu czy jak? - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i zniknęła w ciemnej alejce, z której przyszła.

Pierce zamyślił się. Dał tej dziewczynie szansę, a ona z niej nie skorzystała. Co więcej, swoim dobrym uczynkiem wzbudził w niej pogardę.

Ruszył przed siebie już wolniejszym krokiem, wciąż pogrążony w zadumie. Oto w Londynie, w samym sercu cywilizacji, rozciągała się dżungla, w której kobiety miały bardzo małą wartość albo nie miały jej wcale... a jego żonie udało się stąd uciec.

Po powrocie do pokoju hotelowego Pierce wyciągnął papier i pióro, po czym napisał list do Whitby'ego, w którym proponował mu kupno Króla Kornwalii

Kiedy skończył, przez długą chwilę siedział w bezruchu. Niełatwo mu było podjąć tę decyzję, ale w końcu to uczynił. Nie zastanawiał się już, czy Eden go kocha... Właściwie był tego pewien.

Tylko czy zdoła jej wybaczyć?

Wydawało mu się, że tak. W każdym razie był gotów uwierzyć, że ich małżeństwo da się uratować.

Następnego ranka wyruszył w drogę powrotną do Kornwalii.

Pierce wszedł do Penhollow Hall. Po dwóch dniach jazdy był spocony i zmęczony. Marzył wręcz o tym, by się wykapać i ogolić. Tak mu się spieszyło do domu, że ostatniej nocy, by nie tracić czasu, nie pojechał do gospody, tylko zdrzemnął się na gołej ziemi.

Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Eden i powie, że wszystko jej wybacza. Wciąż pamiętał, jaka była roztrzęsiona, gdy odjeżdżał. Z pewnością ucieszy się na jego widok i będzie mu dozgonnie wdzięczna za okazaną jej wielkoduszność.

Rawlins czekał na swojego pana pod drzwiami. Pierce wręczył mu kapelusz, rękawiczki i kuferek.

- Gdzie moja żona? - spytał, rozglądając się po holu. Spodziewał się, że lada chwila zobaczy Eden.

- Hrabina? - odpowiedział pytaniem Rawlins, lekko zaniepokojony.

Pierce spojrział na lokaja ze zdziwieniem.

- Oczywiście, że hrabina. Jak inaczej nazwałbyś moją żonę?

- Ja... - Rawlins wyraźnie się wahał. - Rzeczywiście, nazwałbym ją hrabiną, milordzie.

- No właśnie. Gdzie ona jest?

- Ona? To znaczy kto?

Pierce patrzył na Rawlinsa, zastanawiając się, czy ten stary piernik do reszty postradał zmysły.

- Chcę się zobaczyć z żoną - powiedział stanowczo. - Natychmiast. Gdzie ona jest?

Rawlins zbladł, po czym otworzył i zamknął usta, jak ryba wyjęta z wody. Nie odpowiedział.

Zza jego pleców dobiegł spokojny głos matki Pierce'a.

- Jej tu nie ma.

Omijając Rawlinsa, Pierce wszedł do domu. Zauważył, że pani Meeks ukradkiem obserwuje go z jadalni, a Betsy i Gordon stoją w drzwiach gabinetu i patrzą na niego szeroko otwartymi oczami. Pod spojrzeniem lorda Penhollow wszyscy troje cofnęli się, jakby nie chcieli zwracać na siebie jego uwagi.

Pierce nachylił się i złożył pocałunek na policzku matki. Lady Penhollow trzymała wazon ze świeżymi kwiatami z ogrodu.

- Czy Eden roznosi koszyki dla ubogich w Hobbles Moor?

- Nie - odparła spokojnie lady Penhollow. - Ten ciemnoniebieski surdut doskonale na tobie leży, Pierce. Naprawdę. - Ruszyła w stronę Sali Ogrodowej.

Pierce, zdezorientowany, poszedł za nią.

- Wybrała się na przejażdżkę konną?

Lady Penhollow potrząsnęła głową.

- Nie.

- No to kiedy wróci? - Nie tak wyobrażał sobie swój powrót do domu.

Matka zatrzymała się.

- Och, Pierce, ona już nie wróci.

- Nie wróci? - powtórzył, niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Przecież wyjechałeś, prawda? - spytała beznamyślnym tonem. - Co, spodziewałeś się, że Eden będzie na ciebie czekała?

Tego właśnie się spodziewał - i wciąż nie mógł uwierzyć, że ona go opuściła.

Odwrócił się na pięcie, po czym, przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę, popędził do sypialni i pchnął drzwi z całej siły.

Wszystko wyglądało tak jak przed jego wyjazdem... ale tylko na pierwszy rzut oka.

Rzeczy Eden nie zajmowały wiele miejsca. Nie miała żadnych bibelotów ani innych drobiazgów, które namyślnie kolekcjonują kobiety. Nie nosiła też biżuterii, nie licząc ślubnej obrączki i złotego łańcuszka, z którym nigdy się nie rozstawała.

Za to w garderobie od razu dało się zauważyć nieobecność Eden. Przed lustrem nie było ani srebrnego grzebienia, ani szczotki, które jej podarował. Pierce otworzył szafę. Suknie też zniknęły.

Eden odeszła.

Pierce popędził jak szalony do Sali Ogrodowej. Matka układała właśnie kwiaty w wazonie.

- Gdzie ona jest? - krzyknął.

Lady Penhollow uśmiechnęła się.

- Odeszła, Pierce. Widzisz, ona nie jest taka głupia jak ja. Na moim przykładzie zobaczyła, że człowiek nie powinien pozostawać tam, gdzie go nie chcą, bo to się źle kończy. Powiedziała, że nie chce takiego małżeństwa i wyprowadziła się.

- Wyprowadziła się? - Jego głos przetoczył się po pokoju niczym grzmot. - Dokąd?

- Mieszka z wdową Haskell - odparła spokojnie lady Penhollow, przekładając stokrotkę w bukiet.

Pierce wypadł z pokoju, zanim skończyła mówić.

Gdy drzwi frontowe zatrzasnęły się za Pierce'em, do Sali Ogrodowej zaczęli nieśmiało schodzić się służący; najpierw pojawiła się pani Meeks, potem dołączyli do niej Betsy, Rawlins, a nawet pani Ivy.

- Myśli pani, że ten plan się powiedzie? - spytała pani Meeks w imieniu wszystkich.

W tej chwili od strony stajni dobiegł głos Pierce'a który donośnie domagał się, by przyprowadzono mu wypoczętego rumaka.

Lady Penhollow uśmiechnęła się łagodnie.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

19

Pierce rzucił się biegiem do stajni, krzycząc do Jima, by osiodłał Króla Kornwalii. Koń wychylił łeb ze swojego boku i zarżał cicho. Pierce poklepał go na powitanie, a Jim i jeden ze stajennych wrzucili siodło na grzbiet tego pięknego rumaka.

- Będzie mi ciebie brakowało, stary- powiedział szeptem Pierce. - Ale nie mogę bez niej żyć, nawet jeśli przez nią postradam zmysły.

Król Kornwalii trącił go pyskiem, jakby chciał go ponaglić, by szybciej ruszył na poszukiwania Eden.

Po kilku minutach koń z Pierce'em na grzbiecie pędził już galopem w stronę Hobbles Moor, błyskawicznie pokonując kolejne metry.

Kiedy jechali przez wieś, zza kuźni wyłonił się Dane.

- Najwyższy czas, kurka wodna, żebyś się tu pokazał, lordzie Pierce!

Na dźwięk jego imienia wieśniacy oderwali się od swoich zajęć i podnieśli głowy, a dzieci pobiegły na drogę, by go zobaczyć. Król Kornwalii przemknął jak huragan przez Hobbles Moor, pędząc w stronę małej chatki na skraju wrzosowiska.

Podjechawszy pod dom wdowy Haskell, Pierce zeskoczył z konia.

Wdowa siedziała przed domem i jakby nigdy nic głaskała swojego oswojonego koguta, Przystojniaka. Nie zdziwiła się na widok Pierce'a.

- Gdzie Eden?
- Poszła nad Zatokę Pustelnika.
- Nad Zatokę Pustelnika? Co ona tam robi, do stu diabłów?
- Tam wszystko się zaczęło, prawda? - spytała wdowa, szczerząc w uśmiechu szczerbate zęby. - Chciała rozprostować nogi i zapragnęła raz jeszcze zobaczyć to miejsce. Lepiej niech się pan pospieszy, wielmożny panie. Niedługo zachód słońca.

Ale Pierce'a już tu nie było.

Kiedy po raz drugi jechał przez Hobbles Moor, przed domami stało jeszcze więcej wieśniaków niż poprzednio. Wszyscy pokrzykiwali do niego, udzielając mu najprzeróżniejszych rad dotyczących małżeństwa i miłości.

Pierce aż zaczął się zastanawiać, czemu w tej przeklętej Kornwalii nie da się niczego zachować w tajemnicy!

Znalazłszy się przy kamienistej ścieżce prowadzącej nad Zatokę Pustelnika, Pierce przywiązał konia do rachitycznego krzewu i ruszył w stronę plaży. Do jego uszu dobiegał szum wody wpływającej przez wąską gardziel do małej zatoki.

Szedł pewnym krokiem człowieka, który nieraz śmigał po tych śliskich kamieniach. Szybko wskoczył po skalnych stopniach na półkę schodzącą ku niewielkiej plaży... i zobaczył Eden.

Spacerowała boso brzegiem morza. Trzewiki i pończochy leżały na kamienistej plaży. Kiedy jedna z fal zmoczyła jej stopy, Eden uniosła suknie i roześmiała się wesoło.

Dobry Boże, ależ była piękna.

Ciemne włosy miała luźno związane z tyłu. Nosiła jego ulubioną ciemnoniebieską suknię. Ale zachwyciło go w niej coś więcej niż tylko uroda. W chwili, kiedy ją zobaczył, opanowało go uczucie spokoju i zadowolenia. Czuł się tak, jakby odnalazł drogą, brakującą część swojej duszy. Wystarczyła bliskość Eden, by Pierce znów poczuł się w pełni człowiekiem.

Jego żona. Jego miłość. Jego życie.

Eden odwróciła się w stronę brzegu. Jej oczy iskrzyły się radością życia... dopóki nie spoczęły na nim. Wówczas z jej ust wyrwał się cichy okrzyk zaskoczenia. Cofnęła się o krok i dopiero wtedy rozpoznała obserwującego ją człowieka.

- Pierce?

Skinął głową, uszczęśliwiony tym spotkaniem.

Ona jednak zmarszczyła brwi.

- Co tu robisz?

Nie takiej reakcji oczekiwał.

- Przyszedłem, by zabrać cię do domu.

Eden wyprostowała się, a jej oczy rozbłyły wojowniczo.

- Nie mamy już wspólnego domu. Przecież mnie zostawiłeś.

Pierce podszedł bliżej. Kiedy Eden zaczęła cofać się przed nim do wody, zatrzymał się.

- Nigdy cię już nie zostawię - powiedział wielkodusznie. - Wybaczyłem ci wszystko.

- Wybaczyłeś mi?

- Tak. Tego właśnie chciałaś, prawda?

Zrobił krok w jej stronę, ale ona cofnęła się. Spódnica była już do połowy nasiąknięta wodą. Eden dumnie uniosła podbródek.

- Ale ja tobie nie wybaczyłam.

Pierce *ośłupiał*.

- Czego mi nie wybaczyłaś?

- Tego, że mnie opuściłeś.

Podniósł oczy ku niebu.

- Eden, nie opuściłem cię ani nie odtrąciłem. Pojechałem do Londynu. W interesach.

- Ale wyjeżdżając nie byłeś pewien, czy wrócisz, prawda?

Trafiła w dziesiątkę. Był wtedy tak wściekły, że faktycznie przyszła mu do głowy i taka myśl.

- Byłem zdenerwowany...

- Ja też, Pierce.

Jej słowa ugodziły go prosto w serce.

- Masz rację. Nie powinienem był dać się ponieść nerwom i cię zostawić. Ale wróciłem, Eden, i znów jesteśmy razem.

- Nie. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Całkiem miło mi się mieszka u wdowy Haskell. Nie muszę się przed nikim tłumaczyć ze swojej przeszłości. Jeśli do ciebie wrócę, zawsze będziesz mi wypominał, czym byłam i jak cię oszukałam.

- Nie, nie będę - powiedział z lekkim zniecierpliwieniem.

- Właśnie, że będzie.

- Nie! Nieprawda.

- A właśnie, że tak.

Przez długą chwilę Pierce patrzył na nią w milczeniu. Wreszcie ruszył ku niej.

- Kiedy to stałaś się tak uparta?

Otworzyła szerzej oczy i cofnęła się o parę kroków. Fale sięgały jej już do bioder.

- A kiedy ty stałaś się takim tyranem?

Pierce nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Stanął na brzegu zatoki.

- Eden, masz w sobie więcej dumy niż niejedna księżna... i taka właśnie mi się podobaś. Chodź - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Dajmy temu spokój i wróćmy do domu.

- Do łóża? - spytała ze złośliwym uśmiechem.

Wyszczrzył radośnie zęby.

- Doskonały pomysł. Ogarnia mnie niewypowiedziane pragnienie, by pocałować swoją żonę. - Postąpił krok w jej stronę. Woda omywała mu już czubki butów.

- Ale ona nie chce pocałować ciebie.

Przez chwilę Pierce nie wierzył własnym uszom. Zaczynało mu już brakować cierpliwości.

- Eden, jestem zmęczony. Galopowałem jak huzar, by wrócić do ciebie jak najszybciej. Dość już mam tej głupiej zabawy. Wyjdź wreszcie z wody i chodźmy do domu.

- Nie. - W jej zielonych oczach błysnął upór i gniew Pierce'a zaczął przybierać na sile.

- Ja nie żartuję, Eden! Wyjdź z wody!

- Ja też nie żartuję, Pierce. Wyjdę, kiedy ty sobie pójdziesz.

W głosie Pierce'a zabrzmiała złowroga nuta.

- Cóż, bez ciebie stąd nie pójde. Jesteś moją żoną i zabieram cię do domu.

A ona miała czelność odpowiedzieć:

- No to jeszcze długo będziemy tak stali i patrzyli na siebie.

Pierce w myśli przeanalizował sytuację. Nie zamierzał wrócić do Penhollow Hall bez żony, a skoro ona nie chciała przyjść do niego z własnej woli... Wszedł do wody i ruszył w stronę Eden. Wiedział, że zniszczy sobie buty, ale nie miał na to rady.

- Pierce, co robisz? - krzyknęła.

Szedł dalej.

Eden znów zaczęła się cofać. Woda sięgała jej już do piersi. Pierce wiedział, że żona nie umie pływać, nie mogła więc wejść za głęboko. Cały czas szedł ku niej.

- Pierce, przestań. Zniszczysz sobie surdut.

Słusznie. Przystanął na chwilę, zdjął surdut i cisnął go na plażę, po czym znów ruszył w stronę Eden.

W jej oczach pojawił się strach i coś jeszcze... czyżby podniecenie? Zaczęła przesuwac się w bok, próbując uciec.

Pierce zdał sobie sprawę, że trudno jest brnąć przez wodę w ciężkich, mokrych butach. Bez namysłu zsuł je i rzucił na plażę, obok surduta.

- A teraz co robisz? - spytała. Woda sięgała jej do ramion, włosy unosiły się na powierzchni. Wyglądała jak nęcaca syrena. Pierce wiedział, że za nic nie dopuści do tego, by go odtrąciła.

- Bez ciebie nie wracam. - Nie czekając na jej odpowiedź, wziął duży chaust powietrza i rzucił się w wodę.

Z gardła Eden wyrwał się okrzyk zaskoczenia, ale Pierce nie dał jej czasu do ucieczki. Podpłynął do niej, wciągnął ją pod wodę, a potem podniósł nad powierzchnię w swoich silnych ramionach.

Eden parskała wodą na wszystkie strony; była oburzona.

- Wiesz, że nie umiem pływać! Dlaczego to zrobiłeś?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Co zrobiłem? To? - spytał i udał, że ją puszcza.

Krzyknęła z przerażenia i zarzuciła mu ręce na szyję.

- I o to właśnie chodziło - powiedział Pierce, przyciskając ją mocniej do siebie.

Spojrzała na niego ze złością, ale jej gniew już nie prowokował go do żartów. Wręcz przeciwnie, stał się poważny.

- Kocham cię, Eden. Złe postąpiłem opuszczając cię w gniewie. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Jej oczy wezbrały łzami.

- Przepraszam, Pierce.

Przycisnął ją do siebie.

- Och, kochanie, nie chcę, żebyś płakała i nie chcę, żebyś mnie przepraszała. Byłem w błędzie. Widziałem piekło, w którym dorastałaś i nie mam ci za złe tego, że robiłaś wszystko, by się

stamtąd wydostać. Jestem wdzięczny losowi za to, że rzucił cię w moje ramiona. Będę niewymownie szczęśliwy, jeśli nasze dzieci odziedziczą twoją siłę ducha.

Wtedy Eden rozpląkała się, a on pocałował ją, by powstrzymać potok łez płynących z jej oczu. Ale gdy poczuł na ustach dotyk jej słodkich warg, zrozumiał, że na jednym pocałunku się nie skończy.

Ruszył w stronę brzegu. Spódnica Eden unosiła się w wodzie, odsłaniając uda. Pierce wsunął pod nią rękę i poczuł pod palcami gładką jak jedwab skórę.

- Od wyjazdu o tym marzyłem - powiedział, delikatnie kładąc ją w szyję.

Eden objęła go nogami w pasie. Pierce, zaskoczony, cofnął się.

- Ja też się za tobą stęskniłam - szepnęła i pocałowała go.

Wtedy jednak Pierce'owi przysłała do głowy niepokojąca myśl.

- Eden, mam nadzieję, że kochasz się ze mną nie dlatego, że uważasz to za swój obowiązek?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i wybuchnęła radosnym śmiechem.

- Nie, Pierce. Kochamy się, by przypieczętować naszą miłość.

Z jej zielonych oczu wycierało prawdziwe, głębokie uczucie. Pierce poczuł, że serce topnieje mu ze wzruszenia.

- Jestem szczęśliwy.

Eden odgarnęła mokry kosmyk włosów z jego czoła.

- Ja też.

Pocałował ją znowu, by uczcić ich na nowo odkrytą miłość.

Eden przywarła do niego całym ciałem. Uścisk jej nóg stał się silniejszy.

Pierce wyszedł z wody i położył Eden na surducie, po czym zaczął rozwiązywać jej suknię, a ona wzięła się do rozpinania guzików jego bryczesów. Ich usta nie rozłączyły się ani na chwilę.

Pierce nie mógł sobie poradzić z nasiąkniętymi wodą sznurówkami. Kiedy Eden sprawnie uwolniła go z bryczesów, podniósł jej suknię i próbował niecierpliwie szukać dojsścia.

Nagle Eden skrzywiła się.

- Co się stało? - spytał.

- Leżę na jakimś kamieniu.

- Czekaj. - Pierce przetoczył się na plecy, ciągnąc ją za sobą tak, że znalazła się na nim. - Teraz lepiej?

- Tak, ale czy tobie jest wygodnie?

- Ach, Eden, w tym stanie nie czuję bólu- odparł zgodnie z prawdą.

Roześmiała się wesoło i zaczęła pieścić jego męskość.

Pierce westchnął.

- Trzeba przyznać, że małżeństwo z tak znającą się na rzeczy młodą kobietą ma swoje dobre strony - powiedział żartobliwie.

Eden rozradowana przystąpiła do demonstrowania mu wszystkich swoich umiejętności. Pierce był w siódmym niebie.

Udało mu się poluzować jej suknię na tyle, że spod stanika wyłoniły się piersi. Sutki naprężyły się w chłodnym powietrzu. Pierce zaczął rozgrzewać je ustami.

Eden zmieniła nieco pozycję, po czym powoli usiadła na nim. Z ich ust niemal jednocześnie wyrwał się pomruk zadowolenia. Eden zaczęła się poruszać w dół i w górę.

Pierce dostosował się do tego rytmu, drażniąc kciukami czułe sutki Eden i obserwując wyraz jej twarzy. Było im tak dobrze. Zawsze tak będzie, pomyślał. Pamiętał jednak, że nie to stanowi najtrwalszy fundament ich miłości.

- Eden, kocham cię.

Otworzyła zamglone rozkoszą oczy.

- Ja ciebie też kocham, Pierce. Zawsze będę cię kochała.

W tej chwili zacisnęła się wokół niego, a z jej ust wyrwał się cichy jęk. Pierce połączył się z nią w rozkoszy i westchnął uszczęśliwiony.

Eden opadła mu na pierś. Przez kilka minut leżeli wtuleni w siebie, nie odzywając się ani słowem. Wreszcie Pierce poruszył się.

Eden podniosła głowę.

- Coś się stało?

- Znalazłem ten kamień- powiedział i oboje wybuchnęli śmiechem.

Wkrótce potem razem przeszli wąskim przejściem między skałami do miejsca, w którym czekał **Król Kornwalii**. Pierce wskoczył na jego grzbiet i podał Eden rękę, by pomóc jej wejść na siodło.

Kiedy miał już spać konia kolanami i ruszyć do domu, Eden chwyciła go za rękę.

- Pierce, masz jakieś miedziaki?

- Tak, mam kilka. - Wyciągnął sakiewkę, w której trzymał drobne monety. Było ich kilkanaście. Eden wzięła je i wyrzuciła w powietrze nad wejściem na plażę nad Zatoką Pustelnika.

Jęknęła rozczarowana.

- Co się stało? - spytał.

- Nie wszystkie spadły na ścieżkę. Dzieci nie będą ich mogły znaleźć.

Pierce roześmiał się i przycisnął ją do siebie.

- To nic, Eden. Któregoś dnia wszystkie zostaną odnalezione i ten, komu się to uda, będzie wiedział, że jest to magiczne miejsce.

Odchyliła się w jego ramionach i przyłgnęła do niego. Pierce spiął konia kolanami i ruszyli w stronę Penhollow Hall.

- Wolałabym, żebyś go nie sprzedawał - powiedziała Eden, gdy znaleźli się na podjeździe do domu.

Pierce uściśnął ją mocniej.

- Wszystko będzie dobrze. Tak musi być. Obydwoje musimy w to wierzyć.

Jeśli nawet matka Pierce'a zdziwiła się widząc ich przemoczonych do suchej nitki, nie dała tego po sobie poznać... choć Pierce miał wrażenie, że Rawlins uśmiechnął się ukradkiem.

Małżonkowie poszli do swojej sypialni, wzięli kąpiel i kochali się przez całą noc.

Następnego ranka Eden wysłała Betsy po swoje suknie, które zostały u wdowy Haskell. W jakiś czas potem Pierce wszedł do sypialni i zobaczył, że Eden rozwiesza suknie w szafie.

- Gdzie Betsy? - spytał.

- Nie czuła się najlepiej, więc wysłałam ją do domu. - Powiesiła zieloną koronkową suknię na wieszaku. - Wiesz co, ta suknia, którą miałam wczoraj na sobie, już nie nadaje się do noszenia. Za bardzo przesiąknęła słoną wodą. Pani Meeks i pani Ivy próbowały ją ratować na wszelkie sposoby, ale nic z tego nie wyszło.

- Czyżby wreszcie przestały się czubić? - spytał Pierce i usiadł na łóżku przy stosie ubrań.

- Prawda, że to niesamowite? Twoja matka nie posiadała się

ze zdumienia. Powiedziała, że one gryzły się ze sobą od dnia, gdy tu przyjechała. - Podniosła złotą koronkową suknię i wygładziła ją, po czym ruszyła z nią w stronę szafy. - Pierce, Annabelle powiedziała...

- Co ja słyszę? Mówicie sobie z matką po imieniu?

- Tak. Ona chyba mnie lubi.

- Eden, ona cię kocha. Teraz jesteś członkiem naszej rodziny.

- Może i tak. - Uśmiechnęła się. - W ostatnią niedzielę spotkałyśmy w kościele panią Willis i jej przyjaciółki. Przemknęły koło nas tak szybko, jakby się bały, że Annabelle się do nich odezwie. Zaproponowałam jej, żeby podeszła do nich i przywitała się, by zobaczyć, czy ośmielią się ją zignorować, ale powiedziała, że to tylko pogorszyłoby sytuację. Takie obyczaje panują w wyższych sferach. Właściwie może i lepiej, że nigdy ich nie poznałam... ale przykro mi, że twoja matka cierpi poniżenie z mojego powodu.

- Powiedziałaś jej to?

- Tak. Stwierdziła, że te kobiety nigdy nie były jej prawdziwymi przyjaciółkami i że woli od nich swoją synową. - Powiesiła suknię w szafie.

- Muszę cię zabrać na zakupy - powiedział Pierce. - Przydałoby ci się jeszcze kilka sukni. Może powinniśmy pojechać do Londynu.

Eden wzdrygnęła się.

- Nie chcę więcej widzieć tego miasta. Tutaj czuję się o wiele lepiej. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam twój ogród, pomyślałam, że na całej ziemi nie ma piękniejszego zakątka.

- Tak, tu jest cudownie. Zwłaszcza teraz - powiedział Pierce z uśmiechem. Eden roześmiała się i musnęła go ustami w czoło, sięgając po ostatnią suknię leżącą na łożu, kremową, ze stanikiem wyszywanym perłami.

Pierce patrzył na żonę.

- Szkoda, że te perły nie są prawdziwe - powiedział.

- Jak to nie? - zdziwiła się Eden i podstawiła mu suknię pod oczy.

Serce zamarło Pierce'owi w piersi. Zerwał się na równe nogi.

- To niemożliwe. Prawdziwe perły nie są takie duże i tak idealnie okrągłe.

- Te są. Sułtan to bardzo bogaty człowiek. Madame Indrani mówiła, że jego skarbiec pełen jest pereł takich jak te. Nawet się zdenerwowała, że przysłał mi tylko tę suknię, bo w porównaniu z innymi jego skarbami perły to nic nadzwyczajnego. Poza tym powiedziała, że są małe, choć większych w życiu nie widziałam.

Pierce wziął od niej suknię i musnął palcem połyskujące perły na staniku. Nie wierzył własnym oczom. Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Co cię tak śmieszy, Pierce?

Podniósł suknię. Perły rozbłysły w świetle sączącym się przez okno.

- Eden, czy ty zdajesz sobie sprawę, ile one są warte? Kochanie, nie musimy już sprzedawać Króla Kornwalii!

Gdy do Eden dotarło znaczenie jego słów, rozchyliła usta w zdumieniu i zarzuciła mu ręce na szyję. Upojeni radością zaczęli tańczyć wokół pokoju, aż w głowach zakręciło im się od szczęścia i miłości.

Pierce niezwłocznie wysłał perły do Londynu, by tam dokonano wyceny. Było ich czterysta trzydzieści sześć. Tego samego dnia napisał do Whitby'ego list, w którym oznajmiał, że bardzo mu przykro, ale Król Kornwalii nie jest już na sprzedaż.

Nie musieli długo czekać na odpowiedź w sprawie pereł. Londyński jubiler szybko znalazł chętną do ich kupienia. Księżna Langsley dała za nie dwadzieścia trzy tysiące funtów, ponieważ chciała, by jej nowa suknia przyćmiła swoim przepychem kreację księżnej Bedford Court.

A skarbiec Penhollowów znów był pełny.

Pani Willis bez pukania wpadła do sypialni męża. Miała na sobie koszulę nocną i ranne pantofle. Pan Willis smacznie spał, chrapiąc donośnie.

Pani Willis szarpnęła męża mocno za ramię, o mało nie zrzucając go na podłogę.

- Obudź się, obudź się! Stała się tragedia!

Pan Willis ocknął się i spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Tragedia?

Teatralnym gestem osunęła się na krzesło stojące naprzeciw łoża.

- Tak, tragedia. Moja pokojówka dowiedziała się od służącej z góry, której z kolei powiedziała o wszystkim kucharka mieszkająca z siostrą w Hobbles Moor, że żona lorda Penhollow odziedziczyła majątek! I to duży!

Pan Willis zwiesił nogi z łóżka.

- Co takiego? O ile pamiętam, matka lorda Penhollow mówiła, że ta dziewczyna jest nikim.

- Tak mówiła, a przynajmniej tak mi się wydawało. No i cała ta gadanina o tym, że dziewczyna straciła pamięć... - Zakryła usta dłonią. - Jak myślisz, czy to prawda?

Pan Willis zdjął szlafmycę i w zamyśleniu poskrobał się po głowie.

- Powiedz, co dokładnie mówią służący.

Pani Willis westchnęła ciężko.

- Pokojówka powiedziała mi, że ponoć żona lorda Penhollow odzyskała pamięć i przypomniała sobie, że ma duży majątek.

- Pamięta, z jakiego jest rodu?

- Nie wiem. Pokojówka mówi, że nie wie tego nawet osobista służąca nowej lady Penhollow. Jak myślisz, może pochodzi z kupieckiej rodziny? - spytała pani Willis z nadzieją w głosie, gdyby bowiem tak było, jej nieobecność na ślubie lorda Penhollow byłaby usprawiedliwiona.

- Nie wiem - odparł poważnym tonem mąż. Wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. Koszula nocna ciągnęła się za nim po podłodze. - Gołabczko, coś mi się widzi, że popełniliśmy błąd - powiedział wreszcie.

- Błąd? Och, bałam się, że to powiesz. Ale może ona rzeczywiście jest córką sklepikarza?

- To nie ma znaczenia. Penhollow to jeden z bardziej wpływowych ludzi w Kornwalii, a teraz stał się bogaty jak nigdy. Poza tym, jakby nie patrzeć, jego żona jest hrabiną. Złóżysz jej wizytę i wyrazisz głęboki żal z powodu naszej nieobecności na ślubie. I zaprosz ich na kolację. Tak, to powinno zrobić na nich dobre wrażenie. Aha, czy wysłaliśmy im prezent ślubny?

- Nie - odparła pani Willis z rozpaczą w głosie. Nie chciała, by sprawy tak się ułożyły. A jeśli nowa hrabina nie przyjmie jej po tym, co stało się w ostatnią niedzielę w kościele?

- No to trzeba im coś podarować- powiedział pan Willis, siadając za biurkiem. Wyciągnął kartkę papieru i zanurzył pióro w kałamarzu. - Osobiście wręczysz jej prezent.

Pani Willis podniosła się z krzesła i zaczęła krążyć niespokojnie wokół biurka.

- Ale nie mam nic, co mogłabym jej dać.

Pan Willis zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- A ta srebrna figurka z salonu?

- No co też ty mówisz! Od kilku pokoleń jest własnością mojej rodziny!

- To się już nam zdażyła znudzić, prawda? Zapakuj ją i daj nowej hrabinie.

- Ależ, mężu...

- Gołąbeczko, chcesz wrócić do Londynu?

- Zrobiłabym wszystko, żeby się stąd wyrwać. W Kornwalii czuję się tak, jakbym była pogrzebana żywcem. Poza tym Wiktoria będzie miała swój debiut towarzyski w Londynie.

- No to przestań marudzić, zapakuj tę swoją srebrną błyskotkę i leć do Penhollow Hall. Lord Penhollow ma duże wpływy, gołąbeczko, i jeśli chcemy, by nasza karta się odwróciła, musimy liczyć na jego wsparcie. A teraz zmykaj stąd, a ja napiszę do Danbury'ego i Bainesa, by powiadomić ich o nieoczekiwanej zmianie sytuacji. - Pochylił się nad kartką, a pani Willis, nie widząc innego wyjścia, spełniła polecenie męża.

Mimo wycofania przez lorda Penhollow oferty sprzedaży, Whitby przyjechał do Penhollow Hall i zażądał, by Pierce odstąpił mu Króla Kornwalii. Eden schowała się w sypialni, by uniknąć kontaktu z Whitbym. Pierce zresztą przezornie zaprowadził go do stajni, by tam rozmówić się z nim na osobności.

Niestety, do Penhollow Hall przyjechały lady Danbury, lady Baines oraz pani Willis z Wiktorią. Eden nie miała wyboru- musiała je przyjąć, zwłaszcza że lady Penhollow bardzo ucieszyła się z ich odwiedzin. Szacowne damy przyniosły ze sobą bardzo ładne prezenty ślubne. Najpiękniejsza była srebrna figurka od pani Willis.

- Pani Willis, to dzieło prawdziwego mistrza- powiedziała Eden, podziwiając wyrzeźbione u stóp posążka Neptuna koniki morskie wyłaniające się spośród fal. - Jest taka ciężka. Musi być dość stara.

- Ma dokładnie sto trzydzieści siedem lat - sprecyzowała pani Willis z uśmiechem przypominającym grymas.

Eden zaprosiła wszystkie panie do Sali Ogrodowej, mając nadzieję, że tam, na tyłach domu, lord Whitby jej nie zobaczy.

Lady Penhollow, uszczęśliwiona wizytą przyjaciółek i tym, że znów zaliczały ją one do swojego grona, od razu przyjęła ich przeprosiny za nieobecność na ślubie. Nawet służba nie kryła radości. Lucy błyskawicznie przygotowała tacę pełną ciastek, ku nie skrywanemu zadowoleniu lady Danbury. Rawlins stał z dumnie wypiętą pierśią, a pani Meeks zaaferowana krzątała się po pokoju.

- A gdzie lord Penhollow?- spytała lady Baines dla podtrzymania rozmowy.

- Ma gościa - odparła Eden, usiłując nie okazywać niepokoju.

- Ach tak - powiedziała lady Baines, mocno zaintrygowana. - Mój mąż zastanawiał się, czy mógłby nieco później wstąpić do państwa i porozmawiać z lordem Penhollow o kopalni.

Eden i lady Penhollow spojrzały na siebie. W oczach matki Pierce'a zabłyśły wesołe ogniki.

- Jestem pewna, że Pierce nie będzie miał nic przeciwko temu - odparła spokojnie Eden. Teraz już wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie w duchu. Jej życie nie mogło się lepiej ułożyć.

Kiedy poczęstowała lady Baines kolejnym ciastkiem, za oknami rozległ się rozgniewany męski głos. Wszystkie panie z zaintrygowaniem zwróciły głowy w tę stronę.

Lord Whitby, z kapeluszem zsuniętym na oczy, szedł wielkimi krokami przez ogród, a Pierce powoli podążał za nim. Twarz Whitby'ego była czerwona od gniewu. Krzyczał na Pierce'a, obrzucając go najprzeróżniejszymi wyzwiskami.

Eden uświadomiła sobie, że jej mąż jest przekonany, iż ona wciąż jest na górze, w sypialni. Modliła się, by Whitby broń Boże nie wszedł do domu. Jednocześnie starała się nie dać niczego po sobie poznać.

- Co to za gbur? - spytała pani Willis.

- Lord Whitby chce kupić Króla Kornwalii i nie przyjmuje do wiadomości, że Pierce nie zamierza go sprzedać - wyjaśniła Eden. - Przykro mi z powodu jego zachowania.

- Lord Whitby? - Lady Danbury zmarszczyła brwi. - A tak, przypominam go sobie. Jest znany ze swojego wybuchowego usposobienia.

- Eden, może zagrasz nam coś na fortepianie? - zaproponowała lady Penhollow. - Przynajmniej zagłuszysz wrzaski tego człowieka.

- To ty umiesz grać? - zdziwiła się pani Willis.

Eden nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Trochę. Ale fortepian jest w innym pokoju.

- No to chodźmy tam - powiedziała pani Willis. Pozostałe damy z entuzjazmem przyjęły jej propozycję.

Nie mając innego wyjścia, Eden poprowadziła je do salonu. Na szczęście widziała przez okno, że lord Whitby wsiada na konia i zbiera się do odjazdu.

Usiadła, położyła dłonie na klawiszach i zaczęła grać koncert adaptowany na fortepian z klawikordu.

Jak zawsze w czasie gry, zapomniała o całym świecie. Zebrane w salonie panie słuchały muzyki w nabożnym skupieniu i głos lorda Whitby'ego wydawał się coraz cichszy...

Nagle...

- Ja cię znam!

Eden podniosła głowę, zaskoczona. W drzwiach stał lord Whitby. Jego oczy płonęły gniewem.

Wszedł do pokoju, nie zwracając uwagi na zgromadzone w nim panie.

- Już się spotkaliśmy - oznajmił. - W londyńskim burdelu.

Przez chwilę Eden siedziała jak sparaliżowana. Patrzyła na Whitby'ego, niezdolna wydobyć z siebie głosu.

Wszyscy goście byli zbyt zdumieni, by cokolwiek powiedzieć. Pierwsza przerwała milczenie lady Baines.

- Whitby, jesteś niespełna rozumu? Rozmawiasz z hrabiną Penhollow!

Lady Danbury nachyliła się do lady Penhollow, Wiktorii i pani Willis.

- *Złe ton, złe ton* - szepnęła oskarżycielskim tonem. - Wszędzie wywołuje skandale.

Whitby dopiero teraz uświadomił sobie, że ma publiczność. Zwrócił się do pań patrzących na niego z oburzeniem.

- To ona, mówię wam. Nie ma drugiej kobiety, która byłaby tak piękna i tak doskonale grała na fortepianie.

- Whitby, piłeś coś? - wycodziła lady Danbury.

W tej chwili za plecami Whitby'ego wyrósł Pierce.

- Znieważył pan moją żonę, sir. Żądam satysfakcji - powiedział śmiertelnie poważnym tonem.

Whitby zbladł. Zaczął się cofać.

- To ona. Pamiętam ją.

Pierce złapał go za halsztuk.

- Jesteś gotów ręczyć za to własnym życiem?

Whitby przełknął ślinę, po czym spojrział nerwowo na Eden i Pierce'a.

- Tamtej nocy sporo wypiałem - wykrztusił przez gardło uwięzione w duszącym uścisku Pierce'a.

- Żądam więc, żebyś przeprosił moją żonę.

- Przyjmuje pani przeprosiny? - wychrypiął z trudem.

Eden pochyliła głowę, zbyt roztrzęsiona, by od razu odpowiedzieć na pytanie. Wstała od fortepianu i podeszła do Whitby'ego.

- Przyjmuję pańskie przeprosiny. A ciebie proszę - powiedziała do Pierce'a - żebyś w tej sprawie nie podejmował żadnych dalszych kroków.

- Nie zrobię tego, jeśli to samo obieca Whitby - odparł spokojnie Pierce.

- Obie... cuję. - wydusił z siebie Whitby.

- Dobrze więc. - Pierce uwolnił go z uścisku i Whitby odetchnął głęboko.

Lord Penhollow wydawał się zupełnie spokojny.

- Aby ukarać cię za twoją bezczelność, Whitby, oświadczam, że nigdy nie sprzedam ci żadnego konia z mojej stadniny. Nie będziesz mógł także przywozić swoich klaczy do Króla Kornwalii.

Whitby tylko skinął głową.

- Jeszcze jedno - ciągnął Pierce. - Jeśli kiedykolwiek pojawisz się w Penhollow Hall, natychmiast wyzwę cię na pojedynek.

- Tak, rozumiem - powiedział Whitby, cofając się do drzwi. W jego głosie dało się słyszeć napięcie. - Przepraszam panie za zakłócenie koncertu, a panią za to nieporozumienie. - Skinął Eden głową. - Żegnam.

Gdy tylko doszedł tyłem do drzwi, odwrócił się i zniknął. Po chwili dało się słyszeć oddalający się tętent kopyt końskich.

- No cóż - powiedziała lady Penhollow. - To było całkiem zabawne. Ależ z niego gbur.

Pozostałe panie zachichotały wesoło. Potem pani Willis zmieniła temat i zaprosiła Penhollowów na kolację.

- Ale najpierw musicie przyjść do nas - powiedziała lady Danbury, jakby nie chciała być gorsza.

- Nie, do nas - włączyła się lady Baines.

- Ja byłam pierwsza - warknęła pani Willis i rozgorzała kłótnia.

Lady Penhollow obserwowała swoje przyjaciółki z uśmiechem. Eden pomyślała, że jednak wszystko będzie w porządku.

Pierce podniósł jej rękę do ust i pocałował koniuszki palców.

- Na zawsze - obiecał.

- Tak, na zawsze - wyszeptała.

Epilog

Penhollow Hall, 1824

Mamo, mamo! - krzyknął czteroletni Julian, biegnąc przez ogród w stronę fontanny, przy której siedziała Eden. Jego bracia, ośmioletni Giles i sześćioletni Matthew, szli za nim wolniejszym, bardziej dostojnym krokiem, a dwuletni Brock smacznie spał na rękach Pierce'a, z głową opartą na ramieniu ojca.

Pierce świata nie widział poza swoimi synami. Wszyscy odziedziczyli po nim ciemne włosy i urodę - choć dwaj chłopcy mieli zielone oczy, takie jak Eden - i doskonale jeździli konno.

- Co się stało, Julianie? - spytała Eden, odkładając książkę. Była już w dziewiątym miesiącu ciąży i z niecierpliwością czekała na rozwiązanie.

Julian zatrzymał się przed matką.

- Tata pokazał mi magiczne drzewo! - Otworzył zaciśniętą pięść, w której leżał miedziak. - Poszliśmy tam z wszystkimi dzieciakami z Hobbles Moor, ale ja sam to znalazłem.

- No to bystry jesteś - powiedziała Eden, mierzwiąc mu włosy.

Julian uśmiechnął się dumnie.

- Ja mu pomogłem - wtrącił Giles - Beze mnie niczego by nie znalazł.

Julian chciał temu gorąco zaprzeczyć, ale Eden nie dopuściła do kłótni.

- Jestem pewna, że znaleźliście go razem - załagodziła spór. Giles prychnął z oburzeniem.

Pierce podał Brocka Betsy, która przybiegła do ogrodu, gdy tylko usłyszała głosy chłopców. Była ich niańką i bardzo wszystkich kochała.

- Zaniosę go do łóżeczka. Chodźmy, paniczku Julianie, czas i na twoją popołudniową drzemkę.

Julian przybrał niezadowoloną minę, ale jego oblicze rozjaśniło się, kiedy przypomniał sobie o miedziaku.

- Patrz, Betsy, co znalazłem pod magicznym drzewem.

- Och, naprawdę? Wiesz, każdemu, kto znajdzie tam miedziaka, przytrafiają się rozmaite cuda.

Chłopcy spojrzeli na nią z zainteresowaniem. Julian wziął ją za rękę i nawet Giles z Matthew podążyli za nią. Chłopcy uwielbiali opowieści Betsy, a szczególnie tę o pięknej syrenie, którą z morskich fal wyciągnął ich ojciec.

- Podobno każdy miedziak znaleziony pod tym drzewem jest zaczarowany... - zaczęła Betsy, wchodząc z chłopcami do domu.

Pierce usiadł obok Eden i objął ją ramieniem.

- Jak się czujesz?

- Bola mnie plecy. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będzie po wszystkim.

- Przy każdym dziecku mówiłaś to samo.

- Tak? Cóż, mogłoby się wydawać, że po czterech podejściach powinnam być na wszystko przygotowana. Zrzędzę, kiedy jestem brzemienna - przyznała.

- Zawsze wtedy piękniejesz.

Eden wzruszyła się nieomal do łez. Przed paroma miesiącami, jak co roku, odwiedziła ją Mary Westchester z małżonkiem! W czasie tej wizyty Mary podzieliła się z wszystkimi spostrzeżeniem, że mimo upływu lat miłość Pierce'a do Eden ani trochę nie przygasła. Eden musnęła palcami złoty medalion, z którym wciąż się nie rozstawała i raz jeszcze uzmysłowiła sobie, jak wielkie ma szczęście.

Mimo to...

- Kocham moich chłopców, ale mam nadzieję, że tym razem to będzie dziewczynka - powiedziała w zadumie.

- Na pewno. Wdowa Haskell przepowiedziała ci córeczkę - odparł wesoło.

Eden prychnęła.

- To samo mówiła przy ostatnich dwóch ciążyach i myliła się! - Uśmiechnęła się do męża. - Nienajlepsza z niej czarodziejka, co?

Pierce spojrział na żonę oczami pełnymi czułości.

- Eden, to ona sprowadziła cię do mnie. Więcej magii mi nie potrzeba.

- Kocham cię, Pierce.

- Kocham cię, Eden.

Ich życie było bujne i wypełnione szczęśliwymi chwilami. Król Kornwalii spokojnie dożywał swoich dni na pastwisku, a w stajniach Penhollow Hall roiło się od jego potomstwa. Lady Penhollow wciąż mieszkała z Pierce'em i Eden i doskonale się czuła w roli babci; zachwycała się wszystkim, co robiły jej wnuki - nie zdenerwowała się nawet wtedy, gdy w trakcie jednej ze swoich zabaw chłopcy weszli na stół i odłamali konika morskiego od srebrnej figurki. Wyznała Eden, że czuje się, jakby nadrabiała czas stracony w dzieciństwie Pierce'a.

Pierce wstał z ławki i podał Eden rękę.

- Chodź, pójdziemy na górę i pomasuję ci plecy.

- Och, to cudowny pomysł - powiedziała, podnosząc się z pomocą męża na opuchnięte nogi. Wiedziała, że wszystkie te denerwujące objawy wkrótce znikną. Gdy tylko dziecko przyjdzie na świat, bóle przeminą, a jej sylwetka znów stanie się smukła.

- Nie powinnam narzekać - zauważyła, gdy ruszyli w stronę domu. - Wiesz, że kocham moje dzieci.

Pierce parsknął śmiechem.

- Gdybym to ja musiał je rodzić, wszyscy szybko mieliby po dziurki w nosie moich jęków i wyrzekań.

Eden zaśmiała się, bo wiedziała, że to prawda.

- Gdybyś ty mógł zająć w ciąży, mielibyśmy najwyżej jedno dziecko!

- Nie byłbym tego taki pewien - stwierdził z udawaną powagą. - Za bardzo lubię robić to, co prowadzi do tego stanu, by z tego zrezygnować.

- Ja też to uwielbiam - powiedziała cicho. - Zresztą, nie poród jest najcięższy. To oczekiwanie doprowadza mnie do szału.

W tej właśnie chwili, jak na zawołanie, wody odeszły i Eden przystanęła zaskoczona, jak zawsze, kiedy nadchodził ten moment.

- Och, Pierce.
- Jego oczy rozbłyły.
- Czy już czas, Eden?

Eden szybko doszła do ładu z wypełniającymi jej serce uczuciami i skinęła głową.

W całym domu zapanował bałagan. Wysłano po akuszerkę. Na szczęście zdążyła przyjechać w samą porę.

Dziecko nie zwlekało z przyjściem na świat. Po trzech godzinach Eden urodziła piękną córeczkę. Dumni rodzice nazwali ją Annabelle, na cześć babci. Dziewczynka była doskonała pod każdym względem i wszyscy pokochali ją, zanim po raz pierwszy zaczerpnęła powietrza.

Tymczasem na drugim końcu Hobbles Moor, w domku na skraju wrzosowiska, wdowa Haskell zerwała się z drzemki. Wyczuwała, że stało się coś niezwykle ważnego... i zaraz domyśliła się, co to takiego.

- Hrabina urodziła dziecko, Przystojniaku - szepnęła do swojego ulubieńca. Kogut popatrzył na nią z zaciekawieniem.

Wtedy wdowa wyciągnęła spod leżącej na fotelu bujanym poduszki amulet, który przygotowała na prośbę lady Penhollow z okazji piątej ciąży jej synowej. Mały woreczek wypełniony ziołami i tajemnymi zapachami spełnił swoje zadanie.

Wrzuciła go do ognia. Z amuletu posypały się iskry.

- I jest to dziewczynka - dodała, po czym odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła gromkim śmiechem.

K O N I E C